

W tym inteligentnym,  
przenikliwym studium  
polityki, korupcji,  
wyzysku i przebłyków  
prawdziwego  
sportowego geniuszu  
w pełni ujawnia się  
talent Burnsa.

„TIME OUT”

NOWA EDYCJA.  
ZAWIERA  
NIEPUBLIKOWANE  
DOTĄD MATERIAŁY.

# MARADONA RĘKA BOGA

JIMMY BURNS

ALBATROS



ŚWIETNYCH PIŁKARZY BYŁO I JEST WIELU, ALE BOGIEM BYŁ TYLKO JEDEN.

DIEGO ARMANDO MARADONA TO NIE TYLKO GENIALNY ZAWODNIK, TO PRZEDE  
WSZYSTKIM SYMBOL I LEGENDA.

**A LEGENDY NIE UMIERAJĄ NIGDY.**

**Maradona. Ręka Boga** to jedyna w swoim rodzaju, uznawana od wielu lat za kultową, biografia Diego Armando Maradony – wirtuoza futbolu, Złotego Chłopaka, a jednocześnie człowieka z ogromnymi problemami. Od dzieciństwa w slumsach Buenos Aires, przez wywalczenie dla Argentyny Pucharu Świata w piłce nożnej i dwukrotnego zdobycia tytułu mistrza Włoch z drużyną SSC Napoli, aż po niechlubny upadek. Choć Maradona na boisku był bogiem, ze świętością nie miał nic wspólnego.

Dokonywał cudów z piłką, ale na sumieniu miał wiele przewinień. Kiedy umarł w listopadzie 2020 roku, świat po nim zapłakał, a w Argentynie ogłoszono trzydniową żałobę narodową.

Nowe wydanie bestsellerowej biografii Maradony autorstwa brytyjskiego dziennikarza sportowego Jimmy'ego Burnsa zawiera niepublikowane dotąd przez autora materiały.



**MARADONA**  
**RĘKA BOGA**

**JIMMY BURNS**

Z angielskiego przełożyli  
Jerzy Łoziński  
Robert Waliś

**ALBATROS**

Wydanie elektroniczne

## JIMMY BURNS

Wielokrotnie nagradzany dziennikarz, pracujący m.in. dla „Financial Times”, i pisarz pochodzenia brytyjsko-hiszpańskiego. Jest autorem książek o słynnych piłkarzach i piłce nożnej – m.in. *Cristiano i Leo. Historia rywalizacji Ronaldo i Messiego*, *Piłkarska furia. Podróż przez hiszpański futbol, Barça. Życie, pasja, ludzie* – a także o kulturze i historii Hiszpanii oraz Ameryki Południowej. Za książkę *The Land that Lost Its Heroes* otrzymał Nagrodę Somerseta Maughama w kategorii non-fiction.

Wiele lat spędził jako korespondent w Argentynie; obecnie mieszka w Londynie.

[jimmy-burns.com](http://jimmy-burns.com)

Tytuł oryginału:  
MARADONA: THE HAND OF GOD

Copyright © 1996 and 2010 and 2021 by Jimmy Burns  
All rights reserved

This translation of *Maradona: The Hand of God* is published by Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. by arrangement with Bloomsbury Publishing Plc and Macadamia Literary Agency, Warsaw

Książka wcześniej ukazała się pod tytułem *Ręka Boga. Życie Diego Maradony*

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Zysk i S-ka 2004 (wstęp oraz rozdziały 1–22) & Robert Waliś 2021 (fragment wstępu oraz rozdziały 23–24)

Konsultacja: Adam Saługa

Korekta: Sabina Raczyńska, Jolanta Rososińska

Noty copyright na zdjęcia w środku znajdują się na końcu publikacji

Zdjęcie na okładce: © Reuters/Forum

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Bloomsbury Publishing

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Mieszka

ISBN 978-83-8215-483-2

Wydawca  
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.  
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa  
[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)  
[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

## SPIS TREŚCI

[Wprowadzenie](#)

[Umierając z Diego Maradoną](#)

[1. Zmartwychwstanie](#)

[2. Narodziny](#)

[3. Świątynia](#)

[4. Pierwsze miłości](#)

[5. Pola śmierci](#)

[6. Chłopiec junty](#)

[7. Harry jedzie do Buenos Aires](#)

[8. \*Money, money, money\*](#)

[9. Boca mistrzem](#)

[10. Falklandy](#)

[11. Katastrofa barcelońska](#)

[12. Terry i Diego](#)

[13. Król pośród ojców chrzestnych](#)

[14. Gwiazdny pył](#)

[15. Meksykańska fiesta](#)

[16. Falklandy: odsłona druga](#)

[17. Pod wulkanem](#)

[18. Ambasador sportowy](#)

[19. Włoska wendeta](#)

[20. Walka z koką](#)

[21. Wynik pozytywny](#)

[22. Łowy na Maradone](#)

[23. Maradona odrodzony](#)

[24. Przepowiedziana śmierć](#)

[Źródła zdjęć](#)

*To Bóg sprawia, że tak dobrze gram. I dlatego zawsze się żegnam przed wejściem na boisko. Gdybym tego nie zrobił, poczułbym, że Go zdradzam.*

Diego Maradona

*Pelé miał niemal wszystko. Maradona ma wszystko. Więcej pracuje, więcej robi i jest bardziej utalentowany. Kłopot w tym, że będzie się go pamiętało z innego powodu. Nagina reguły, jak mu wygodnie.*

Sir Alf Ramsey (1986)

*Przede wszystkim mam wątpliwości, czy swoją postawą zasługuje na podziw całego świata.*

Pelé o Maradonie

Sława to częściej dzwoniący telefon i domaganie się wywiadów, których nie masz ochoty udzielić i nie udzielasz; sława to ludzie z ulicy, którzy powodowani sympatią, przerywają ci tok myśli; sława to także konieczność powstrzymywania się od sikania w zaułkach w obawie przed gliniarzami oraz tytułami na pierwszych stronach gazet; sława powstrzymuje cię przed robieniem z siebie głupka na parkiecie. Sława to niemożność anonimowego urznięcia się w pierwszym lepszym barze, a więc i ukojenia obsesyjnej melancholii w noc prawdy.

Norman Mailer, *W niewoli seksu*, przełożył Władysław Masiulani

## WPROWADZENIE

JEŻELI KTOŚ WĄTPIL, ŻE **DIEGO** Maradona był kimś więcej niż tylko piłkarzem, wystarczy, by popatrzeć na nagłówki gazet donoszące o jego śmierci dwudziestego piątego listopada 2020 roku. Zarówno francuskie „L'Equipe”, które oznajmiało *Le Dieu est Mort* („Umarł bóg”), jak i argentyńskie „Olé”, gdzie napisano *Nieśmiertelność: od 1960 do nieskończoności*, przypominają nam, że mieliśmy do czynienia nie tylko z piłkarskim geniuszem, ale też z prawdziwą ikoną i legendą. Na jednej z tabliczek trzymanyh przez ubogich argentyńskich *descamisados*, „ludzi bez koszul”, widniał napis: *Nieważne, co zrobiłeś ze swoim życiem, ale ważne, co zrobiłeś z naszym.*

Powracają do mnie wspomnienia pewnego dnia z początku lat dziewięćdziesiątych, gdy wybrałem się pociągiem z centrum Buenos Aires do jednej z ubogich dzielnic, by odnaleźć korzenie Maradony z myślą o biografii, którą zamówiono u mnie ze względu na moje częściowo hiszpańskie korzenie, miłość do piłki nożnej oraz fakt, że w latach osiemdziesiątych pracowałem jako zagraniczny korespondent w Buenos Aires. Okazało się, że nic z rzeczy, które dotychczas wiedziałem o życiu Maradony – zarówno na boisku, jak i poza nim – nie mogło mnie przygotować na to, co odkryłem.

Znalazłem się na niewybrukowanych ulicach, cuchnących otwartymi kanałami i gnijącymi odpadkami, gdzie zbudowana z kawałków metalu, luźnych cegieł i tektury chata, w której Maradona spędził dzieciństwo, stała zachowana niczym świątynia przystrojona kwiatami i różańcami.

Kiedy dotarły do mnie wieści o jego śmierci, w mojej głowie pojawił się pewien obraz: kilkuletni Maradona kopiący piłkę w swoim sypiącym się domu. Już wtedy potrafił kopnąć z potężną siłą i determinacją po tym, jak jego lewa stopa znudziła się tańcem z piłką.

W późniejszych latach media, głównie argentyńskie, skupiały się przede wszystkim na jego talencie i niemal magicznych umiejętnościach. Ale Maradona nigdy nie zapomniał o upokorzeniu, jakie wiąże się z przyjściem na świat w slumsach. To ono ukształtowało jego podejście do życia i podsycalo głód wybicia się w świecie, który nie dawał wielu szans ludziom o jego pochodzeniu – był dzieckiem ubogiej włoskiej imigrantki i przedstawiciela rdzennej ludności. Zapewniło mu także wielką popularność, zwłaszcza wśród biedoty, dla której futbol był ucieczką i oknem na świat.

Mistrzostwa świata w Meksyku w 1986 roku pozostają symbolem jego kariery. W ćwierćfinałowym meczu przeciwko Anglii Maradona zdobył niesławnego pierwszego gola przeciwko historycznemu wrogowi Argentyny, wbijając piłkę do siatki ręką, czego nie zakwestionowali ani arbiter główny, ani sędzia liniowy. Tylko jego rodacy usprawiedliwiali to oszustwo. Druga bramka, której oglądanie nigdy mi się nie znudzi, była wyborna. Maradona przejął piłkę na swojej połowie, a następnie przedryblował całą angielską obronę, poruszając się z idealną równowagą i rytmem. Prawdziwa poezja ruchu.

W tych dwóch bramkach zawiera się cały niedoskonały geniusz Maradony. Pierwsza ukazuje go jako ulicznego łobuziaka, który wyrósł na gwiazdę, ale wciąż nie jest pewny własnej wartości, więc musi się uciekać do oszustwa. Druga przedstawia Maradonę jako niezwykle utalentowanego zawodnika o nieprzeciętnych umiejętnościach. Gorszi piłkarze w tym wypadku musieliby się wspomóc ręką. Maradona uwierzył, że on również nie miał innego wyjścia, i później to usprawiedliwiał, podczas gdy ze swoim talentem mógł sobie pozwolić na czystą grę, i właśnie na tym polegał tragiczny wydzwitek tej sytuacji.

Jego rodacy postrzegali obie te bramki jako dzieło kogoś, kto przemawiał do ich serc i był najlepszym dobrem eksportowym Argentyny, zawodnikiem obdarzonym wybitnym stylem oraz wizją, uznawanym na całym świecie za najlepszego piłkarza w historii. Takie podejście zachęcało Maradonę do uznania swojego zagrania za boską interwencję.



W Meksyku, gdzie Argentyna wywalczyła tytuł mistrza świata, Maradona stał się wcieleniem swojego narodu i symbolem jego odkupienia po upokarzającej wojnie o Falklandy, a także barankiem ofiarnym, składającym na ołtarzu swoje ciało, zmagającym się z wewnętrznymi demonami, które już wtedy zaczynały nim kierować, choć zawsze był w stanie obronić się przed ostatecznym upadkiem. W świetle reflektorów walczył z uzależnieniem od narkotyków i alkoholu oraz cierpieniami i zniszczeniem, jakie wywołały w jego życiu osobistym i publicznym. Ostatnie dziesięć lat życia Maradony opisane w tej książce to ostateczne rozliczenie z moim pozornie niemającym końca biograficznym spotkaniem z tym piłkarzem. Te lata uwypukliły jego postępujący upadek i to, w jaki sposób roztrwonił otrzymany od Boga talent za sprawą narkotycznych ekscesów i rodzinnych zawirowań, pośród których pojawiały się tylko przeblyski odkupienia.

Życie Diego Maradony obrosło mitami i niedopowiedzeniami, co być może stanowi odzwierciedlenie argentyńskiej duszy, od zawsze szukającej zbawiciela, który wydobędzie ją z politycznego i gospodarczego bagna, ale zarazem świadczy o dziedzictwie, które w czasach zagubienia i niepewności, uzdrowienia i nadziei przekracza narodowe granice.

Maradona był tragicznym geniuszem, a jednocześnie człowiekiem z krwi i kości. Urodził się w biedzie i dzielnie walczył z przeciwnościami losu. Został najlepszym piłkarzem na świecie i dał swoim kibicom mnóstwo radości. Obdarzał innych cierpieniem i miłością. Buntował się przeciwko potężnym i nieczułym, jednocześnie przemawiając do ubogich i doświadczonych przez los.

Oto opowieść o chłopaku, który był urodzonym talentem piłkarskim, uwierzył, że jest bogiem, i musiał to odpokutować. Pierwsze trzydzieści sześć lat życia Diego Maradony (1960–1996) to czas, gdy futbol z popularnej rozrywki stał się sportem światowym, być może głównym, a nacisk mediów i reklamy na piłkarzy, fanów i działaczy klubowych stał się tak wielki, że trzydzieści lat wcześniej nikomu by to nawet nie przyszło do głowy. Głosząc wszem wobec, że urodził się, aby grać dla ludzi, Maradona w istocie stał się ważnym trybikiem w produkującej pieniądze maszynie, którą napędzają transfery, prawa do transmisji, sponsorzy i reklama.

Za szczęście uważam to, że niewiele rozrywek było dla mnie przyjemniejszych od gry w piłkę w lecie na hiszpańskiej plaży czy od przyłączenia się do weekendowej angielskiej kopaniny. Uwielbiam ekscytować się grą, siedząc z rodziną i przyjaciółmi na trybunach Nou Camp, Wembley czy La Bombonery. W połowie jestem Hiszpanem, w połowie Anglikiem, na dodatek z domieszką włoskiej krwi, dlatego mogę całkiem szczerze jednego dnia kibicować Newcastle i Barcelonie, drugiego – Milanowi i Boca Juniors. Wierzę w instynktowną uniwersalność futbolu.

Urodziłem się w Hiszpanii, ale ukształtowały mnie kultura europejska i południowoamerykańska, Maradona musiał więc mnie urzec. Tego piłkarza nie zrozumie ktoś, kto nie widział go grającego, kto nie obserwował jego – jak się zdawało – niezliczonych sztuczek, nie doznał charyzmy jego osobowości, kto nie widział, jak zachwyca zwolenników i doprowadza do wściekłości przeciwników. Choć poczynania Maradony na boisku prawdopodobnie zostały przez dziennikarzy sportowych opisane dokładniej niż wyczyny jakiegokolwiek innego ze współczesnych sportowców, to gdy usiłuje się opisać po angielsku pewne istotne detale, natrafia się na nieprzekraczalne granice.

Mimo że wybrałem kilka meczów, aby na ich przykładzie zilustrować piłkarski talent Maradony, nie jest to książka o zdobywcy goli. Pisząc o Maradonie, chciałem przede wszystkim zgłębić pewien fenomen społeczny, polityczny i religijny. Robiąc to, usiłowałem wejrzeć poza obraz Maradony znany ze stadionowych ekranów i naświetlić mity oraz rozległe interesy, które wiązały się z nim od samego początku kariery: od przesądów i intryg politycznych w rodzinnej Argentynie, po jego zawiłe relacje z lekarzami i działaczami piłkarskimi podczas futbolowych mistrzostw świata.

Przygotowanie tej książki wymagało nie tylko podróży i badań, niekiedy związanych z pewnym ryzykiem, ale także współpracy wielu ludzi pomagających mi spenetrować tajemny, oparty na samooszustwie i propagandowych efektach świat, którym Diego Maradona pozwolił się obudować. Jemu osobiście czuję się bardziej wdzięczny, niż byłbym to sobie w stanie wyobrazić w 1982 roku, gdy po raz pierwszy zobaczyłem go grającego (kiepsko) z Rosjanami, a nasze kraje – Argentyna i Wielka Brytania – toczyły wojnę o Falklandy. Nagle nad stadionem River Plate przeleciał okrzyk „Kto nie skacze, jest Anglikiem!” i wszyscy zaczęli podskakiwać. Poczuję się wtedy pewnie tak jak

mój ojciec, gdy w czasie drugiej wojny światowej wypełniał w Madrycie tajną misję dyplomatyczną i podczas walki byków niespodziewanie odegrano niemiecki hymn. Maradona pomógł mi zrozumieć, dlaczego futbol powinien być ważny, a dlaczego nie powinien, oraz jak może człowiekowi pomóc w przetrwaniu najtrudniejszych chwil. Nie miałem dość pieniędzy, cierpliwości i łatwowierności, aby zabiegać o godziny utrwalonych na taśmie rozmów z moim bohaterem. Kiedy jednak byłem w połowie swych studiów nad Maradoną, jego psychoanalityk powiedział mi, że zacznym wiedzieć o nim więcej niż on sam. Dodatkowo utwierdziły mnie w tym słowa Ossiego Ardilesa: „Kłopot z książką o Diego Maradonie polega na tym, że prawda boli”. Ossie należał do tej niewielkiej grupki zawodników, krewnych i przyjaciół Maradony, którzy później nie zgodzili się na wykorzystanie w książce wywiadów z nimi; argumentowali, że skoro nie jest autoryzowana, to musi być nielojalna wobec Diega. Szanuję ich postawę znacznie bardziej niż tych, którzy nie zgodzili się na rozmowę, gdyż – jak się okazało potem – mieli zbyt wiele do ukrycia. W każdym razie książka ta nie mogłaby powstać, gdyby nie pomoc grona ludzi – żyjących blisko Maradony i z dala od niego – którzy podzielili się ze mną swoją wiedzą, obserwacjami i ocenami.

Niektóre z tych osób chciały pozostać anonimowe, inne wymieniam w tekście. Szczególną wdzięczność żywię wobec Jorge Cyterszpilera, Carlosa Bilardo, Césara Menottiego, Marcosa Franchiego, Vincenzo Sinischalskiego, Nicolau Casausa, Settimio Aloisia i Terry’ego Venablesa za to, że potrafili znaleźć dla mnie dość czasu w swych niesłychanie napiętych harmonogramach zajęć. Peter Parker bardzo mi pomógł na wczesnym etapie poszukiwań, podobnie jak Maria Laura Avignolo, Marcela Mora y Araujo oraz Gabriela Cerruti.

Serdecznie dziękuję też następującym osobom, które w ten czy inny sposób przyczyniły się do powstania mojej książki: w Wielkiej Brytanii – Simonowi Kuperowi, Peterowi Aspdenowi, Simonowi Greenbergowi, Williamowi Lewisowi, Clayowi Harrisowi, Andy’emu Andersonowi, Robinowi Pauleyowi, Richardowi Lambertowi, Ninie Higgs, Brianowi Glanville’owi, Tony’emu Masonowi, Alanowi Tomlinsonowi, Estebanowi Cichello Hubnerowi, a także niesłychanie pomocnemu personelowi londyńskich bibliotek oraz „Financial Times”; w Hiszpanii – Tomowi Burnsowi, Davidowi White’owi oraz „Isie” w madryckim oddziale FT, biurze prasowym i bibliotece FC Barcelona, „El Lobo” Carrasco, Paco Aguilarowi, Luisowi Fernandowi Rojo, Manolo Salcedowi, José Manuelowi Garcíi, José Vincentemu Hernaezowi, a także całemu personelowi „Marca” i „El País”; we Francji – Alejandro Valentemu i pracownikom „France Futbol”; we Włoszech – Candido Cannawowi, Andrei Bungiovanniemu, Eliemu Trifariemu, Rosario Pastoremu, Jennifer Grego, Gustawowi, Angelowi i całej redakcji „Gazzetta dello Sport”, Robertowi Grahamowi, Bruno Passareliemu, Julio Algañarazowi, Franco Espositowi, Martinowi Bokhartowi, Gerardo Kaiserowi i całemu personelowi brytyjskiego konsulatu w Neapolu, Carlo Julianowi oraz personelowi FC Napoli, personelowi hotelu Paradiso, Cristianie Sinagrze, Juanowi Carlosowi Laburu i Paulo Pauletciemu. W Argentynie – Roberto Guareschiemu, Ricardo Kirschbaumowi, Mariano Hamiltonowi, Ricardowi Roa, Horacio Paganemu, Nestorowi Straimmelowi oraz całej redakcji „Clarín”, Guillermo Blanco, Jorge Ruprechtowi, Ernesto Cherquisowi Bialo, Amy Wright, Fernando Niembrowi, Ezequielowi Fernándezowi Mooresowi, Judith Evans, Mariano Grondonie, Danielowi Antonio Stradzie, Andresowi Federmanowi, Mathew Domanowi, Davidowi Pillingowi, Rogerio Garcíi Lupo, Silvinie Wagner, Isidoro Gilobertowi, Pablo Llontowi, Margaricie Mitchell, Emilio Mignonemu oraz Oscarowi Davili.

W Buenos Aires specjalne podziękowania za gościnność i pomoc logistyczną należą się Sonii de Garcíi i hotelowi Principado oraz Dianie Tussie, Johnowi Fernandesowi i pracownikom Aerolíneas Argentinas. Winny jestem też wdzięczność dawnym i obecnym przedstawicielom FIFA, a wśród nich Andreasowi Herrenowi i Guido Trognoniemu. W Londynie niezmiennie wspierała mnie na duchu moja agentka Caroline Dawnay oraz moi wydawcy: Penny Phillips, Jocasta Brownlee i Caroline Taggart.

Przez cały czas pracy nad książką o Diego Maradonie zachęcała mnie, dodawała otuchy i otaczała ciepłem Vikki Orvice. Najwięcej zawdzięczam jej i pamięci Freda.

Chciałbym jeszcze dodać kilka nazwisk osób, które pomagały mi w pracy nad ostatnim rozdziałem tego wydania książki. Jestem wdzięczny Patrickowi O’Brienowi za artykuł *Close up with Maradona*

zamieszczony na łamach „Sport for Business” 27 listopada 2020 roku. Serdeczne podziękowania otrzymują także Asif Kapadia, Angus Macqueen, Nicky Bolster, Maria Laura Avignolo, Fernando Signorini, Marcela Mora y Araujo, Annabel Merullo z agencji literackiej Peters Fraser & Dunlop, cała ekipa w wydawnictwie Bloomsbury – a zwłaszcza Nigel Newton, Paul Baggaley, Sarah Ruddick i redaktorka Catherine Best – a także, a może przede wszystkim, Kidge, Julia, Miriam i Nadia.

## UMIERAJĄC Z DIEGO MARADONĄ

TEN ROZDZIAŁ JEST OPOWIEŚCIĄ o dwóch historiach, a właściwie o dwóch historiach, które stały się jedną dzięki moim spotkaniom z tragicznym geniuszem światowego futbolu zawodowego.

Mówi o tym, co Diego Maradona powiedział i zrobił po ukazaniu się (nieautoryzowanej) biografii, *Maradona. Ręka Boga*, a także o dziwnych zmianach, jakie zaczęły następować w moim życiu w efekcie pisania o Maradonie. Po drodze obaj wzięliśmy odrobinę jeden z drugiego.

Mam mu za złe, że rozpoczął tę historię, postanawiając przyjechać do Londynu na początku września 1996 roku, właśnie wtedy, gdy moja książka zaczynała się pojawiać w księgarniach. Diego, który coraz bardziej pogrążał się w spowodowanej narkotykami nerwicy, nagle zaczął odzyskiwać chęć do życia, podczas gdy ja popadałem w monumentalną depresję i beczynność.

W przeddzień przylotu Maradony do stolicy Wielkiej Brytanii ktoś dzwoni do mnie z Buenos Aires, aby puścić mi nagrany na taśmie radiowy wywiad, którego Diego udzielił przed wyjazdem. Jest pełen werwy. Razem z żoną, Claudią, robią kolejne podejście do pierwszego syna. „Mam nadzieję, że tym razem moje plemniki znajdą sobie drogę”, oznajmia młodemu argentyńskiemu reporterowi, z którym spożywa w swoim mieszkaniu makaron i sałatkę pomidorową. Kilka tygodni wcześniej opuścił Boca Juniors; nie strzelił kilkunastu karnych, powszechnie się mówi o jego problemach z narkotykami. Może nie strzelam już tylu goli, co kiedyś, zdaje się mówić, ale pieprzyć i robić dzieci wciąż potrafię.

W 1986 roku, po meczu z Anglią, Maradona podziękuje Bogu za bramkę strzeloną ręką. Kiedy pułkował przy dyktowanych dla Boca karnych, winą obarczał piekło. „To czarownice sprzysięgły się przeciw mnie”, tłumaczył miejscowym gazetom. Obawiam się, że i na mnie ciąży klątwa. Moja gwiazda spadła z nieba i rozprysła się. Zostałem wychowany przez jezuitów, ale nawet oni nie przygotowali mnie wystarczająco na Diega.

Kiedy myślę, że zobaczyłem już ostatni rozdział jego życia, Diego oznajmia, że przyjeżdża do Londynu, aby uświetnić międzynarodowe rozgrywki drużyn szkolnych sponsorowane przez Eurosport i Pumą. Anglicy mogą mu dalej pamiętać tę sztuczkę z ręką, ale on zawsze myśli o nich z szacunkiem. Zresztą, czyż rok wcześniej nie został entuzjastycznie powitany w Oksfordzie, gdzie otrzymał honorowy tytuł Inspiratora Marzeń?

Popadam nie tylko w depresję, ale też w przerażenie. Nie wierzę, że Diego przyjeżdża do Londynu jedynie po to, aby pokopać sobie piłkę z gromadką dzieciaków w parku Battersea. Wkrótce po jego wywiadzie w argentyńskim radiu budzę się w nocy zlany potem: śniło mi się, że Diego gonił mnie po Trafalgar Square, otoczony armią prawników w garniturach i goryli z futerałami na skrzypce.

Mijał właśnie mniej więcej rok od czasu, gdy pojawiłem się w najpopularniejszym argentyńskim talk-show w towarzystwie menedżera Maradony, Guillermo Coppoli, oraz byłego trenera argentyńskiej reprezentacji, Carlosa Bilardo, i oznajmiłem, że przygotowuję książkę o życiu i czasach Maradony. I teraz ta czcza przechwałka miała się na mnie zemścić. Wyobrażałem sobie, że Diego wybiera się do Londynu, aby mnie zniszczyć psychicznie, fizycznie i prawnie.

Wtedy przypomniała mi się rada mojej nieżyjącej już babki Hiszpanki: jeśli grozi ci atak, najlepiej go uprzedź. W obstawie dwóch agresywnych kobiet późnym sobotnim wieczorem zjawiam się z egzemplarzem mojej książki w restauracji San Lorenzo w Knightsbridge, nieopodal Harrodsa, w której Diego miał jeść kolację.

Jeśli człowiek nie jest dziennikarzem albo – przypadkiem – autorem książki o Diego Maradonie, do San Lorenzo może wejść tylko wtedy, jeśli ma pieniądze albo arystokratyczny tytuł. Diego lubił tam przebywać, aby pokazać, że nie ma na świecie miejsca, do którego nie miałby wstępu. Brakowało mu błękitnej krwi, ale nędzę przedmieścia dawno już zostawił za sobą.

Siedzi przy stole z Coppolą, swoim menedżerem, i Viallim. Grający w Chelsea Włoch jest milczący i trzeźwy (nazajutrz ma mecz na stadionie Stamford Bridge), ale Diego popija, a może bierze też coś jeszcze, żeby poprawić sobie humor. Wygląda na to, że nie zauważa ani mnie, ani towarzyszących mi kobiet. Chyba nawet nie pamięta, że się poznaliśmy, że prześledziłem całą jego drogę z Buenos Aires do Oksfordu, *via* Neapol, Barcelona i Paryż, i że napisałem o nim książkę.

Zdaję sobie sprawę, że Diego znajduje się w takim stanie, że może albo rozbić kieliszek, rzucić we mnie butelką czy przewrócić stół, albo nic nie zrobić. Wręczam mu książkę takim gestem, jakbym w rosyjskiej ruletce podawał przeciwnikowi pistolet. Wolałbym jednak wierzyć, że wręczam mu część jego duszy. Na wewnętrznej stronie okładki widnieje dedykacja: *Dla Diega: życie, jak je pojąłem*. Chciałem wyrazić w tych słowach tyle, że jest to biografia krytyczna, ale prawdziwa. Kiedyś jednak Ossie Ardiles, rozmawiając ze mną o Maradonie, powiedział: „Prawda boli”.

Diego bierze książkę jak przedtem menu, spogląda na dedykację, a potem przewraca strony z miną człowieka, który nie ma ani nastroju, ani chęci, aby się w cokolwiek wczytywać. Zatrzymuje się tylko przy fotografiach, zaśmiewając się jak niegrzeczny chłopiec, zwłaszcza przy tej, na której w 1986 roku pozuje z całą rodziną Giuliano (kierującą neapolitańską camorrą).

Jeśli i ja jak dotąd powiedziałem jedynie: „Cześć, Diego, to moja książka o tobie”, to dlatego, że miejsce trwogi zajęła fascynacja: czekam na jego reakcję. Nie odzywa się ani słowem i dopiero teraz dociera do mnie, że być może jednak mnie rozpoznał, kiedy wchodziłem. Nie zamierza mi ani dziękować, ani przylać: postanowił mnie zignorować.

Przyjął pistolet, wystrzelił i teraz siedzi cały i zdrowy przy kolacji w San Lorenzo. Kiedy zamyka książkę i przesuwa ją po stole do Coppoli, grupka kelnerów podchodzi i prosi po włosku o autograf. W ślad za nimi zjawia się kierownik restauracji i obejmuje Diega niczym dawno niewidzianego brata. Wygląda na to, że teraz wszyscy w lokalu spoglądają tylko na niego. San Lorenzo przypomina mi w tym momencie *Ojca chrzestnego* i Włochów całujących się w rytuale plemiennej zgody.

Diego, ty sukinsynu, myślę w duchu. Przez cały rok nie dosypiałem i nie dojadłem, żeby dojść do tego, co ukrywałeś przez całe życie, a ty teraz nie masz mi nawet słowa do powiedzenia!

Tylko osoby siedzące przy jednym stoliku przyglądają się tej sytuacji z niejakim zdziwieniem. Mężczyźni i kobiety, w których żyłach płynie niebieska krew; wszyscy uczęszczali do prywatnych szkół i odziedziczyli bogactwo. Lubią strzelać, polować i grać w polo. Przestali kupować u Harrodsa, kiedy przejęli go Arabowie, niemniej jednak San Lorenzo nadal mieści się w ich świetle. Dzisiaj odnoszą wrażenie, że to ich terytorium zajęto, a o tym, do jakiego stopnia je zajęto, przekonują się, gdy jedna z kobiet z ich towarzystwa wstaje, by iść do toalety. Wysoka blondynka z zadbaną różową cerą; trochę podobna do Lady Di. Diego na pół unosi się z krzesła i głośno zaprasza ją po hiszpańsku do swego stolika. Towarzysz kobiety podrywa się gniewnie i odpowiada po angielsku: „Pan daruje, panie Maradona, ale to moja narzeczona i ma już stolik, przy którym siedzi”.

Diego wybuchając śmiechem, kobieta wyniośle odchodzi, a kelnerzy śmieją się razem z Maradoną, który przeprosza tak, że nikt nie wierzy w szczerść jego słów, zwłaszcza ja. W tym momencie nienawidzę Diego Maradony i Kocham go.

Być może pielęgnowałbym w sobie obsesyjną melancholię, gdyby Diego nie zdecydował, że to nie będzie noc zwierzeń. Moglibyśmy siedzieć, popijając czy może nawet wspólnie wachając kokę i opowiadając sobie przy tym swoje życie, Coppola nie pozwala mi jednak wsiąść do taksówki, która zabiera ich do nocnego klubu Ministry of Sound na tyłach hotelu Dorchester, gdzie dziwki mieszają się z bogaczami.

– Diego nie przepada za tym Anglikiem – wyjaśnia szeptem jednej z dziewczyn z mojej obstawy, a ja rozumiem, że oto zaczęła się kręcić ruletka.

**WEDŁUG INFORMACJI Z „NEWS OF THE WORLD”,** po wizycie w San Lorenzo Diego zaprasza do hotelu kilka królowych nocy. Wybiera jedną z nich, Brazylijkę, aby razem z nim raczyła się kokainą. Nie wiem, czy na pewno tak było, w każdym razie jestem przekonany, że nad ranem w niedzielę na londyńskiej



Mayfair wszystko jest możliwe. Ja kładę się spać, nie mogąc się oprzeć czemuś w rodzaju osobliwej zazdrości. Samotny w łóżku, czuję się porzucony niczym pies bez smyczy.

Potem życie zaczyna się o mnie troszczyć podobnie jak o Diega. Następnego dnia, kiedy za Maradoną uganiają się po parku Battersea setki fanów, odbieram telefon z Madrytu i zostaję zaproszony do jednego z najbardziej cenionych programów. Oto ucieczka, za którą się rozglądałem. Kiedy w Londynie zapowiada się jesień, we mnie zaczyna się budzić delikatna niechęć; bardzo potrzebne mi jest ciepło i światło Hiszpanii, gdzie się urodziłem, osiem lat wcześniej niż Diego.

I oto zaczynamy podążać za sobą, niczym cień za ciałem, co odkrywam cztery dni później, kiedy wylądowawszy w Madrycie, dowiaduję się, że Maradona z Londynu poleciał do Alicante na południu Hiszpanii, aby tam ponownie poddać się kuracji odwykowej w klinice prowadzonej, jak zwykle, przez specjalistę, o którym słyszało niewielu lekarzy. Diego wierzy w medyków, ale nie w medycynę; wierzy w cuda i boskie podszepty, które pozwolą oszukać życie i śmierć. Jest wrzesień, pora, gdy wszyscy najlepsi europejscy piłkarze dopinają gigantyczne transfery i przygotowują formę do nowego sezonu. Tymczasem w Alicante Diego Maradona, kiedyś największy ze wszystkich piłkarzy, uczestniczy w scenie, która gdyby rozegrała się w Chicago, zostałaby może opisana przez Normana Mailera.

Mailer w książce *W niewoli seksu* tak mówi o sławie:

Sława to częściej dzwoniący telefon i domaganie się wywiadów, których nie masz ochoty udzielić i nie udzielasz; sława to ludzie z ulicy, którzy powodowani sympatią, przerywają ci tok myśli; sława to także konieczność powstrzymywania się od sikania w zaulkach w obawie przed gliniarzami oraz tytułami na pierwszych stronach gazet; sława powstrzymuje cię przed robieniem z siebie głupka na parkiecie. Sława to niemożność anonimowego urznięcia się w pierwszym lepszym barze, a więc i ukojenia obsesyjnej melancholii w noc prawdy.

To pewne, że wraz z Maradoną uczę się czegoś na temat sławy. W Alicante w wywiadzie dla miejscowego radia Diego snuje wyznania na temat swego uzależnienia od narkotyków, a potem uderza w moją książkę: „Burns nie jest w porządku, wylewa na mnie pomyje”, oświadcza, a potem wymienia listę zawodników, menedżerów i agentów, którym wytoczy procesy za to, że udzielili mi pomocy, gdy badałem jego życie. Wiem, rzecz jasna, że książki sam nie przeczytał, bo nie zna angielskiego, natomiast ktoś przeczytał mu kilka pierwszych stron, na których składam podziękowania wielu ludziom. Diego czuje się zdradzony i oznajmia, że dotychczasowi przyjaciele to tak naprawdę wrogowie.

Kilka godzin później wraca do hotelu i mówi Coppoli, że chciałby się zabawić, zaczynając od miejscowego klubu nocnego, który funkcjonuje także jako burdel. Coppola najpierw stara się go powstrzymać, ale potem – tak jak zawsze robili menedżerowie przez cały czas kariery Maradony – ulega; trzeba być wyrozumiałym wobec kogoś, kto jest poza dobrem i złem, wobec półboga sportowego świata. Diego przyjeżdża do klubu, a widząc kilku mężczyzn rozmawiających z kobietami, każe właścicielowi oddać im pieniądze i ich odprawić.

Nad ranem wraca do hotelu w stanie, jak to określi jeden z portierów, „dziwnego podniecenia”. Wchodzi do windy z dwiema dziewczynami, ale kiedy ruszają, gaśnie światło. Wiem, co to klaustrofobia i ataki paniki, rozumiem więc coś z uczuć Diega, jednak to, co następuje potem, wyraźnie dowodzi, że jeszcze trochę brakuje do tego, aby nasze żywoty pokryły się całkowicie.

Dla Maradony to doświadczenie z windą nie jest tylko chwilą strachu i osaczenia. Staje się podróżą do piekła i z powrotem, jaką już przeżył: dławiące poczucie uwięzienia w straszliwej ciemności bez wyjścia, jak wtedy, gdy jako dziecko wpadł do otwartego kanału i zaczął się topić w zbiorowym szambie, zanim wyratował go wuj Cirilo. Teraz, w Alicante, Diego zachowuje się jak dzikie zwierzę w głuszy, pojmane i zamknięte w klatce. Kopie, aż stopy zaczynają krwawić, ciska się, aż cały zlany jest potem; walczy z nienawistnym wrogiem, którego zawsze czuł obok siebie i w sobie.

Kierownik hotelu pozna konsekwencje jego gniewu, kiedy z pomocą przyjdzie straź pożarna. Diego rozbija i niszczy wszystko, co stanie mu na drodze: stoły, krzesła, bez różnicy. „Zabieraj się stąd, gównu warta ta twoja praca!”, wrzeszczy na agenta ubezpieczeniowego, który zjawia się, aby oszacować straty.

Do incydentu w Alicante dochodzi dokładnie rok po tym, jak triumfalnie wrócił do dawnego klubu, Boca Juniors, kiedy skończyło się jego piętnastomiesięczne zawieszenie, bo podczas mistrzostw świata w USA test antidopingowy dał wynik pozytywny. Jest tu coś z *déjà vu*. Życie Maradony przypomina jazdę na rollercoasterze: wloty na szczyty sławy i upadki na dno hańby. My wszyscy, którzy przez lata śledziliśmy jego karierę, nie ogłaszamy pospiesznie, że jest już na zawsze skończony ani że ostatecznie zwyciężył. Ale nawet najbliżsi przyjaciele Maradony szeptem mówią prywatnie to, co boją się wyznać publicznie: jeśli Diego dalej tak będzie postępował, to długo nie pożyje.

**MYSŁĘ O NIM, SIEDZĄC NA** krześle z upudrowaną twarzą, cieniami na powiekach i różem na policzkach, przygotowuję się bowiem do występu na żywo w telewizji. Ciśnienie sławy, wykoślawienia, których źródłem są wielkie pieniądze... Mam wystąpić w najpopularniejszej hiszpańskiej stacji, co oznacza, że podpisałem pakt z diabłem. Za darmowy bilet powrotny do Madrytu i możliwość zareklamowania książki zgodziłem się wystąpić w stacji telewizyjnej, która poważne reportaże utyka między niewybrednymi komediami i miękkim porno.

Przed programem siedzę jakiś czas z innym zaproszonym gościem. To Lucia, dziewczyna z Katalonii. Ma około trzydziestki i zdaje się, że życie nie obchodziło się z nią łagodnie.

– Jestem tutaj, bo już jako dziesięciolatka nie patyczkowałam się ze swoim ciałem – mówi i unosi spódnice, aby pokazać mi dwie wielkie oparzeliny na udach. Na nadgarstkach ma blizny po eksperymentach z samookaleczaniem.

Lucia opowiada mi, że była molestowana jako dziecko, a od czasów dojrzewania zgwałcono ją pięciokrotnie, ostatni raz w szpitalu dla nerwowo chorych, z którego uciekła, aby uczestniczyć w programie.

Minuty dzielące nas od występu upływają, a Lucia wyznaje:

– Ale wiesz, mam jeszcze inne życie. Lubię pisać, zwłaszcza wiersze. Myślę, że w ten sposób staram się znaleźć miłość.

Ja mam być pierwszy. Muszę sięgnąć po całe swoje dwudziestoletnie doświadczenie dziennikarskie, aby wyprzedzać pytania i kontrolować odpowiedzi, w wywiadzie najwyraźniej chodzi bowiem o to, aby wyeksponować tylko wszystkie złe aspekty życia Diega.

Nie powiedziałbym wprawdzie, że uważam go za najbliższego przyjaciela, staram się jednak z życzliwością nakreślić obraz kogoś, kto padł ofiarą ludzi, od których należałoby oczekiwać czegoś innego niż niszczenie cudzego życia: lekarzy, menedżerów, polityków żerujących na Maradonie przez cały czas jego kariery. Prezenter stara się wymusić na mnie ostateczną *estocada*, pchnięcie zadane geniuszowi, być może śmiertelnie rannemu, ja jednak chcę zakończyć wywiad pojednawczym gestem.

„Wielka szkoda, że Diego zaatakował książkę, wcześniej jej nie przeczytawszy. Moglibyśmy wtedy zasiąść przy drinku i spokojnie sobie porozmawiać”, mówię, zanim przed kamerami stanie Lucia.

Biedna dziewczyna. Żadnego doświadczenia dziennikarskiego, ofiara brutalnie poturbowana przez życie, obrazy jej poharatane ciało na milionach ekranów telewizyjnych, podczas gdy ona stara się wyjaśnić, dlaczego robi to, co robi.

Wieczorem okazuje się, że stacja telewizyjna wynajęła nam pokoje w tym samym luksusowym hotelu w centrum Madrytu. Recepcjonistka jest pewna, że zabrałem Lucię z ulicy, rzuca mi więc konspiracyjne spojrzenie, gdy prosimy o osobne pokoje. Mamy już wejść do windy, kiedy pytam Lucię, czy nie wypłaby ze mną w barze drinka na dobranoc.

– O niczym bardziej nie marzę – odpowiada i w jej promiennym uśmiechu na chwilę rozplywa się napięcie zrujnowanego życia.

**DIEGO WRACA DO BUENOS** Aires, a ja do Londynu. On kontynuuje kurację; wygląda na to, że nie ma ona końca: walka z czarownicami, ze starzeniem się, z tym, że nie gra już w piłkę tak jak kiedyś.

Czuję, że to nasza wspólna walka: bo oto zmarł mój ojciec, książka jest napisana, a na biurku stoi kartka pocztowa z wietnamskimi wieśniakami, na której odwrocie widnieje napis *Miss Saigon*. Moja eksdziewczyna wyjechała do Sajgonu, jakby już nie było innych miejsc na świecie, pozostawiając mi swojego ducha i cień Diega. Wydawca informuje mnie, że książka wzbudziła duże zainteresowanie, a ja nie mogę się zebrać, aby mu wyznać, że to, co napisałem, przywołało okropne wspomnienia innych zdarzeń.

– Jak się czujesz? – pyta mnie przyjaciel pewnego dnia, gdy zima zaczyna już chwytać Londyn w swe mroźne uściski. Kopiemy piłkę w parku nad rzeką.

– Sypię się, bracie, sypię się – mówię mu.

Jestem tam, gdzie kiedyś znalazł się Diego: w zbiorowym szambie życia. Wspomnienie wuja Cirilo wyciągającego Diega z kanału przypomina o wielkiej żywotnej sile Maradony, ale mnie najbardziej dręczy niemożność pozostawienia napisanej książki raz na zawsze za sobą.

Byłem pewien, że skończyłem już ją promować, kiedy nagle rozdzwaniają się telefony. Przez dobre dwa tygodnie argentyńscy dziennikarze zadreńczają mnie pytaniami, co sądzę o ostatnim upadku Diega. Zainteresowanie moją książką jeszcze wzrosło, kiedy aresztowano Coppolę pod zarzutem uczestnictwa w siatce szmuglującej narkotyki. Diego w ciszy rozpamiętuje uwięzienie przyjaciela i powiernika; zaczyna wierzyć, że to część wielkiego spisku przeciw niemu, którego elementem jest moja książka. Jego prawnicy rozesłali listy do kilkunastu osób, moich rozmówców, i domagają się, aby odwołali swoje słowa.

Postępowanie przeciw Coppoli zostaje zawieszona, pojawia się bowiem sugestia, że to policja podrzuciła mu do mieszkania kokainę, a potem podstawiła fałszywych świadków. Maradona zeznał przed sądem, że on i jego menedżer są niewinni, a samo to wydarzenie stało się dowodem jego niegasnącej popularności; wszyscy pracownicy sądu zbiegli się i prosili o autograf, a także o wspólne zdjęcie z dawną gwiazdą.

W przeszłości tego typu reakcje umacniały w Maradonie przekonanie, że jest poza dobrem i złem i że ma w swojej ojczyźnie bardzo silną pozycję. Czemu więc z taką łatwością zgadzam się na propozycję mojego argentyńskiego wydawcy, aby odbyć kolejną podróż promocyjną?

Cóż, Maradona nadal mnie fascynuje, coś jednak szepcze mi w duszy, że musimy się rozliczyć, gdzieś, jakoś; bohater i biograf muszą wyrównać rachunki... Nie, nie „gdzieś”, lecz tam, gdzie wszystko się zaczęło, i to nie tylko w sposób, którego ani ja, ani on nie wybieramy. Nawet nie potrafilibyśmy go przewidzieć.

**I** OTO KIEDY DRUGIEGO KWIETNIA szykuję się, aby wsiąść do samolotu British Airways, którym polecę do Buenos Aires, nie mogę nie zastanowić się nad znaczeniem tej daty: piętnasta rocznica mojej próby ogniowej jako zagranicznego korespondenta „Financial Times” w Buenos Aires. Drugi kwietnia 1982 roku, tłumy z narodowymi flagami i antybrytyjskimi sloganami napływają na Plaza de Mayo, a ja czuję się porażony myślą, że Argentyńczycy i Anglicy niebawem mogą zacząć się zabijać na odległych wyspach.

W przeddzień inwazji poszedłem zobaczyć Maradonę w towarzyskim meczu ze Związkiem Radzieckim. Nad stadionem River Plate przetoczył się okrzyk „Kto nie skacze, jest Anglikiem!” i wszyscy zaczęli podskakiwać. Tymczasem zawodnik numer jeden w reprezentacji Argentyny – nie ja – był skazany na klęskę, grając na boiskach Hiszpanii, mojego rodzinnego kraju. Argentyńskie media mogły łączyć o tym, co działo się w okopach, ale z meczami transmitowanymi na żywo z Hiszpanii niewiele dało się zrobić, a mało brakowało, by ludzie wyłączyli odbiorniki i wyszli na ulice. Wpatrzona w telewizory miliony Argentyńczyków ignorowały informacje, że pociski spadają na Port Stanley, a ich oddziały są w odwrocie, widziały natomiast, jak ich drużyna przegrywa 1:0 z Belgią, a w meczu z Brazylią Maradona zostaje wyrzucony z boiska za brutalny faul na pomocniku, co stanowiło upokarzające zwieńczenie jednego z jego najgorszych występów w trakcie całej kariery.

Piętnaście lat później nie mam żadnych podniosłych rocznicowych wrażeń. Na kilka dni przed wyjazdem do mojego londyńskiego biura dociera list z zawołaną groźbą śmierci; wysłał go ktoś,

kto podaje się za weterana wojny falklandzkiej.

Mieszkając w Argentynie, otrzymałem więcej pogroźek, niż potrafiłbym zliczyć. Niektóre były zwykłymi wygłupami, ale niektóre brzmiały na tyle poważnie, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych poradziło mi, żebym na jakiś czas wyjechał z kraju. Skontaktowałem się więc ze znajomym policjantem i spytałem, czy MI5 nie wyjaśniłoby tej sprawy. „To może potrwać do dwóch miesięcy”, usłyszałem w odpowiedzi.

Kiedy na stacji Victoria zgłaszam się do stanowiska odpraw na lotnisko Gatwick, urzędniczka British Airways patrzy na mnie dziwnie.

– Przepraszam pana, ale komputer informuje mnie, że będzie pan potrzebował fotela na kółkach – mówi.

Tłumaczę jej, że to jakaś pomyłka.

– Nie widzi pani, że stoję na własnych nogach?! – krzyczę w pewnej chwili, chociaż zaczynam już w duchu podejrzewać, że to Diego rzucił na mnie zły urok.

Na Gatwick poszukują przez głośniki doktora Burnsa. Gdy pracownica British Airways pyta: „Czy będzie panu potrzebny fotel na kółkach?”, jestem już pewny, że to pomysł Maradony na złośliwy dowcip.

**NA LOTNISKU W BUENOS AIRES** Ignacio, rzecznik prasowy mojego argentyńskiego wydawcy, Planety, jest bliski załamania nerwowego.

– Z czymś takim nigdy jeszcze się nie spotkałem – mówi. – Nikt nie chce nawet dotknąć twojej książki. Wszyscy powtarzają, że muszą być w porządku wobec Diega. To jak mafia.

Niemniej jednak po kilku godzinach przeprowadza ze mną wywiad Ezequiel Fernández Moores, dziennikarz sportowy z „Pagina 12”. Ezequiel ma za sobą ciężkie dni, bo i on opublikował nieautoryzowaną biografię, opowieść o innym argentyńskim bohaterze, Oscarze Bonavenie, który był bokserem zastrzelonym w burdelu w Las Vegas. Nie mamy jednak pojęcia, co nas czeka.

Popijamy sobie kawę w holu mojego hotelu, kiedy spostrzegam Carlosa Bilardo, byłego trenera reprezentacji argentyńskiej. Niektórzy z angielskich kibiców mogą pamiętać, że twarde i realistyczne podejście do futbolu – dozwolone jest wszystko, co zapewnia zwycięstwo – Bilardo wyrobił sobie w czasach, gdy grał w Estudiantes, klubie, który w latach sześćdziesiątych zdobył mistrzostwo Argentyny. W meczu z Manchester United Bilardo uderzył z byka Nobby’ego Stilesa, a jego kolega Carlos Pachame kopnął w piszczel Bobby’ego Charltona.

Nie mam jednak żadnych osobistych zastrzeżeń do Carlosa Bilardo, który poświęcił mi całą godzinę i przekazał kilka interesujących opinii na temat mistrzostw świata w Meksyku w roku 1986. To zdecydowanie nie spodobało się Maradonie i kazał swoim prawnikom wysłać list do Bilardo (a potem wszystkich innych osób, które udzielały mi informacji) z groźbą skierowania sprawy do sądu, jeśli nie poda do publicznej wiadomości, że nigdy ze mną nie rozmawiał.

Chcę się przywitać z Carlosem Bilardo i jakoś mu podziękować, ale Diego dotarł do niego pierwszy. Nobby’emu jakoś się to nigdy nie udało.

– Cześć, Carlos. Pamiętasz mnie? Nazywam się Jimmy Burns i przeprowadziłem z tobą rozmowę na temat Diega.

Przyjaznym gestem wyciągam rękę, Bilardo chwyta ją, ale natychmiast wypuszcza, kiedy mnie poznaje.

– Jasne, jak mam nie pamiętać takiego skurwysyna. Wypierdalaj czym prędzej z tego kraju. – Przez chwilę wygląda, jakby miał mi przylutować, ale ostatecznie decyduje się na słowa absolutnej pogardy. – Właściwie powinniśmy ci obciąć jaja.

Z tymi słowami odchodzi. Nazajutrz Fernández Moores w zlagodzonej formie przedstawia króciutki dialog w swej gazecie. *Burns został ostrzeżony, że sprzedaż Ręki Boga w Argentynie może być niełatwym zadaniem.*

**DZIEŃ TRZECI. ZACZYNAM CZUĆ** się jak Diego po zejściu z koki; dopada mnie paranoja podsycana przez surrealizm argentyńskich mediów. Dziennikarz zaczyna wywiad ze mną, cytując wiersz Borgesa o wojnie falklandzkiej. Mowa tam o Brytyjczyku i Argentyńczyku, którzy polegli w walce, bardziej do siebie podobni, niż sami mogli przypuszczać.

Mogli zostać przyjaciółmi – pisał Borges – ale tylko raz zobaczyli swoje twarze na jakichś wyspach aż nazbyt sławnych, każdy z nich był Kainem i każdy był Ablem. Pochowano ich razem, znają ich śniegi i popioły. Moja opowieść należy do historii, której nie potrafimy pojąć.

Zastanawiam się nad sensem tego cytatu. Czy z powodu Maradony rozpętam kolejną wojnę o Falklandy? Czy też podobnie jak bohaterowie wiersza – Juan Lopez i John Ward – jesteśmy zmienni, symbiotyczni, biograf jest bohaterem, bohater biografem...

– Panie Burns, słyszy mnie pan? Dobrze się pan czuje? – pyta dziennikarz.

„Przywaliłeś mi, sukinsynu, tak jak chciałeś”, pragnąłbym odpowiedzieć, ale mówię:

– Tak, tak, wszystko w porządku, po prostu bardzo mnie te słowa poruszyły.

Zaczynają dzwonić telefony od słuchaczy. Jakaś kobieta piskliwym głosem oznajmia: „Moim zdaniem ten Burns przyjechał po to tylko, aby nas ograbić z jedynej rzeczy, która do nas należy”. Mężczyzna: „Kawał z ciebie skurwysyna”. Potem odzywa się Guillermo Coppola, menedżer Maradony, świeżo wypuszczony z pułki. „Burns to łgarz, a książka składa się z samych kłamstw”, oznajmia radiowej publiczności w najlepszym czasie antenowym. „Czy czytał pan książkę?”, pytam za pośrednictwem radia Coppolę. Przyznaje, że nie czytał.

Wieczorem jem kolację z kilkoma argentyńskimi przyjaciółmi, a rozmowa kręci się wokół potęgi mitu we współczesnej Argentynie.

– Tutaj ludzie nadal sądzą, że najważniejszym problemem politycznym jest to, czy Evita zmarła jako dziewica, czy nie – mówi znajomy dziennikarz telewizyjny.

Dzień czwarty. Maradona mdleje podczas programu telewizyjnego w Chile. Przedawkowanie? Atak serca? Nie, wszystko w porządku, uspokaja Coppola, po prostu w studiu był zaduch. Ignacio znajduje kolejnych miejscowych dziennikarzy chętnych do rozmowy ze mną.

Dzień piąty. Nagrywamy wywiad dla jednego z najpopularniejszych w Argentynie programów piłkarskich. Dziennikarz zadający pytania przyznaje, że większość moich odpowiedzi nie będzie mogła pójść.

– Dlaczego? – pytam.

– Napisał pan książkę o polityce, narkotykach i mafii. To tutaj drażliwe tematy. Raczej nie nadamy tej audycji w obawie o reakcję Diega.

Kolejny program z udziałem widzów. Prowadzi dawna modelka, teraz gwiazda telewizji. Moja książka leży przed nią świeżutka i najwyraźniej nawet nieotwarta. Futbol chyba śmiertelnie nudzi prezenterkę, ale za swój profesjonalny obowiązek uważa podjęcie tematu, który wzbudził lokalne zainteresowanie. Zjawia się menedżer Diega, Coppola, poproszony o wydanie fachowej opinii, i ponownie oskarża mnie o kłamstwo. Po nim odzywa się dawny księgowy Maradony, Marcos Franchi, z którym w październiku 1995 roku przeprowadziłem wywiad. Teraz oskarża mnie, że całą rozmowę zmyśliłem.

Spotykam się z Luisem Moreno Ocampo, prawnikiem, z którym zaprzyjaźniłem się podczas procesu o gwałcenie praw obywatelskich w trakcie wojny falklandzkiej, wytoczonego przedstawicielom wojskowej junty. Wtedy zastępował prokuratora stanowego.

Oznajmia, że z powodzeniem działa teraz w telewizji, i proponuje, bym wraz z Franchim wziął udział w jego programie.

– Ależ będę miał wskaźnik oglądalności – dodaje z lekkim sarkazmem.

Program Luisa Moreno Ocampo nosi tytuł *Forum*; uczestnicy mówią nawzajem o sobie, co chcą, wcześniej na piśmie rezygnując z kroków prawnych wobec przeciwników. W kraju, w którym udowodnienie oszczerstwa jest długie i kosztowne, wydaje mi się to kuszącą możliwością obrony mojej reputacji. Franchi telefonicznie przyznaje, że przeprowadziłem z nim wywiad, ale nie zgadza się na udział w programie.



Dzień szósty. Fotograf upiera się, żeby zrobić mi zdjęcie, kiedy balansuję z piłką na głowie niczym Maradona. Jesteśmy pośrodku Florydy, dzielnicy handlowej Buenos Aires. Chudzielec w garniturze, w niczym nie przypominam sportowca, ale za sprawą „ręki Boga” udaje mi się utrzymać piłkę na czubku głowy na tyle długo, aby automat zrobił dziesięć zdjęć. Cały ten cyrk zaczyna mnie już jednak nużyć, przypomina się Mailer. Pisał o więźniu seksu, ja jestem więźniem Maradony:

Sława to częściej dzwoniący telefon i domaganie się wywiadów, których nie masz ochoty udzielić i nie udzielasz... sława to także konieczność powstrzymywania się od sikania w zaułkach w obawie przed gliniarzami oraz tytułami na pierwszych stronach gazet...

Wiozą mnie nieopodal cmentarza La Recoleta, gdzie przez lata co jakiś czas chowano szczątki Evity. Facet w czapce baseballowej i z wielkim mikrofonem przypuszcza następny atak z obozu Maradony. „A jak czuliby się Anglicy, gdyby jakiś Argentyńczyk zjawił się u nich, żeby napisać książkę o księciu Karolu i Lady Di?” „Byliby zachwyceni”, odpowiadam.

Dzień siódmy. Ostatni wieczór w Buenos Aires; szybko zapominam, że rano czeka mnie jeszcze ostatni wywiad. Ktoś mógłby powiedzieć, że to typowy wieczór Diego Maradony. Wokół mnie muzyka, gorzała, kobiety, jointy, kreski koki głęboko wciąganej z piekła w światła miasta. Kilka osób łąduje wspólnie w pokoju hotelowym, opróżnia minibarek, ogląda słońce wschodzące nad River Plate, a potem wywiad, tylko ja i mikrofon – cichy i groźny. Słowa mnie zawodzą, nie potrafię wyrazić gniewu wobec świata, który się sprzysiągł przeciw mnie, teść Maradony wzywa słuchaczy do bojkotu książki.

**POSTSCRIPTUM. PIERWSZY DZIEŃ W LONDYNIE.** W powietrzu wiosna, ale ja czuję się wyjałowiony. Kiedy do mojej znajomej, mieszkającej w Anglii Argentynki, dzwoni Coppola, ta pyta:

- Guillermo, czemu tak się przyczepiliście do Jimmy’ego?
- Chodzi nam tylko o trzydzieści procent z honorarium.

I kiedy potem w jakiejś londyńskiej księgarni trzymam w ręce świeżo wydrukowany egzemplarz wydania w miękkiej oprawie, czuję, że jakaś jego część nie należy do mnie. Przypomniano mi, jak fascynująca jest gra i jakie są jej granice. Kochałem i nienawidziłem Diega. Zaczynam się wygrzebywać z gówna, w którym wylądowałem za sprawą ukochanej osoby. Zaczynam ostrożniej spoglądać na tych, dla których futbol stał się obsesją. Wyrzuciłem pocztówkę z Sajgonu.

# 1

## ZMARTWYCHWSTANIE

PAŹDZIERNIK 1995 ROKU. W BUENOS Aires zaczęła się wiosna. W powietrzu unosi się słodki zapach jakarandy i basowy odgłos bębnow, flagi łopoczą na wietrze, a tysiące kibiców ciągną na stadion drużyny Boca Juniors, La Bombonera. *Bombonera* to po hiszpańsku „bombonierka”, ale scena nie jest bynajmniej słodka. Oto niedziela w jednej z najpiękniejszych stolic Ameryki Łacińskiej, ale tłum przypomina hordę dzikusów. Mężczyźni – niewiele jest tu kobiet i dzieci, sport dalej różnicuje – są półnaczy i powiewają koszulkami, prac przed siebie tak, jakby szli do bitwy. Ich wódz, Diego Maradona, spogląda z wysokości dwupoziomowego autobusu nieruchomymi ciemnymi oczami. Krótko ostrzyżone włosy ufarbował na wojenne barwy Boca, przy uchu trzyma telefon komórkowy. Chórem dyryguje reporter radiowy, który łamiącym się histerycznie głosem powtarza: „Nasz idol jest z nami, nasz idol jest z nami”. Nad River Plate gromadzą się oddziały konnej policji z długimi pałkami i gazem łzawiącym.

Na stadionie kibice szczerze wypełniają trybuny. Wysokie ogrodzenie z drutu i fosa wokół boiska koncentrują i podkreślają ich pasję. La Bombonera wibruje od tupotu stóp i odgłosu wystrzałów: zbiorowy, potężniejący z każdą chwilą taniec wojenny.

Pośrodku boiska widoczne jest wielkie pudło, opakowane i obwiązane wstążką, w tej chwili jednak wszyscy wpatrzeni są w długi, przypominający kształtem parówkę tunel, z którego wynurzają się Maradona i pozostali zawodnicy Boca Juniors. Stadion wybuchają jednym wielkim rykiem, gdy idol robi znak krzyża i w triumfalnym geście wznosi ręce ku niebu. „Maradoona... Maradoona!”, wrzeszczą kibice. Opada wielki balon z napisem: WITAMY ZNOWU, DIEGO! Dla tych *descamisados*, półnagich, którzy nigdy nie stracili wiary, to chwila magiczna. Idol bez najmniejszego wysiłku przerzuca piłkę z jednej stopy na drugą, podbija ją na piersi i pozwala jej znowu opaść na stopę. Potem, ciągle z piłką u nogi, biegnie po zaścielających płytę boiska wstęgach papieru ku pudłu, które tymczasem zaczęło ożywać. Nagle z hukiem rozpada się niczym petarda, a ze środka wybiegają dwie córki Maradony, także w barwach Boca Juniors – prezent od mistrza ceremonii Guillermo Coppoli, menedżera i organizatora nocnych wypraw. Młodzieńcza niewinność ma zapewne ostatecznie odegnąć zmyły.

Minęło niemal piętnaście miesięcy od chwili, gdy Maradona opuszczał w niesławie mistrzostwa świata w USA po aferze z kontrolą antydopingową. Wielu ludzi sądziło, że to ostateczny koniec kariery nieustannie lawirującego między sukcesami i skandalami piłkarza. Tymczasem dzisiaj na La Bombonerze bóg powraca, jawnie udowadniając światu, że Maradona tak łatwo nie umiera. Wyraźnie brak mu szybkości, by ogrywać przeciwników i strzelać bramki, nadal jednak dalekie przerzuty są bezbłędne, podobnie jak orientacja na boisku. Diego nadaje sens dość bezładnej grze, stwarzając dla Boca kilka okazji do strzelenia bramki. Kiedy ta wreszcie pada w ostatniej minucie, Maradona bezpośrednio w tym nie uczestniczy, jednak jego udział w grze był tak istotny, że nikt z sześćdziesięciu tysięcy widzów nie ma mu za złe, że gola przypisuje sobie. Gdy piłka grzęźnie w siatce, Maradona odwraca się i z triumfalnie uniesionymi rękami biegnie przez boisko ku rodzinie, Coppoli i kamerom telewizyjnym. Ostatni raz biegł tak po trzecim голу strzelonym Grecji podczas feralnych dla niego mistrzostw świata. Tak jak wtedy, chce dziś powiedzieć ludziom, że jest najlepszy, że niełatwo go pokonać. *Olé, olé, olé, olé, Diego, Diego!*, wiwatuje tłum. Tak, bóg wrócił.

To, że zmartwychwstanie po ostatecznym na pozór upadku dokonuje się właśnie na La Bombonerze, przypomina, że Maradony nie da się odłączyć od kraju, w którym się urodził i wychował. Jeśli można być czegoś pewnym co do niego, to tylko tego, że kiedy umrze – nieważne,

jak do tego dojdzie – pogrzeb w Buenos Aires będzie tak wielki jak pogrzeb Evity, a ludzie i tak nie uwierzą, że bohater naprawdę umarł. To, że Argentyna jest zwariowana na punkcie futbolu, najlepiej widać w płomiennych zachowaniach kibiców Boca, z których wielu, jak Maradona, pochodzi z rodzin imigrantów mieszkających się z Indianami. Żyją piłką nożną, oddychają nią, bo nie mają niczego innego, w co mogliby wierzyć. W dziejach Argentyny roi się od fałszywych proroków.

Każdy argentyński piłkarz godny tego miana powie, że chciałby kiedyś zagrać w Boca. Maradona oznajmił to jako mały chłopiec, ale posunął się o krok naprzód: miał jeszcze drugie pragnienie – chciał zdobyć mistrzostwo świata. Zaczynał dwudziesty pierwszy rok życia, gdy pomógł Boca Juniors zostać mistrzem kraju. Powrócił na La Bombonerę po tym, gdy jako kapitan poprowadził swoją drużynę do mistrzostwa świata. Po wspaniałym występie na stadionach Meksyku w roku 1986 ogłoszono go najznakomitszym piłkarzem wszech czasów. Liczący sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, obdarzony siłą woli i świetną koordynacją ruchów, Maradona połączył w sobie umiejętności Pelé w ocenie sytuacji z wszechstronnością Johana Cruyffa. Tyle że Maradona umykał wszelkim porównaniom. Nie poddawał się klasyfikacjom, tak jak opierał się żądaniom prezesów klubów i reżimowi trenerów. Na tym polegała jego charyzma.

Rodacy pokochali Maradonę, ponieważ w kraju roztrąbiono wieść o sukcesie jednego człowieka, który rekompensował im tak wiele porażek ich ojczyzny. Maradona nie tylko dał Argentyńczykom poczucie tożsamości, ale także pokazał drogę ucieczki. W jego grze dostrzegli czystość, którą nazwali poezją.

Swą ogromną popularność zawdzięcza temu, że stał się ucieleśnieniem zwycięstwa i sławy, które zyskuje się tylko dzięki wrodzonemu talentowi do gry. Legenda o drodze od łachmanów do bogactwa, którą kroczy geniusz skazany przez los na sukces, karmi się między innymi fragmentem z kroniki filmowej, w którym mały Maradona na piaszczystym boisku na przedmieściach demonstruje swe niebywałe panowanie nad piłką. Powstał mit wrodzonego talentu, który walczył o zwycięstwa, ale czasami potrafił też po prostu cieszyć się grą. Bywały dni, gdy zapominał, kim się stał, i wychodził na boisko tylko dla piłki.

Mnóstwo jest opowieści o międzynarodowej sławie Maradony i najczęściej więcej mówią o kraju, w którym powstały, niż o samym piłkarzu, w każdym razie dwie wydają się szczególnie godne wspomnienia, ilustrują bowiem to, w jakim stopniu udało mu się przełamać uprzedzenia kulturowe i granice między państwami. W pierwszej grupa argentyńskich turystek zwiedzających Egipt staje się podczas oglądania piramid obiektem niewyszukanych zalotów ze strony miejscowych. Kobiety na próżno z coraz większą stanowczością i desperacją powtarzają, żeby dać im spokój, aż nagle jednej przypomina się to, co usłyszała przed wyjazdem od brata, fana Boca: Maradona rozegrał mecz towarzyski gdzieś na Bliskim Wschodzie i pomógł uruchomić tam szkółkę piłkarską dla chłopców. Kobieta cofa się więc i krzyczy: „Maradona!”, na co Egipcjanie spoglądają po sobie i zaraz potem przenoszą swoje zainteresowanie z seksu na futbol, dzięki czemu po kilku minutach argentyńskie turystki mogą spokojnie odejść.

W drugiej opowieści Maradona jedzie londyńskim metrem w wielkim kapeluszu i długim płaszczu, którego postawiony kołnierz zasłania większą część twarzy. Podczas tego – jednego z nielicznych – wyjazdu do Anglii miał wykład w towarzystwie dyskusyjnym Oxford Union i, co dla niego typowe, wyglądało na to, że spóźni się na samolot. Argentyński student, który się nim opiekował, mówi mu, że na Heathrow szybciej dojedzie metrem niż taksówką. Diego zgadza się, ale tylko pod warunkiem, że się przebierze, obawiał się bowiem, że jeśli zostanie rozpoznany, ludzie zaczną go zaczepiać albo nawet na niego napadną. Wszystko jest w porządku do chwili, gdy cztery stacje przed lotniskiem jeden z pasażerów głośno oznajmia wszystkim, że w wagonie jest Maradona. Urywają się rozmowy i pasażerowie patrzą na piłkarza. Już po chwili otaczają go ciasnym kręgiem i proszą o autografy. Większość z nich to Anglicy; jeden mówi, że nie zapomnił mu „ręki Boga”, ale pamięta też drugiego gola strzelonego przez niego podczas tego meczu, jedną z najsłynniejszych bramek w dziejach futbolu.

Talent jest tylko częścią historii Maradony. Jego mit jako boga był podsycany przez interesy ekonomiczne oraz narodowe i regionalne przesady. Już na wczesnych etapach kariery Maradona stał

się obiektem handlu i polityki. To on uruchomił lawinę rekordów transferowych i to za jego sprawą tak istotną rolę w międzynarodowym futbolu zaczęły odgrywać kwestie sponsorów i praw do transmisji. Maradona stał się elementem mechanizmów rynkowych. Kiedy teraz wraca na stadion Boca Juniors, historia zatacza koło nie tylko w jednym sensie. Umowa z telewizją na dziesięć milionów dolarów zostaje przygotowana przez tego samego biznesmena, który pod koniec lat siedemdziesiątych załatwił Maradonie pierwszego sponsora.

Grając w piłkę nożną w krajach, w których futbol nieodłącznie spleciony jest z niezwykle emocjonalną polityką, a media wywierają na piłkarzy ogromny nacisk, Maradona nie miał pojęcia, że przypadnie mu w udziale rola daleko wykraczająca poza granice sportu. Zewnętrzne naciski na Diega miały niekiedy dość nikczemny charakter, jak w przypadku lekarzy, którzy przez chwilę interesowali się tą „maszynką do robienia pieniędzy”, lecz niespecjalnie troszczyli się o to, by przez dłuższy czas mógł żyć godnie.

Tragedia, ale także i impet życia Maradony mają źródło w nędzy, jakiej zaznał w dzieciństwie. Najstarszy syn i łobuziak, bardzo szybko dzięki grze w piłkę staje się głównym żywicielem rodziny, co ogranicza mu czas na edukację i na rozważenie innych możliwości. Na stadionie Boca siadywałem obok rodziców Diega, Chitoro i Toty, mogłem więc przyglądać się, z jaką pasją oboje – a zwłaszcza matka – obserwują występy syna na boisku.

Trudno sobie wyobrazić Maradonę z innym pochodzeniem. To właśnie życie w slumsach zrodziło głód sukcesu, ale także zwichnięty system wartości, w którym było miejsce na przesady i kaprysy. Mniej oczywiste jest to, w jakim stopniu życie Maradony mogłoby się potoczyć inaczej, gdyby miał innych przyjaciół i menedżerów albo grał w innych krajach, nie ulega jednak wątpliwości, że zarówno jego przyjaciele, jak i doradcy ponoszą nie mniejszą niż lekarze odpowiedzialność za osobiste i zawodowe kryzysy, których tak często doświadczał w trakcie swej kariery. Zbyt wiele było w jego otoczeniu osób, które nadskakiwanie myliły z lojalnością i tolerowały jego wysoki, kiedy przydałyby się krytyka i sprzeciw. Jeśli uwzględni się szerszy kontekst, trzeba przyznać, że oskarżenia o hipokryzję, które Maradona kilkakrotnie formułował pod adresem niektórych działaczy piłkarskich, nie były całkiem bezpodstawne. Ci, kiedy było im to na rękę, niejednokrotnie przymykali oczy na jego wybryki, a potem, gdy uznali, że nie da się już na nim zarobić, z oburzeniem je piętnowali. Znaczna wina spada tu na działaczy klubów, w których grał, trenerów i menedżerów reprezentacji, przedstawicieli argentyńskiej federacji piłkarskiej, a także – i to wcale nie na samym końcu – urzędników FIFA, najważniejszej instytucji zarządzającej światową piłką nożną. To przesłaniające wszystko inne pragnienie czerpania korzyści finansowych z Maradony wcale nie służyło interesom piłki nożnej.

Potraktowanie Maradony jako ofiary niezależnych od niego okoliczności byłoby jednak zbyt prostym rozwiązaniem. Bo tak naprawdę to w sobie miał największego wroga i najlepszego przyjaciela. Wrodzona słabość charakteru sprawiała, że nie potrafił poradzić sobie z presją, na jaką wystawiły go sukces i sława. Nie znosił, kiedy napierał na niego tłum, ale popadał w głęboką depresję, gdy uznawał, że ludzie go ignorują czy nienawidzą. W najlepszym nastroju widywałem Maradonę, kiedy w towarzystwie kilku przyjaciół jadł pizzę, popijając ją jakimś napojem bezalkoholowym. Wydawał się wtedy odprężony, zaprzyjaźniony ze sobą i światem, pełen życzliwości i radości. Widywałem też Maradonę w jego najgorszym wydaniu, gdy nie całkiem jeszcze wyleczony z efektów nocnych wybryków czy też gniewu po porażce, wybuchowy i opryskliwy, zachowywał się podczas konferencji prasowych niczym udzielny władca wobec natrętnych poddanych. Można tylko zgadywać, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby za radą Ossiego Ardilesa wyjechał do Anglii, a nie do Hiszpanii. Być może odczuwałby wtedy mniejszą potrzebę wypowiedzania się na jakikolwiek inny temat niż piłka nożna. Jednak i w angielskim futbolu zdarzają się przypadki uzależnienia od narkotyków, jak u Paula Mersona czy Erica Cantony z jego popisami kung-fu.

Tak czy owak, Maradona jest produktem swej ojczyzny. Jego poglądy polityczne stanowią mieszaninę nieprzemyślanych do końca idei, których nigdy nie miał okazji wypróbować. Wprawdzie nakręcony przez BBC w roku 1995 film dokumentalny prezentuje go jako radykalnego rewolucjonistę, ale kiedy Diego wychwala Fidela Castro, to tylko dlatego, że jest on „ostatnim

patriarchą z jajami”. W istocie niezmiennym elementem poglądów politycznych Maradony jest żarliwy nacjonalizm, za którego sprawą opowiada się on za każdym argentyńskim rządem bez względu na to, jak niemoralne mogą być jego poczynania.

W Argentynie angielskie pojęcie *fair play* nie jest ani tak znane, ani tak szanowane jak *viveza*. Słowo to znaczy zasadniczo „żywotność, wigor”, ale też pomysłowość i przebiegłość, których nigdy nie traktuje się pejoratywnie. Argentyńskim bohaterem literackim jest Martin Fierro, *gaucho*, którego życie upływa na oszustwach i ucieczce przed ich konsekwencjami. W wywiadzie udzielonym w roku 1994 sam Maradona przyznał, że więcej w nim jest wyniesionej z zaułków Buenos Aires *viveza* niż prostolinijności argentyńskiej prowincji.

Inny aspekt życia *villero*, mieszkańca wielkomiejskich slumsów, to lojalność wobec wąskiego kręgu krewnych i przyjaciół – czegoś w rodzaju klanu czy plemienia – oraz pogarda dla wszystkich zewnętrznych instytucji. Dlatego Maradona nie sprawdzał się jako osoba publiczna. Podczas starannie reżyserowanych konferencji prasowych udzielał odpowiedzi wykrętnych lub połowicznych albo odpowiadał tylko na pytania, które mu się podobały. W bezpośrednich kontaktach starannie dobierał dziennikarzy, przed którymi odkrywał jakąś swoją część, a i tak owa łaska nie trwała długo.

Wszystko to w jakimś stopniu tłumaczy, dlaczego jego uzależnienie od narkotyków trwało o wiele dłużej, niż można było przypuszczać. Dopiero niedawno przyznał, że sięgał po narkotyki, aby ukryć, jak rozpada się jego życie. Bardzo długo wzbierał się przed jakimikolwiek wypowiedziami w tej kwestii, aż wreszcie w roku 1996 udzielił argentyńskiemu czasopismu „Gente” wywiadu, w którym podał nieco szczegółów swej przygody z narkotykami i opowiedział o działaniach na rzecz antynarkotykowej edukacji wśród młodzieży.

Przez ponad czternaście lat odmawiał jakichkolwiek rozmów na ten temat, tłumacząc, że publiczność powinna się interesować jedynie jego talentem piłkarskim. Po podobny argument sięgał także wtedy, gdy nie chciał rozważać niektórych aspektów swego życia spoza boiska, jak na przykład dziecka, które urodziło mu się we Włoszech, czy kontaktów z neapolitańską mafią. I pewnie można byłoby zaakceptować taką postawę, gdyby Maradona nie był Maradoną; mówiąc inaczej, gdyby nie pozwolił świadomie na to, aby jego pozycja w świecie wykroczyła daleko poza ramy piłkarskiej kariery, co wymagało takiej dozy społecznej odpowiedzialności, jakiej nie potrafił i nie chciał w sobie znaleźć.

To w tym kontekście najwyraźniej widać wady Maradony jako człowieka. Jego obrońcy wskazują na jawne ataki, które przypuszczał na szanowane postacie, na przykład na prominentnych działaczy FIFA, i przypominają jego wystąpienia w obronie osób najuboższych i pokrzywdzonych. W rzeczywistości jednak Diego Maradona więcej czasu stracił na ustawienie się w maszynie FIFA, która pozwalała żyć z futbolu, niż na pomoc dawnym sąsiadom z biednych okolic Esquiny czy Villa Fiorito, więcej wysiłku poświęcił na wywalczenie dla siebie specjalnych uprawnień niż na to, by przestrzec przyszłych piłkarzy, którzy chcieliby sięgnąć po narkotyki, porzucić swe dzieci czy wychylić lampkę szampana z gangsterami.

Być może to, że zbyt wiele oczekujemy od najbardziej skomercjalizowanej dyscypliny sportu, futbolu, piłkarze zaś zbyt wiele oczekują od siebie, jest symptomem komercjalizacji sportu. Gdyby tak nie było, z pewnością ta książka nigdy by nie powstała. Lata temu Maradona prawdopodobnie przeszedłby do historii jako mający obsesję na punkcie futbolu, niezbyt inteligentny zawodnik, który jednak był najlepszym w dziejach piłkarzem. Stał się jednak mitem swoich czasów, porwał za sobą miliony ludzi, zapominając o odpowiedzialności.

Jedna część historii Maradony jest bezsporna. Jego gra z pewnością niekiedy graniczyła z magią, a na jego karierze fatalnie zaciążyły błędy sędziów, brak profesjonalizmu przeciwników i fatalne poczynania działaczy, którzy powinni zdawać sobie sprawę z tego, co robią. Ostatecznie jednak tragedia Maradony zrodziła się z tego, w jakim stopniu własnymi wypowiedziami i czynami próbował nadać sobie status istoty niemal boskiej, odżegnując się zarazem od odpowiedzialności za błędy. Zbyt często niszczył swój talent i mając Boga po swojej stronie, odbierał nie tylko fanom, ale też sobie szansę cieszenia się futbolem w jego czystości i prostocie.



## 2 NARODZINY

**G**WIAZDA POŁUDNIOWEGO NIEBA, KTÓREJ odbicie niczym perła lśniło na kaflach szpitalnej posadzki, oznajmiła doñi Dalmie Salvadorze Franco Maradonie narodziny syna, który otrzymał imię Diego. Był trzydziesty października roku 1960, niedziela, dzień mszy i meczów piłkarskich.

Dokładne okoliczności narodzin na Avellaneda, robotniczych przedmieściach Buenos Aires, w szpitalu noszącym imię Evity Péron, spowija legenda. Według jednej z wersji, ani niepotwierdzonej, ani niezdementowanej przez doñę Dalmę, jej syn pojawił się na świecie, wierzgając, a stało się to niedługo po tym, jak poczuła pierwsze bóle podczas zabawy tanecznej. Doña Dalma, czy Tota, jak nazywali ją znajomi, wydała ponoć z siebie okrzyk, który lata później mieli powtarzać spikerzy na całym świecie: GOOOOOOOL, po czym lekarz pokazał jej zakrwawionego Diega i oznajmił: „Gratuluję, powiła pani zdrowego syna, naprawdę miło spojrzeć”. W ten sposób rozpoczął się marsz niemowlaka ku czemuś w rodzaju boskości.

**K**IEDY RODZISZ SIĘ W BIEDZIE, każda zabawka jest czymś magicznym. W ruderze, w której Diego Maradona spędził dzieciństwo, nie było misiów ani elektronicznych gier, była natomiast skórzana piłka. Diego otrzymał ją od stryja Cirilo na trzecie urodziny, zaraz po tym, jak nauczył się chodzić, i traktował ją niczym diament.

Wielu ludzi boi się przyznać, że pochodzi ze slumsów, ale ja do nich nie należę – powie później w jednym z wywiadów. – Gdybym bowiem urodził się gdzieś indziej, nie byłbym Maradoną. Dzisiaj dzieciaki w miastach nie mają nawet pojęcia, że można się cieszyć taką swobodą. Mieliśmy mnóstwo miejsca, żeby się bawić, w co tylko chcieliśmy. Pierwsza piłka była najspanialszym prezentem w całym moim życiu... Dzień, w którym ją dostałem, i całą noc spędziłem, trzymając ją w objęciach.

Za dnia uganiał się po opustoszałych terenach wokół domu na Villa Fiorito, nędznych przedmieściach Buenos Aires. To tutaj, gdy piłka podskakiwała na nierównościach i kamieniach, Diego uczył się pierwszych sztuczek, a nieposłuszna zabawka zaczynała go słuchać i inspirować.



*Pierwsza piłka*

Stryj Cirilo pod wieloma względami okazał się ważną osobą w życiu przyszłej gwiazdy futbolu. Diego był jeszcze malcem, gdy mieszkając w ruderze bez bieżącej wody i elektryczności, po ciemku zmylił drogę i wpadł do dołu z szambem. Cirilo, krzykząc: „Diegito, trzymaj głowę nad gównem”, wyciągnął chłopca z pułapki i zaniósł do Toty, aby obmyła z ekskrementów, a potem utuliła przerażonego i zapłakanego synka. Kiedy trzy dekady później Diego Maradona, prześladowany już przez narkotyki i pogrążony w depresji oraz niewierze w siebie, będzie usiłował znaleźć jakiś sens w swym zagmatwanym życiu, to wydarzenie uzna za symboliczne. Z jednej strony będzie przypominało o dzieciństwie, które tak szybko się skończyło, z drugiej – będzie obiecywało, że nawet z najgorszego upadku można się podźwignąć.

**ZDOLNOŚĆ PRZETRWANIA NAJGORSZYCH** tarapatów była cechą rodziny Maradonów na długo przed narodzinami Diega. I po kądzieli, i po mieczu było dużo nieślubnych dzieci, a pochodzenie nazwiska owiane jest tajemnicą. W miarę pewnie można się cofnąć dwa pokolenia nad granicę z Paragwajem, do dość nędznego miasteczka Esquina w Corrientes, północno-wschodniej prowincji Argentyny. To tutaj urodzili się ojciec – także Diego – i matka, Tota. Dopiero później przeprowadzili się na południe, do Buenos Aires. Rodziny Diega seniora i Toty żyły o dwieście metrów od siebie na brzegu rzeki Corrientes; mieszkali w chatkach, które niewiele zmieniły się od czasów podboju Ameryki Południowej przez Hiszpanów, gdy na pół tropikalną prowincję zaludniali Indianie Guarani.

Ojciec Diega był Indianinem i podobnie jak przyszła żona wychował się w lepiance z gliny i trzciny. Esquina to preindustrialna społeczność myśliwych i rybaków, która w trudzie i znoju przetrwała aż do wieku dwudziestego. Diego Maradona senior żył niewiele lepiej od niewolnika; miejscowa firma przewozowa zatrudniała go jako tragarza do załadunku owoców, ryżu i drewna na barki płynące do Buenos Aires. Była to ciężka, marnie opłacana praca. „Patron płacił, kiedy chciał i ile chciał, a zawsze było tego tyle, co kot napłakał”, wspominał „Cacho” Galvaliz, który pracował razem z nim.

Barczysty, krzepki Maradona senior zyskał sobie szacunek w wiosce jako prosty, ciężko pracujący człowiek, mający silne poczucie solidarności i potrafiący walczyć z losem. Po wypadku w pracy – ładując skrzynię z bawełną, złamał trzy żebra – otrzymał przydomek „Chitoro”, stanowiący zbitkę dwóch słów: „przyjaciel” i „byk”. Kiedy nie było pracy, Chitoro polował na sarny, pancerniki i węże na pobliskich plantacjach i wzgórzach albo wypływał w drewnianym kanoe na połów szczupaków, które łapał tak, jak to robili jeszcze Guarani. Istniał jednak sport bardziej współczesny, w Esquinie z religijną nabożnością uprawiany co niedziela i zajmujący Chitoro każdą wolną chwilę: piłka nożna.

Wiele lat później związek nazwiska Maradony ze światem angielskiego futbolu będzie dość zawiły, ale w czasach, gdy grał don Chitoro, kwestia ta wyglądała znacznie prościej. Do Ameryki Południowej grę sprowadzili brytyjscy żeglarze, którzy schodzili na brzeg w portach Montevideo, Santos, Rio de Janeiro czy Buenos Aires i podczas gdy statki były rozładowywane i załadowywane, oni kopali piłkę. Także w Esquinie Chitoro i jego przyjaciele znajdowali upodobanie w grze, której organizacja nie kosztowała nawet peso, a jeśli sprawy ułożyły się dobrze, potrafiła dać więcej przyjemności niż wystawne przyjęcie. W niedzielę Chitoro i jego brat Cirilo w gronie krewnych i przyjaciół piekli na grillu wołowinę lub ryby, na deser jedli domowe ciasto, a wszystko zapijali litrami wina. Potem obaj bracia na pół pijani wybierali się na mecz piłkarski.

Juan Soto, przyjaciel Chitoro z lat młodszych, opowiadał:

Obaj zawsze solidnie pili w niedzielę przed meczem. Chitoro, nawet gdy miał już nieźle w czubie, mógł z miejsca przyłączyć się do gry. Nie należał do tych, którzy wcześniej muszą się rozruszać. Kiedy znalazł się na boisku, grał może nie nadzwyczajnie, ale za to bardzo ofiarnie. Był prawoskrzydłowym przy starym ustawieniu pięć-trzy-dwa-jeden. Zapamiętałem jedną jego bramkę. Kopnął piłkę z linii środkowej, a wiatr porwał ją tak, że bramkarz strony przeciwnej nawet nie zdążył się połapać, kiedy przeleciała mu nad głową.

Ale mieszkańcy Esquiny to nie ojca przyszłej gwiazdy, lecz stryja, Cirilo, zapamiętali jako obdarzonego talentem piłkarskim i odwagą. Zachowała się stara i wyblakła fotografia drużyny San Martín, która w roku 1952 zdobyła lokalne mistrzostwo dla Esquiny: dwudziestokilkuletni Cirilo, dużo niższy od reszty zawodników, nieogolony, stoi w pozie odrobinę nieśmiałej, z beretem nasuniętym na czoło. Zdjęcie nie oddaje tego, jaką rolę Cirilo odgrywał w drużynie. Miał przydomek „Tapón” („korek”, „tampon”), potrafił bowiem dzięki instynktowi, refleksowi i śmiałości obronić nawet najsilniejsze strzały. Po każdym meczu podciągał koszulkę, pokazując zadrapania i siniaki po uderzeniach.

Męscy przedstawiciele rodu Maradonów szcycili się tymi „ranami wojennymi”, które odnosili, podczas gdy kobiety czekały w domu i oddawały się swoim zajęciom. Pojęcie o swej roli w domu, a także pobożność – wyrażającą się w żegnaniu się wodą święconą oraz modłach do świętych i Najświętszej Maryi Panny – Tota przejęła od matki, Salvatory Cariolochi, pochodzącej z rodziny biednych emigrantów z południowych Włoch. Jako siedemnastolatka Salvadora urodziła nieślubną córkę. Tota dopiero po ukończeniu osiemnastu lat została oficjalnie uznana przez swego ojca, Atanancio Franca, a na wspólne życie z Chitoro zdecydowała się, nie bacząc na kosztowną ceremonię ślubną, wyprawioną, gdy urodziła już swemu partnerowi troje – same dziewczynki – z ośmiorga dzieci, które przyszyły na świat w Esquinie.

Tota miała dwadzieścia jeden lat, gdy w roku 1950 po raz pierwszy opuściła męża i wyjechała do Buenos Aires. W tym czasie odbywała się powszechna migracja z prowincji do stolicy, do czego w latach powojennych wzywali mieszkańców rządzący Argentyną generał Juan Perón i jego kochanka, a potem druga żona, Evita. Perón podziwiał narodowy socjalizm Mussoliniego i Hitlera, ogromnie też cenił sport, gdyż ten pozwalała trzymać w ryzach życie polityczne, a zarazem rozwijać

poczucie narodowej jedności. Dlatego nazywając siebie „pierwszym sportowcem Argentyny”, z zapałem zajmował się promowaniem pośród mas piłki nożnej, z państwowej kasy wspomagając kluby na poziomie krajowym i lokalnym. Najważniejszą w tym rolę odgrywała Fundacja Evy Perón, zarządzana przez Evitę, czerpiąca fundusze z dwóch dniówek rocznie, które potrącano z pensji wszystkich zatrudnionych. Potem fundacja mnożyła zasoby, hojnie czerpiąc z budżetów różnych ministerstw, a także przyjmując „dobrowolne” wpłaty wnoszone przez instytucje i biznesmenów.

Chitoro i Tapón, piłkarze amatorzy z biednych rodzin, łatwo dali się zwieść obietnicy Peróna, że stworzy Nową Argentynę, z pieniędzy bogaczy wspomagając robotników. Ich drużyna uszczknęła coś z funduszy, z których opłacano lokalnych mistrzów. Mogli też marzyć o tym, że znajdą lepiej opłacaną i bardziej regularną pracę w państwowych przedsiębiorstwach, które Perón otwierał w Buenos Aires. Stolica – niosła wieść – nie jest już zarezerwowana tylko dla ziemian, Anglików i graczy polo, otwierała teraz bowiem nowe szanse przed *descamisados*, ludźmi bez koszul, których entuzjastyczne okrzyki „Perón, Perón!” siedemnastego października 1945 roku towarzyszyły przejęciu władzy przez pułkownika o populistycznym nastawieniu.

Na początku wyjazd do Buenos Aires bardziej kusił jednak Totę niż jej męża, któremu świat fabryk i komunikacji miejskiej wydawał się odległy o lata świetlne od nadrzecznej wioski, gdzie dorastali on i jego indiańscy przodkowie. Totę natomiast niewiele trzymało w Esquinie. Jej włoscy przodkowie przyjechali do Argentyny w poszukiwaniu lepszego życia, a ona dopiero musiała je znaleźć. Ośmielał ją przykład Evy Perón. Także z nieprawego łoża, także wychowana na prowincji, potrafiła jednak podbić Buenos Aires.

Tota znalazła w stolicy nie fortunę, lecz harówkę, lepiej jednak płatną niż prace domowe w Esquinie. Pracowała jako służąca w bogatym domu; minimalną, zagwarantowaną przez Peróna płacę otrzymywała za pranie cudzych ubrań i karmienie cudzych dzieci. Kiedy po dwóch latach przyjechała do Esquiny, okazało się, że sytuacja męża jest gorsza niż kiedykolwiek. Ponieważ jego szef był antyperonistą, lokalne władze nieustannie go szykanowały i karały grzywnami, a na dodatek interes szedł kiepsko, zmniejszyło się bowiem zainteresowanie transportem rzeczonym. Tota była przekonana, że aby przeżyć, cała rodzina musi się przenieść do Buenos Aires. Powróciła do stolicy z matką i najmłodszą córką. Kilka tygodni później z resztą rodziny dołączył do niej Chitoro, z niechęcią sprzedawszy przed wyjazdem łódź rybacką.

Popłynął w dół rzeki parowcem, zostawiając za sobą świat, który szanował i kochał: rozlewiska pełne gadów i ptaków, gdzie na brzegach rosły wierzby i eukaliptusy, a na wodzie unosiły się kwiaty. Kiedy statek dotarł do portu w Buenos Aires, oczy Chitoro usiłowały przywyknąć do wszechobecnego betonu, a uszy – do zgiełku. Wkrótce jego niepokój miał się jeszcze pogłębić. Na jakiś czas Tota za darmo zamieszkała u swoich krewnych w jednym z nielicznych oficjalnie zarejestrowanych domów w Villa Fiorito. Pewnego dnia krewni otrzymali w spadku dom w innej części Buenos Aires i oznajmili Maradonom, że muszą sobie poszukać jakiegoś innego miejsca.

Rodzina zamieszkała w ruderze, którą Chitoro wznosił z kawałków blachy, cegieł i kartonu; chata była wielkości holu w domu, gdzie Tota pracowała. Trzy podobne do pudeł sypialnie przedzielone były zasłonami z worków, co dawało elementarne poczucie prywatności, nie pozwalało jednak niczego zachować w sekrecie. Wrażliwe dzieci szybko uczyły się, na czym polegają role męża i żony, mężczyzny i kobiety.

Krótko po tym, jak Maradonowie zamieszkali w Villa Fiorito, Perón zostaje obalony w wojskowym zamachu stanu, a chora na raka macicy Evita umiera. Przeciwnicy Peróna z lubością prezentują pudła z biżuterią i ponad trzysta eleganckich sukni, które Evita zgromadziła. Chociaż Perón zostaje obwołany nazistowskim dyktatorem, to jego mit nie gaśnie. Przez następne dziesięciolecia robotnicy i uciemiężone warstwy społeczne Argentyny będą czciły peronizm jako obietnicę nadziei, sprawiedliwości i wyzwolenia. Przez trybuny stadionów piłkarskich będą się przetaczały okrzyki „Perón, Perón, Perón!”, a kibice będą między sobą sławili jego męskie wyczyny. W powszechnej świadomości Evita pozostanie świętą, a jej śmierć będzie traktowana jako mistyczne męczeństwo. Budowano na jej cześć ołtarze, zanoszono modły do świętej Evy, a miliony Argentyńczyków śniły o tym, że jeszcze powróci. „Każda peronistka – powiedziała kiedyś Evita – będzie stać w swym domu

na straży oszczędności, niczego nie marnując, minimalizując konsumpcję i zwiększając produkcję”. W ten sposób nawet najuboższa argentyńska pani domu „będzie dbać o los narodu”. Tak oto Evita gloryfikowała pasywne ograniczenie się kobiet do zacisza domowego: tego wymagała funkcja żon i matek. Ich życie spełniało się w wyrzeczeniach, poświęceniu i podporządkowaniu woli męża.

Los Diego Armando Maradony był od początku naznaczony przez zewnętrzne okoliczności. Ponieważ przyszedł na świat po trzech siostrach, spoczęła na nim cała odpowiedzialność, która w krajach latynoskich i w Trzecim Świecie wiąże się z pierworodnym synem. Jego postawę wobec świata zabarwiło swoiste tło społeczne i polityczne związane z przeprowadzką rodziny. Znamienne, że Maradona ze szczególną rewerencją traktował przez całe życie fotografię, na której on, już w dorosłym wieku, stoi obok generała Peróna. Były prezydent i piłkarz nigdy się nie spotkali; kiedy Perón umierał, Maradona miał czternaście lat. Połączył ich fotomontaż.

Wczesne lata chłopięce Diego spędził w towarzystwie sióstr i dwóch dumnych z niego kobiet o silnym charakterze: babki Salvadory i matki Toty. Nauczyły go żegnać się i modlić do Matki Boskiej i niektórych świętych, a także zaszczepiały w nim poczucie odpowiedzialności, którą los złożył na jego barki jako najstarszego syna.

Podczas gdy kobiety zajęły się elementarną edukacją chłopca, Chitoro dostał pracę, którą znosił tylko dzięki sile i wrodzonemu stoicyzmowi (był spokojnym mężczyzną, który na nic się nie uskarżał). Zatrudnił się w pobliskiej fabryce mączki kostnej. Codziennie o szóstej zostawiał śpiącą w nędznym domu rodzinę i piaszczystą drogą szedł nad zataczony kanał o nazwie Riachuelo, który miał barwę oliwy, a na jego nieruchomej, gęstej i cuchnącej powierzchni wzbierały brązowe bąble. Nie było w nim ryb, tylko zatrute ścieki z pobliskich garbarni i fabryk, a także gnijące ścierwo zdechłych krów. Gdy Perón doszedł do władzy, tysiące *descamisados* przepравиły się na drugi brzeg Riachuelo, potem jednak kanał znowu stał się nieoficjalną granicą między bogatym i biednym Buenos Aires.

Kiedy Chitoro docierał do fabryki, nietrudno było się domyślić, do której części miasta należy. W tym czasie Argentyna ciągle jeszcze była jednym z największych na świecie eksporterów wołowiny, a przemysł mięsny – jednym z największych pracodawców w kraju. Mielenie kości, podobnie jak garbowanie skór, należało do najgorzej płatnych i najbardziej niezdrowych zajęć. Tam gdzie chodziło o niewykształconych i niewykwalifikowanych robotników, troska o higienę i bezpieczeństwo pracy była minimalna. Warunki były okropne, wspomina Máximo Arumayo, który wcześniej pracował w Boliwii na plantacjach trzciny cukrowej, a do Villa Fiorito przyjechał niedługo po Maradonach. Widział, jak Chitoro wyrusza co rano do pracy i po dziesięciogodzinnej zmianie wyczerpany wraca do domu.

To była strasznie ciężka praca – opowiada Arumayo. – I bardzo niezdrowa. Oficjalnie mieliliśmy tylko krowie gnaty, ale tak naprawdę zbierano wszystkie możliwe kości: zwierząt chorych, dawno zdechłych, nawet ludzkie. Wszystko bez różnicy ładowało na taśmie. Huk był straszliwy, podobnie jak pył w powietrzu. Większość robotników zapadała na choroby płucne, a wtedy zmuszano ich do wcześniejszej emerytury. Chitoro został uratowany przez syna.

### 3

## ŚWIĄTYNIA

**DIEGO MARADONA ZACZYNA ZARABIAĆ** pierwsze pieniądze jako ulicznik. Razem z kolegami ze slumsów bawią się w kotka i myszkę z konduktorami kolejowymi albo jeżdżą autostopem na któryś z miejskich dworców. Tutaj usiłują zarobić kilka pesos, otwierając drzwi taksówek lub próbując sprzedać cokolwiek, co wpadło im w ręce po drodze. Jednym z najbardziej korzystnych przedsięwzięć było sprzedawanie srebrnej folii z wyrzuconych pudełek po papierosach. Życie w Villa Fiorito daleko odbiegało od obietnic Peróna i Evity, chociaż w rodzinie Maradonów oboje byli wielbieni za życia i po śmierci. Teraz rząd nie troszczył się już o biedaków, a wyżyć dawało się tylko dzięki sprytowi i uporowi. Nie bardzo można było myśleć o życiu godniejszym niż codzienna wegetacja. Zawsze istniała, to prawda, możliwość zostania przestępcą, przyłączenia się do jednego z gangów rządzących takimi miejscami jak Villa Fiorito. Slumsy, w których wychował się Diego Maradona, uchodziły za jedno z najgroźniejszych przedmieść Buenos Aires, udzielające schronienia płatnym zabójcom, złodziejom i alfonsom.

Przede wszystkim rodzicom Diego zawdzięcza to, że nie wpadł w odmęty przestępstwa jak wielu jego rówieśników. Już w Esquinie Chitoro i Tota byli znani jako ciężko pracujący i uczciwi ludzie. W domu Maradonów obowiązywało niepisane prawo, że można wprawdzie oszukiwać przy podatkach, ale nie wolno okraść sąsiada. A co najważniejsze, oboje rozumieli, że kluczem do lepszej przyszłości jest futbolówka, którą ich synowi ofiarował stryj Tapón, oraz zdolność chłopca do czynienia z niej przedmiotu magicznego. Wydaje się, że talent ten dostrzegli bardzo wcześnie, a dwie rzeczy zadecydowały o tym, że mógł on się w pełni rozwinąć: obsesja rodziców, by umożliwić synowi granie, oraz pasja Diega, by odnieść sukces. Na jednym z najwcześniejszych zdjęć Diego Maradona, który niewiele jeszcze odrósł od ziemi, stoi w ogródku przed domem, trzymając pod pachą piłkę. Wokół niego widać drucziany płot powyginany od ciągłego bombardowania. Kiedy lewa stopa zmęczyła się żonglowaniem piłką, chłopiec z całej siły strzelał w siatkę.

**PIERWSZĄ ISTOTNĄ ZMIANĘ W SWOIM** życiu Diego Maradona zawdzięcza kierowcy ciężarówki, który miał dobre ucho na krążące po okolicy plotki. José Trotta, odwożąc jednego ze swych klientów do domu, usłyszał, że w Villa Fiorito mieszka chłopak, który potrafi wyczyniać cuda z piłką. Carrizo, klient Trotty, był sąsiadem Chitoro, a jego syn, Goyo, grywał w piłkę z małym Maradoną. Przyjechawszy do Buenos Aires, Chitoro stworzył lokalną drużynę o nazwie Estrella Roja (Czerwona Gwiazda), ale w trakcie rozmowy z Trottą był otwarty na wszystkie propozycje związane z przyszłością syna. Jego zarobki ledwie wystarczały na pokrycie potrzeb rozrastającej się rodziny. Goyo i jego ojciec pod niebiosa wychwalali przed Trottą „Diegita”, Chitoro niczemu nie zaprzeczał, a potem z radością zaakceptował sugestię Trotty, żeby chłopca obejrzał Francisco Cornejo, trener Cebollitas, młodzieżowej drużyny pierwszoligowego klubu Argentinos Juniors. Goyo, którego talentem Cornejo zainteresował się już wcześniej, miał pośredniczyć; podjął się tego z radością, bo bardzo chciał, aby młodszy o rok kolega dołączył do niego na drodze do futbolowej sławy.

Cornejo pamięta dzień, gdy Goyo zaczął zachwalać umiejętności Maradony.

Trenowałem Cebollitas od kilku lat i miałem właśnie grupkę chłopaków, z których byłem bardzo zadowolony. Nie rozglądałem się jakoś szczególnie za nowymi talentami. Przychodzi Goyo i mówi, że jego kolega z Villa Fiorito gra lepiej od niego. W pierwszej chwili pomyślałem: E tam! Właściwie każdego dnia zjawia się u mnie ktoś i opowiada, że zna wspaniałego szczeniaka. Zaraz jednak przyszła druga myśl: Co mi szkodzi zobaczyć? Powiedziałem więc Goyowi, żeby przyprowadził tego kolegę. Przyprowadził, i tak się wszystko zaczęło.

W gorący i wilgotny letni dzień w grudniu 1968 roku Trotta podwiózł ośmioletniego Diego Maradonę na spotkanie z Francisco Cornejem w La Paternal, odrobinę mniej podłej dzielnicy Buenos Aires.

Ledwie przyjechalśmy – wspomina Trotta – a Diego zaraz przyłączył się do treningu. Wydawało się, że przybył z innej planety. Od pierwszej chwili odnosiło się wrażenie, że może zrobić z piłką, co zechce. Dryblował lepiej od innych, nie tracąc nad nią kontroli, mógł w miejscu zahamować i zrobić zwrot. Całymi godzinami mógł trzymać piłkę na głowie czy lewej stopie.

Diego był niższy od innych chłopców, nieproporcjonalnie zbudowany, z wielką głową. „Krępy, jakiś dziwny, trochę jak karzeł”, takie zrobił pierwsze wrażenie na Trotcie. Co do Corneja, to jeszcze nigdy w życiu nie widział kogoś, kto w tym wieku dysponowałby podobnymi umiejętnościami, ale i jego uderzyło coś w figurze Maradony. Podejrzał, że dzieciak go oszukuje, że jest starszy i zaniża swój wiek, aby lepiej wypaść na tle innych. Cornejo zażądał jakichś dokumentów, zanim podejmie decyzję, okazało się jednak, że chłopiec, zgodnie ze słowami jego ojca, ma osiem lat. I tak, pośród tych pierwszych wątpliwości, ulicznik Diego znalazł się w drużynie piłkarskiej z prawdziwego zdarzenia. Miało to oznaczać koniec jego dzieciństwa, a także wkroczenie na drogę ku sławie i pieniądзом, jakich większość ludzi nie jest w stanie zarobić w trakcie całego życia.

Pierwszy mecz Cebollitas, w którym zagrał Diego Maradona, rozpoczął powolną, ale niepoahamowaną przemianę w hierarchii rodzinnych priorytetów. Futbol, dotąd niewinne zajęcie, któremu ojciec, a potem syn oddawali się w czasie wolnym od poważnych zajęć, teraz stał się obsesją i nadzieją ludzi, jak się zdawało, nieodwołalnie skazanych na nędzę. Bardzo szybko stało się zwyczajem, że zaraz po powrocie z fabryki Chitoro pod czujnym spojrzeniem Toty zabierał syna, zanim ten zdążył odrobić pracę domową, i wiózł go na trening. Na jakiś czas Maradonowie troskę o przyszłość chłopca scedowali na Corneja, który stał się jego mentorem i opiekunem. Nie sprzeciwili się ani słowem, gdy Cornejo poinformował ich, że chce udać się z ich synem do „Cacho” Paladina, lekarza o wątpliwej reputacji, który chcącym wzmocnić siłę bokserom przepisywał mieszanki środków dopingujących i witamin, a także opiekował się piłkarską drużyną Huracán.

O wizycie Maradony u lekarza, który przepisał mu serię pigułek i zastrzyków, Cornejo ma tyle do powiedzenia:

Diego na początku był tak mały, że wydawało się, że nie będzie miał sił do gry. Chciałem, żeby Paladino trochę go zaokrąglił, sprawił, żeby chłopiec podrośł i utył. Poprosiłem go, żeby dał mu witaminy i inne potrzebne rzeczy. „Cacho – powiedziałem – zajmij się tym szczeniakiem. On wyrośnie na prawdziwą gwiazdę”.

Paladino miał do życia realistyczne podejście, któremu zawdzięczał pewną popularność wśród argentyńskich zawodników i działaczy. Zajął się sportem, kiedy nie istniała jeszcze specjalizacja o nazwie „lekarz sportowy”, a władze piłkarskie i bokserskie miały dopiero wypracować zasady nadzoru nad tym, jak lekarze traktują zawodników kontuzjowanych i bez formy. Podczas rozmowy ze mną Paladino przyznał, że ówczesna medycyna sportowa posługiwała się metodą prób i błędów, więc choć miał uniwersytecki dyplom doktora medycyny, specjalistycznej wiedzy nabierał „w szatni”, kierując się intuicją. Jako ilustrację słuszności swego instynktu przytacza rozmowę z Cornejem, która miała miejsce niedługo po tym, jak zrobił Maradonie pierwszy zastrzyk. Trener entuzjastycznie opowiadał o umiejętnościach Diegita, a potem spytał lekarza, co sądzi o jego przyszłości.

Posłuchaj mnie uważnie – odrzekł Paladino. – Nie oddaj go nikomu, pilnuj jak oka w głowie, a kiedy podrośnie, sprzedaj, a połowę forsy weź sobie. To najlepsze rozwiązanie, nie ma mowy, żeby długo pozostał przy tobie.

Po pierwszej wizycie Paladino ocenił, że chłopiec rzeczywiście jest zbyt szczupły. Trudno powiedzieć, by bardzo odstawał od norm swego wieku, natomiast z pewnością brakowało mu masy ciała, jeśli zgodnie z oczekiwaniami rodziców i mentora miał zostać wielkim piłkarzem. Kiedy odwiedziłem lekarza w październiku 1995 roku, ten oznajmił z dumą: „Pod koniec mojej kuracji wyglądał już jak rasowy źrebak, gotów do wyścigów”.

**ZACHOWAŁ SIĘ FILM NAKRĘCONY** niedługo po wizycie Maradony u Paladina. Bez cienia wahania chłopak mówi do kamery o swoich dwóch największych w życiu marzeniach: chce zdobyć piłkarskie mistrzostwo Argentyny, a potem mistrzostwo świata. Mówi językiem przedmieść, długie loki okalają jego twarz, a cała sylwetka promieniuje zręcznością i energią.

Film jest pamiątką nie tylko pewności siebie i determinacji ośmio- czy dziewięcioletka. Diego wpadł już w oko jednemu z producentów telewizyjnych, wyczulonemu na młodociane talenty. Poproszono chłopca, by zademonstrował swoje umiejętności w emitowanym w niedzielę popularnym programie rozrywkowym. Pierwszego tygodnia otrzymał piłkę; drugiego – pomarańczę; trzeciego – butelkę. Ze zręcznością cyrkowego psa balansował każdym z tych przedmiotów na lewej stopie, od czasu do czasu podrzucając go. Jego popisy tylko z piłką były pokazywane na żywo każdej niedzieli podczas przerwy w meczach rozgrywanych przez Argentinos Juniors. Przed kamerami Maradona zachowywał się całkiem naturalnie, a widzowie go uwielbiali.

Kiedyś zdarzyło się, że cały stadion z większym entuzjazmem zareagował na jego wyczyny niż na to, co zawodnicy pokazywali w „dorosłym” meczu. Był lipiec 1970 roku, Maradona miał już dziesięć lat, a Argentinos Juniors grali ze swym pierwszoligowym rywalem Boca. Pierwsza połowa meczu upłynęła bez fajerwerków, gra obu drużyn była nudna i szarpana. Gdy rozległ się gwizdek na przerwę, na płycie pojawił się mały Diego, najwyraźniej chcący jak najlepiej spożytkować te kilka danych mu minut. Pokazał bieg z piłką, podczas którego perfekcyjnie nad nią panował; ani na chwilę jej nie zgubił pomimo gwałtownych zwrotów czy przerzucania od lewej nogi do prawej i odwrotnie. Nagle zatrzymał się i z wygiętymi do tyłu plecami podrzucił piłkę i wykonał headstall – utrzymywał ją na głowie niedostrzegalnymi ruchami szyi. Po jakimś czasie pozwolił piłce spaść, ale przechwycił ją lewą stopą, znowu przytrzymał jakiś czas, by ponownie podrzucić i zatrzymać ją na piersi. Każdą z tych sztuczek powtórzył kilka razy, a cały występ zakończył biegiem z piłką i demonstracją wspaniałego przyspieszenia. Na płycę zaczęli wychodzić zawodnicy, sędzia dał więc chłopcu znak, żeby się usunął, wtedy jednak stadion ryknął: „Niech zostanie!” i powtórzył to kilkakrotnie. Małemu Maradonie pozwolono zostać, chociaż nie na boisku, lecz w pobliżu ławki rezerwowych. Przyglądając się grze, mógł rozpamiętywać ten okrzyk zbiorowego entuzjazmu.

**KIEDY W NASTĘPNYCH LATACH GAZETY**, zwłaszcza argentyńskie, będą opowiadać o Maradonie, najczęściej będzie to obraz chłopaka, którego Bóg obdarzył czarodziejskim talentem. On sam jednak nigdy nie zapomniał slumsów i wiążących się z nimi upokorzeń. Ta świadomość zabarwiła obraz jego świata i zadecydowała o gorącym pragnieniu wykazania się w rzeczywistości niesprzyjającej ludziom jego pochodzenia.

Już jako dziecko zorientował się, że rodzice – Indianin i córka biednych włoskich imigrantów – należą do tej części społeczeństwa, o której przedstawiciele wyższych warstw społecznych mówią pogardliwie *cabecitas negras*, „czarne główki”, czy po prostu: Indianie. To ludzie pozbawieni ziemi, nędźnie opłacani, podlegli, pozbawieni solidnych korzeni: imigranci albo dzicy osadnicy. Argentyna najskuteczniej ze wszystkich krajów Ameryki Południowej uporała się z problemami etnicznymi: czarnoskórych mieszkańców wybiła żółta febra; Indian z ich rodowych terenów przegnali konkwistadorzy i wojny domowe. W oczach establishmentu prawdziwy Argentyńczyk był biały, jego korzenie rodzinne sięgały Europy, najlepiej północnej, był właścicielem wielkiej hacjendy na pampie, a w Buenos Aires – wytwornego domu.

Od końca dziewiętnastego wieku argentyńska elita troszczyła się o to, aby podporządkować sobie sport, tak jak uczyniła to z polityką i kulturą. Zwłaszcza wspólnota angloargentyńska dbała o to, aby futbol pozostał grą z istoty brytyjską. Stopniowo jednak – proces ten został przyspieszony za Peróna – piłka nożna nabierała charakteru masowego, a sportem snobistycznym i elitarnym stawało się polo. Ta zmiana statusu futbolu wiązała się z przemianami w argentyńskim społeczeństwie: wśród robotników i klas niższych coraz liczniejsi byli imigranci, a napływający do Buenos Aires *cabecitas negras* chcieli mieć coraz więcej do powiedzenia. W końcu lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych trudno już było uświadczyc Anglika nie tylko na boisku piłkarskim, ale też na trybunach. Tłumy na



stadionach reagowały niezwykle emocjonalnie, dając upust swoim frustracjom i nadziei. Nie wiadomo, skąd pojawiali się ulicznicy, którzy na murawie przemieniali się w narodowych bohaterów.

Francisco Cornejo pamięta rozmowę z Totą na bardzo wczesnym etapie kariery jej syna.

– Ten chłopiec wybawi nas wszystkich, doña Tota.  
– Oby Bóg tak sprawił.

Cornejo był synem hiszpańskich imigrantów, który urodził się czterysta lat za późno. Miał wielkie marzenia, ale znikome możliwości, aby je zrealizować. Gdyby przybył do Argentyny jako konkwistador, mógłby zostać bogaczem, teraz jednak większość życia spędził jako sprzątac w banku, najpierw troszczący się o toalety, a po awansie – o porządek na biurkach i podłogach. Przyglądał się, jak inni ludzie zarabiają pieniądze, podczas gdy jemu pozostawały tylko nędzne peso. Uwielbiał futbol i może zostałby piłkarzem, ale w młodości miał kontuzję lewej nogi i po operacji zawsze już utykał. Nie przeszkodziło mu to amatorsko zajmować się trenowaniem drużyny Cebollitas – młodzieżówki Argentinos Juniors. W banku pracował od szóstej do drugiej, a potem przenosił się na boisko.

Kiedy Diego Maradona pojawił się po raz pierwszy, Cornejo, mężczyzna w średnim wieku, nadal pracował w banku, a za nędzną sumkę zajmował się małymi zawodnikami, chcąc za ich pośrednictwem zrealizować swoje niespełnione marzenia. W Diego Maradonie zobaczył energię i nadzieję swego straconego dzieciństwa. Z kolei Diego znalazł się pod opieką człowieka, który łączył w sobie upór jego ojca, Chitoro, i miłość do futbolu stryja, Tapóna. Chitoro stał się właściwie ojcem nieobecny; pojawiał się w życiu Diega właściwie tylko wtedy, gdy trzeba było dostarczyć go na boisko. Zazwyczaj milczący, od czasu do czasu podkreślał jednak swoją obecność, używając siły, gdy uznał, że syn zachowuje się zbyt arogancko. Tota była kobietą upartą, nadopiekuńczą i jednocześnie niezwykle wymagającą wobec syna. Zachowała w sobie dziedzictwo włoskiej krwi i z przekonaniem odgrywała rolę matrony, której zresztą oczekiwało od niej społeczeństwo ukształtowane wedle wzorca macho.

Chociaż Chitoro i Tota ufnie oddawali syna pod opiekę Corneja, to widzieli w nim mniej mentora niż człowieka, który tak zadba o talent ich syna, aby stał się wielki. Bywały popołudnia, gdy cała rozrastająca się rodzina zjawiała się na boisku Cebollitas. Do pewnego momentu całkowicie ufali Cornejowi i chętnie przyjmowali życzliwe gesty z jego strony. To on kupił chłopcu porządne buty, to on wraz z Trotta urządzał podwieczorki i kolacje dla rodziny i przyjaciół Diega. Na powstałej w ten sposób przyjaźni pojawiły się pewne skazy, kiedy stało się jasne, że Maradonowie nie zamierzają całkowicie utracić kontroli nad synem, który miał zbawić rodzinę. A Cornejo i Trotta nie chcieli stracić z oczu swego wychowanka.

Z początku rodzice Maradony traktowali mnie dobrze, jak najlepszego wujka – wspomina Cornejo. – Chociaż na przykład nigdy nie zaprosili mnie do siebie. Ale ja i tak tam zachodziłem, bo chciałem być pewien, że on mi się nie wymknie.

Jako pierwszy trener z pewnością wspomagał talent Diega i rozbudził w nim pragnienie wielkich osiągnięć. Od pierwszej chwili był przekonany, że trafił na brylant, którego zawsze szukał.

Na początku każdego sezonu oceniałem w skali jeden do dziesięciu swoich graczy na dwóch tablicach: na jednej umiejętności, na drugiej zaangażowanie – mówi Cornejo. – W obu klasyfikacjach Diego zasługiwał na dziesiątki. Jak myślisz, czy w innej sytuacji poświęciłbym mu całe swoje życie?

Jego oczekiwania zaczęły się potwierdzać już kilka miesięcy po wstąpieniu Maradony do Cebollitas. Oto fragment z ogólnokrajowego dziennika argentyńskiego „Clarín”, w którym dwudziestego ósmego września 1971 roku pojawiła się pierwsza wzmianka o Diego Maradonie, chociaż błąd drukarski sprawił, że występuje tu jako Caradona.

Najlepiej gra lewą nogą, ale potrafi się też posłużyć prawą. Dziesięcioletek Diego Caradona został nagrodzony gorącymi oklaskami przez publiczność, kiedy w przerwie meczu między Argentinos Juniors i Independiente dał pokaz swych rzadkich zdolności dryblingu i panowania nad piłką. Koszulka jest na niego zbyt wielka, a długie włosy niemal zasłaniają widok. Wygląda tak, jakby uciekł z pampy. Potrafi nienagannie zgasić piłkę, a potem bez wysiłku wyrzucić w powietrze obiema stopami. Zachowuje się jak urodzony piłkarz. To przyszłość argentyńskiej piłki nożnej.

Cornejo, który opisuje małego Diega jako „wspaniałego dryblera ze znakomitą wyczuciem”, szczególnie lubi wspominać mecz rozegrany przez dwunastolatka podczas Mistrzostw Evity. Cebollitas grali z Azul y Blanco na starym stadionie San Lorenzo w Buenos Aires.

Diego minął go genialnym zwodem i strzelił wprost do pustej bramki – opowiada Cornejo. – Bramkarz wybiegł mu naprzeciw. Diego przerzucił piłkę nad nim, obiegł go i z obrotu strzelił z woleja lewą nogą wprost do pustej bramki. Nawet kibice Azul y Blanco zerwali się i zaczęli wiwatować ze wszystkich sił.

Wydaje się, że niezależnie od roli, jaką Cornejo przez pewien czas odgrywał w rodzinie Maradonów, jego oddziaływanie ograniczyło się właściwie do boiska. Miał bardzo rzetelne podejście do gry i od swych podopiecznych oczekiwał posłuszeństwa. Cokolwiek będzie mówił później, sukcesy w opiece nad Maradoną zawdzięcza chyba w niewielkim stopniu swoim zdolnościom pedagogicznym, tylko raczej temu, że uczeń był zielony, niewinny i pełen młodzieńczego entuzjazmu.

Sprawy stawiałem jasno – wspomina Cornejo. – Każdy ma wykonywać, co do niego należy. Jeśli mówię, że trening zaczyna się o dziewiątej, to trening zaczyna się o dziewiątej. Ten, kto usiłował ze mną pogrywać, ponosił konsekwencje, ale z Maradoną nigdy nie miałem żadnych problemów. Kochał piłkę i chyba dlatego ani razu nie opuścił zajęć. Autobusem, pociągiem, na ciężarówce... Zawsze na czas zjawiał się na trening czy mecz.

A przecież już wtedy zaczynały się pojawiać – chociaż jeszcze nierzucające się w oczy – elementy niecierpliwości, narcyzmu i arogancji, które miały zaciążyć na późniejszym życiu gwiazdora, a swe źródła miały w rodzinie, społeczeństwie, ale także w trudniejszym do rozpoznania wrogu Maradony, w nim samym. Jednym z klubowych kolegów, który miał potem należeć do wąskiego kręgu przyjaciół Diega, był Adrian Domenech. Rok starszy od Diega, do Argentinos Juniors dostał się jednak rok po nim.

Kiedy przyszedłem, wszyscy mówili już tylko o Maradonie: że to wspaniały zawodnik, niemający równych sobie. Szybko zrozumiałem dlaczego. Obserwowanie go podczas gry to było coś niezwykłego. Jak na swój wiek był mały i szczupły – ale jaki talent! Za niski z pewnością, żeby strzelać główek, lecz bieg z piłką, strzał – w tym był naprawdę znakomity.

Domenech bardzo wcześnie mógł zobaczyć, jak talent Maradony i nadzieje z nim związane sprawiały, że Diego był traktowany inaczej niż reszta śmiertelników, co umożliwiła zmowa między działaczami i zawodnikami. Zgodnie z przepisami Maradonie nie wolno było grać w jednej drużynie z Domenechem, był bowiem za młody. Przed niektórymi meczami Cornejo za zgodą innych członków drużyny wpisywał Maradonę jako innego zawodnika o nazwisku Montanya.

Pamiętam taki mecz z młodzieżówką Boca, rozegrany na boisku treningowym Candela – mówi Domenech. – Sędzia zaakceptował podpis Montanyi, ale na początku Diego usiadł na ławce rezerwowej. Dopiero kiedy po pierwszej połowie przegrywaliśmy 3:0, postanowiliśmy wpuścić go na boisko. Zaliczył *hat trick* i zremisowaliśmy, ale w ferworze walki i przy odwracającej się karcie ktoś z drużyny zapomniał o układzie i zawołał: „Diego”. Po meczu trener Boca podszedł do Corneja i powiedział: „Jeśli to był Montanya, to ja jestem Chińczykiem. To był Diego Maradona”. Cornejo milczał, bo co miał powiedzieć, a wtedy tamten nagle się roześmiał i poklepał go po ramieniu. „Nie martw się, nie będę robił z tego żadnej sprawy. Ten szczeniak był naprawdę wspaniały. Jak można wszczynać awanturę, kiedy się widzi kogoś tak grającego?”.

**PIERWSZA MIĘDZYNARODOWA WYPRAWA MARADONY** odbyła się w 1971 roku, gdy jako jedenastolatek pojechał na mistrzostwa juniorów do Urugwaju. To pierwsze doświadczenie było upokarzające. Większość zawodników, pochodząca z lepszych rodzin, mieszkała w wygodnych domach, podczas gdy jego umieszczono u bezrobotnego Murzyna, w ruderze bez bieżącej wody. Lepiej było dwa lata później, gdy z młodzieżówką Argentyny wyjechał do Chile. Cała drużyna, goszczona przez niedawno ustanowiony wojskowy rząd generała Pinocheta, mieszkała w pięciogwiazdkowym hotelu Carrera, skąd trzy miesiące wcześniej zachodni dziennikarze obserwowali zamach stanu zorganizowany przez Pinocheta.

Z okna niewielkiego pokoju Maradona mógł widzieć po drugiej stronie głównego placu, Santiago, ruiny pałacu prezydenckiego zbombardowanego przez lotnictwo podczas zamachu. Właśnie tam kiedyś urzędował Salvador Allende. Ani młody Maradona, ani reszta drużyny nie interesowali się politycznymi prześladowaniami, którym Pinochet poddał swoich przeciwników. Diego, podniecony perspektywą występu na narodowym stadionie Chile, nie zszedł na śniadanie do restauracji hotelowej – kazał je sobie podać do łóżka. Podczas rozegranego tego dnia meczu strzelił cztery bramki.

W Villa Fiorito nie było takich luksusów. Chociaż Maradona zapowiadał się już na wielkiego piłkarza, nadal musiał się mierzyć z twardymi realiami życia. Władze uważały Villa Fiorito za okolicę tak niebezpieczną, że nie chciały budować tam posterunku policji w przekonaniu, że stanie się natychmiast obiektem nieustannych ataków. Policja pojawiała się tutaj w opancerzonym autobusie i zaraz znikiała.

Rodzice zapewne otoczyli Maradonę większą ochroną, niż było to w przypadku większości jego kolegów, ale najwyraźniej i jemu nie zostały oszczędzone bolesne doświadczenia. Kiedy będzie potem wspominał dzieciństwo, brutalnemu światu Villa Fiorito przeciwstawi Corrientes, ziemię swych przodków. W Villa Fiorito, „gdzie trzeba się było posługiwać sprytem i instynktem, działy się złe rzeczy”. Natomiast w Corrientes Maradona odnajdywał spokój przyrody i prostolinijną uczciwość wiejskiej wspólnoty.

Jedna z tych „złych rzeczy” rozegrała się na początku lat siedemdziesiątych, kiedy grupa kolegów Maradony porwała i zgwałciła siedemnastoletnią dziewczynę. Ofiara, która w poszukiwaniu pracy przyjechała do stolicy z północy kraju, najpierw chciała oskarżyć sprawców, potem jednak wyjechała z Villa Fiorito i ślad po niej zaginął. Czy popchnęło ją do tego bolesne upokorzenie, czy może została przekupiona? Tego nikt nie wie, ale całe zdarzenie przez długie lata było trzymane w ścisłej tajemnicy.

Cokolwiek Maradona sądził o tych „złych rzeczach”, nie przeszkodziły jego rosnącej sławie jako piłkarza. To głównie dzięki niemu Cebollitas stali się jedną z najlepszych młodzieżowych drużyn w Argentynie, a o jej gwiazdzie noszącej na koszulce numer 10 mówiło się coraz więcej w piłkarskim świecie.

Maradona miał dopiero dwanaście lat, gdy pojawiła się pierwsza propozycja z wielkiego klubu pierwszoligowego, mistrza Argentyny, River Plate. Cornejo, mając silne poparcie rodziców Diega, stanowczo się sprzeciwił, podobnie jak działacze Argentinos Juniors, którzy uważali, że najlepiej na razie zachować go dla siebie, a sprzedać dopiero wtedy, gdy cena odpowiednio wzrośnie. Byli pewni, że żrebak, którym zaopiekował się dobry doktor Paladino, już wkrótce stanie się wyścigowym ogierem, ale na razie trzeba go jeszcze było trzymać pod kontrolą.

Ta wiara w Maradonę okazała się zupełnie zasadna. Osvaldo Dalla Buona, przyjaciel Diega z czasów dziecięcych, który grał razem z nim w Cebollitas, opowiada o entuzjazmie, który zaczął ogarniać całą drużynę.

Także dla nas wszystkich było to z wielkim pożytkiem, że River Plate nie zabrało nam Diega. Mieliliśmy okazję obserwować z bliska, jak rodzi się i wzbija gwiazda największego zawodnika w dziejach futbolu, przyglądać się jego niewiarygodnym wyczynom. Cała drużyna przeciwników trzęsła się przed nim ze strachu, wykonywał niemożliwe podania i strzelał niemożliwe gole. I choć był tak znakomity, dalej zachowywał się jak dobry kolega, potrafiący dodać otuchy i pomóc innym. Widziałem, jak dojrzewa mistrz; każdy mecz stawał się dla niego okazją, aby dowieść, że nikt nie może się z nim równać na boisku i poza nim.

A przecież już wtedy dawał czasami znać o sobie brak wewnętrznej dyscypliny, który miał się położyć cieniem na późniejszej karierze Maradony. Nie potrafił przegrywać. Pewnego razu, gdy Cebollitas zostali pokonani, rzucił się z płaczem na murawę, co było reakcją przypominającą rozpieszczonego dzieciaka, którego zachcianki zbyt długo spełniano bez szemrania. Dzięki staraniom jednej z wielbicielki Maradony, argentyńskiej pisarki Alicii Dujovne Ortiz, incydent ten stał się częścią legendy. Według Ortiz, do rozpaczającego Diega podszedł jakiś mężczyzna i powiedział: „Nie płacz, chłopcze. Kiedyś będziesz najlepszym numerem dziesięć na świecie”, po czym spełniwszy tę usługę anioła stróża, rozpląnął się w anonimowości, Maradona zaś natychmiast się uspokoił. Kiedy podczas innego meczu stracił cierpliwość, nie skończyło się to już tak łagodnie: sędzia, którego zaatakował, wyrzucił go z boiska.



*Diego z drużyną Cebollitas podczas Torneos Evita, argentyńskiej imprezy sportowej, 1973 r.*

W roku 1973 Cebollitas przegrali finałowy mecz młodzieżowych mistrzostw Argentyny, rozegrany w Córdoba na północy kraju, ale w następnym roku zostali już mistrzami. Po kilku miesiącach szefowie Argentinos Juniors podpisali z Maradoną pierwszy w jego życiu kontrakt, przyjmując go do pierwszej drużyny klubowej.

Klub założono w roku 1904, w czasach, gdy w odpowiedzi na rosnącą popularność futbolu wśród robotników powstawały jak grzyby po deszczu lokalne drużyny. Wielu z nich pracowało w zdominowanych przez Brytyjczyków gałęziach przemysłu – na przykład mięsnego – i uważało Anglików za aroganckich kolonizatorów, którzy albo piją herbatę, albo rozmyślają, jak by tu jeszcze bardziej wyzyskiwać pracowników. Pierwotne hasło klubu: „Zjednoczeni bojownicy wolności”, uznane za zbyt polityczne przez powstający Argentyński Ligowy Związek Piłki Nożnej, zostało zmienione na bardziej tajemnicze: „Męczennicy z Chicago”, co miało upamiętnić zastrzelonych w USA anarchistów.

Pod koniec pierwszej połowy lat siedemdziesiątych wszystkie działania kierownictwa klubu skupiły się na Maradonie. Ówczesny wiceprezes, Settimio Aloisio, wspomina:

Jedynym naprawdę obiecującym zawodnikiem był Maradona. Wszystkie nadzieje wiązaliśmy z tym chłopakiem, który z meczu na mecz grał coraz lepiej. Nie myśleliśmy o innych piłkarzach z drużyny, chociaż ten brak zainteresowania mógł im zaszkodzić.

Z okazji piętnastych urodzin Diego otrzymał symboliczne i finansowo wiele znaczące potwierdzenie tego, ile znaczył dla klubu: klucze do pierwszego godnego tego miana mieszkania, dużego na tyle, aby pomieścić całą rodzinę. Kilka tygodni wcześniej odkrywca Maradony, Trotta, odwiedził Cornejo z propozycją, by przygotować formalną umowę, dzięki której oni dwaj decydowaliby o przyszłości chłopaka. Doszło nawet do sporządzenia projektu przez zawodowego prawnika, ale ostatecznie Cornejo się nie zgodził, obawiał się bowiem, że nie da się tego pogodzić z relacją obopólnego zaufania, jaka zawiązała się między nim i chłopcem.

I Trotta, i Cornejo mieli pożałować tej decyzji, bo kiedy szefowie klubu za cichym przyzwoleniem rodziców Maradony zaczęli się troszczyć o powiększenie jego marketingowej wartości, obaj pierwsi opiekunowie Diega stali się zbędni jak wykorzystane bilety. Cornejo nigdy nie zapomni dnia, kiedy główny trener klubowy, Juan Carlos Montes, poinformował go, że Diego potrzebny jest do pierwszej drużyny. Cornejo miał nadzieję, że jeszcze rok będzie się opiekował chłopcem; jak każdy bez pamięci zakochany, nawet się nie zastanawiał nad dłuższymi terminami. Powiedział Montesowi, że to jeszcze za wcześnie dla Diega, i odwołał się do samego prezesa, Prospero Consolego. Była to przykra rozmowa: Cornejo ze łzami w oczach zaręczał, że dla przyszłości chłopca byłoby lepiej, gdyby jeszcze rok pograł w drużynie młodzieżowej, ale przed sobą miał człowieka, dla którego liczyły się przede wszystkim argumenty finansowe.

Poświęciłem temu dzieciakowi swoje życie, trenowałem go wtedy, kiedy formował się jako piłkarz, znałem go jako gracza lepiej od wszystkich innych... ale Consoli nic sobie z tego nie robił – żali się Cornejo. – „To ja jestem prezesem klubu, a ty wykonujesz moje polecenia”, powiedział.

I tak po raz pierwszy za plecami Diego Maradony zapadła decyzja o jego losie.

## PIERWSZE MIŁOŚCI

**O**TRZYMANIE MIESZKANIA, ZA KTÓRE nie musiał płacić czynszu, oznaczało punkt zwrotny w życiu przyszłego gwiazdora futbolu: raptownie został wciągnięty w dorosłość. W jednej chwili z otaczanego opieką najstarszego syna stał się głównym żywicielem rodziny, której życie zaczynało się kręcić wokół niego. Nie minął rok od przeprowadzki do Villa del Parque, spokojnej dzielnicy robotniczej, gdy Chitoro porzucił pracę w fabryce mączki kostnej, aby bez reszty zająć się sprawami syna. Radykalna zmiana sytuacji nie odmieniła ojca Diega. Trzymał się dawnych godzin pracy, po części z przyzwyczajenia, a po części za sprawą samodyscypliny. Nowe mieszkanie, którym się cieszył, stanowiło dla niego nie wyraz wyższego statusu materialnego, lecz możliwość przywrócenia rodzinie dawnej wiejskiej jedności, a także bliższych kontaktów z synem. Nadal zachowywał stoicką postawę; jeśli przychodziły trudne momenty, kiedy tylko mógł, wyrwał się do Corrientes, aby być jak najbliżej prostego życia.

W Tocie nowe warunki wyzwoliły instynkt posiadania. Nie ufała nikomu spoza wąskiego kręgu krewnych i przyjaciół, niechętnie zadawała się z obcymi, a kiedy już do tego dochodziło, wyraźnie dawała do zrozumienia, że za nic nie pozwoli sobie wydrzeć tego, co osiągnęła.

Wygląda na to, że od razu zapalała niechęcią do pierwszej oficjalnej dziewczyny Diega, ledwie tylko poczuła, że ta może być małym zagrożeniem dla matriarchalnej pozycji Toty w rodzinie oraz dla emocjonalnej zależności najstarszego syna od rodziców. Claudia Villafañe była sąsiadką Maradonów, gotową cierpliwie czekać, aż młodzieniec ze snów zaproponuje jej małżeństwo. Totę poznała przypadkiem w pobliskim supermarkecie, gdy tej zabrakło przy kasie jakiejś kwoty do zapłacenia rachunku. Stojąca za nią Claudia, cicha dziewczyna o prostym wyglądzie, zaoferowała brakujące monety. Tota przyjęła propozycję, wzięła nazwisko i adres dziewczyny i obiecała jeszcze tego samego dnia zwrócić dług. Jak powiedziała, tak zrobiła, i posłała Diega z pierwszą wizytą do nowych sąsiadów, Villafañów.

Mieszkanie, do którego wprowadzili się Maradonowie, było dość typowe dla tamtych czasów: sypialnie, kuchnia i łazienka wychodziły na wspólny dla całego piętra korytarz, co skazywało mieszkańców na niejaką wspólnotę. Nad jej zacieśnieniem pracował przede wszystkim ojciec Claudii.

Coco Villafañe był taksówkarzem i właścicielem lokalnej jadalni. Pochodził z trochę wyższej warstwy społecznej niż Maradonowie, ale od samego początku znajomości córki z ich synem wiązał nadzieje z nieuchronnym, jak sądził, finansowym sukcesem chłopaka, dlatego też wiele robił, aby więzy między młodymi się zacieśniły. Diego stał się częstym gościem u rodziny Villafañe, co Tota komentowała z rosnącą irytacją, gdy dowiedziała się, że za zgodą ojca dziewczyny młodzi zostają sami w jej pokoju. Nie było to książkowe narzeczeństwo. Męska wierność nie jest wysoko ceniona w argentyńskiej kulturze, a Diego, choć był wyjątkowy na boisku, nie różnił się od zdecydowanej większości kolegów, jeśli chodzi o stosunek do płci odmiennej. Po przenosinach do nowego mieszkania w czasie wolnym od piłki zaczął korzystać z uciech, które oferowało miasto. Jeden z jego ówczesnych przyjaciół opowiadał później:

Czasami wychodziliśmy większą grupą, czasami we czwórkę: Diego z Claudią i ja z moją dziewczyną. Bywało jednak, że robiliśmy sobie we dwóch wieczór kawalerski i szliśmy do którejś z dyskotek. Tańczyliśmy, podrywaliśmy dziewczyny, a potem, w zależności od sytuacji, któryś z nas zostawał z dziewczyną albo wychodziliśmy razem.

W towarzystwie oficjalnych dziewczyn Maradona i koledzy lubili chodzić do restauracji na owoce morza i żabie udka, ale podczas wieczorów kawalerskich droga najczęściej prowadziła na oświetlone czerwonymi żarówkami z okien ulice dzielnicy La Recoleta, nieopodal cementarza, na którym chowano zasłużonych i bogatych obywateli miasta.

Dostępne informacje pozwalają przypuszczać, że był to jeden z tych nielicznych okresów w życiu Maradony, gdy życie profesjonalne i prywatne biegły własnym torem, nie oddziałując na siebie negatywnie. To czas wielkiego zapachu na boisku, a także chęci, by dzięki zarabianym na nim pieniądзом jak najwięcej czerpać z życia, czemu z aprobatą przyglądali się rodzice, przyjaciele, działacze klubowi i trenerzy.

Nie jest jasne, w którym momencie zapadła decyzja, że szkolne wykształcenie i ojcostwo mogą być tylko przeszkodą na drodze piłkarskiej kariery Maradony, on sam jednak opowiadał, że już od bardzo wczesnych lat nauka była dla niego mniej ważna od gry, a rodzice nie robili mu z tego powodu wyrzutów. Wprost przeciwnie, Chitoro i Tota nieustannie powtarzali synowi, że ma zostać wielkim piłkarzem, bo ogromnie tego pragnęli. Jorge Trotta, kierowca, który pomógł skontaktować Maradonę z Cornejem, opowiada, że już jako czternastolatek Diego rzadko bywał w szkole. Zasepiony i odczuwający wyrzuty sumienia Trotta poszedł na rozmowę do dyrektora szkoły.

Znałem go, bo grał kiedyś w naszej drużynie, a kochał futbol tak jak ja – opowiada. – „Słuchaj, bardzo mi przykro, że tak jest z tą obecnością Diega, ale powinienś zobaczyć, jak on gra”, powiedziałem. Zaprosiłem go na sobotni mecz, obiecując, że zobaczy coś naprawdę niezwykłego. Przyszedł. Nasi wygrali cztery do zera, a Diego strzelił trzy bramki. Przy jednej wyminął slalomem kilku przeciwników, włącznie z bramkarzem, by na koniec razem z piłką wjechać do bramki. Po meczu dyrektor przyznał, że w życiu nie widział jeszcze czegoś podobnego. Do następnego czwartku Diego miał zaliczone wszystkie przedmioty, a dyrektor wręczył mi trzy podręczniki, żeby chłopak mógł się uczyć, nie zwracając sobie głowy przychodzeniem do szkoły. Do żadnego z nich Diego nie zajrzał.

**SPOŚRÓD ÓWCZESNYCH PRZYJACIÓŁ MARADONY** żaden nie odegrał takiej roli w jego karierze jak Jorge Cyterszpiller – jego pierwszy agent i menedżer. Poznali się, gdy Diego był już znaną postacią w Cebollitas. Cyterszpiller, dwa lata starszy od Maradony, mieszkał w lepszej niż on dzielnicy, dwie przecznice od stadionu Argentinos Juniors. Urodzony w Argentynie syn żydowskich emigrantów z Polski był otyły i wyraźnie kulał po przebytej chorobie Heine-Medina, na którą zapadł w dzieciństwie. W wieku kilku lat stał się oficjalną maskotką Argentinos Juniors. Zwykle stawał za bramką, podczas gdy jego atletyczny, starszy o dziesięć lat brat, Juan Eduardo, uganiał się po boisku. Ten miał dwadzieścia dwa lata, gdy podczas meczu zawodnik przeciwnej drużyny przypadkiem kopnął go z impetem w genitalia. Zmarł w wyniku rozległego krwotoku. Przez jakiś czas Jorge trzymał się z dala od boiska, całe dni spędzając w domu za spuszczoneymi żaluzjami. Na próżno rodzina i przyjaciele starali się wyrwać go z depresji, aż wreszcie pół roku po śmierci brata Jorge usłyszał od kolegi, że w Cebollitas gra chłopak, który potrafi wyczyniać z piłką cuda.

Zaintrygowany Cyterszpiller poszedł zobaczyć tego niezwykłego zawodnika i ten go oczarował. Niespodziewane przyspieszenia, panowanie nad piłką, balans ciałem, który zupełnie mylił przeciwników – wszystko to wyzwoliło w Jorge dawny entuzjazm do gry, który wygasł wraz ze śmiercią brata. Miłości do futbolu towarzyszyła fascynacja chłopakiem, który już zdążył przyćmić dużo od niego starszych i bardziej doświadczonych zawodników popisami w przerwach meczów dorosłych i występami przed kamerą. Niedługo potem Diego został zaproszony do domu Cyterszpillerów, gdzie najadł się za wszystkie czasy i zobaczył niedostępne w Villa Fiorito wygody: bieżącą wodę, gazową kuchenkę, lodówkę. Na Maradonie wrażenie zrobiła także życzliwość, z jaką od samego początku traktował go nowy przyjaciel, która być może wynikała z niedoskonałości fizycznej Cyterszpillera. Widząc, jak żydowscy emigranci potrafili urządzić się w Argentynie i jak ich syn potrafi radzić sobie w życiu mimo fizycznej ułomności, Diego zdał sobie sprawę, że nie istnieją takie przeciwności losu, których nie można pokonać.

Jorge Cyterszpiller nie tylko miał zdolności organizacyjne, ale także był zamożniejszy od większości znajomych Diega. Zapraszał go do kina, pokrywał rachunki w pizzerii, kupował mu coca-colę i ciastka. Dzięki kontaktom rodzinnym zorganizował bilety do hali Luna Park, gdzie na ringu zmagali się pacjenci doktora Paladino. Nie chodziło o wielkie wydatki: kino i jedzenie były tanie, bilety na mecze bokserskie dostawali gratis albo za pół ceny, gdyż ojciec Cyterszpillera znał dyrektora hali. Diego i Jorge podobnie jak ich rodacy uwielbiali kino, a zwłaszcza filmy z USA i Europy, z tych miejsc na świecie, gdzie marzenia się spełniały. Każdemu Argentyńczykowi, który wyglądał lepszego jutra, musiały zapaść w pamięć takie filmy jak *Gorączka sobotniej nocy* z Johnem Travoltą czy *Żądło* z Paulem Newmanem i Robertem Redfordem.

O ile Maradona zrezygnował ze szkoły na rzecz piłki, o tyle Cyterszpiller czytaniu i pisaniu poświęcał cały ten czas, który podobnie jak starszy brat oddałby futbolowi, gdyby nie warunki fizyczne. Kiedy Maradona znalazł się w Argentinos Juniors, Cyterszpiller zaczął studiować ekonomię na uniwersytecie w Buenos Aires. Chociaż poszli w życiu innymi drogami, nie rozdzieliło ich to; wprost przeciwnie – połączyło we wspólnym przedsięwzięciu, które miało wyznaczyć nową epokę w dziejach futbolu. Około roku 1976 Maradona i jego rodzina zaczęli dostrzegać, jak zmienia się ich świat. Na koncie bankowym stopniowo gromadziły się pieniądze, nad którymi jednak nie sprawowali kontroli, a miejsce lokalnych opiekunów w rodzaju Corneja zajęli ludzie bardziej ambitni i przebiegli. Dla rodziców Diega Cyterszpiller był tym z przyjaciół ich syna, który naprawdę znał się na pieniądzach.

Cyterszpiller widział, jak zmienia się sytuacja Maradonów. Szum w kręgach piłkarskich, coraz liczniejsze świadectwa popularności, zainteresowanie mediów, klucze do własnego mieszkania – wszystko to świadczyło o narodzinach gwiazdy. Jeszcze będąc w szkole, Cyterszpiller pracował dorywczo w biurze Argentinos Juniors, co pozwoliło mu zorientować się, jak funkcjonuje klub piłkarski i na czym polegają jego związki ze światem zewnętrznym. Powoli zaczęła dojrzywać w nim myśl, że da się wyżyć z futbolu, zwłaszcza że mógł to uzyskać dzięki przyjacielowi. Pod koniec roku 1976 Maradona i Cyterszpiller odwiedzili redakcję popularnego dziennika „Clarín”. Maradona przedstawił w wywiadzie Cyterszpillera jako przyjaciela, ale bynajmniej nie menedżera, co wyraźnie podkreślił. Tymczasem była to starannie zaplanowana dezinformacja, ponieważ obaj chcieli zapobiec wrogim poczynaniom, które mogły zakłócić stosunki między nimi. W istocie Maradona kilka tygodni wcześniej oficjalnie poprosił Cyterszpillera, aby zajął się jego sprawami finansowymi, a ten wyraził zgodę.

W tamtych czasach niełatwo było wystartować – wspomina Cyterszpiller. – W argentyńskim futbolu nie istniała wówczas taka funkcja jak agent, aczkolwiek w innych krajach był to już zawód jak wszystkie inne. Ja i Diego byliśmy wyczuleni na to, że takie rozwiązanie nie odpowiadało ludziom obawiającym się, że w ten sposób zgarniemy pieniądze, na które sami mieli ochotę.

Fakt jest faktem, że pośród przyjaciół i znajomych Diega nie brakowało takich, którzy nieufnie odnosili się do Cyterszpillera; po części stała za tym zazdrość, że lepiej od nich orientował się w regułach rządzących światem, po części – obawa, że ich idol i dobroczyńca oderwie się od środowiska, do którego należał od czasów Villa Fiorito, a to ograniczy możliwości korzystania z owoców jego sukcesu. Jeden z takich niechętnych Cyterszpillerowi przyjaciół z czasów młodzieńczych Maradony mówi:

Cyterszpiller od najmłodszych lat czekał na swoją szansę. Chciał trafić na świetnego piłkarza i zarobić na nim. I oto nadarzył się Diego.

Oceniając swoją rolę, Cyterszpiller woli słowo „powołanie” niż „oportunizm”; z dumą nazywa się pierwszym futbolowym agentem w Argentynie, który pokierował karierą Maradony, korzystając z doświadczeń innych i wypróbowanych przez nich sposobów. Dowiadywał się o nich, starannie studiując informacje prasowe i artykuły o ludziach jak Mark McCormack, który zarobił miliony, doglądając interesów takich sportowych osobowości jak Jack Nicklaus. Znając kilka języków, Cyterszpiller z łatwością zapoznawał się ze światem międzynarodowego sportu, zewsząd zbierając sugestie, jak najlepiej przysłużyć się przyjacielowi i klientowi, a w efekcie – samemu sobie. Aby pogłębić swą wiedzę, nawiązywał kontakty z doradcami wyszkolonymi przez takie firmy jak Price Waterhouse czy Arthur Andersen. „Moim celem – opowiadał – było stworzenie firmy, która w całości miała się zająć budową i propagowaniem image’u piłkarza”.



## 5 POLA ŚMIERCI

**D**WUDZIESTEGO PAŹDZIERNIKA 1976 ROKU, dziesięć dni przed szesnastymi urodzinami, jako najmłodszy w dziejach piłki nożnej zawodnik Maradona wystąpił w pierwszoligowej drużynie. Cała rodzina zjawiała się na meczu Argentinos Juniors z Talleres z Córdoba, aby na własne oczy zobaczyć, jak realizują się wyroki boskiej opatrności.

Maradona tak będzie później wspominał to wydarzenie:

Zawsze wiedziałem, że kiedyś stanę się wielki, ale nie sądziłem, że dojdzie do tego tak szybko... Pytano mnie, co czułem, widząc, że cieszę się takim uznaniem. No cóż, było to dla mnie spełnienie najdawniejszych marzeń, bo o grze w pierwszej lidze śniłem już wtedy, kiedy biegałem za piłką w mojej ukochanej Villa Fiorito.

Trener Argentinos Juniors, Montes, zdecydował się wpuścić Maradonę na boisko kilkanaście minut po rozpoczęciu drugiej połowy meczu. AJ przegrywali 0:1 i Montes nagle kazał się rozgrzewać siedzącemu na ławce rezerwowych Maradonie. Ten mógł wprawdzie marzyć o tym momencie przez całe życie, ale gdy teraz spojrzał na trybuny pełne gniewnych, sfrustrowanych kibiców, poczuł strach, że nie sprostą oczekiwaniom. Montes dostrzegł błysk lęku w oczach chłopaka, objął go po przyjacielsku ramieniem i powiedział: „Nie denerwuj się. Po prostu wyjdiesz i zagraasz, jak potrafisz. Potraktuj to jako zabawę”.

Maradona zaraz po wejściu na boisko odebrał piłkę grającemu kilka lat od niego dłużej przeciwnikowi, który nawet nie zdążył się połapać, jak do tego doszło. Od tej chwili gra Talleres skupiła się przede wszystkim na niewyszukanej, ale rzemieślniczo poprawnej obronie przed atakami Maradony, który robił, co mógł, aby pomieszać im szyki. Niestety, nie znalazł odpowiedniego wsparcia w kolegach z drużyny, którzy nie potrafili wykorzystać luk, jakie robił w defensywnych szykach rywali. W pewnej chwili obrońca Talleres zablokował dośrodkowanie Maradony w polu karnym. Diego podbiegł oburzony do sędziego i powiedział, że piłka została zagrana ręką, należy się więc rzut karny. Kapitan Argentinos odciągnął go ze słowami: „Zamknij się, szczeniaku, i rób, co każą starsi”. Talleres utrzymali wynik 1:0 do końca meczu.

Nie była to najbardziej fortunna inicjacja dla zawodnika chcącego zostać królem futbolu, chociaż nazajutrz lokalne gazety pisały, że być może rodzi się geniusz, którego trzyma na uwięzi mizéria całej reszty zespołu. Artykuł w „Clarín” kończył się słowami:

Wprowadzenie na boisko młodzieńczego Maradony zwiększyło siłę ofensywną zespołu, który jednak nie potrafił tego wykorzystać i zacząć kontrolować grę. Przyczyną było to, że ten niesłychanie zręczny zawodnik nie miał do kogo podawać, a jego starania kończyły się na podwójnych zasiekach Talleres.

Potrzeba było jeszcze kilku meczów, aby „spryt” Maradony chociaż odrobinę natchnęła resztę drużyny; w każdym z nich niezwykle zdolności chłopaka budziły zachwyt. Dzienniki wydłużały informacje sportowe, coraz więcej uwagi poświęcając wschodzącej gwiazdce. Eksperti byli zgodni w swych ocenach. Settimio Aloisio, wiceprezes Argentinos Juniors, Włoch z pochodzenia, który miał potem zostać jednym z najważniejszych piłkarskich agentów w Europie, zawsze uważał, że włączenie młodego Maradony do pierwszej drużyny było najlepszym posunięciem w dziejach klubu. Pod koniec sezonu, kilka tygodni po meczu z Talleres, Argentinos spotkali się z Newell's Old Boys z Rosario. Znowu zostali pokonani, ale Maradona nie miał ani jednego złego zagrania.

Robił podczas meczu rzeczy, na które stać tylko niewielu zawodników, ale najbardziej uderzyły mnie jego pewność siebie, determinacja, brak jakiegokolwiek lęku – wspomina Aloisio. – Po raz pierwszy grał w ekstraklasie pełne dziewięćdziesiąt minut, ale zachowywał się tak, jakby robił to już od pięciu, sześciu lat.

Entuzjazm, który Maradona zaczynał budzić wśród ludzi, był czymś kompletnie odmiennym od ponurej rzeczywistości kraju. Dwa tygodnie przed debiutem Diega w meczu z Talleres argentyński minister spraw zagranicznych, admirał César Guzetti, który przyjechał do Nowego Jorku, aby uczestniczyć w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, został osaczony przez zagranicznych dziennikarzy, którzy opierając się na własnych doświadczeniach i informacjach uciekinierów, oskarżyli argentyński rząd o brutalne i stałe łamanie praw człowieka. W marcu tego roku junta kierowana przez generałów Videlę i Lami Dozo oraz admirała Masserę przejęła władzę i natychmiast przystąpiła do systematycznej likwidacji przeciwników politycznych. Represje, które na początku uzasadniano rosnącą brutalnością lewicowego terroryzmu, w ciągu tygodni przybrały postać cenzury prewencyjnej, dekretów ograniczających działalność parlamentu i związków zawodowych, a także uprowadzania i torturowania tysięcy niewinnych ofiar, które nierzadko znikwały na zawsze. Byli pośród nich księża i nauczyciele, sprzedawcy, lekarze i dziennikarze. Ginęły dzieci, niekiedy znacznie młodsze od Maradony, czasami jeszcze w łonach matek. Przez cały czas najgorszych prześladowań rozgrywki piłkarskie toczyły się tak jak od lat, aczkolwiek w powietrzu wyczuwało się napięcie.

W maju 1976 roku, dwa miesiące po zamachu, pierwszoligowe kluby Estudiantes i Huracán grały w La Plata. Huracán, w którym występowali tacy piłkarze jak Ossie Ardiles czy René Houseman, miał jeden z najlepszych od lat sezonów. Pośród tysięcy widzów znaleźli się na stadionie także Gregorio Noya, trzydziestoosmioletni pracownik firmy aukcyjnej, oraz jego szesnastoletni syn, obaj kibice Huracánu. Ledwie zaczął się mecz, grupa zwolenników zwalczającej rząd tajnej organizacji Montonero wywiesiła sztandar na skraju trybuny fanów Huracánu i wypuściła balon ze swymi barwami. Flaga została zerwana przez ochronę, a w połowie meczu na stadion wkroczyła policja uzbrojona w ostre pociski. Jeden z nabojów przeszył płuco Noi; policja oskarżyła o jego śmierć lewicowych terrorystów, czemu zaprzeczali świadkowie, włącznie z synem zabitego.

Dwa dni później Noya został pochowany, a w pogrzebie uczestniczyło jedynie kilkoro krewnych i przyjaciół. Argentyńskie media bardzo niewiele uwagi poświęciły „przypadkowej” śmierci kibica piłkarskiego, do której doszło w trakcie starć „sił porządku” z „przestępczą organizacją”. Rozgrywki piłkarskie toczyły się dalej jak gdyby nigdy nic, a działacze i zawodnicy albo udawali, że nic nie wiedzą o „znikających” ludziach, albo niewiele ich to interesowało. Bardzo prawdopodobne, że w przypadku Maradony chodziło i o ignorancję, i o obojętność, niemniej jednak z pewnością przesadza, kiedy twierdzi, że nie miał pojęcia o represjach. Jak mówi, „nie miał wtedy czasu” na politykę, a o charakterze rządów wojskowych miał się dowiedzieć dopiero wówczas, gdy ich reżim upadł. Nawet kiedy po wojnie falklandzkiej w Argentynie znowu zapanowała demokracja, polityczne wypowiedzi Maradony były nieprzemyślane i nieprzekonujące. Brakowało mu i inteligencji, i wykształcenia, aby wyjść poza płaską populistyczną retorykę. Także zresztą i tutaj dawała o sobie znać częsta u niego rozbieżność między słowami a poczynaniami.

Bierność polityczna Maradony sprawiła, że przez wszystkie lata panowania junty nigdy nawet się nie zająknął o ludziach prześladowanych i ginących, z czego jednak nie wynika, że w ogóle nic nie robił czy milczał. Jego zachowania i słowa łatwo dawały się wykorzystywać przez wojskowych dyktatorów. Mimo śmierci Noi i zdarzających się incydentalnie na stadionach aktów protestu junta nie zamierzała nakładać żadnych ograniczeń na futbol, dopóki służył jej interesom i nie wymykał się spod kontroli. A tę kontrolę ogromnie ułatwiła FIFA, potwierdzając, że Argentyna będzie w 1978 roku gospodarzem mistrzostw świata, wydarzenia oglądane przez cały świat.

Mogło się wydawać, że trudno o osobę mniej nadającą się na sojusznika junty niż wyznaczony na trenera drużyny narodowej César Luis Menotti. Urodził się i wychował w Rosario, mieście znanym z radykalizmu politycznego. W latach sześćdziesiątych zarówno na boisku, jak i poza nim prezentował postawę hippisa. Wysoki, długowłosy, z łagodnym, sennym spojrzeniem, Menotti miał w grze swój własny styl: poruszał się wolno i elegancko. Niezbyt pasował do twardej obrony i gry na zasadzie „kopnij i leć”, którą uprawiały dwa czołowe wówczas argentyńskie zespoły: Racing i Boca Juniors. W 1967 roku wyjechał z kraju i przez jakiś czas grał w nowojorskich Generals, a potem w brazylijskim Santosie. Po krótkiej przygodzie dziennikarskiej powrócił w 1973 roku do piłki, zostając trenerem Huracánu. Właśnie wtedy zaczęły się polityczne niepokoje w Argentynie. Menotti

zyskał sławę osoby poruszającej się w radykalnych kręgach uniwersyteckich i mającej sympatie lewicowe. Gdy Huracán zdobył w tym samym roku mistrzostwo kraju, piłkarze triumfalnie maszerowali po boisku, a na trybunach bez przeszkód powiewały flagi ruchu Montoneros.

Trenerem reprezentacji Menotti został w roku 1974, kiedy Argentyna poniosła porażkę na mistrzostwach świata w Niemczech. Od roku panował znowu generał Perón, który powrócił do władzy przy wielkim powszechnym poparciu. Menotti był już w tym czasie bardzo znany za sprawą swych wypowiedzi na temat futbolu, broniących stylu, który jego zdaniem był własnym odkryciem Argentyńczyków, a wydał tak znakomitych zawodników, jak gwiazda Realu Madryt Alfredo Di Stéfano czy Omar Sivori z Juventusu. Nacisk kładł na elegancką technikę i instynkt gry, opartej na dryblingu i ofensywie. W artykułach i publicznych wystąpieniach Menotti wielokrotnie powtarzał, że jego misją jest przywrócić wielkość argentyńskiemu futbolowi. Był to język bardzo teraz potrzebny juncie. Kiedy wojskowi doszli do władzy, w programowym dokumencie obwieścili, że za swoje zadanie uważają „zduszenie wpływu obcych idei wywrotowych na argentyńskie społeczeństwo i przywrócenie chwały pojęciu państwa narodowego”. A czyż można to było łatwiej osiągnąć, niż wykorzystując futbol?

Jako człowiek, który potrafi poprowadzić drużynę Argentyny do mistrzostwa świata, Menotti był traktowany przez wojskowych nie jako przeciwnik, lecz jako taktyczny sojusznik. Menotti zastanawiający się, którzy zawodnicy mogliby zapewnić drużynie ostateczny triumf, wiedział, rzecz jasna, o wschodzącej gwiazdzie. Wkrótce po tym, jak objął reprezentację, doszły go słuchy o małym wielkim człowieku ze slumsów, piętnastolatku wykazującym niespotykane w takim wieku umiejętności. Uznał, że sam musi go obejrzeć, w związku z tym w październiku 1976 roku przyglądał się Maradonie debiutującemu w pierwszoligowym meczu z Talleres. Opinie mediów były nazajutrz dostatecznie entuzjastyczne, by przekonać Menottiego, że będzie się musiał gęsto tłumaczyć, jeśli nie znajdzie dla Maradony miejsca w swej drużynie.

W lutym 1977 roku, prawie rok po zamachu stanu, Menotti powołał Maradonę do zespołu, który na stadionie Boca Juniors, La Bombonerze, miał rozegrać towarzyski mecz z Węgrami. Dwa dni wcześniej przeprowadził z Maradoną rozmowę po treningu. Nalegał, aby Diego trzymał się jak najdalej od mediów, i obiecał, że jeśli zwycięstwo Argentyny będzie pewne, najprawdopodobniej wprowadzi go na boisko. Maradona posłusznie trzymał się z dala od dziennikarzy.

Jego późniejsza opowieść o tej niedzieli pokazuje, jak proste, wolne od osobistych problemów było jeszcze jego życie.

Bardzo mnie ucieszyły słowa Menottiego, ale czułem się spokojny. Chciałem wypocząć jak najlepiej, wstałem więc o jedenastej, wziąłem kąpiel i przez jakąś godzinę oglądałem telewizję. Zszedłem na dół, porozmawiałem trochę z chłopakami, potem wróciłem do pokoju i dalej oglądałem telewizję, aż nadeszła piętnasta trzydziści i trzeba było wyjeżdżać na La Bombonerę.

Dopiero kiedy pod stadionem autobus otoczyli kibice, Maradona poczuł zdenerwowanie. „Aż trudno uwierzyć, jaki strach może rodzić tłum”, skomentował to później.

Argentyna miała przewagę od samego początku i po czterdziestu pięciu minutach prowadziła 4:0 po golach Bertonego i Luqué. Już podczas przerwy kibice do wtóru bębnowi wznosili chóralny okrzyk: „Maradoona, Maradoona, Maradoona!”. Dwie minuty po rozpoczęciu gry Luqué strzelił piątego gola, dwadzieścia pięć minut przed końcem Węgrzy zdobyli jedyną bramkę. Menotti nie miał już nic do stracenia i mógł spełnić oczekiwania widzów. Maradona zastąpił nie byle kogo, bo samego Luqué. Nie czuł żadnego ciężaru, na ten moment czekał tak długo. Entuzjazm kibiców sięgnął szczytu. „Spokojnie, graj najlepiej, jak potrafisz, poruszaj się po całym boisku”, powiedział Menotti Diego Maradonie, który za chwilę miał zadebiutować w spotkaniu międzynarodowym.

Od pierwszej chwili Diego dał poczuć swą obecność na boisku. Dostał piłkę na swojej połowie, serią zwodów minął kilku Węgrów i dośrodkował na pole karne, ale ani Ardiles, ani Houseman nie zamienili podania w bramkę. Pięć minut przed końcem zagrał do Housemana, pognął przed siebie, tuż przed końcem pola karnego otrzymał podanie zwrotne i oddał potężny strzał, minimalnie chybiając. Kiedy mecz się skończył, znalazł się w objęciach kolegów; widzowie wiwatowali entuzjastycznie. Po

powrocie do domu z ojcem i Cyterszpilerem obejrzał raz jeszcze mecz w telewizji i miał zastrzeżenia do swojej gry.

W wywiadzie, którego udzielił Carlosowi Ferreirze z „El Gráfico”, po raz pierwszy dokonał szczegółowej analizy własnej gry.

Zrobiłem parę błędów. Podąłem do Bertonego, chociaż na drugim skrzydle był niekryty Felman. Usiłowałem okiwać Węgra, ale za słabo wypuściłem sobie piłkę. Tylko jedna rzecz mniej boli w telewizji niż na boisku: kiedy widziałem, jak jeden z nich mnie kopnął, chociaż piłka była gdzie indziej. Potem poszedłem spać. Nie, nic mi się nie śniło. Po prostu spałem smacznie jak nigdy dotąd.

Ale ten samokrytycyzm i chłód w ocenach miały potrwać niedługo. Trzystronicowy artykuł, który „El Gráfico” poświęcił Maradonie, nosił tytuł: *Mógłby jeszcze słuchać dobranocek, ale już oczekuje aplauzów*. Ferreira, jak widać, widział, jak niedojrzały jest jeszcze młody piłkarz, zarazem jednak ukazanie się tego artykułu oznaczało, że chłopak traci prawo do prywatności, wkracza w sferę publicznego zainteresowania z wynikającymi z tego naciskami i oczekiwaniami.

Do tych rosnących nacisków sam Maradona nawiązuje w jednym z wywiadów, których udzielił po meczu z Węgrami. Widać w jego słowach nie tylko determinację, aby osiągnąć sukces, ale także obawę, że to może go zniszczyć.

Kiedy byłem młodszy, trenowałem raz dziennie, teraz trenuję cały dzień. Nie, nie myślcie, że odwróciłem się od przyjaciół, ale prawda wygląda tak, że od meczu z Węgrami nie miałem nawet chwili, żeby się z nimi spotkać. Nie chciałem, żeby pomyśleli, że teraz czuję się już na to zbyt wielki, że się wywyższam.

Reporter, wyczuwając pewne napięcie w głosie Maradony, pyta, czy jest już zmęczony dziennikarzami, i słyszy w odpowiedzi:

Nie, nie, ale chodzi o to, że zagrałem raptem te kilkanaście minut, a tu zaraz zwaliły się na mnie radio, telewizja, gazety i wszyscy zadają te same pytania. To mnie męczy najbardziej. Przecież na razie jestem nikim, tak naprawdę mogę opowiadać tylko o moim dzieciństwie i moim idolu: Bochinim...

Widać zatem, jak nienaruszony jest pewien pokład niewinności, która pozwala mu nie oślepnąć w blasku reflektorów. W większości wywiadów z tego okresu słychać ten sam naturalny język, ten sam odrobinę niepewny głos co w dziecięcych występach przed kamerą. Mówił prosto, rzadko wykraczał poza ocenę swojej gry. Co nie stało na przeszkodzie temu, żeby w duszy Maradony coraz silniejsza była ambicja, by zagrać w reprezentacji podczas mistrzostw świata w 1978 roku. Byłby najmłodszym w dziejach Argentyny piłkarzem, który dostąpił tego zaszczytu.

**SELEKCJA NARODOWEJ DRUŻYNY OKAZAŁA** się bardzo trudna. Po poprzednich mistrzostwach świata wielu z najlepszych zawodników wyjechało z kraju, Menotti stanął więc przed niełatwym wyborem: czy starać się swoją wizję gry realizować przy wykorzystaniu krajowych piłkarzy, którzy musieliby dopiero dowieść swej międzynarodowej wartości, czy też ściągać gwiazdy z zagranicznych klubów i usiłować je dopasować do swojej koncepcji. Maradona nie brał udziału w większości towarzyskich meczów rozgrywanych przez reprezentację w roku 1977 i na początku 1978. Grał natomiast w drużynie młodzieżowej, dyskretnie obserwowany z dala przez Menottiego. Młodzieżówka argentyńska miała złą passę; Maradona nie potrafił ani zainspirować kolegów do lepszej gry, ani wznieść się ponad ich przeciętność. Drużyna nie przebiła się przez etap kwalifikacji południowoamerykańskich i nie wzięła udziału w rozgrywanym w Tunisie turnieju finałowym.

Reputację Maradony podtrzymywały występy w pierwszoligowym Argentinos Juniors. Dalej był pupilkiem publiczności i bohaterem lokalnych mediów. Ezequiel Fernández Moores, który niedawno ze świetnymi ocenami ukończył studia, a teraz próbował sił jako dziennikarz radiowy, należał do grona publicystów śledzących przygotowania Maradony do mistrzostw świata.

Nie ulegało wątpliwości, że sława Maradony jest już tak wielka, że góruje on pod tym względem nad potencjalnymi rywalami do reprezentacji. Nas w mediach interesował tylko on. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy jego występów, chcąc zobaczyć, czy potwierdzi w nich międzynarodowe aspiracje. Należał do zawodników, których Menotti zebrał w ośrodku treningowym pod Buenos Aires przed podjęciem ostatecznej decyzji w ich sprawie. Pamiętam, jakie napięcie towarzyszyło tym dniom, ile było żywych emocji. Zdawało się, że w Argentynie nie ma ważniejszych spraw od piłki nożnej. Nie można było – nie wolno było – rozmawiać czy pisać o czymkolwiek innym. W samym centrum dyktatury wszyscy zamieniali się w piłkarzy otoczonych przez żołnierzy.

To w takiej atmosferze rozbudzonych oczekiwań i nadziei Maradona dowiedział się od Menottiego, że ostatecznie nie znajdzie się wśród dwudziestu dwóch wybrańców. U cudownego dziecka od tak wielu już lat słuchającego pochwał ze strony starszych to odrzucenie przez ostatniego z „zastępczych ojców” musiało spowodować głęboki szok. Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, Maradona zamknął się w swoim pokoju i wybuchnął płaczem. Zdarzyło mu się to po raz drugi tego roku. Kilka miesięcy wcześniej łkał razem z matką, dowiedziawszy się, że nie został wybrany na Sportowca Roku. Podobnie jak wtedy, pograżył się w rozpacz połączoną ze zwątpieniem w siebie, co sprawiło, że do głowy przychodziły mu najdziksze myśli. Przysięgał, że nigdy nie wybaczy Menottiemu i więcej nie zagra już w piłkę. Czuł się okropnie i fizycznie, i psychicznie, zupełnie jakby został zniecka zaatakowany przez ukochaną osobę. Wydobył się z tej depresji dzięki ojcu, który zawsze był w pobliżu, ilekroć kariera Diega stawała na rozdrożu, oraz zachętom przyjaciela, a od niedawna partnera w interesach – Cyterszpilera. Ten instynktownie wiedział, że z pustym żołądkiem wszystko wygląda znacznie gorzej. Zamówił kilkanaście pizz i rozmawiali we trzech aż do piątej nad ranem. Pośród łez, uścisków i żarliwych zapewnień ojców i przyjaciół przekonali Diega, że to tylko przegrana bitwa, a Menotti gorzko pożałuje swojej decyzji. Przed nimi wciąż wiele walk o wielkie stawki; Diego jest młody, czekają go jeszcze liczne i wspaniałe sukcesy. Ponadto ma za sobą serca Argentyńczyków. Kilka dni później w meczu z drużyną Charait Maradona strzelił dla swego klubu trzy bramki, włącznie z ostatnią, zwycięską.

Dlaczego Menotti podjął tak ryzykowną decyzję? W rozmowie ze mną tłumaczył, że uznał, że Maradona jest za młody i fizycznie, i psychicznie, aby uporać się z ewentualną porażką. Reakcja Diega na jego decyzję mogłaby potwierdzać tę obserwację.

Potrąfisz sobie wyobrazić, co by się stało, gdybyśmy przy tych rozbuchanych emocjach przegrali? – spytał mnie Menotti. – A do tego łatwo mogło dojść, bo znaleźliśmy się w grupie z Francją Platinięgo, Włochami i Węgrami.

Dodał również, że badania lekarskie wykazały, że system mięśniowy Maradony ciągle się jeszcze rozwijał. „Jeden przypadkowy faul, a chłopak byłby unieszczęśliwiony do końca życia”, dodał. I wreszcie kłopotem Menottiego był zbyt duży wybór. Nie brakowało talentów i jego zdaniem Maradona powinien jeszcze poczekać i wykazać, że jest najlepszy.

Faworytem Menottiego był wówczas nie Maradona, lecz Mario Kempes. Kiedy w sierpniu 1976 roku Kempes opuszczał Argentynę, aby grać w Valencii, Menotti ubolewał nad stratą „jedynego w mojej drużynie niezastąpionego zawodnika”.

Argentyńska piłka mocno odczuje tę stratę – twierdził. – To prawie niemożliwe znaleźć w ciągu dwóch lat równie młodego zawodnika o podobnych umiejętnościach i doświadczeniach reprezentacyjnych.

W przeddzień mistrzostw świata entuzjazm Menottiego dla Kempesa był ciągle na tyle wielki, że będący pod ręką głodny sukcesu Maradona nie stanowił dla Kempesa zagrożenia. Kilka tygodni przed rozpoczęciem mistrzostw Menotti umówił się na kolację z Alfredem Di Stéfano. Dawny zawodnik Realu Madryt, cieszący się w futbolowym świecie ogromnym prestiżem, powiedział, że już od wielu lat nie widział piłkarza o takim twórczym potencjale jak Kempes. Nie tylko uchronił Valencię przed spadkiem z ligi, ale też sprawił, że przez chwilę mistrzostwo Hiszpanii wydawało się w jej zasięgu. „Nie ma w tej chwili na świecie piękniejszej maszyny do gry”, powiedział słynny mistrz.

Oprócz Kempesa w drużynie znaleźli się inni dobrzy zawodnicy o międzynarodowym doświadczeniu, jak Villa czy Alonso, a mimo to decyzja Menottiego o wykluczeniu ze składu Maradony rzuciła cień na nadciągające mistrzostwa. Settimio Aloisio był tak pewien wyboru Diega, że zjawił się na obozie treningowym, aby odnowić z nim klubowy kontrakt z Argentinos Juniors.

Byłem przekonany, że znajdzie się w reprezentacji i zagra tak dobrze, że po powrocie zażąda za ewentualne pozostanie w klubie sumy, na którą nie będzie nas stać – wyjaśnił. – Musiałem się z nim skontaktować, zanim znajdzie się poza moim zasięgiem.

Dostępu do Maradony bronił Ricardo Pizzarotti, trener, praktycznie drugi człowiek po Menottim. Aloisio miał jednak cichego sojusznika, doktora Rubena Olivę, lekarza reprezentacji, z którym udało

mu się porozmawiać, podczas gdy Menotti i Pizzarotti byli z drużyną na zamkniętym dla widzów treningu.

Doktorze – powiedziałem – musi mi pan wyświadczyć wielką przysługę. Niech pan jakoś wyciągnie Diega spod wzroku Pizzarottiego, tak żebym mógł chwilę porozmawiać z nim na osobności. Jeśli mi się nie uda, będzie to oznaczało katastrofę dla klubu.

Słowa te były prawdziwą muzyką dla uszu lekarza. Nie miał żadnych zobowiązań wobec Argentinos Juniors, Maradona był mu dość obojętny, ale w trakcie przygotowań do mistrzostw zapałał prawdziwą nienawiścią do Pizzarottiego, z którym nieustannie spierał się o metody treningowe i formę fizyczną zawodników. Co więcej, bardzo go dotknęło to, że za sprawą Pizzarottiego miał teraz mniejszy wpływ na Menottiego. Oliva, lewicowy intelektualista, uważał się za duchowego mentora Menottiego i twierdził, że to on natchnął selekcjonera radykalnymi ideami politycznymi i nową wizją argentyńskiego futbolu. Miał nadzieję, że mała konspiracja pomoże mu kopać dołki pod Pizzarottim, a w efekcie odzyskać utraconą pozycję. W przerwie treningu, gdy Pizzarotti był zajęty rozmową z zawodnikami, Oliva po cichu wziął Maradonę na bok i zaprowadził do Aloisia. W rozmowie z nim Diego zgodził się przedłużyć kontrakt. Była to pierwsza z intryg, małych i dużych, którymi miała być opleciona dalsza kariera Maradony.

Tydzień później Aloisio umówił się z Menottim, żeby porozmawiać o składzie drużyny na mistrzostwa. Argumentował, że Maradona ma największy ze wszystkich potencjał: dowiódł już swych możliwości, które z pewnością jeszcze bardziej się ujawnią podczas turnieju mistrzowskiego. Menotti nie zgadzał się, podkreślał, że Maradonie brak jeszcze dojrzałości, i wskazywał, że zawodnik, na którego się zdecydował w jego miejsce, Alonso, może przyciągnąć większe tłumy, gra bowiem w bardziej znanym klubie, River Plate, na którego stadionie zostanie rozegrany mecz finałowy.

W opinii osób, które z bliska przypatrywały się wówczas argentyńskiej drużynie, Menotti miał też inne – bardziej osobiste – powody, by nie stawiać na Maradonę. Był przekonany, że zdobędzie mistrzostwo świata, a jako człowiek o bardzo rozbudowanym ego chorobliwie wręcz lękał się, że ktoś mógłby uszczknąć cząstkę sławy, jaka by na niego w tym przypadku spłynęła. Ciągle miał jeszcze w pamięci towarzyski mecz z Węgrami, gdy przez zbiorowy ryk został niemal zmuszony do wypuszczenia Maradony na murawę.

Menotti uważał mistrzostwa świata za swą wielką szansę – wspomina Fernández Moores. – Nie mógł znieść myśli, że ktokolwiek mógłby go przyćmić, dlatego też lękał się Maradony i jego możliwego wpływu na zespół.

Opinię tę podziela doktor Ruben Oliva, który pracował z Menottim w Huracanie, a teraz należał do ścisłego sztabu prowadzącego przygotowania.

Menotti miał obsesję na punkcie Maradony – powiedział. – Nie przeżyłby, gdyby w jego pobliżu znalazł się ktoś choćby równy mu znaczeniem, nie mówiąc już o tym, że przewyższałby go. Nie mógł też pozwolić, by ktokolwiek wpływał na jego decyzje, oznaczałoby to bowiem utratę autorytetu.

**OSTATECZNIE ROZGRYWKI O PUCHAR ŚWIATA 1978** przyćmiły kontrowersje wokół Maradony i stały się jednym z najbardziej wykorzystywanych politycznie wydarzeń sportowych. Junta, która po rozpętanych prześladowaniach nie musiała się liczyć z głosami opozycji, korzystając z porad udzielanych przez amerykańską firmę Burson & Marsteller, specjalizującą się w public relations, zrobiła wszystko, by występ argentyńskiej drużyny pokazać jako wyraz wielkości i dyscypliny narodu. W kraju szalejącym na punkcie futbolu juncie udało się wszystkie emocje połączyć z trenerem i reprezentacją. Dopiero kiedy było już po wszystkim – skończyły się morderstwa, a junta odeszła – Menotti przeprosił za to, że odniósł zwycięstwo, które pomogło generałom. W roku 1986 napisał poniższy tekst, w którym wypowiadał się nie tylko w swoim imieniu, ale także wszystkich zawodników, którymi się opiekował, w tym i Maradony.

Wielu ludzi może powiedzieć, że poprowadziłem drużynę w czasach dyktatury, gdy Argentyną władał rząd, z którym nie tylko nie miałem nic wspólnego, ale też który na dodatek postępował w sposób przeczący moim zasadom życiowym. A ja zadaję sobie pytanie, jak powinienem był wówczas postąpić. Trenować drużynę tak, by grała źle, oprzeć wszystko na jakichś sztuczkach, zawieść ludzkie nadzieje? Nie, oczywiście, że nie... Wszyscy wiedzieliśmy, że gramy dla całego narodu, który potrzebował wtedy

punktu startowego, aby wspólnie zacząć robić coś innego... Pragnęliśmy grać jak najlepiej, chcieliśmy bowiem dać ludziom widowisko, na które sobie zasłużyli. Dać im, jeśli się uda, zwycięstwo, a przynajmniej prawdziwą czystą radość z oglądania wielkiej piłki nożnej. W dzień finału powiedziałem zawodnikom: „Wychodząc na boisko, patrzcie na ludzi. Nie na szychy na głównej trybunie, ale na tych wszystkich na stadionie – na naszych ojców, matki, przyjaciół, ale także na wszystkich innych, którym jesteśmy to winni: spawaczy, rzeźników, piekarzy, taksówkarzy”.

Ani słowem nie wspomniał Menotti o tym, jak jego zawodnicy, przygotowując się do mundialu, starali się wyzwolić od starych obyczajów. Jeden z lekarzy opowiadał mi, że w 1978 roku cała reprezentacja Argentyny „faszerowała się prochami na potęgę”. Podjął walkę, aby z tym skończyć, ale udało mu się to tylko częściowo. Piłkarze regularnie dostawali amfetaminę podczas rozgrywek ligowych, a w trakcie mistrzostw świata reżim przy pobieraniu próbek moczu nie był ścisły. FIFA miała dopiero wypracować efektywny system kontroli antydopingowej, a argentyńskim działaczom udało się zyskać pewność, że w przypadku każdego z ich zawodników wynik nie będzie pozytywny. Kozłem ofiarnym został tylko Szkot, Willie Johnston, którego – po wykryciu śladów niedozwolonych substancji – w niesławie odesłano do domu i zdyskwalifikowano na rok. Żeby szybciej się poruszać, zażył dwie tabletki fenkamfaminy. Tymczasem są świadkowie twierdzący, że po jednym z meczów na mundialu Kempes i Alberto Tarantini byli na takim haju, że dopiero godzinę po zakończeniu meczu zeszli na niższe obroty. Jeden z graczy zamiast próbki swojego moczu dał do badania mocz ciężarnej żony jednego z pracowników technicznych. Kiedy w listopadzie 1995 roku spytałem o to Menottiego, z oburzeniem odrzucił wszelkie sugestie, jakoby jego zawodnicy przyjmowali zabronione substancje. Kempesa nazwał „jednym z najczyściej grających piłkarzy, jakich miała kiedykolwiek Argentyna”, wskazał też na późniejszą długą karierę Ardilesa, Bertonego, Galvana, Olguina, Luqué i Pasarelli.

Zawodnik na dopingu nie przetrwa dłużej niż trzy lata. Potem jest już skończony, to zupełny wrak. Moja drużyna grała lepiej niż jakakolwiek inna reprezentacja Argentyny.

## 6 CHŁOPIEC JUNTY

ZDOBYCIE W 1978 ROKU PRZEZ Argentynę Pucharu Świata napełniło juntę iluzorycznym przekonaniem, że i ona jest nie do pokonania. Generałowie i admirałowie umocnili się jeszcze w wierze, że za pośrednictwem futbolu mogą kontrolować naród. Po mundialu zawodnikiem, który znalazł się w centrum ich zainteresowań, był Diego Maradona. Nie walczył wprawdzie w mistrzostwach, ale coraz bardziej stawał się narodową instytucją; jego nazwisko huczało na stadionach, a osoba budziła entuzjastyczne zaciekawienie reporterów wszelkiej maści. Przygnębiecie spowodowane decyzją Menottiego nie trwało długo. Z całą tą niezwykłą pasją, która tyle razy w trakcie kariery Diega okazywała się jego ratunkiem, niepomny rozczarowania, pracował nad osiągnięciem sukcesu, który, jak się wydawało, był mu pisany od samego dzieciństwa.

Zaskakująco spokojny, pewny siebie, ale i dojrzały fizycznie, poprowadził swą drużynę przez rundę kwalifikacyjną do młodzieżowych mistrzostw świata. W jednym z meczów, z uwagą obserwowanym przez południowoamerykańskie media, Argentyna pokonała Peru 4:0. Brazylijscy dziennikarze orzekli, że tak dobrego piłkarza nie widzieli „od czasów Pelé”.

Menotti, który stał się wręcz bohaterem narodowym, mógł już odłożyć na bok osobiste uprzedzenia i dać cudownemu dziecku kolejną szansę po tym, jak tak brutalnie mu ją odebrał. Pół roku po zdobyciu przez Argentynę Pucharu Świata znowu powołał Maradonę do reprezentacji na serię meczów towarzyskich i oznajmił mediom, że przez ostatni rok dzieciak z Villa Fiorito „nabrał odpowiedniej dojrzałości i ma teraz wszystkie możliwości, aby zostać wspaniałym piłkarzem”. Co więcej, bez żadnego skrępowania powtarzał, że nigdy nie wątpił w to, że Maradona może zostać jednym z największych graczy w dziejach futbolu.

Pojawił się szesnastoletni piłkarski następca tronu – powiedział. – Zawsze byłem przekonany, że któregoś dnia sięgnie po koronę, wcześniej zarezerwowaną dla Di Stéfano, Cruyffa czy Pelé.

W czerwcu 1979 roku brytyjscy widzowie mogli po raz pierwszy zobaczyć na własne oczy wschodzącą gwiazdę na stadionie Hampden Park w Glasgow. Osiemnastoletni Maradona, rozgrywając swe piąte międzynarodowe spotkanie, dopomógł w zwycięstwie nad Szkocją 3:1. Alex Montgomery z „The Sun” w taki sposób opisał gola, który wprawił w osłupienie sześćdziesiąt dwa tysiące widzów na stadionie:

Maradona znalazł się z piłką na lewym skrzydle, otoczony półkolem przez trzech szkockich obrońców, z czającym się za nimi bramkarzem George'em Woodem. Całą serią zwodów zmylił obrońców, a kiedy Wood szykował się, by sparować strzał, piłka zniemacka śmignęła między nim a lewym słupkiem.

Potem nie tylko nazwał Maradonę najlepszym argentyńskim piłkarzem, ale też naturalnym następcą Pelé na szczytach światowej hierarchii piłkarskiej. Szkocki internacjonał Denis Law nazwał tę bramkę najpiękniejszą, jaka kiedykolwiek padła na Hampden Park, i dodał:

Maradona ma wszystko. Nie istnieje taki element gry, przy którym można by mu coś zarzucić. Jest silny, odważny i utalentowany, ale pracuje też dla całej drużyny.

Potem w Tokio Maradona zdobędzie z argentyńską drużyną swój pierwszy tytuł mistrza świata, na razie młodzieżowego. Zwycięstwo będzie świętował wraz z ojcem i Cyterszpilerem, którzy także wyprawili się do Japonii. Cała trójka uznała, że to przełomowy moment w karierze Maradony, a sukces znacznie podwyższy jego wartość handlową. Sukces ten potrafiła też w pełni wykorzystać junta. Turniej w Tokio zbiegł się z wizytą w Buenos Aires grupy delegatów Organizacji Państw



Amerykańskich, którzy mieli się zapoznać ze stanem poszanowania praw człowieka w Argentynie. Władze uprzedziły dziennikarzy, aby nader powściągliwie potraktowali wizytę komisji z OPA, a zarazem wykorzystały falę nacjonalistycznych uniesień, które przyszły po zdobyciu młodzieżowego mistrzostwa świata. Z powodu różnicy czasu końcowy gwizdek rozbrzmiał godzinę przed otwarciem przez przedstawicieli OPA nieopodal pałacu prezydenckiego biura, w którym można było zgłaszać informacje o zaginionych osobach. Z jednej strony trwały więc przygotowania do gromadzenia danych, z drugiej – na ekranach telewizorów w całym kraju rozbłysły napisy znane z 1978 roku: ARGENTYNA MISTRZEM!, a z głośników popłynęły wezwania, aby wszyscy porządni obywatele dali na ulicach wyraz swemu „szczęściu”.

Reporterzy z popularnej, starannie kontrolowanej przez juntę popołudniówki „La Razón” natychmiast udali się do domu Maradonów, aby przeprowadzić wywiad z Totą, zanim ta wystąpi w państwowej telewizji. Otoczona przez tłum sąsiadów, Tota powiedziała, że syn dzwonił do niej każdego dnia turnieju. „Ostatnim razem powtórzył swoją obietnicę: Nie martw się, mamu. Zdobędziemy ten puchar”. Stojąca obok niej onieśmielona Claudia Villafañe wybąkała: „Znam Diega bardzo dobrze i wiem, jak bolesne są dla niego porażki. Wyobrażam sobie, jak oni tam teraz muszą świętować”.

Przed występem w telewizji Tota udała się do fryzjera. Wścibscy dziennikarze podejrzeli tam wybuch emocji równie silnych jak te, które nawiedzały jej syna. Siedząc pod suszarką, kobieta rozszlochała się i spazmy płaczu przerywała krzykami pod adresem żurnalistów, aby dali jej wreszcie spokój i się wynieśli. Po południu, spokojna już, uśmiechnięta i ożywiona, wystąpiła w jednym z najpopularniejszych programów telewizyjnych. Z miną udzielnej królowej wzniosła szampanem toast za sukces syna.

Ważnym uczestnikiem wielkiego widowiska na cześć Maradony był José María Muñoz z radia Rivadavia, najchętniej słuchanej w kraju stacji radiowej. Muñoz, gorący zwolennik junty, której zawdzięczał swą pozycję, miał wielkie grono fanatycznych słuchaczy, którzy uwielbiali jego pełne pasji sprawozdania z meczów, a także wiedzę o piłce nożnej. W dniu tokijskiego triumfu Muñoz zaczął jak szalony wołać do mikrofonu, aby wszyscy zebrali się na Plaza de Mayo i „pokazali tym facetom z Komisji Praw Człowieka, jaka naprawdę jest Argentyna”. Niemal natychmiast przed biurem zebrał się tłum skandujący nazwisko Muñoz, który zresztą niebawem też się zjawił. Rozentuzjasmowani wielbiciele wzięli go na barki i zaczęli triumfalnie obnosić po placu. Gdy po jakimś czasie wrócił do rozgłośni, okazało się, że pod naciskiem władz jego hasło zostało podchwyczone przez innych reporterów radiowych i telewizyjnych, pośród których znalazł się też José Gómez Fuentes, który trzy lata później będzie głównym propagandzistą wojny o Falklandy.

Pośród tysięcy, które zbiegły się na Plaza de Mayo, byli uczniowie szkół średnich i robotnicy – jedni zwolnieni z lekcji, drudzy z pracy – dowiezieni na miejsce podstawionymi przez policję samochodami. Natomiast matki i żony zaginionych, z charakterystycznymi białymi opaskami na głowach, od samego rana cierpliwie czekające pod wejściem do biura, zostały otoczone przez złowrogą zgraję potrzęsającą flagami, walącą w bębny, dmącą w trąbki i przekrzykującą się na wyścigi: „Maradoona, Maradoona!!!”. Francuski reporter Jean-Pierre Bousquet nazwał to „najbardziej haniebnym wydarzeniem w dziejach argentyńskiego dziennikarstwa radiowego i telewizyjnego”.

Propagandowy show nie skończył się bynajmniej na tym. Nie trzeba było długo czekać, by wszędzie rozbrzmiały słowa Maradony, który dziękował narodowi za entuzjazm, a wojskowym władzom za gratulacje. Po powrocie do Buenos Aires drużyna została przyjęta w Casa Rosada, gdzie pod okiem czujnych kamer za zwycięstwo podziękował sam generał Videla.



Dzień przysięgi, 1979 r.

Aby nie pozostawić najmniejszej wątpliwości, że Maradona jest częścią wielkiego narodowego przedsięwzięcia, szef sztabu wojsk lądowych wysłał do niego i Menottiego opublikowany w prasie telegram, w którym przypominał, że również i na Maradonie ciąży obowiązek obrony ojczyzny, dlatego kiedy już skończy się celebrowanie mistrzostwa, ma jak wszyscy rówieśnicy stawić się do poboru. Jak Argentyna długa i szeroka, wszyscy mogli oglądać w telewizji krótko ostrzyżonego, odzianego w mundur Maradonę składającego wojskową przysięgę. I do tego jego pobyt w armii się ograniczył, ludzie z junty dobrze bowiem wiedzieli, że więcej będą z niego mieli pożytku na boisku niż w koszarach. Zwolniono go podczas kolejnej nagłośnionej uroczystości. Dowódca oznajmił:

Naród potrzebuje cię, młody człowieku, chce, byś spożytkował swój wyjątkowy talent sportowy, a ciężką pracą na treningach i na boisku włączył się do zbiorowego wysiłku. Możesz i powinieneś świecić przykładem. Z racji swej popularności możesz i powinieneś stać się wzorcem do naśladowania dla wszystkich twoich rówieśników.

**W**KRÓTCE PO POWROCIE MARADONY z Tokio w całym kraju, nie tylko na stadionie Argentinos Juniors, zaczęto powtarzać jedno z tych haseł, które stanowiły element podgrzewanej przez juntę i jej popleczników nacjonalistycznej hysterii. Do wtóru bębnom, z regularnością okrzyków wznoszonych podczas tańca wojennego, rozbrzmiewało na widowniach: *Maradona, no se vende, Maradona, no se va, Maradona es Patrimonio Nacional!* („Maradona nie jest na sprzedaż, Maradona nie wyjedzie, Maradona jest własnością narodu!”).

Z największym zapałem i największą zawziętością hasło to wykrzykiwali *barras bravas*, mający argentyński własny wkład do kultury chuligaństwa. Były to grupy bezrobotnych, często bezdomnych mężczyzn, którzy, organizowani przez działaczy klubowych, na ich polecenie podejmowali akcje korzystne dla władz wojskowych, w zamian za co otrzymywali jedzenie, zwrot kosztów przejazdów,

a także darmowe bilety na mecze piłkarskie czy inne wydarzenia, podczas których ich aktywność uznawano za potrzebną. Jednym z pierwszych obiektów napaści stali się krewni zamordowanych i zaginionych biorący udział w publicznych demonstracjach przeciw władzom. *Barras*, występujący jako oburzeni przedstawiciele klasy robotniczej, często nie ograniczali się do wyzwisk i nie cofali przed przemocą.

Nie ulega wątpliwości, że w przypadku wystąpienia na rzecz pozostania Maradony w kraju chodziło nie tyle o podgrzewanie „ducha narodowego”, ile o korzyści materialne, które zostałyby zagrożone, gdyby Maradonę sprzedano do jakiegoś zagranicznego klubu. Tu na plan pierwszy wysuwa się Prospero Consoli, prezes Argentinos Juniors, który po młodzieżowych mistrzostwach świata w 1979 roku dokładał wszelkich starań, aby maksymalnie wydłużyć kontrakt wiążący Diega z klubem. Przez większość zawodowego życia Consoli nadzorował produkcję mundurów dla argentyńskiej armii i dochrapał się pensji oraz bonusów, jakich trudno byłoby się spodziewać po skromnym stopniu kaprała. Teraz był już oficjalnie na emeryturze, natomiast pozostawał wartościowym agentem junty w świecie futbolu. Całkiem niedawno tytularnym prezesem Argentinos Juniors uczynił generała Guillermo Suáreza Masona, który miał zadbać o finansowe interesy klubu. Suárez Mason nie wyróżniał się może wiedzą o sporcie i jego umiłowaniem, natomiast tam, gdzie chodziło na przykład o *barras*, czuł się jak ryba w wodzie. Spośród najwyższych oficerów nikt bardziej nie zasłużył się w dziedzinie łamania praw człowieka, niewiele też osób ustępowało mu na polu korupcji. Sam wyznaczył siebie do rad nadzorczych kilku firm państwowych, włącznie z monopolistą paliwowym Yacimientos Petrolíferos Fiscales oraz krajowymi liniami lotniczymi Austral. Miliony płaconych przez podatników dolarów przepływały z rachunków tych firm na prywatne konta bankowe albo służyły do finansowania przedsięwzięć, których jedynym uzasadnieniem było to, że korzystali na nich stojący w cieniu faworyci junty.

Podróżując helikopterem YPF, generał często odwiedzał biura Argentinos Juniors i poświęcał uwagę między innymi dalszej karierze Maradony. Suárez Mason, demagog, który zarazem czujnie obserwował, skąd może pojawić się zagrożenie dla jego pozycji, aby upредить je własnymi posunięciami, zaraz po zakończeniu młodzieżowych mistrzostw świata zadbał o to, aby z Austral przelano na konto Argentinos Juniors dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, dzięki czemu klub mógł zaspokoić oczekiwania swojej gwiazdy. Jeden z punktów podpisanego kontraktu przewidywał, że Maradona będzie pokazywał się w T-shircie i czapce z emblematem linii lotniczych, co zresztą nastąpiło już podczas szeroko upublicznionej ceremonii podpisywania umowy.

Niewiele wskazuje na to, że ten pierwszy z reklamowych pokazów, w których Diego miał potem wielokrotnie uczestniczyć, jakoś radykalnie poprawił finansową sytuację Austral, natomiast wpłynął chyba negatywnie na wizerunek jednego z najpopularniejszych w kraju sportowców. „Crónica”, jedna z najpoczytniejszych argentyńskich popołudniówek, w artykule na pierwszej stronie zaatakowała kontrakt Maradony z Austral i chociaż – aby nie narazić życia dziennikarzy – słowem nawet nie wspomniano o związkach linii lotniczych z Suárezem Masonem, to łatwo było się domyślić, jak bardzo piłkarz stał się marionetką w rękach wojskowych. *Anioła futbolu nie można wpychać w kostium przebierańca!*, wołał tytuł. Dalej mowa była o tym, że w reklamowym stroju Maradona wygląda nie jak piłkarz, lecz jak astronauta czy kierowca wyścigowy, a wszystko tylko dla kilku dolarów więcej. *Winę za to oczywiście ponosi konsumpcyjne społeczeństwo, liczące na zysk z zainwestowanych kapitałów. Sam Maradona pozostaje czysty jak dotąd.*

To nie do końca było prawdą. Jak zwrócono uwagę już w „Crónice”, Maradona zaczął się wypowiadać na tematy mało związane z futbolem i jego obowiązkami jako piłkarza. Niedługo po podpisaniu umowy z Austral oświadczył:

Dopiero teraz, gdy dostałem zaszczytu, by służyć ojczyźnie jako żołnierz, zacząłem w pełni rozumieć, ile znaczy niepodległość narodu. Ona jest wszystkim. To moja ojczyzna, która jest dla mnie tym, czym rodzina... A jeśli któregoś dnia przyjdzie naszej armii bronić niepodległości, do walki stanie także szeregowiec Maradona, bo przede wszystkim jestem Argentyńczykiem.

To słowa jakby żywcem przepisane z broszury wojskowej czy publicznego wystąpienia kogoś w rodzaju Suáreza Masona czy Consolęgo. Był to czas, gdy argentyńskie siły zbrojne w kraju

walczyły z przeciwnikami, a na zewnątrz nieustannie pobrzękiwały szabelką w terytorialnym sporze toczonym z Chile o kanał Beagle.

Co więcej, także w armii zaczynały się zarysowywać głębokie wewnętrzne podziały. Rywalizacja między wojskami lądowymi a marynarką objęła również piłkę nożną, w efekcie czego Suárez Mason musiał chronić swą kontrolę nad Maradoną przed zakusami wiceadmirała Carlosa Lacoste'a. Ten drugi znacznie umocnił swą pozycję jako przewodniczący EAM, komitetu organizacyjnego Pucharu Świata 1978, a także wiceprezes FIFA, które to stanowisko piastował aż do roku 1982. Zasiadając także w radzie River Plate, jednego z najważniejszych argentyńskich klubów, podjął próby podkupienia Maradony, nigdy jednak nie złożył dostatecznie atrakcyjnej oferty. Ubiegł go w tym wielki rywal Boca Juniors, do którego Maradona przeszedł w 1980 roku na zasadzie rocznego wypożyczenia i który zdobył wtedy mistrzostwo kraju. Jak na ironię było to poniekąd efektem decyzji Argentyńskiego Związku Piłki Nożnej, ograniczającej swobodę transferów zagranicznych, publicznie wychwalanej przez wiceadmirała Lacoste'a.

Nie przekonują mnie argumenty, że piłkarze nie zarabiają w kraju odpowiednio dużo. Są jeszcze inne wartości, których nie można tracić z oczu. Za zgodą wszystkich obywateli i przy ich pomocy zorganizowaliśmy mundial i nie możemy sobie teraz pozwolić na lekkomyślne trwonienie tego, co zdobyliśmy.

Przesłanie wydawało się klarowne: Maradona pozostanie w kraju tak długo, jak długo będzie to odpowiadało interesom sportowych władz.

Settimio Aloisio, wiceprezes Argentinos Juniors, podzielił się ze mną interesującą informacją, która pokazuje, do jakiego stopnia junta ingerowała w karierę Diego Maradony. W rozmowie ze mną Aloisio po raz pierwszy ujawnił, na jakie trudności natknął się, gdy usiłował oprzeć relacje między zawodnikiem a klubem na zasadach czysto finansowych, a nie politycznych. Po mistrzostwach świata w roku 1978 Aloisio doszedł do wniosku, że klubu nie stać już na zatrzymanie Maradony. Dochody – oficjalne, nie te, które Consoli otrzymywał za sprawą wojskowych przyjaciół – ledwie starczały na pokrycie rosnących wymagań Maradony i w efekcie brakowało środków na pozostałych zawodników i inne cele. Aloisio chciał sprzedać Maradonę, aby przebudować drużynę, a także zainwestować w stadion i budynki, tak by przyciągnąć nowych kibiców i zapewnić długofalową stabilność finansową klubu.

Ze sprzeciwem spotkałem się w samym klubie – opowiadał Aloisio. – Consoli i Suárez Mason prowadzili rozgrywki polityczne. Z sukcesu Maradony korzystali wszyscy. Nie tylko Consoli i Suárez Mason, ale także cała armia chciała go po prostu zatrzymać w kraju. Przydawał się w trudnych chwilach, dzięki niemu ludzie się cieszyli i nie myśleli o innych rzeczach. Rzymianie korzystali z aren, nasi generałowie – ze stadionów piłkarskich.

## HARRY JEDZIE DO BUENOS AIRES

TUŻ PRZED ŚWIĘTAMI BOŻEGO Narodzenia 1978 roku, gdy na półkuli południowej zaczyna się sezon letni, jeden z najbardziej zawadiackich brytyjskich menedżerów piłkarskich, Harry Haslam z Sheffield United, poleciał przez Atlantyckie do Buenos Aires, aby dobić interesu. Wizytę poprzedziła seria tajnych spotkań, które Haslam odbył w Sheffield z Antonio Rattínem, byłym kapitanem argentyńskiej reprezentacji. Brytyjcy kibice zapamiętali go jako wysokiego, twardego środkowego obrońcę, który prowokacyjnie obiegł stadion na Wembley, wymieniając obelgi z publicznością po tym, jak wyrzucono go z boiska w trakcie ćwierćfinałowego meczu z Anglią. Zdarzyło się to podczas mistrzostw świata w 1966 roku, w których zwyciężyła angielska drużyna z Bobbym Moore’em jako kapitanem. Dwadzieścia lat później człowiek nazwany przez brytyjskie dzienniki „zwierzakiem” wracał na wrogie terytorium z komercyjną gałązką oliwną w ręce. Zakończywszy karierę piłkarską, Rattín wykorzystywał gęstą sieć krajowych i międzynarodowych kontaktów do tego, aby pośredniczyć w załatwianiu najróżniejszych argentyńskich interesów futbolowych. Miał zawsze przy sobie listę zawodników – najczęściej nieznanymi – którzy nie otarli się jeszcze o reprezentację, a zatem nie dotyczyły ich restrykcje nałożone przez Asociación del Fútbol Argentino (Argentyński Związek Piłki Nożnej). Znalazł się na niej także i Diego Maradona, który był wprawdzie wschodzącą gwiazdą, ale poza Argentyną niezbyt wiele jeszcze o nim wiadomo.

Może się wydawać, że daleka jest droga z Sheffield do Buenos Aires, niemniej jednak od czasu, gdy klub Sheffield United spadł w roku 1976 z pierwszej ligi, szukano w nim jakichś cudownych rozwiązań. Haslam uchodził w klubie za rzutkiego, niebojącego się ryzyka menedżera, jak mało kto potrafiącego się poruszać w niepewnym świecie transferów. Był przekonany, że klub wymaga radykalnej przebudowy, a pojawienie się piłkarza z Argentyny mogłoby być właśnie takim ożywczym szokiem. Wraz z Rattínem i Oscarem Arce’em, także dawnym piłkarzem argentyńskim, który w Sheffield United występował nieformalnie jako trener, Haslam przygotowywał podróż do Argentyny. Początkowo zamierzał jechać z Keithem Burkinshawem i Terryem Neillem, menedżerami Spurs i Arsenalu, którzy także zastanawiali się nad kupnem do swoich drużyn Argentyńczyków. Haslam najwyraźniej potrafił ich przekonać, że na silnie chronionym argentyńskim rynku muszą mieć jako pośredników Rattína i Arce’a. Menedżer Sheffield United był uważany za specjalistę w załatwianiu międzynarodowych kontraktów, ale wiedzę o finansowych szczegółach tych poczynań zabrał ze sobą do grobu.

W przeddzień wylotu Terry Neill postanowił jednak zostać w domu, a za przyzwoleniem Haslama jego miejsce w samolocie zajął Tony Pritchett, dziennikarski weteran, który większość zawodowego życia związał z Sheffield United.

Burkinshaw chciał się zorientować, jakie są szanse nabycia Ossiego Ardilesa i Ricardo Villi, dwóch gwiazd mistrzowskiej drużyny, natomiast Haslam od początku nie ukrywał, że chce wrócić do Anglii z jednym tylko graczem: Diego Maradoną. Sława wciąż otaczała tych, którzy zdobyli Puchar Świata, ale wśród menedżerów, agentów, zawodników i dziennikarzy na plan pierwszy już zaczynał się wysuwać El Pelusa, chłopak z długimi włosami, którego dziecięcy wygląd stał w sprzeczności z pewnością siebie i wyobraźnią w grze. Oglądając go na boisku Argentinos Juniors i podczas wyjazdowego meczu w Mar de Plata, Haslam mógł przekonać się o niezwykłych talentach Maradony jako kreatora akcji, który zarazem potrafił fantastycznie je wykańczać.

tak wiele. Dzięki Rattínowi byłem w uprzywilejowanej sytuacji, a wiedziałem, że ten niski, krępy chłopak jest wart miliony. I nawet nie słuchałem, kiedy mi mówił: „A poczekaj, aż zobaczysz jego dwóch braci”.

W Mar de Plata, przy dochodzącym z oddali huku atlantyckich grzywaczy, w piknikowej atmosferze uprzyjemnianej najlepszymi w Ameryce Południowej winami i owocami morza, Haslam poznał Jorge Cyterszpilera. Obaj natychmiast poczuli do siebie sympatię. Jak wielu mieszkańców Argentyny, Cyterszpiler uważał Anglików za aroganckich i snobistycznych sztywniaków, tymczasem Haslam okazał się mężczyzną ceniącym uroki życia i prawdziwie pasjonującym się futbolem. „Siedzieliśmy w restauracji, a ja myślałem: jaki fajny facet”, będzie potem wspominał Cyterszpiler. Haslam łatwo też doszedł do porozumienia z Settimo Aloisiem, który zgodził się, aby Rattín umieścić Maradonę na liście potencjalnych transferów, aczkolwiek wiadomo było, że przeciwni sprzedaży są i prezes klubu, i wojskowe władze, które w przeciwieństwie do lokalnych dziennikarzy uważnie śledziły poczynania Haslama. Argentyńscy gospodarze uprzedzili go, że problem ewentualnego wyjazdu Maradony ma taki ciężar polityczny, że negocjacje muszą być otoczone jak największą tajemnicą. Była to gra o bardzo wysokie stawki.

To był istny książę – opowiadał Tony Pritchett. – Najlepszy piłkarz południowoamerykański. Od pierwszej chwili było jasne, że jego ewentualny wyjazd z Argentyny będzie oznaczał narodowy skandal. Argentyńscy znajomi Haslama stawiali sprawę jasno: jeśli chce Maradonę, musi go jakoś potajemnie wywieźć, co oznaczało dodatkowe koszty.

Najwyraźniej jednak nawet te komplikacje nie zmniejszyły entuzjazmu Haslama.

Pamiętam, w jakie wpadł podniecenie, kiedy po raz pierwszy zobaczył Maradonę na własne oczy – wspominał Aloisio. – W pewnej chwili zwrócił się do mnie: „Settimo, nie mam najmniejszych wątpliwości, że to wielki, nieprawdopodobnie utalentowany piłkarz”.

Poprzednikowi Haslama, Johnowi Harrisowi, i wielu angielskim kibicom piłkarskim coś podobnego przydarzyło się niemal dekadę wcześniej w związku z Tonym Curriem. Ten także miał osiemnaście lat, gdy w roku 1968 za dwadzieścia sześć i pół tysiąca funtów Harris kupił go z Watford. Currie pomógł Sheffield United awansować do pierwszej ligi i otrzeć się o puchary europejskie, sam zaś okazał się prawdziwym czarodziejem piłki. Kibice Sheffield opowiadają, że kiedy był w formie, oglądało się go z zachwytem. „On nie kopał piłki – mówił Pritchett – on ją pieścił. Czy to było krótkie podanie, czy daleki przrzut, zawsze wykonywał je z absolutną precyzją...” Teraz to samo można było powiedzieć o Maradonie, który podobnie jak Currie wyrazistymi gestami przekazywał widzom swą radość. O ile jednak ten drugi, zdobywszy bramkę, przesyłał publiczności całusy, o tyle ten pierwszy rzucał się do szaleńczego biegu przez boisko, by nagle w triumfalnym geście wyrzucić w górę zaciśniętą pięść.

Kiedy Sheffield znowu spadło z ligi, Currie zgodził się w 1976 roku przejść do Leeds United, ale teraz trzeba już było za niego zapłacić dwieście czterdzieści tysięcy funtów. Oglądając Maradonę, Haslam był pewien, że znowu powróci entuzjazm, który otaczał Curriego, a Sheffield United ponownie znajdzie się w czołówce brytyjskiego i światowego futbolu.

Haslam był pierwszym nie-Argentyńczykiem, który składał konkretną propozycję Maradonie, ciągle jeszcze z goryczą myślącemu o pominięciu go przez Menottiego. W prywatnych rozmowach z Aloisiem i Cyterszpilerem Diego mówił, że podnieca go wizja gry w angielskiej drużynie, a dumą napęła fakt zainteresowania ze strony takiego specja jak Haslam. Wolałby może przejść do któregoś z najsławniejszych klubów, jak Manchester United czy Tottenham Hotspur, dostatecznie dużo wiedział jednak o Sheffield United, by orientować się w potencjale klubu.

Problemem było ustalenie wysokości ceny zawodnika, który jeszcze nigdy nie występował w nieargentyńskiej drużynie i dopiero miał się sprawdzić na arenie międzynarodowej. Haslam złożył propozycję, która w jego poczuciu była najbardziej zgodna z długofalowymi interesami klubu. Argentyńscy uznali, że dziewięćset tysięcy dolarów to pierwszy ruch w długich negocjacjach, w trakcie których suma będzie stopniowo rosła. Tylko Aloisio gotów był bez targów przystać na zaproponowane pieniądze, aby je wykorzystać do przebudowy i odnowy klubu. Był też zdania, że Maradona dojrzeje, grając w Anglii. „Ofertę Haslama uznałem za bajeczną – przyznał. – Była dobra dla jego klubu, naszego klubu i samego Maradony”.

Aloisio został jednak przegłosowany przez radę nadzorczą klubu i – jak się zdaje, za cichą aprobatą Cyterszpilera i samego Maradony – musiał zażądać półtora miliona dolarów. Taka suma wydała się Haslamowi astronomiczna. Miał nadzieję, że znaczną część pieniędzy na Maradonę wyłoży jeden z najbogatszych akcjonariuszy Sheffield, grający na rynku złota Albert Bramall, kiedy jednak uwzględniło się wszystkie prowizje i dodatkowe opłaty, powstawała suma nie do zaaprobowania przez władze klubu. Haslam z żalem pożegnał się z myślą o zakupie Maradony, załatwił natomiast transfer z River Plate lewego pomocnika, Alexa Sabelli. Potem wykorzystał swoje kontakty, aby pomóc Tottenhamowi w negocjacjach z Ardilesem i Villą.

Bogatsi o wiedzę o tym, co potem nastąpi, moglibyśmy się chwilę zastanowić, co stałoby się z Diego Maradoną, ale także i z brytyjskim futbolem, gdyby zamierzenia Haslama zakończyły się sukcesem. Sabella występował w Sheffield ze zmiennym szczęściem. Powitano go owacyjnie, zyskał wielką popularność wśród kibiców, potem jednak nie umiał sobie poradzić z ostrymi zimami i rygiorem bardzo tradycyjnego treningu. Natomiast Ardiles w Spurs stał się jeszcze lepszym piłkarzem, a angielski styl życia na tyle przypadł mu do gustu, że pozostał w Wielkiej Brytanii i potem pełnił funkcję menedżera w Newcastle, Swindon i samym Spurs.

Nie wiadomo oczywiście, jak potoczyłyby się losy Maradony w Sheffield, wiadomo za to na pewno, że incydent z Haslamem nie pozostał bez wpływu na jego późniejszą karierę. Raz pojawiwszy się na międzynarodowym rynku, Diego miał już na nim pozostać jako jeden z kilku graczy budzących zainteresowanie całego świata. Podczas rozmów z Haslamem Cyterszpiler rozpuścił plotkę, że Maradona chce grać w Arsenalu. Wiadomość tę natychmiast powtórzono w Wielkiej Brytanii, gdzie gazety sugerowały, że Haslam wyjechał do Ameryki Południowej jako „szpieg” Arsenalu. Ten wprawdzie zdecydowanie zaprzeczał i nie ma też żadnych dowodów na to, że na Highbury rzeczywiście poważnie rozważano możliwość ściągnięcia Maradony, sama jednak plotka przyczyniła się do spopularyzowania jego postaci. Przez następne trzy lata Cyterszpiler stosował najróżniejsze wybiegi i uniki, umiejętnie zonglując prawdziwymi i rzekomymi ofertami, aby tylko uzyskać na koniec jak najkorzystniejszy kontrakt dla swego przyjaciela i klienta, którego sława tymczasem wzrosła, bo wraz z Boca Juniors zdobył tytuł piłkarskiego mistrza Argentyny. Na razie na drodze do wyjazdu za granicę stawała bariera wznoszona przez Argentyński Związek Piłki Nożnej, najsilniejsze kluby – River Plate, Boca i Argentinos Juniors – *barras bravas* oraz Menottiego.

**KIEDY W SHEFFIELD UNITED ZREZYGNOWANO Z ZAKUSÓW na Maradonę, jednym z kilku potężnych klubów europejskich, który wyraził swe zainteresowanie, był Juventus. Uzyskawszy błogosławieństwo od potężnego właściciela, dyrektora Fiata, Gianniego Agnellego, prezes Giampiero Boniperti oraz trener Pietro Giuliano przylecieli do Buenos Aires na rozmowy z Cyterszpilerem oraz przedstawicielami Argentinos Juniors. Towarzyszył im urodzony w Argentynie Omar Sivori, który na swoim przykładzie mógł opowiedzieć o korzyściach, jakie daje wyjazd z Ameryki Południowej. W roku 1957 obdarzony piekielnym strzałem z lewej nogi Sivori tworzył wraz z Maschiem i Angeillem *Trio de la Muerte*, „Trio śmierci”, a cała trójka grała w drużynie, która w Limie wywalczyła dla Argentyny tytuł mistrza Ameryki Południowej. Rok później, z wielką szkodą dla reprezentacji, ale z wielką korzyścią dla futbolu europejskiego, wszyscy trzej przenieśli się do włoskich klubów. Sivoriego czekała kariera w lidze włoskiej, gdzie między innymi grał wraz z Bonipertim w Juventusie, a na początku lat siedemdziesiątych był przez rok trenerem reprezentacji Argentyny. Milioner, który podobnie jak Maradona pochodził z biednej rodziny o włoskich korzeniach, był przekonany, że dopiero we Włoszech piłkarska gwiazda Maradony naprawdę rozbłyśnie. Wszystkie przeszkody, na jakie napotyka wyjazd Diega, mają na względzie tylko racje polityczne, a nie dobro zawodnika, podkreślał Sivori. Żaden klub w Argentynie, twierdził, nie jest w stanie zagwarantować mu takiego statusu finansowego i profesjonalnego, jaki uzyska, grając w Juventusie, sportowej gałęzi jednej z najpotężniejszych na świecie finansowych korporacji.**

O talencie Maradony przedstawiciele Juventusowi mogli się przekonać na własne oczy podczas towarzyskiego meczu, który Argentyna rozegrała z Włochami dwudziestego szóstego maja 1979 roku

na Stadionie Olimpijskim w Rzymie. Spotkanie zakończyło się remisem 2:2, a w jego trakcie przez cały czas dochodziło do pojedynków między Maradoną a bardzo dobrym włoskim obrońcą, Marco Tardellim. Zademonstrowane przez Maradonę kontrola nad piłką, przyspieszenie i dokładność podań kilkakrotnie podrywały publiczność z miejsc, a Diego został uznany za najlepszego zawodnika na boisku. Sivori z entuzjazmem wypowiadał się o klasie Maradony, Boniperti miał jednak pewne wątpliwości. Jedną z osób blisko wtedy związanych z Juventusem wspomina dziś:

W przypadku Juventusu pieniądze nie stanowiły problemu, Boniperti nie był jednak do końca przekonany do Maradony. On także był zdania, że Diego zapowiada się na wielkiego piłkarza, ale ciągle jeszcze się formował, dojrzewał, nie było więc przesądzone, w jakiej skali spełnią się zadatki. W opinii Bonipertiego Maradona był nieprzewidywalny i dlatego klub nie powinien się spieszyć z ostateczną decyzją.

Boniperti wystąpił więc z ofertą, która z jednej strony niczego nie przesądzała całkowicie, a z drugiej – miała złagodzić protesty w Argentynie przeciw wyjazdowi Maradony. Juventus miał go wypożyczyć na jeden sezon, po którym, gdyby Diego zechciał, mógłby powrócić do kraju, aby wziąć udział w przygotowaniach do mistrzostw świata, które miały się odbyć w Hiszpanii w roku 1982. Obie strony nawzajem się próbowały, a sporą przeszkodę stanowiła postawa obozu Maradony, któremu przede wszystkim chodziło o wypracowanie sobie mocniejszej pozycji do przetargów z innymi chętnymi. W depeszy natychmiast rozpowszechnionej przez argentyńskie media włoska agencja prasowa ANSA donosiła, że Juventus gotów jest zapłacić nawet dziesięć milionów dolarów, a tymczasem nawet jeśli w ogóle padały jakieś sumy, to z pewnością skromniejsze.

Jakiegokolwiek były prawdziwe intencje Włochów, ostatecznie zostali przelicytowani przez Barcelonę, która pierwsze starania rozpoczęła w roku 1979 i po długotrwałych i żmudnych negocjacjach ostatecznie podpisała w 1982 roku rekordowy kontrakt z Maradoną. Sivori twierdzi, że na intensywność zabiegów Juventusu od samego początku negatywnie wpływała wiedza, że najlepsi negocjatorzy z Barcelony wyruszyli na zwiady, aby się przekonać, na ile niezłomna jest demonstrowana w argentyńskim związku piłki nożnej i poza nim postawa: „Maradona nie jest na sprzedaż”.

Prowadziliśmy rozmowy szczerze i otwarte, ale już dość wcześnie Maradona zaczął zachowywać się wykrętnie – mówił Sivori. – Z jednej strony miał świadomość, że właściwie podpisał już (czy może zrobił to w jego imieniu Cyterszpiller) list intencyjny z Barceloną, z drugiej rozumiał, że na ostateczny efekt wpływ mają też niezależne od niego czynniki. Nagle wydawało się, że cała Argentyna jak jeden mąż chce stanąć do boju, aby nie dopuścić do jego wyjazdu.



## MONEY, MONEY, MONEY

**HISTORIA REKORDOWEGO TRANSFERU** Maradony rzuca światło na to, jak skomercjalizowany i cyniczny jest świat futbolu, ale początki były dość proste i niewinne. W roku 1977 Nicolau Casaus, prawdziwy weteran na stanowisku wiceprezesa FC Barcelona, do którego obowiązków należała opieka nad *peñas*, czyli międzynarodowymi kibicami klubu, otrzymał telefon z argentyńskiego kurortu Mar de Plata. Casaus, stroniący od alkoholu miłośnik cygar, o rzadkim talencie do zakulisowej dyplomacji, w trakcie tygodnia przeprowadził setki rozmów z fanami Barcelony, dzwoniącymi na przykład z Tel Awiwu albo spod koła podbiegunowego. Telefon z Argentyny wymagał jednak szczególnej uwagi. Po pierwsze, tam klub miał najwięcej *peñas*, po drugie, Casaus urodził w Argentynie, po trzecie, jego rozmówcą był Beltrán, przyjaciel, na którego znajomości futbolu mógł polegać.

Beltrán, syn katalońskich emigrantów, prowadził w Mar de Plata cukiernię. Gorący zwolennik Barcy, żywo też interesował się futbolem argentyńskim, a to, co niedawno zobaczył, wprawiło go w stan prawdziwej ekscytacji. W jednym z pierwszoligowych meczów Maradona zapewnił zwycięstwo Argentinos Juniors. „To absolutny geniusz – oznajmił Beltrán Casausowi. – Musisz przyjechać i sam go zobaczyć”.

Casaus miał okazję to zrobić podczas mistrzostw w 1978 roku. Wysłany przez klub z generalną misją zwiadowczą, bez specjalnego entuzjazmu oglądał mecze, natomiast naprawdę zachwycił go Maradona, którego poczynaniom w klubie przyglądał się z oddali.

Kiedy wróciłem do Barcelony – wspomina Casaus – powtarzałem na okrągło: „Widziałem wspaniałego gracza. Moim zdaniem będzie tak wielki jak Di Stéfano albo Pelé”. Ale wszyscy pukali się w czoło i byli pewni, że wiceprezes po prostu zwariował. Maradona był podobno za młody, za mało wypróbowany, żeby podejmować jakieś jednoznaczne działania.

Zdania Casausa nie dawało się tak po prostu zignorować. Emerytowany biznesmen cieszył się w demokratycznej Hiszpanii powszechnym szacunkiem jako człowiek odważny i prawy. Podczas hiszpańskiej wojny domowej został skazany na śmierć przez generała Franco za swe katalońskie sympatie. Jako działacz pozostający w kontakcie z rzeszami międzynarodowych miłośników jednej z najważniejszych katalońskich instytucji, jaką był klub FC Barcelona, mógł łatwo zyskać poparcie dla swych opinii.

Pierwsza reakcja władz klubu bynajmniej go nie zraziła. Gotów był czekać, przekonany, że talent Maradony nie jest jednodniową efemerydą. Szybko okazało się, że miał rację. W grudniu 1978 roku bardzo wpływowy hiszpański dziennik sportowy „MARCA” zamieścił zorganizowany przez Cyterspilera wywiad z Maradoną, a także całostronicowy artykuł zatytułowany: *Nowa gwiazda argentyńskiej piłki*, w którym wyraźnie stwierdzano to, na co nie mógł przystać Haslam: niepodobna kupić Diega taniej niż za milion dolarów.

To więcej, niż zapłacono za Ardilesa, Villę czy Tarantiniego, a o kim właściwie mówimy? Nazywają go El Pelusa, Kudłacz, jest niski, krępy, z włosami, które od miesięcy nie widziały nożyczek. Ma dopiero osiemnaście lat, a już się zapowiada na najdroższego argentyńskiego piłkarza. Na rynku jest spora podaż zawodników, ale Maradona, jak się wydaje, to zupełnie specjalna oferta.

Jakiś miesiąc po artykule w „MARCA” Casaus zjawił się znowu w Buenos Aires, by gromadzić informacje o Maradonie. Kiedy na początku 1995 roku rozmawiałem z nim w Barcelonie, ciepło wspominał ich pierwsze spotkanie:

Miałem przed sobą wspaniałego, prostego dzieciaka, który zbyt wcześnie stał się sławny. Pieniądże, status, popularność zjawiły się nagle, a on nie miał czasu, by do nich dojrzeć. Czulem, jak mocno zżyty jest z rodziną i ojczystym krajem. Kiedy odwiedziłem go w domu, byli wszyscy: rodzice, rodzeństwo, krewni, a ja pomyślałem: To

prawdziwa komuna. Przypomniały mi się drzewa i niebezpieczeństwo ich przesadzania. Wydawało mi się, że Maradona tak zawdzięcza swoje życie rodzinie i ojczyźnie, jak drzewo zawdzięcza je ziemi.

Natomiast Cyterszpilera nie przypadł Casausowi do gustu. Podobnie jak ojciec Maradony, Chitoro, nazbyt palił się do rozmowy o pieniądzach. „Ani odrobiny serca, tylko głowa, a w niej liczby. Liczyły się jedynie pieniądze”. Takiej postawie Cyterszpilera pewnie trudno się dziwić, bo całkiem słusznie uznał, że Hiszpan tylko przeciera drogę przed zespołem prawdziwych negocjatorów. Casaus przyznał potem zresztą:

Szefowie FC Barcelona nie mieli już żadnych obiekcji przed podpisaniem umowy z Maradoną, ale chcieli zawzięcie walczyć o to, aby dostać go jak najtaniej. Cyterszpilera z kolei chciał go sprzedać jak najdrożej.

Przez następne dwa lata negocjatorzy kursowali między Barceloną i Buenos Aires. Wszystko zaczęło się od informacji od kibica lubiącego ciastka i dobry futbol, teraz jednak toczyły się twarde negocjacje, w których uczestniczyło coraz więcej ludzi. Tutaj kształtowała się praktyka, która miała stać się normą przetargów w świecie futbolu.

Zarazem widać było, jak różne siły starają się podporządkować sobie życie Diego Maradony. W Argentynie poczynania działaczy Argentinos Juniors wyzwoływały potężne reakcje. W marcu 1979 roku Settimio Aloisio, zyskawszy poparcie większości rady nadzorczej klubu, podpisał w stolicy Katalonii wstępne porozumienie z FC Barcelona, od którego natychmiast zdystansował się prezes klubu, Consoli, w czym poparły go koła wojskowe. Na lotnisku w Buenos Aires czekała na powracającego Aloisio grupa wynajętych *barras bravas*. W anonimowych listach grozono mu śmiercią. Kiedy pokazał się na stadionie Argentinos Juniors w towarzystwie skarbnika Barcelony, Carlosa Tusquetsa, *barras bravas* jednym głosem krzyčeli: *Maradona no se vende!*, „Maradona nie jest na sprzedaż!”. Ostatecznie Consoli wywarł taką presję na radę nadzorczą klubu, że Aloisio musiał zrezygnować z funkcji wiceprezesa.

Jedną z głównych postaci w kampanii przeciw wyjazdowi Maradony był Menotti. Trener reprezentacji pozycję, którą zyskał dzięki zdobyciu Pucharu Świata, wykorzystywał do realizacji swej idei futbolu „czysto” argentyńskiego, a w jej obronie nader często sięgał po nacjonalistyczne argumenty. Przypominał, jak otwarcie się po drugiej wojnie na rynek światowy doprowadziło do ogołocenia stadionów z młodych talentów. Sivori (Juventus), Angelillo (Inter Mediolan) i Di Stéfano (Real Madryt) osiągnęli wielkie sukcesy w klubach europejskich, podczas gdy futbol argentyński został skazany na długi marsz przez pustynię.

Menotti nie miał już dawnych zastrzeżeń i teraz był przekonany o znaczeniu Maradony dla jego własnej trenerskiej kariery. W wywiadzie udzielonym w maju 1980 roku Menotti tak opisywał, co czuje na widok gry Maradony: „To tak, jakby orkiestra wykonywała symfonię Beethovena tylko dla ciebie jednego”. Dalej mówił, że jeśli można Maradonę z kimś porównać, to tylko z Pelé, a następnie ostrzegał Diega przed przejściem do Barcelony, ponieważ nie tylko złamie w ten sposób swą karierę, ale także zrazi do siebie miliony kibiców.

Barcelona nie zamierzała rezygnować, ale jej negocjatorzy, zaprawieni w walkach o jak najkorzystniejsze kontrakty, trafili na godnego siebie przeciwnika w osobie Jorge Cyterszpilera. Menedżer Maradony umiejętnie wykorzystywał krajowe regulacje i zakazy, aby umocnić swoją pozycję. Jednocześnie rozgłos, jaki zyskały sobie pertraktacje – w prasie co i raz pojawiały się zaskakujące sumy, aczkolwiek nie wiadomo, czy istotnie ktokolwiek o nich wspominał – stawał się dla Cyterszpilera orężem, który mógł wykorzystać przeciw ludziom z Argentinos Juniors i innym działaczom przeciwnym wyjazdowi Maradony z kraju przed mundialem w 1982 roku. Cyterszpilera nie chodziło o siebie; robił dokładnie to, czego oczekiwał od niego przyjaciel z lat dzieciństwa: zdobyć tyle pieniędzy, aby Diego i jego rodzina już nigdy nie zaznali nędzy i upokorzeń Villa Fiorito, a zarazem umożliwić Maradonie robienie tego, co potrafił najlepiej: grać w piłkę i wygrywać.

Niektórym ludziom związanym z Barceloną wygodnie było odmalowywać Maradonę jako naiwnego ignoranta, który wpadł w sidła pozbawionego jakichkolwiek skrupułów agenta, sytuacja była jednak znacznie bardziej skomplikowana. W czasie gdy toczyły się rozmowy, Maradona

z rozmysłem wypowiadał się niejasno. W wywiadach dla argentyńskiej i hiszpańskiej prasy mówił o miłości do rodziny oraz lojalności wobec ojczyzny, a zarazem podkreślał, że jeśli w kraju nie otrzyma odpowiedniego wynagrodzenia, będzie musiał wyjechać. Rozmawiając z włoskimi i hiszpańskimi menedżerami, oznajmiał, że jego ambicją jest grać w którymś z największych klubów europejskich, z kolei w wypowiedziach na użytek argentyński sugerował, że najbardziej pragnie występować w narodowych barwach. Zachowując się tak, bynajmniej nie realizował scenariusza przygotowanego przez Cyterszpilera. Postępował instynktownie, był pewny siebie jak człowiek, którego bardzo wcześnie otoczyła sława i który czuje, że mocą boskiego zrządzenia świat leży u jego stóp, i to nie w jednym znaczeniu.

Z finansowego punktu widzenia strategia Cyterszpilera okazała się bardzo skuteczna. Barcelona nie przestawała interesować się Maradoną, a stawka rosła z każdym rokiem. W ojczyźnie tymczasem władze argentyńskiego futbolu robiły, co mogły, aby wywindować wartość gracza na poziom przekraczający jakąkolwiek ekonomiczną racjonalność. Klub Argentinos Juniors, zadłużony po uszy, otrzymał od Argentyńskiego Związku Piłki Nożnej dofinansowanie w wysokości czterystu tysięcy dolarów, aby warunki kontraktu z Maradoną mogły być dla niego atrakcyjniejsze. W pewnym momencie związek chciał się wycofać ze swych decyzji, ale natychmiast zrezygnował z tych zamiarów, gdy tylko Maradona zagroził procesem i wyjazdem z kraju. Nigdy nie zostało do końca wyjaśnione, skąd AFA miał takie pieniądze; istnieją podejrzenia, że pochodziły z budżetu państwa, a sprzeniewierzyli je przyjaciele Consoligo. Kiedy wsparcie finansowe zostało już zapewnione, Consoli obiecał, że teraz klub stanie się samodzielny finansowo i będzie mógł płacić Maradonie, uruchomi bowiem na ten cel specjalną „zbiórkę”, a także podwyższy opłatę członkowską. Po roku oświadczył publicznie, że Argentinos Juniors nie stać na takiego gracza, o czym wiedział od samego początku.

Trzynastego lutego 1981 roku podpisano umowę, zgodnie z którą Argentinos Juniors wypożyczał Maradonę Boca Juniors do trzydziestego czerwca 1982 roku (a więc do mistrzostw świata w Hiszpanii), przy czym istniała możliwość przedłużenia kontraktu. Władze Boca Juniors miały zapłacić cztery miliony dolarów, a na dodatek przejąć na siebie dług Argentinos Juniors przekraczający milion dolarów. Maradonie bardzo odpowiadało to, że suma została wyrażona w dolarach, natomiast Boca Juniors uzależniali się od nader niepewnej sytuacji na rynku walutowym. W czerwcu 1981 roku, a więc kilka miesięcy po podpisaniu umowy, Argentyna znalazła się w poważnym kryzysie finansowym, który zmusił władze do dewaluacji peso o trzydzieści procent. Dochody z biletów oraz innych źródeł nie starczały Boca Juniors na pokrycie zobowiązań związanych z zakupem Maradony i klub coraz bardziej pogrążał się w długach.

Podczas gdy dwa wiodące argentyńskie kluby znalazły się w finansowych tarapatkach w związku z Maradoną, rozkwitała trzecia instytucja: Maradona Productions. Za przyzwoleniem Diega i jego rodziców Cyterszpilera założył na początku 1979 roku w Liechtensteinie firmę, której celem było gromadzenie funduszy pochodzących z piłkarskich i reklamowych kontraktów Maradony, a także zarządzanie tymi pieniędzmi. Wybór Liechtensteinu na siedzibę był podwójnie korzystny: po pierwsze, pozwalał uniknąć argentyńskich i europejskich podatków, po drugie – bronił rodzące się imperium finansowe przed dociekliwością urzędów skarbowych. Pomiędzy rokiem 1979 a 1981 firma podpisała kilka lukratywnych umów ze sponsorami, co było dość istotnym argumentem za tym, aby Maradona nadal grał w Argentynie.

Jeden z kontraktów zawarto z Pumą – której argentyńską filią kierował prominentny miejscowy biznesmen, Euneklian – inny z Coca-Colą. W trakcie rozmów z argentyńskimi przedstawicielami firmy Cyterszpilera i działacze Argentinos Juniors współdziałali ze sobą w kampanii dezinformacyjnej. I tak na początku maja 1980 roku Consoli obwieścił publicznie, że Maradonę sprzedano do Barcelony za sześć milionów dolarów, co czyniło go jednym z najdroższych piłkarzy na świecie. Przedstawiciele FC Barcelona przebywali wtedy wprawdzie w Buenos Aires, ale do podpisania żadnej umowy nie doszło, AFA nie zgadzał się bowiem na wyjazd gwiazdy. Plotkę najwyraźniej rozpuszczono, aby jeszcze bardziej poprawić światową reputację Maradony i w ten sposób wyrzucić presję na

negocjatorów. Kiedy Maradona Productions dopięło swego i podpisało umowę z Coca-Colą, informację, natychmiast powtórzoną w hiszpańskiej prasie, zdementowano.

Cyterszpiler nie miał żadnych zahamowań, gdy chodziło o sprzedaż wizerunku jego klienta. Nazwisko Maradony pojawiało się na najróżniejszych towarach, nawet jeśli ich związek z piłką nożną był bardzo odległy. I tak oto uśmiechnięty od ucha do ucha Diego reklamował nową szczoteczkę do zębów, która miała zapewnić czystość jamy ustnej podobną do czystości jego gry. Motyw czystości kontynuowany był w reklamach mydeł i innych kosmetyków. Pojawił się zeszyt z podobizną Maradony – co zakrawało na pewną ironię, jeśli zważyć na stosunek piłkarza do nauki szkolnej – a także lalka Diegito w wersji statycznej i ożywionej. Maradona z zapalem podpisywał umowy i tylko czasami nie zgadzał się „z powodów moralnych i społecznych”. Sam niepalący, odmówił reklamowania nowej marki papierosów, nie zgodził się też reklamować pewnego gatunku wina, gdyż mogłoby się to przyczynić do upowszechnienia alkoholizmu. Te wyjątki stanowiły krople w morzu wzbierających dochodów, pozwalają jednak ocenić brak jakichkolwiek moralnych zahamowań, który stanie się tak wyraźny w latach następnych.

Pomysł, który legł u podstaw Maradona Productions – gwiazda futbolu zarabia także na swoim wizerunku publicznym – zostanie potem z entuzjazmem wykorzystany przez innych piłkarzy. Jeszcze w Argentynie zapewnił Maradonie z pewnością niebłaha korzyści finansowe, które nie jest łatwo oszacować, gdyż rodzina zazdrośnie do dziś broni dokładnych informacji o swoim majątku. Według Cyterszpilera, w roku 1982 Maradona zarabiał miesięcznie sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów bez dochodów z reklam, a roczne dochody z innych niż futbol źródeł wyniosły półtora miliona dolarów. W 1979 roku z funduszy Maradona Productions Cyterszpiler kupił dla Diega w pobliżu Buenos Aires dom z basenem i specjalnym boiskiem treningowym, na którym metalowe postacie piłkarzy pozwalały ćwiczyć celność podań. W następnym roku za milion dolarów Maradona i jego rodzice nabyli dom na przedmieściu Buenos Aires, Villa Devoto. W kolejnych latach domami i mieszkaniami byli obdarzani krewni i przyjaciele.

Kupno domu na Villa Devoto wzbudziło wielkie zainteresowanie, ale też irytację sąsiadów, którzy obawiali się, że okolica przestanie być cicha i spokojna. Mieli rację. Wokół siedziby Maradonów pojawiły się kamery i paparazzi, a „Crónica”, czytana głównie przez robotników, zamieściła reportaż ilustrowany zdjęciami wykładanej marmurami jadalni, basenu pod dachem, wyrafinowanego sprzętu elektronicznego i kuchennego oraz innych pomieszczeń, także dla służby. Nie ulegało wątpliwości, że rodzina przeszła długą drogę od czasów, gdy Cyterszpiler kupował Maradonie colę, na którą Diega nie było stać, Chitoro miażdżył kości zwierzęce, a Tota nieopodal ubikacji prała ręcznie ciuchy obcych ludzi.

„Crónica”, która chlubiła się tym, że wyraża głos ludu, zamieściła list otwarty do Maradony, w którym czytamy:

Dobrze wiesz, Diego, jak łatwo między nami o zazdrość, a nic łatwiej jej nie rodzi niż sukces, pieniądze i wygody. Nie powstrzymało cię to jednak przed tym, aby za sprawą piłki uszczęśliwić swoją rodzinę. Już od jakiegoś czasu twój geniusz ściąga na stadiony tłumy; doprowadzasz Argentyńczyków do szaleństwa. Stałeś się Królem Futbolu. Ale dobry król musi panować nie tylko nad piłką, potrzebny mu jest także godny go tron. Potrzebowałeś takiego pałacu i zasłużyłeś sobie na niego...

Można się w tym liście doczytać zawołanego ostrzeżenia przed niebezpieczeństwami, jakie niosą sukces i sława, zarazem jednak warto zauważyć, jak Maradona staje się postacią podobną do Evity: nawet dla najbardziej doświadczonych przez los jest żywym dowodem, że dzięki determinacji i Bożej pomocy można wydobyć się nawet z największych dołów.

Jednocześnie rodziło się wielkie niebezpieczeństwo, że odgródenie się od świata, z którego pochodzili Maradonowie, będzie wzbudzać nieufność przyjaciół i krewnych, zabijając ich lojalność i solidarność. Życie stało się z pewnością wygodniejsze i przyjemniejsze, ale zarazem świat stawał się bardziej zimny i obojętny. Tota i Chitoro starali się zachować możliwie jak najwięcej z dawnych zwyczajów rodzinnych. Ona jak kiedyś, kiedy tylko się dało, gotowała makaron i empanadas, zbierając wokół stołu wszystkie dzieci; on jak dawniej wstawał o świcie, aby nie wypaść z rytmu dnia, do którego przywykł, pracując w fabryce. Niemniej jednak wkrótce po przeprowadzce na Villa Devoto obok blasków pojawiły się cienie. Totę pewnego dnia tak poirytowało zachowanie sąsiadów, że

z krzykiem wybiegła na ulicę, gdzie zwała się z nóg. Nie znosiła szeptów, że bogactwo uderzyło Maradonę do głowy. Także na stadionach rozlegały się od czasu do czasu nieprzyjemne okrzyki. Za którymś razem były tak wrogie, że Maradona wydał oświadczenie skierowane do kibiców, że jeśli nie będą okazywali większego szacunku jego bliskim, wyjedzie do Europy. Rozmowy z Barceloną zmierzały ku szczęśliwemu finałowi.

Świadectwem psychicznych napięć może być wydarzenie, do którego doszło przed jednym z ostatnich meczów rozegranych przez Maradonę dla Argentinos Juniors. Gdy piętnastoletni kibic, który chciał zdobyć autograf, szarpnął Maradonę, ten odwrócił się i uderzył chłopca. Oskarżony o czynną napaść, został skazany na dwa miesiące aresztu w zawieszeniu, ale usłużny sędzia wymazał później ten wyrok.

O kłopotach związanych z rosnącą popularnością Maradona sam wspomina w wywiadach z tego czasu. W jednym, przeprowadzonym w grudniu 1979 roku, gdy miał jeszcze dziewiętnaście lat, mówił o tym, jak trudno uszczęśliwić wszystkich – a także wywiązać się ze zobowiązań – a zarazem nie utracić kontroli nad swym życiem. Z dumą opowiadał o turnieju piłkarskim, z którego dochód przeznaczony był na pomoc biednym dzieciom, a także o swoich wysiłkach, by odpowiadać na wszystkie listy. Wspominał jednak także o ludziach, którzy usiłują go wykorzystywać, jako przykład wymieniając kobietę domagającą się, aby kupił jej dom, oraz mężczyznę proszącego o parę okularów przeciwsłonecznych. Drażniła go coraz większa liczba kompletnie nieznanymi mu osobom, które chciały, aby został ojcem chrzestnym ich nowo narodzonych dzieci. Dziennikarzowi z argentyńskiego czasopisma „Goles Match” powiedział:

Kiedy przysyłają mi trzy tysiące podręczników szkolnych, bym się na nich podpisał, proszę bardzo, mogę to zrobić, natomiast nie mogę udzielić naraz trzech wywiadów. Takie oczekiwania doprowadzają mnie do szału. Każdą wolną chwilę staram się spędzać w domu, bo kiedy wychodzę, natychmiast otaczają mnie ludzie.

W rzeczywistości Maradona, jak większość piłkarzy w jego wieku, nie był specjalnym domatorem. Futbol ze swej natury przeplata okresy treningów i meczów, pełne napięć i znacznie podnoszące poziom adrenaliny we krwi, z okresami beczynności, które zawodnicy wykorzystują raczej na uciechy niż intelektualne dywagacje. Nierzadkie były wieczory, gdy jak za dawnych lat Maradona szedł na miasto z przyjaciółmi, Claudia zaś zostawała w domu. Tyle że teraz nie roztopiał się w anonimowości. Coraz liczniejsze były dziewczyny, które z ochotą opowiadały o pocałunkach i nie tylko. Jak pewna dobrze zbudowana brunetka, którą nazywano „argentyńską Raquel Welch”. Norma Moro, rzeczywiście nieco podobna do amerykańskiej aktorki, miała niejasną przeszłość; występowała w klubie ze striptizem w centrum Buenos Aires, utrzymywała jednak, że kiedyś była toreadorką. Nosila biustonosz i szorty ze wzorem w panterkę oraz pasujące do tego buty i z wielką ochotą opowiadała o bliskich relacjach, jakie nawiązała z Diego Maradoną po tym, jak ten zjawiał się na jej występie *Seksowny Cyrk*.

Wybrałam się parę razy na stadion, żeby obejrzeć jego grę, ale potem musiałam z tego zrezygnować, bo robił się strasznie zazdrosny – powiedziała. – Na trybunach ktoś taki jak ja łatwo przyciąga uwagę.

Prawdziwe czy wymyślone zainteresowanie ze strony takich kobiet jak Norma nie było w tym okresie życia poważnym problemem Maradony, bezdzietnego kawalera, któremu narzeczona ufała na tyle, aby przymykać oko na jego wyskoki. Problemem natomiast był lęk przed zmianą statusu i utratą tożsamości, a także przed zagrożeniami dla zaplanowanej przez Boga piłkarskiej wielkości.

Grać i wygrywać – taka była w dalszym ciągu główna motywacja Diega. Tymczasem coraz wyraźniejsza była podatność na kontuzje, która miała towarzyszyć mu odtąd przez cały czas kariery. Liczył sobie dopiero dwadzieścia lat, a już zaczynały o sobie dawać znać konsekwencje sztucznie przyspieszonej fizycznej dojrzałości. Kontuzja podczas meczu nie oznaczała tylko unieruchomienia na jakiś czas stopy czy nogi. Maradona tracił też za każdym razem życiową siłę. A przynajmniej tak mu się wydawało.

## BOCA MISTRZEM

NIEDEŁUGO PO PODPISANIU UMOWY między Argentinos Juniors a Boca Juniors pojawiły się pierwsze oznaki podatności Maradony na kontuzje. Dwudziestego lutego 1980 roku, zgodnie z zapisem w umowie między dawnym i nowym klubem Maradony, rozegrano mecz, w którym Diego miał w pierwszej połowie zagrać po stronie Argentinos, a w drugiej – po stronie Boca. Po tym, jak w siedemnastej minucie naciągnął mięsień lewej nogi i musiał zejść z boiska, poziom meczu natychmiast się obniżył. Po przerwie przy stanie bezbramkowym Maradona wrócił jednak na płytę, tym razem w koszulce klubu Boca. Kibice powitali go wiwatami, a działacze byli zadowoleni, że robi to, za co mu płacą. Po którymś zagranu krzyknął do widzów: „Ja się nie poddam!” i dotrwał do końca spotkania. Dla tysięcy obserwatorów była to heroiczna postawa, nie wiedzieli jednak, że umożliwiła ją jedynie potężna dawka środka znieczulającego. Sam Maradona przyznał, że przez trzy dni nie mógł spać z powodu strasznego bólu, który pojawił się, gdy minęło działanie specyfiku.

W drużynie Boca Maradona po raz pierwszy zdobył mistrzostwo kraju. Jak wiele innych elementów jego kariery, także i ten wydawał się zaplanowany przez opatrność, a uzyskany za sprawą siły woli. O grze w Boca Juniors Maradona marzył od dzieciństwa, a potem przepowiadał, że stanie się to także udziałem jego obu młodszych braci. Ci jednak, obdarzeni mniejszym talentem, musieli się zadowolić niższymi szczeblami ligowej hierarchii. Klub Boca Juniors powstał niedaleko starego portu Buenos Aires, w okolicy zamieszkaney przez włoskich robotników, zapelniających po pracy bary i spelunki. Z czasem stał się jednym z najsłynniejszych południowoamerykańskich klubów piłkarskich; w argentyńskiej lidze zaciekle rywalizował jedynie z River Plate. Gra w każdej z tych drużyn była prawdziwym zaszczytem, chociaż w rodzinie Maradonów wyższości Boca Juniors nigdy nie podawano w wątpliwość. Klub przyczyniał się teraz do pomnożenia ich majątku, ale były też w nim elementy przypominające o przeszłości. Na ścianie jednego z korytarzy prowadzących do szatni był mural przedstawiający robotników portowych, takich, jakim niegdyś był ojciec Diega, Chitoro, ładujący towary na statki. W ten sposób nawet teraz, gdy Maradonowie stali się bogaci, klub Boca łączył ich z dawnym środowiskiem.

Na początku sezonu 1981/1982 klubowi nie wiodło się dobrze; drużynie już od czterech lat nie udawało się wywalczyć mistrzostwa Argentyny. Miał to odmienić nowy trener, były zawodnik Boca Juniors, Silvio Marzolini, a Maradona był jednym z czterech nowych nabytków. Dawni gracze – ze znanym bramkarzem Hugo Gattim – na początku nie odnosili się do Diega z wielką sympatią, przede wszystkim z powodu jego wyróżnionej pozycji, a także zarobków, na dodatek obawiano się, że klubowi zaszkodzi rywalizacja między Maradoną a głównym dotychczas zdobywcą goli, Miguelem Anzelem Brindisim. Brindisi, prawy pomocnik, był jednym z weteranów argentyńskiego futbolu. Jako gracz Huracánu występował w reprezentacji jeszcze na mistrzostwach świata w 1974 roku. Grający w tradycyjny sposób, opanowany, niedający się zżerać ambicji, ciężko pracujący na boisku, był właściwie pod każdym względem zaprzeczeniem Maradony. Różnice między nimi pogłębiał jeszcze finansowy sukces tego drugiego, narodowego bohatera, który jednego dnia mógł grać dla klubu Boca, ale już drugiego dla Barcelony, w zależności od tego, kto więcej zapłaci. Tymczasem Brindisi na początku lat siedemdziesiątych z dumą przyjął z rąk generała Peróna medal za to, że pomimo kuszących propozycji z zagranicy wolał zostać w domu.

Obdarzony taktem i darem dyplomacji Marzolini dał wyraźnie do zrozumienia Maradonie, że dla niego jest tylko jeszcze jednym członkiem zespołu i będzie się musiał podporządkować wspólnej dyscyplinie. Było to poważne wyzwanie dla osoby tak aroganckiej i dumnej jak Maradona,

dochodziło więc do ostrych sporów, Diego bowiem instynktownie buntował się przeciw wszelkim próbom narzucania mu czegoś na boisku. Kiedy jednak doszło do pierwszej ważnej próby, wszystkie napięcia cudownie gdzieś zniknęły.

Pierwszy pełny mecz po kontuzji Maradona rozegrał przeciw Talleres z Córdoby. Spotkania z twardym, agresywnie kryjącym rywalem z północy zawsze należały do najważniejszych wydarzeń w sezonie. Kiedy stadion zaczął się wypełniać, można było pomyśleć, że to rzymska arena, na której publiczność chce widzieć Maradonę zwycięskiego albo martwego, tymczasem przyjęcie, jakie mu zgotowano na La Bombonerze, potwierdziło tylko jego szczególną pozycję w argentyńskim futbolu. Witali go nie tylko kibice Boca Juniors. Reporter obecny na meczu wspominał później:

Cała piłkarska Argentyna chciała być tego dnia na stadionie. Malutki fragment kraju – mogący pomieścić sześćdziesiąt pięć tysięcy widzów – pulsował podnieceniem rzadkim nawet w tej dziedzinie sportu. Stadion był wypełniony do ostatniego miejsca, a wszystkich ściągnął jeden magnes, którego nazwisko uosabia dzisiaj piłkę nożną: Maradona.

Papierowe serpentyny zlatywały z trybun, widzowie w żółto-niebieskich barwach Boca Juniors wzniesli chóralny ryk na powitanie Maradony. Na boisku trudno było go pomylić z Brindisim. Ten drugi – schludny, niezbyt barczysty, o nieco mechanicznych ruchach; ten pierwszy – wręcz tryskający energią, dynamiczny, z długimi włosami fruującymi na wietrze.

Maradona zagrał tak, jak tego oczekiwał od niego Marzolini. Bezbłędnie i jakby bez najmniejszego wysiłku wykorzystał dwa rzuty karne podyktowane po faulach na jego kolegach z drużyny. Każdy strzał posłał w inny róg bramki, zmylając bramkarza, który rzucał się w przeciwnym kierunku. Lecz najpiękniejszy z czterech goli strzelonych wówczas przez Boca Juniors padł dzięki niezwykłej szybkości i antycypacji Maradony. Przejął piłkę przed linią środkową, po przedryblowaniu kilku przeciwników znalazł się w rogu boiska, tutaj wspaniale balansując ciałem, zawrócił, minął jeszcze jednego obrońcę Talleres i ze znakomitą wyczuciem lewą nogą wyłożył piłkę nadbiegającemu Brindisiemu w taki sposób, że temu pozostawało już tylko huknąć z woleja.

Tota była tego dnia świadkiem wspaniałego występu syna – znalazła się wśród kibiców, którzy dziesiątego kwietnia 1981 roku zasiedli na trybunach La Bombonery, aby obejrzeć najbardziej ekscytujący z meczów decydujących o tytule mistrza. Padający deszcz w niczym nie zmniejszył podniecenia przed tradycyjnymi derbami między Boca Juniors a River Plate.

Okazało się, że miejsce rywalizacji, której się obawiano, zajęła współpraca między Maradoną i Brindisim. Diego inicjował i konstruował akcje, nadając im taki rytm, aby Brindisi mógł je skutecznie wykańczać. Tak było i tym razem. Boca Juniors wygrali 3:0, a Diego zagrał wręcz koncertowo. Brał udział niemal w każdej akcji ofensywnej swojego zespołu, cudownie rozprowadził kontratak, który zakończył się zdobyciem przez Brindisiego pierwszej bramki. Wynik końcowy Maradona ustalił, zdobywając jedną z najpiękniejszych bramek nie tylko w historii klubu, ale też światowego futbolu. W sześćdziesiątej siódmej minucie spotkania Córdoba przechwycił piłkę na trzydziestym metrze swojej połowy i pognął prawym skrzydłem aż pod narożnik pola karnego River, następnie dośrodkował do wbiegającego w szesnastkę Maradony, a ten doskonale przyjął piłkę, znajdując się w sytuacji sam na sam z Fillolem, bramkarzem o międzynarodowej już renomie. Zamiast strzelać, El Pelusa robi zwód, przekładając piłkę na prawą nogę i mijając jednocześnie bramkarza, a następnie strzela po ziemi obok bezradnie interweniującego obrońcy River, Tarantiniego.

W kilka sekund ośmieszył dwóch zawodników należących do ścisłej argentyńskiej czołówki i stał się niekwestionowanym królem. Jeśli działacze klubu i inni członkowie drużyny mogli mieć jeszcze jakieś zastrzeżenia wobec niego, wszystkie rozplynęły się bez reszty, gdy całym stadionem La Bombonera zatrzęsły dwa okrzyki: „Diego, Diego!” i „Maradona, Maradona!”. Marzolini i Cyterszpiller, siedzący na ławce Boca Juniors, w tej samej chwili zerwali się na równe nogi. Marzolini rozłożył ręce, aby porwać Maradonę w objęcia, Cyterszpiller odwrócił się, by chłonąć entuzjazm widowni. Okazało się, że emocje związane z oglądaniem tego dnia gry Maradony były zbyt wielkie dla Marzoliniego. Kilka godzin po zakończeniu meczu miał atak serca.

Przeżył, a entuzjazm trwał. Prawdopodobnie nic nie oddaje tego nastroju zbiorowej euforii lepiej niż nagłówek umieszczony nazajutrz w jednej z głównych popołudniówek: BOCA TO GARDEL!

Przywołując nazwisko zmarłego Carlosa Gardela, gazeta porównywała występ Maradony do wzruszeń i natchnień, jakie dawał rodakom najsłynniejszy wykonawca tang, prawdziwy symbol argentyńskiej kultury.

W następnych spotkaniach gwiazda Maradony konsekwentnie wznosiła się, a Brindisiego – opadała. Dwudziestojednolatek stał się wkrótce głównym zdobywcą bramek dla klubu, a cała reszta drużyny posłusznie mu się podporządkowała. Po kolejnym znakomitym występie w maju 1981 roku Maradona powiedział:

Dzisiaj grałem więcej niż dotychczas, a to dlatego, że koledzy teraz mają do mnie zaufanie. Wiedzą, że mogą do mnie podać, nawet jeśli jestem kryty, potrafię bowiem uwolnić się od przeciwnika i stworzyć korzystną sytuację. Silvio [Marzolini] powtarza im teraz, że mogą się nie bać podać do mnie, bo ja ich nie marnuję. A tym, czego pragnę najbardziej, jest piłka przy nodze. To najwspanialsza rzecz, jaką może dać ta gra!

Dwa miesiące później, dziewiątego sierpnia, Boca Juniors mieli już mistrzostwo w zasięgu ręki. W meczu wyjazdowym grali w Rosario z Central i wystarczał im remis. W siedemdziesiątej szóstej minucie, kiedy przegrywali 1:0, pojawiła się pierwsza i jedyna w tym meczu szansa na bramkę: sędzia zarządził rzut karny. Wykonywał go Maradona i chybił. Piłka odbiła się od poprzeczki i wyszła na aut bramkowy. Diego wrzasnął z zamkniętymi oczami i wykrzywioną twarzą, jak gdyby opętał go diabeł.





*Boca mistrzem, 1981 r.*

Tydzień później w meczu z Racing los tytułu mistrzowskiego znowu zależał od Maradony. Kolejny karny i tym razem piłka bezbłędnie wylądowała w siatce. Diego spojrział w niebo, dziękując Bogu za wsparcie. Gol uzyskany przed przerwą okazał się decydujący. Po zakończeniu meczu mistrzowie zaczęli robić rundy wokół boiska, a na trybunach strzelały race i grzmiąły okrzyki, których echa niosły się na brzegu morza i docierały aż do centrum Buenos Aires. Na samym przedzie biegł półnagi Maradona w otoczeniu kibiców, pośród których był także jego młodszy brat Lalo w koszulce z numerem 10. Popychany i poszturchiwany, Diego gnał przed siebie z odchylną do tyłu głową i rozrzuconymi ramionami.

W tej chwili zrozumiałem, czym Boca jest dla ludzi, którzy żyją dzięki klubowi i dla niego – wspominał później. – Widzę odbicie ich wszystkich w oczach Antonia Labata, który w mieście pilnuje parkingu. Obiecałem mu, że dam z siebie wszystko, i mam nadzieję, że zapewniłem mu chwilę szczęścia.

**CHOCIAŻ CIĘŻKO WYWALCZONE MISTRZOSTWO** wzbudziło powszechny entuzjazm, to wcale nie było dla Boca Juniors szczęśliwe. Trzy tygodnie po jego zdobyciu okazało się, że w warunkach szalejącego kryzysu, w którym pogrążył się kraj, klub nie jest w stanie wpłacić ostatniej raty należności za Diega klubowi Argentinos Juniors i ten skierował do sądu pozew za niewywiązanie się z umowy. Co gorsza, konta Boca Juniors zostały zamrożone na polecenie Banku Centralnego, gdyż nie było na nich środków wystarczających na pokrycie czeków, z których jeden był wystawiony dla Maradona Productions. W prasie pojawiły się informacje, że brazylijski klub São Paulo zaoferował za Diega siedem milionów dolarów.

Gdy ten powrócił z drużyną do kraju po wyczerpującym i dość nieefektywnym dwudziestodniowym tournée po Europie, okazało się, że ludzie już go nie wielbią. Zazdrość, nieufność i niechęć w dużej mierze karmiły się myślą, że klub Boca Juniors nie popadłby w takie tarapaty, gdyby nie ogromna suma, którą przyszło zapłacić za czołowego gracza.

Problemy finansowe, które wysunęły się na plan pierwszy, przyćmiły w znacznym stopniu futbolowe rekordy ustanowione przez Maradonę. Miał dopiero dwadzieścia jeden lat, a już zdążył – oprócz spotkań towarzyskich i międzynarodowych – rozegrać dwieście meczów pierwszoligowych. Zdobył prawie sto czterdzieści goli, co dawało przeciętną 0,68 na mecz, a wskaźnik ten nie oddawał w pełni jego roli na boisku, nie uwzględniał bowiem wykorzystywanych przez innych sytuacji bramkowych, które tworzył Diego. W trzydziestu trzech meczach rozegranych w barwach Boca Juniors strzelił dwadzieścia bramek. Kiedy zdobył gola w dwusetnym meczu, przeskoczył fosę oddzielającą boisko i wspinał się po metalowym ogrodzeniu, pozdrawiając kibiców. Związek ukarał go za to zawieszeniem na jeden mecz, co jednak przyniosło mu tylko jeszcze większą popularność, ponieważ był zaledwie początek października, a kłopoty klubu Boca miały się dopiero ujawnić.

Dolegał mu naciągnięty mięsień lewego uda, na co odpowiedzią były zastrzyki znieczulające, bo nieustannie musiał grać, gdyż w umowie określono minimalną liczbę spotkań, w których musiał wziąć udział, a do tego dochodziły jeszcze występy w reklamówkach i programach zakontraktowanych przez Maradona Productions. Zwłaszcza oferty zagraniczne pokazywały, w jakim stopniu Boca Juniors, ale i reprezentacja Argentyny są komercyjnie uzależnione od Maradony: każda umowa zawierała punkt gwarantujący obecność Diega.

W wywiadzie, którego dziesiętnastego października udzielił „Clarín”, nie kryje już rosnącej frustracji.

Muszę na jakiś czas odpocząć, nie od treningów i meczów, ale od podróży. Ludzie ciągle o mnie mówią i to w taki sposób, że Maradona przestaje być istotą ludzką, czego za wszelką cenę chcę uniknąć... To pewne, że wszystko, co zdobyłem, zawdzięczam piłce nożnej, ale ja muszę cieszyć się grą, a nie traktować ją jako torturę.

Nic już nie pozostało ze słów Marzoliniego, że wszyscy zawodnicy w drużynie są równi. Gra toczyła się o zbyt wielkie stawki – chodziło między innymi o szanse Argentyny w zbliżających się mistrzostwach świata – aby ktokolwiek kazał Maradonie się zamknąć i robić, co do niego należy. Dostał urlop, tyle że niełatwo było się ukryć. Już nie tylko gra, ale także wolny czas Diega stał się własnością narodu, on tymczasem marzył, żeby zbudzić się i znowu być biednym chłopakiem z Villa Fiorito, wyróżniającym się tylko fenomenalną sprawnością nóg. Chciał mieć oparcie w rodzinie i lojalnych przyjaciółach, a dla całej reszty świata być po prostu jednym z Argentyńczyków kochających ojczyznę.

Poprzedniego lata pojechał z Totą i Chitoro do Esquiny. Próbował odnaleźć dawnego siebie tam, nad brzegami rzeki, gdzie urodzili się jego rodzice i wiedli proste wiejskie życie. Łowił ryby, polował, spał pod gołym niebem, śpiewał z przyjaciółmi przy ognisku. Jak niegdyś jego ojciec i stryj wraz ze znajomymi z Esquiny, uganiał się za piłką dla czystej przyjemności. Na krótką chwilę odzyskał coś, co, jak się obawiał, zostało bezpowrotnie utracone.

Jeden z mieszkańców, zainteresowany historią okolicy, kochający i ją, i jej ludzi, poprosił go, by napisał, dlaczego chciał spędzić wakacje w Esquinie w towarzystwie Claudii i rodziców. Odpowiedź, prosta i odrobinę nieporadna, była taka, jakiej należałoby się spodziewać po kimś, kto niezbyt długo uczęszczał do szkoły:

Przyjechałem tutaj, bo w Esquinie jest pięknie, bo mam tu przyjaciół i znajomych, bo tutaj urodzili się moi rodzice... Kocham rzekę... a kobiety są tutaj takie proste i pełne ciepła... Żyj tu szczęśliwie i wiedzą, jak odpowiedzieć na przyjaźń...

Te słowa, nakreślone nieco dziecinnym pismem, a przechowywane pośród najcenniejszych pamiątek, miejscowy historyk pokazał mi, gdy piętnaście lat później odwiedziłem rodzinne miasteczko ojca Diego Maradony.

Ale nawet pobyt w Esquinie nie do końca był idyllą. Przyjazd Maradonów zbiegł się z dorocznym świętem. Kiedy wieczorem Diego tańczył w otoczeniu frywolnie ubranych miejscowych dziewczyn, wszyscy na potęgę robili zdjęcia. Potem cała rodzina została zaproszona do honorowego stołu, bo obecność Diega została uznana za największą atrakcję święta. I nie obyło się przy tym bez próśb o finansowe wsparcie dla miejscowego domu starców.

Rok później nie pojechał już do Esquiny. Otrzymał od Marzoliniego urlop, udał się do Las Vegas, aby obejrzeć walkę jednego ze swych ulubionych bokserów. Za nim pociągnął tłum dziennikarzy i fotoreporterów, a na zdjęciach, które natychmiast opublikowano w Argentynie, widać go szukającego nie tyle schronienia, ile wystawnych uciech: oto Diego pływający się w basenie Caesar's Palace.

W styczniu 1982 roku Maradona udzielił Guillermo Blanco, dziennikarzowi argentyńskiej gazety piłkarskiej „El Gráfico”, jednego z najbardziej osobistych wywiadów. Padło wiele słów rzucających światło na niektóre cechy jego charakteru. Po pierwsze, wyraźnie podkreślił, ile znaczyli i znaczą dla niego rodzice.



*Maradona z matką i ojcem.*

Zawsze czulem, że jeśli zostanę dobrym graczem, rodzice będą szczęśliwi, a ja będę w stanie dać im rzeczy, których nigdy nie mieli... Chcę pozostać El Pelusa, kochanym przez matkę i rodzinę. Oto moja prawda. Oto moje życie.

## **W UBÓSTWIE SWEJ RODZINY WIDZIAŁ uzasadnienie tego, kim się stał.**

Wolno mi mówić o biedzie, bo sam w niej kiedyś żyłem. Mój ojciec pracował ciężiej ode mnie, a starczało tylko na to, co najpotrzebniejsze, abyśmy nie przymierali głodem. Właśnie dlatego wolno mi powiedzieć, że nędza jest obrzydliwa. Potrzeba ci wielu rzeczy, ale możesz sobie o nich tylko pomarzyć.

Mówił z nostalgią o Villa Fiorito, „gdzie robił rzeczy i piękne, i złe”. Przyznawał, że wielu jego kolegom nie powiodło się tak jak jemu, ale nie zamierzał się usprawiedliwiać z bogactwa. „Jestem zadowolony z tego, ile zarabiam; życzę i im szczęścia”.

Co zatem sprawiło, że tak osobliwie potoczyły się jego losy? Czy czuł się jakoś wyróżniony?

Pewnie, że tak, ale o tym decyduje Bóg – odpowiedział na te pytania. – To On sprawia, że tak dobrze gram. To dlatego zawsze się żegnam przed wejściem na boisko. Gdybym tego nie zrobił, poczułbym, że Go zdradzam.

Blanco przeprowadził rozmowę z Maradoną pod koniec międzynarodowego tournée, podczas którego drużyna Boca Juniors rozegrała kilka meczów towarzyskich w Stanach Zjednoczonych i na Dalekim Wschodzie. Argentyńczycy zdążyli mu już wtedy wybaczyć ucieczkę do Las Vegas i chwilową odmowę trenowania z reprezentacją. Uznano, że to przelotna słabość. Tournée potwierdziło, że w krajach, gdzie futbol coraz bardziej się komercjalizuje, Maradona jest znakomitym towarem.

W USA należał do tej grupki międzynarodowych piłkarzy, którzy przyciągnęli uwagę osób z długofalową wizją robienia interesów. Już w 1980 roku osobliwy amerykański twór, nowojorska drużyna Cosmos, złożona z emerytowanych czy szykujących się do emerytury milionerów futbolowych, rozegrała towarzyski mecz z Argentinos Juniors, a warunkiem umowy była obecność Maradony. Dwa lata później niektórzy spoglądali na niego jak na długoterminową lokatę, która miała zapewnić finansowy sukces rozgrywanych w Stanach Zjednoczonych mistrzostw świata. Boca Juniors zaproszono do Los Angeles, gdzie drużyna rozegrała spotkanie z reprezentacją Salwadoru. Diego był w swoim żywiole, grając przed widownią złożoną w dużej mierze z Latynosów.

W Japonii, gdzie popularność piłki nożnej za sprawą telewizji gwałtownie rosła, Maradonę przyjmowano jako supergwiazdę. Ciągle jeszcze pamiętano jego występy podczas młodzieżowych mistrzostw świata w 1979 roku. Japońscy specjaliści od futbolu i reklamy, nieustannie rozglądający się na Zachodzie za „materiałem”, który można by skopiować i ulepszyć, uznali, że Maradona zagwarantuje im taki sukces. Argentyńskie media z zapałem donosiły o uwielbieniu, jakim Diega otoczono w Japonii. Wszędzie podążały za nim tłumy miłośników, którzy fotografowali go ze wszystkich stron, cisnęli się po autografy, błagali o kosmyk włosów, kupowali koszulki z jego podobizną. Wystąpił w jednej reklamówce, kilka razy trenował z dziećmi. Drużyna Boca Juniors rozegrała dwa mecze towarzyskie z reprezentacją Japonii: jeden w Kobe, drugi w Tokio. Prawdopodobnie jedną z przyczyn miłości, jaką żywili do niego Japończycy, było to, że niski i barczysty jak wielu z nich, stanowił żywy dowód, że futbol jest grą dla wszystkich. Trzeba tylko dobrze kopiować.

## 10 FALKLANDY

DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO LUTEGO 1982 roku generał Leopoldo Galtieri odwiedził w ośrodku nieopodal Buenos Aires grupę piłkarzy przygotowujących się do mistrzostw świata. Pod czujnym okiem kamer telewizyjnych szczególne zainteresowanie okazał Maradonie, obdarzając go uściskiem. Od początków dwudziestego wieku, gdy piłka nożna zaczęła zdobywać w Argentynie coraz większą popularność, kolejni prezydenci ze szkoda dla siebie traktowali ją lekceważąco. Teraz jednak Galtieriemu bardzo zależało na tym, aby pokazać, że symbol piłkarskiego sukcesu Argentyny jest po jego stronie.

Wkrótce po przejęciu władzy w wyniku bezkrwawego zamachu stanu Galtieri zaczął planować najbardziej ambitne przedsięwzięcie militarne w dziejach Argentyny: chciał odbić Brytyjczykom Las Malvinas – przez tych drugich zwane Falklandami – wyspy, do których Argentyna od stu pięćdziesięciu lat rościła sobie pretensje. Wojskowy rząd był przekonany, że sukces zjednoczy naród i uciszy głosy protestu, które zaczęły rozbrzmiewać już wkrótce po zamachu stanu. Do osób wypowiadających się przeciw juncie należał César Menotti, który jako praktycznie nietykany zdobywca Pucharu Świata w roku 1978 niewiele ryzykował, wskazując na marne ekonomiczne i społeczne efekty poczynań generałów.

Ci byli zdania, że łatwo im będzie manipulować Maradoną, osobą cieszącą się wśród mieszkańców Argentyny wielką popularnością. Sądząc po jego publicznych wypowiedziach, albo był naiwny, albo polityka kompletnie go nie interesowała. W udzielonym miesiąc wcześniej wywiadzie szeroko rozwodził się nad swoim życiem, ale na pytanie o politykę umiał powiedzieć tylko tyle: „Nie wiem, naprawdę nie wiem. Jak wybierać, co wybierać... Chcę tylko tego, żeby mój kraj był najlepszy na świecie”.

Był jednak przekonany, że może na swój sposób w tym dopomóc. Zapewnił rozmówcę, że gotów jest oddać wszystkie swe siły, by zapewnić ojczyźnie ponowny tytuł mistrzowski. „Przygotuję się tak, żeby nikogo nie zawieść. Marzę o tym, aby Argentyna raz jeszcze została mistrzem”. Te słowa bardzo spodobały się Galtieriemu, który ucieszył się, gdy usłyszał o gotowości Menottiego do naprawienia relacji z Maradoną. Stosunki między tymi dwoma stały się najchłodniejsze w roku 1978, kiedy Diego został przez trenera usunięty z kadry po tym, jak wróciwszy z Las Vegas, odmówił uczestnictwa w treningach. Kiedy Galtieri wizytował zawodników, Menotti wycofał się ze swej decyzji, co tłumaczył następująco: „Być może nie jest w najlepszej formie, ale to jedyny nasz zawodnik, który jest aktywny na trzech czwartych boiska”.

I on, i Galtieri liczyli na to, że Maradona pohamuje swe wybryki. Nie stało się tak, a przynajmniej nie w skali, jakiej oczekiwano. W miesiącach poprzedzających mistrzostwa kilkakrotnie okazywało się, że Maradona jest nieprzewidywalny. Powstrzymywał się wprawdzie od jawnie politycznych wypowiedzi, natomiast krytykował grę interesów uprawianą poza boiskiem, zagrażając w ten sposób taktycznym, politycznym i komercyjnym sojuszom, którym zawdzięczał swój status gwiazdy. Mówił o działaczach, którzy „chętniej pozują do fotografii, niż zajmują się sprawami klubu”. Dwudziestego ósmego marca, podobnie jak reszta świata nic nie wiedząc o tym, że Galtieri wydał właśnie tajny rozkaz rozpoczęcia inwazji na Falklandy, Maradona skarżył się na długie treningi i twierdził, że zawodnicy graliby z pewnością lepiej, gdyby więcej czasu pozwalano im spędzać z rodzinami.

Cztery dni wcześniej, gdy generałowie prowadzili niekończące się narady sztabowe, Maradona miał niezbyt olśniewający występ w towarzyskim meczu przeciw drużynie Niemiec Zachodnich, rozegranym przed osiemdziesiątysięczną widownią na stadionie River Plate. Mecz oglądał dziennikarz „Observera”, Hugh McIlvanney, który napisał, że *Maradona całkiem zasłużenie jest przez*

*wszystkich uważany za najbardziej fascynujący piłkarski talent, aczkolwiek w tym spotkaniu przyćmił go dwudziestojednoletni niemiecki pomocnik Lothar, Matthäus.*

Na boisku nic nie wskazywało na to, aby jakoś radykalnie pogorszyła się szybkość czy zwinność Maradony – wspominał potem McIlvanney – rzecz jednak w tym, że z rozmysłem i drastycznie ograniczono mu możliwości wykorzystania tych i innych zalet.

McIlvanney nie docenił stopnia, w jakim na psychikę Maradony wpłynęła ostra gra młodego Niemca, którego bezpardonowe zagrania mocno nadwerżyły bezcenną lewą stopę Argentyńczyka. Ponowna przerwa w treningach, kolejna seria zastrzyków i Maradona gra dalej. Podczas następnego towarzyskiego spotkania z ZSRR, rozegranego w Buenos Aires, wydawało się, że Diego jest tak bez formy, że niektórzy z widzów zaczęli gwizdać i wykrzykiwać: „Czemu nie trenujesz?”. Do końca drugiej połowy pozostawało jeszcze sporo czasu, gdy Menotti zdjął Maradonę z boiska. Parę dni później, jakby zapominając o zbliżających się mistrzostwach świata, Diego wyjeżdża wraz z Claudią, aby w odosobnieniu znowu oddać się wędkowaniu i polowaniu w Esquinie.

Tym razem rzeczywiście szuka samotności; ogranicza kontakty z miejscowymi, gniewnie broni się przed przedstawicielami mediów. Ale nawet w tej chwili kryzysu szuka zaprzyjaźnionego dziennikarza, przed którym mógłby otworzyć serce. Ponownie spotyka się z Guillermo Blanco z „El Gráfico”. Rozmawiają na odludnej wysepce, Blanco znowu jest pośrednikiem między Maradoną a zewnętrznym światem. Podziwiał Diega od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył go na boisku Argentinos Juniors, a teraz, kiedy zza jego pleców spoglądała cała Argentyna, chciał zobaczyć swego idola w miejscu, gdzie sięgały jego korzenie.

W rozmowie przy ognisku widać porozumienie między dziennikarzem i piłkarzem, ale wyraźnie dochodzi też do głosu napięcie pojawiające się w stosunku gwiazdy do narodu, którego jest dziełem.

BLANCO: Chciałbym znaleźć tutaj odpowiedź na pytanie, które wielu ludziom się nasuwa, bo zdaje się, że gdzieś osłabła więź sympatii, która ich z tobą łączyła. Powiedz mi, jak się czujesz?

MARADONA: Po pierwsze, ja o swoich uczuciach rozmawiam z rodzicami, narzeczoną, braćmi, przyjaciółmi. Nie chcę o tym czytać w prasie niezależnie od tego, czy dostaję za to honorarium, czy nie. Z tobą mogę rozmawiać o tych sprawach, bo to właśnie ty...

BLANCO: Bardzo dziękuję za to wyróżnienie i mówię to naprawdę szczerze. Tak czy owak, myślę, że możesz bez naruszania swojej prywatności powiedzieć to, co jesteś ludziom winny, ponieważ dużo im zawdzięczasz.

MARADONA: Tak, zawdzięczam i nie neguję tego. Ale ludzie często się mylą... Na przykład kiedy podczas meczu z ZSRR krzyczeli, że powinienem trenować... Może myślą, że się objam, że nie staram się jak najlepiej robić tego, co robię.

BLANCO: Nie sądzę, żeby tak uważała większość, Diego. Sądzę, że ludzie chcą, abyście ty i cała reszta drużyny pokazali im dobry futbol i pozwolili cieszyć się zwycięstwem. Nie żywią do was złości.

MARADONA: Czasami jednak wywiera się na mnie tu, w Argentynie, taki straszny nacisk. To nie do zniesienia. Nie rozumiem tego...

BLANCO: Chciałbym, żebyś mi opowiedział, co czujesz, w jakim jesteś nastroju... To dlatego półtorej godziny spędziłem w łódce, usiłując cię znaleźć.

MARADONA: Jestem uspokojony, wyciszony. Ale jedno chcę powiedzieć wyraźnie: nie będę już traktował wszystkich tych aplauzów tak jak dotąd, bo ludzie nie wiedzą, jak się do mnie odnosić... Będę zdobywał gole dla kolegów z drużyny, dla tych, których kocham, ale dla nikogo więcej.

BLANCO: Szanuję twoją opinię, ale nie jestem pewny, czy to w tym momencie najrozsądniejsza postawa. Zasłużyłeś sobie na sławę, zdobyłeś pozycję, którą powinienes umacniać. Tymczasem mam wątpliwości, czy wiesz, co robić.

MARADONA: Wiem, wiem... Jedyne, czego chcę, to zapewnić dobre życie moim dzieciom, mojej matce. To wiem bardzo dobrze.

BLANCO: A ja sędzę, że znalazłeś się w zaułku, a na zewnątrz jest tyle pięknych rzeczy, które może nie w pełni doceniasz. A między nimi wielkie pragnienie ludzi, żebyś dał im jeszcze trochę więcej szczęścia, kiedy oglądają piłkę nożną.

MARADONA: Ludzie muszą zrozumieć, że Maradona nie jest maszynką do uszczęśliwiania ich. Nie jest maszynką do rozdawania całusów i uśmiechów. Jestem normalnym facetem, chodzę zwyczajnie po ziemi, czasami tylko udaje mi się odrobinę uszczęśliwić ludzi, a wtedy także i ja jestem szczęśliwy. Tyle że ludzie zaczynają myśleć zupełnie inaczej, kiedy Maradona nie robi czegoś dobrze, ma jeden kiepski mecz... czy nawet dziesięć. Dlaczego nie mogą mu tego wybaczyć? A przecież czasami wystarczy jedno kiepskie spotkanie, jedna niestrzelona bramka i zaraz rozpętuje się piekło: bo jest za gruby, bo powinien ściąć włosy... I wtedy to już cię totalnie rozwała. Tak wygląda prawda.

**KIEDY BLANCO I MARADONA** gawędzili sobie tak gdzieś w zaciszu Corrientes, tysiące pośpiesznie zmobilizowanych rówieśników Maradony zaczynały poznawać rzeczywistość wojny: zostali wysłani na Wyspy Falklandzkie. Na początku maja brytyjska łódź podwodna zatopiła torpedami argentyński krążownik *General Belgrano*; poległo trzysta sześćdziesiąt pięć osób. Szybko nastąpiła odpowiedź Argentyny, która raketami Exocet ostrzelała HMS *Sheffield*. Członkowie argentyńskiej kadry przygotowującej się do mistrzostw świata – już wraz z Maradoną – pozwali do zdjęcia na tle transparentu: LAS MALVINAS SON ARGENTINAS. Także w Wielkiej Brytanii nastroje wojenne znajdowały swój futbolowy wyraz. Argentyńczycy grający w angielskich klubach byli atakowani przez chuliganów z powiewającymi flagami Wielkiej Brytanii. Angielski Związek Piłki Nożnej uznał, że rozsądniej będzie, jeśli Ardiles i Villa nie wystąpią w drużynie Tottenhamu podczas rozgrywanego na Wembley finału Pucharu Anglii.

Maradona tymczasem robił swoje. Upoważnił Cyterszpilera do podjęcia negocjacji transferowych z Barceloną. Uczestniczyło w nich teraz więcej osób niż na jakimś europejskim „szczyście” i znalazł się wśród nich Helenio Herrera, mający za sobą imponującą piłkarską karierę. Trenował Barcelonę i Inter Mediolan, doprowadzając je do finałów w różnych rozgrywkach pucharowych, prowadził też reprezentacje Hiszpanii, Francji i Włoch. Herrera, nigdy niemający serca do subtelności dyplomatycznych, nagle w trakcie konfliktu falklandzkiego pojawił się w Buenos Aires i wyraźnie potwierdził to, co Blanco sugerował w swym wywiadzie przy ognisku: Maradona ma już dość presji ze strony rodzimej publiczności i nie może się doczekać wyjazdu do Barcelony.

Umowę podpisano ostatecznie pod koniec maja po czterodniowych rozmowach toczonych w Buenos Aires. Podczas gdy argentyńscy żołnierze, mając przed sobą perspektywę arktycznej zimy i brytyjskiej ofensywy, pogłębiali okopy, przebiegły prezes FC Barcelona, Josep Lluís Núñez, uznał, że czas na rozstrzygające posunięcie. Korzystając z niepewnej sytuacji politycznej oraz pogłębiającego się kryzysu w argentyńskiej piłce nożnej, przyleciał do Buenos Aires, aby osobiście zakończyć rozmowy prowadzone z Boca Juniors i Argentinos Juniors, jako że Maradona po części należał do obu tych klubów.

Wystarczyło, by Núñez zjawił się w Buenos Aires – wspomina Menotti – a wszystkie trudności się rozwiały. Przemawiały za nim pieniądze, a do tego w rozmowach z oboma klubami okazał się sprytniejszy od całej reszty.

Rozmowy wcale jednak nie toczyły się tak gładko, jak mogłyby sugerować słowa Menottiego. Były ostre i bezpardonowe, jak gdyby rozgrywali je odwieczni rywale, a na ich przebiegu w dużej mierze zaciążyło zderzenie dwóch silnych osobowości: Núñeza i Cyterszpilera. Ten pierwszy leciał do Buenos Aires z wyrobionym już poglądem na temat agenta Maradony: argentyński samozwaniec, pozbawiony oglądy i umiejętności nieodzownych do poruszania się w skomplikowanym świecie międzynarodowego futbolu. Cyterszpiler z kolei uważał Núñeza – równie niskiego jak on, chociaż odrobinę mniej tęgiego – za niedosłego dyktatora, którego arogancja i poczucie własnej ważności ucieleśniały najgorsze cechy hiszpańskich konkwistadorów.



Z wielką ochotą drwił z pewnej manieri Núñez, który w trakcie rozmów lubił przechadzać się po pokoju, z rękami założonymi za plecami niczym Napoleon. Spotkanie z Katalończykiem było dla niego takim doświadczeniem, że po upływie trzynastu lat, wspominając je w rozmowie ze mną, nadal nie potrafił powstrzymać się od wyzwisk: „Núñez... Co za kawał sukinsyna, skurwysyński karzeł! Był obrzydliwy!!!”.

W trakcie rozmów Núñez zachowywał się tak, jakby robił Argentyńczykom przysługę, uwalniając ich od Maradony. Na początek zaferował sześć milionów dolarów, trochę więcej, niż zostało uzgodnione rok wcześniej w porozumieniu między Argentinos Juniors i Boca Juniors. Cyterszpiler był jednak zdania, że w tym czasie na międzynarodowym rynku wzrosła wartość Maradony, i zażądał siedmiu milionów. „Powiedziałem, że jeśli mu to nie odpowiada, podejmę rozmowy z Juventusem”, wspominał Cyterszpiler.

Ostatecznie Núñez ustąpił w zamian za wpisanie do kontraktu punktu, zgodnie z którym Maradona miał pozostać w Barcelonie co najmniej sześć lat i w tym czasie rozegrać znaczną liczbę meczów. W sumie rozmowy ciągnęły się przez niemal cztery lata, a ich finałowy etap rozegrał się w domu Cyterszpilera i w hotelu Plaza, gdzie młodzieńczego, niewinnego Maradonę podejmował kiedyś kolacją złotousty emisariusz z Barcelony, Nicolau Casaus. Doszedłszy do porozumienia, Núñez i Cyterszpiler na chwilę odłożyli na bok animozje i wspólnie urządzili w Au Bec Fin, jednej z najbardziej luksusowych francuskich restauracji w Buenos Aires, wspaniałe przyjęcie dla wszystkich biorących udział w negocjacjach. Przyjęcie wspaniałe, ale bez rozgłosu, ostatecznie bowiem toczyła się wojna. „Chcieliśmy się trzymać jak najdalej od prasy”, mówi Cyterszpiler.

Na uboczu tej głównej batalii toczyło się mnóstwo innych, a stawka wszystkich była taka sama: przy okazji złapać jak największy kęs dla siebie. Na przyjęciu zjawili się agenci, prawnicy, bankierzy, działacze, a jedna z osób, która brała udział w rozmowach od samego początku, tak oceniła całą sytuację:

Ostatecznie transfer Maradony do Barcelony przybrał postać perskiego jarmarku, na którym każdy chciał coś zarobić... Krążyły tam setki tysięcy dolarów. To był niesmaczny spektakl. Tyle w to włożyłem pracy, myślałem, tyle wysiłku i poświęceń, a w efekcie każdy chce wyszarpnąć dla siebie jak największą porcję. Jednak sam Maradona na tym skorzystał. Barcelona dobrze płaciła.

**PODCZAS WOJNY FALKLANDZKIEJ ARGENTYŃSKI** Iząd raz jeszcze pokazał, jak ściśle więzy mogą łączyć politykę z piłką nożną. Ostro cenzurowana telewizja przeplatała nacjonalistyczne slogany, które uzasadniały inwazję, z fragmentami występów drużyny, która w 1978 roku zdobyła Puchar Świata. Przenosiło się to na stadiony, gdzie pojawiali się ci sami najemni chuligani, którzy podgrzewali antybrytyjskie nastroje podczas demonstracji na Plaza de Mayo. W 1978 roku podczas finałowego meczu z Holandią najpopularniejsze hasło brzmiało: „Kto nie skacze, jest Holendrem”. Za Galtieriego przybrało ono postać: „Kto nie skacze, jest Anglikiem”. Zawołanie to wstrząsało stadionem River Plate, gdy w początkowej fazie wojny Argentyna grała z ZSRR. Na jednej z ulotek zaprojektowanych i wydrukowanych przez argentyńskie służby specjalne mały *gaucho* – całkiem podobny do kilkuletniego Maradony – w narodowym stroju piłkarskim przyjmuje kapitulację brytyjskiego lwa.

W trakcie wojny dziennikarzy zachęcano do tego, by zacierali granicę między rzeczywistością wojenną i pokojową, upodabniając żołnierzy do piłkarzy. Pamiętnym przykładem jest to, co wydarzyło się pierwszego maja, w dniu, gdy Brytyjczycy po raz pierwszy zbombardowali argentyńskie oddziały. Korespondentem jednej z kontrolowanych przez wojsko stacji był Nicolas Kasanzew. Moment, gdy doszło do pierwszych poważnych walk na wyspach i padły pierwsze ofiary, jak najbardziej nadawał się do refleksji, tymczasem Kasanzew nalot brytyjskich samolotów i odpowiedź argentyńskiej artylerii przedstawił tak, jakby chodziło o akcję angielskiego piłkarza Kevina Keegana, która wyzwoliła równie błyskawiczny kontratak Maradony. Podobnie jak w roku 1978, także i teraz futbol stanowił element wielkiego politycznego zamysłu, tym razem jednak junta strzeliła do własnej bramki: Argentyna nie tylko przegrała wojnę, ale też straciła mistrzowski tytuł.

Kiedy wojna rozgorzała już na dobre, armia dała do zrozumienia, że reprezentacja Argentyny może się wycofać z turnieju, aby uszanować żołnierski wysiłek. Był to pusty gest i junta dobrze wiedziała,

że może sobie na niego pozwolić, gdyż FIFA pod wodzą João Havelange'a robi wszystko, aby oddzielić rozgrywki od polityki. Kiedy potem argentyńscy żołnierze głodowali lub byli masakrowani wokół Port Stanley, Maradona podpisał kontrakt, za którego sprawą stawał się potencjalnym multimilionerem, otrzymującym co miesiąc siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Honorarium to nazwano Maradollar. Była to jedna z największych sum w dotychczasowej historii transferów, a podpisanie kontraktu było kamieniem milowym w dziejach komercjalizacji piłki nożnej. Na nowo rozgorzały dyskusje, czy powinno się pozwolić Maradonie na wyjazd, dyskusje o tyle bezprzedmiotowe, że – jak słusznie zauważył Núñez – żaden argentyński klub nie mógł sobie pozwolić na takiego zawodnika, a na dodatek futbol w tym kraju zaczynał się wymykać spod kontroli panującej junty. Co do Menottiego, to otrzymał zapewnienie, że Maradona będzie mógł grać w reprezentacji, a on być może zostanie kiedyś w przyszłości trenerem Barcelony.

CZTERY DNI PRZED ROZPOCZĘCIEM rozgrywek o mistrzostwo świata Maradona naciągnął podczas treningu ściętno podkolanowe. „Czuję się tak samo podle jak w siedemdziesiątym ósmym, kiedy dowiedziałem się, że nie zagram na mistrzostwach, i nie wiem, jak sobie z tym poradzić”, wyznał długoletniemu przyjacielowi Horacio Paganemu z „Clarín”. Sama myśl o tym, że w związku z kontuzją Maradony Argentyna zacznie mistrzostwa bez swojego podstawowego zawodnika, zaszokowała Menottiego i całą resztę drużyny. Trener zwrócił się do starego przyjaciela, doktora Rubena Olivy, aby ten zobaczył, co się da zrobić.

I Menotti, i Oliva byli zdania, że do Diega trzeba mieć cierpliwość. Według nich jedynym miejscem, gdzie w pełni się realizował, było boisko i należało tolerować wszystko, co sprzyjało jego grze. W rozmowie ze mną Menotti powiedział:

W jednej sytuacji Maradona jest w stanie stawić czoło całemu światu: gdy jest przy piłce. Zabrać mu piłkę to tak samo jak pozbawić kowboja colta. Czuje się wtedy nagi.

Oliva zyskał sobie uznanie w kraju publicznymi atakami na nadużywanie w argentyńskiej piłce nożnej medykamentów i lekarskiego wspomaganie. Był lekarzem klubowym w Milanie, a za opiekę nad włoską reprezentacją olimpijską otrzymał Order Zasługi, co jest honorem dosyć dwuznacznym, zważywszy, jak złą opinią cieszyły się włoskie zawody sportowe ze względu na utrudnianie kontroli antydopingowej. Niezależnie od lewicowych poglądów, podobnie jak Menotti aktywnie działał w związku z mistrzostwami w 1978 roku, obok poczynań medycznych pisząc też regularnie felietony, w których wychwalał fizyczne zalety argentyńskich piłkarzy.

Był zdania, że większość kontuzji ma podłoże bardziej psychiczne niż fizyczne, a jego zdolności perswazyjne były wystarczająco skuteczne, aby przywrócić zawodnikowi dobre samopoczucie i na powrót uczynić go zdolnym do gry. Oliva miał wielu przeciwników wśród lekarzy, natomiast niektórzy pacjenci wręcz go wielbili, bardziej widząc w nim uzdrowiciela o magicznych zdolnościach niż konwencjonalnego medyka. W okresie poprzedzającym mistrzostwa świata w Hiszpanii zaczął mieć coraz większy wpływ na Maradone, który nie dowierzał ortodoksyjnej medycynie, natomiast w Olivie chętnie widział czarodziejskiego lekarza, zesłanego przez Boga, aby czuwał nad zdrowiem piłkarza.

W przeddzień otwierającego występy Argentyny meczu z Belgią oznajmiono, że Maradona jest zdolny do gry. Nie jest jasne, czy stałoby się tak przy jakimś innym lekarzu, w każdym razie okazało się, że sama siła woli nie wystarcza do wygrywania spotkań. Na papierze sytuacja Argentyny wyglądała znacznie lepiej niż przeciwnika. W oczach świata futbolowa reputacja Maradony była nieskazitelna. Oto jak go oceniał doświadczony brytyjski dziennikarz sportowy Brian Glanville: „Dwudziestojednolatek o potężnych udach, szybko myślący i szybko się poruszający, znakomity strzelec i świetny taktik”. A obok Diega w zespole byli też inni wyborni zawodnicy, jak kolega z drużyny, która zdobyła młodzieżowe mistrzostwo świata, Ramón Diaz, angielski „doradca” Ossie Ardiles czy gwiazda mistrzostw świata w 1978 roku – Mario Kempes.

Argentyna rozegrała jednak marny mecz, a Maradona tylko raz zagroził bramce przeciwnika, gdy z wolnego strzelił w poprzeczkę. Belgia wygrała 1:0. Argentyna pokazała pazury w następnym spotkaniu, wygrywając z Węgrami 4:1. Maradona zademonstrował w tym meczu całą gamę różnorodnych zagrań i zdobył dwie bramki. Pokonawszy 2:0 Salwador, Argentyńczycy awansowali do następnej rundy, w której najpierw przegrali z Włochami, potem doznali upokarzającej porażki 3:1 z Brazylią, a Maradona na pięć minut przed końcem został wyrzucony z boiska za brutalny faul na defensywnym pomocniku, Batiście.

Na niepowodzenia reprezentacji w Hiszpanii nałożyły się klęska w wojnie z Wielką Brytanią i upadek rządu. Z wyjątkiem może Ardilesa – który grając nadal w Tottenhamie, musiał się jakoś uporać ze świadomością, że Anglicy zabijają jego rodaków – nikt w drużynie nie przeżył kapitulacji tak mocno jak Maradona. Jeśli przed wyjazdem na mistrzostwa w ogóle zajmował się wojną, to bez reszty wierzył oficjalnej propagandzie i był przekonany, że jego kraj musi wygrać. Dopiero gdy po przyjeździe do Hiszpanii mógł się zetknąć z nieocenzurowanymi informacjami i komentarzami, dotarła do niego prawda o tej wojnie.

Byliśmy przekonani – opowiadał – że wygrywamy wojnę, a ja jak każdy patriota z dumą spoglądałem na narodowy sztandar. Dopiero w Hiszpanii poznaliśmy prawdę. Dla każdego w drużynie był to straszliwy cios.

Pod władzą wojskowych futbol tak bardzo splótł się z polityką, że prawdopodobnie było nieuniknione, że klęska na Falklandach rozwieje także mit niezwycięzonego, jaki spowijał Maradonę. W Hiszpanii ani on, ani jego koledzy nie mogli liczyć na to bezwarunkowe wsparcie, które reżim zagwarantował argentyńskiej drużynie cztery lata wcześniej. Przeciwnie, poczucie narodowej dumy, tak bardzo związanej z Maradoną, zostało na Falklandach. W Hiszpanii argentyńscy dziennikarze nie czuli już, że za wszelką cenę muszą bronić honoru ojczyzny. Sprawozdania z mistrzostw utrzymane teraz były w zupełnie innym tonie: o drużynie pisano, że brak jej ambicji, dyscypliny, że panuje w niej rozleniwienie bliskie hedonizmowi. Nie były to przesadzone oceny. W luksusowym hotelu pod Alicante kilka razy sfotografowano Menottiego, jak z rana pojawia się, przygarniając do siebie niemiecką modelkę. Choć przecież nie stał się nagle większym kobieciarzem niż dotychczas, to w prasie pojawiły się oskarżenia, że więcej czasu spędza w łóżku niż na boisku treningowym. Spośród różnych epizodów odmalowanych przez dziennikarzy jeden szczególnie trafnie odzwierciedla nastroje panujące w argentyńskiej drużynie: żona Tarantiniego rozpoczyna awanturę na plaży i grozi mężowi, że pójdzie do łóżka z innym mężczyzną.

W powstałej atmosferze Maradona czuł się wystawiony na krytyczny osąd publiczny, którego nie potrafił znieść. Dla hiszpańskich dziennikarzy był symbolem nie sukcesów Argentyny, lecz przesady. Szczegółowo został opisany – jak to nazwano – „klan” Maradony: rodzice, bracia, siostry, krewni, przyjaciele i Claudia Villafaña, która była zdania, że najlepiej przysługuje się narzeczonemu, gdy na oczach reporterów całuje go, głośno oznajmiając: „Kochanie, jesteś geniuszem!”. Pracujący dla hiszpańskiej gazety „MARCA” Domingo Trujillo dokładnie wyliczył, ile „klan” – a Diego w szczególności – śpi, je, wysiaduje na plaży i przy basenie, mówiąc inaczej: robi wszystko, tylko nie trenuje.

Trudno się zatem dziwić, że w świadomości Maradony zaczął się wykształcać paranoiczny obraz mediów i opinii publicznej w ogólności: jedna część była za nim, druga – marzyła tylko o tym, aby go ukamienować. Zwłaszcza jedna opinia krytyczna wzbijała się ponad całą resztę. Pelé, sławny brazylijski piłkarz, któremu Maradona miał odebrać tytuł Króla Futbolu, w jednym z pisanych dla „Clarín” felietonów zasugerował, że zagrożeniem dla talentu Maradony są słabości jego charakteru. *Przed wszystkim mam wątpliwości, czy swoją postawą zasługuje na podziw całego świata*, pisał Pelé.

Trzy lata wcześniej Maradona odbył pielgrzymkę do Rio de Janeiro, aby zrealizować jedno z dziecięcych marzeń: spotkać się z Pelé i porozmawiać z nim. W roku 1958, na dwa lata przed narodzinami Maradony, o siedemnastoletnim wówczas Pelé pisano, że Brazylija nigdy nie wydała na świat lepszego od niego piłkarza. W roku 1970, kiedy Maradona miał dziesięć lat, Pelé poprowadził

Brazylię do zwycięstwa w mistrzostwach świata w Meksyku. W roku 1982 Diego poczuł się zdradzony przez swego idola i ta animozja miała się utrzymywać przez następne lata.

Uwagi Pelé przyczyniły się do podgrzania sporu, który rozgorzał w hiszpańskiej prasie: czy Barcelona nie zapłaciła zbyt wiele za Maradonę. Nietrudno się domyślić, że zarzuty takie były formułowane przede wszystkim przez dzienniki madryckie, podczas gdy Núñez i inni działacze wykorzystywali prasę katalońską, aby zakup Maradony ukazać jako dowód siły i ambicji klubu.

Ostatecznie mistrzostwa świata w roku 1982 były dla Maradony złym doświadczeniem. Na stan jego ducha – który tak subtelnie chcieli kształtować Menotti i Oliva – negatywnie wpłynęła także bezpardonowa taktyka stosowana przez przeciwników. Trener Salwadoru nie wahał się publicznie określić Maradony jako głównego celu ataków, a włoski obrońca Claudio Gentile hasło to z premedytacją realizował. Brian Glanville, opisując wielokrotne – ignorowane przez sędziego – faule Gentile na Maradonie, stwierdził, że *stanowią one plamę: na meczu, turnieju i ewentualnym sukcesie włoskiej drużyny*. Kopany, podcinany, chwytny za ręce i za koszulkę Maradona nie mógł pokazać w pełni wszystkich swych umiejętności.

Można mieć zastrzeżenia do Menottiego, że kazał mu grać ofensywnie, narażając go w ten sposób na nieustanny kontakt z Gentile, jednak Diego miał pretensje przede wszystkim do sędziego, który nie zapewnił mu dostatecznej ochrony przed brutalnością przeciwnika, i w ogóle do Włochów, którzy odbierają futbolowi wszelki czar, bo zamieniają go w bijatykę.

Mistrzostwa świata w 1982 roku zakończyły się dla Maradony tak, jak się zaczęły: oczekiwaniem na samolot lecący na drugą stronę Atlantyku. Nie było tylko tłumów na lotnisku, dziennikarzy przyczajonych, aby uchwycić najmniejsze słówko, nie było nawet zbieraczy autografów. Wydawał się po prostu jednym z wielu pasażerów czekających na odprawę. Zniknął bezpośredni nacisk opinii publicznej, na który Diego tak się uskarżał. Z drugiej jednak strony, dobrze wiedział, że prawdopodobnie czeka go poważniejsze wyzwanie: będzie musiał wrócić do Hiszpanii i dowieść, że klub FC Barcelona nie na darmo wyłożył za niego gigantyczne pieniądze.

## KATASTROFA BARCELOŃSKA

OD CZASÓW WIZYTY, KTÓRĄ EVA Perón złożyła w roku 1947 w Hiszpanii generała Franco, przyjazd żadnego Argentyńczyka nie wzbudził w Katalonii takich oczekiwań. W piątek czwartego czerwca 1982 roku Diego Maradona, który nie ukończył jeszcze dwudziestego drugiego roku życia, w towarzystwie Jorge Cyterszpilera przylatuje do Barcelony, aby podpisać umowę transferową opiewającą na sumę, o jakiej w futbolu jeszcze nie słyszano. W otoczeniu fanów, kamer i aparatów fotograficznych przechodzi do limuzyny, którą przejedzie piętnaście kilometrów dzielących lotnisko Prat od wielkiego kompleksu FC Barcelona.

Ceremonia podpisania umowy miała miejsce w sali posiedzeń rady nadzorczej klubu, a odbyło się to z taką pompą, jakby chodziło o traktat pokojowy zawierany po długoletniej wojnie. Pośród obecnych znaleźli się prezesi obu zainteresowanych argentyńskich klubów, Argentinos Juniors i Boca Juniors, a także bankierzy, prawnicy, agenci i biznesmeni zasiadający w radzie nadzorczej FC Barcelona, jednego z najbogatszych na świecie klubów piłkarskich. Pośrodku stołu zasiadł prezes Josep Lluís Núñez, niski, korpulentny megaloman, dumny z tego, że może sceptykom z Madrytu pokazać, że jego klub jest dostatecznie potężny i bogaty, aby pozwolić sobie na jedną z najbardziej kontrowersyjnych gwiazd piłki nożnej. Miejsca po obu stronach Núñeza zajęli wiceprezes Joan Gaspart i główny agent klubu, José María Minguella, jedni z najinteligentniejszych ludzi działających w europejskiej piłce nożnej.

Całej scenie z uwagą przyglądał się Jorge Cyterszpiler. Dobrze wiedział, że to największe jak dotąd osiągnięcie w jego karierze agenta. Przez trzy lata prowadził negocjacje tak, aby jak najwyżej wywindować cenę za przyjaciela, który stał się międzynarodową gwiazdą. Szczegóły kontraktu pozostały tajemnicą, nieznana zatem jest pełna lista osób, które uczestniczyły w podziale tortu. W każdym razie, według oficjalnych dokumentów, FC Barcelona zobowiązała się zapłacić w sześciu ratach łącznie 7,3 miliona dolarów, z czego klub Argentinos Juniors dostawał 5,1 miliona, a Boca Juniors – pozostałe 2,2 miliona. Maradona miał otrzymywać minimum pięćdziesiąt tysięcy dolarów za sezon, niezależnie od premii i nagród. W aneksie do umowy, podpisanym przez FC Barcelona i Maradona Productions, wyraźnie zaznaczono, że firma ma wyłączność na prawa związane z reklamami i wykorzystaniem nazwiska Maradony. Szacowano, że dochód ze sponsoringu powinien w ciągu sześciu lat wynieść około trzech milionów dolarów.

Wygłoszono przemówienia starannie dostosowane do charakteru uroczystości. Prezes Boca Juniors, Noel, mówił ze wzruszeniem ojca, który rozstaje się z ukochanym synem. Ubolewał nad wyjazdem Maradony, ale zapewniał nowego właściciela, że nabytek okaże się wart każdego centa, którego na niego wyłożono. „Gratuluje Barcelonie, że pozyskała najlepszego piłkarza na świecie. Nie wątpię, że Maradona zapewni klubowi sukcesy, a mecze, w których wystąpi, będą wspaniałymi widowiskami”. Także prezes Argentinos nie szczędził pochwał i uznał ten dzień za jeden z największych w dziejach piłki nożnej: „Najlepszy piłkarz na świecie będzie teraz grał w jednym z największych i najpotężniejszych klubów świata”.

Potem głos zabrał sam Maradona. Wielu spośród obecnych na sali wyrobiło już sobie o nim opinię jako o młodym, dość naiwnym i niezbyt inteligentnym piłkarzu, który jest marionetką w rękach agentów. Maradona tymczasem zachował się bardzo zręcznie i taktownie; śmiało patrząc w oczy zebranych i obiektywy kamer, nie rozwodził się nad kwestiami finansowymi, natomiast nacisk położył na to, w czym miał niewielu równych sobie: na pełną zapała grę.



*Podpisanie kontraktu z Barceloną, 1982 r.*

Kariera piłkarza jest bardzo krótka, logiczne więc, że grać trzeba tak, aby zadbać o swoją przyszłość. Ale ja nie zastanawiam się nad tym, czy jestem tani, czy drogi, mogę natomiast wszystkich zapewnić o jednym: w grę włożę całe serce, tak by Barcelona osiągnęła sukcesy, na które sobie zasłużyła.

Na koniec przemówił Núñez i w jego słowach można było usłyszeć i biznesmena, i mistrza ceremonii. Z radością przyjął deklarację Maradony, po czym dołożył od siebie:

Nasz sukces finansowy zależy od sukcesów piłkarskich. Chciałbym prosić Diego Maradonę tylko o jedno: aby dbał o swój wizerunek na boisku i życzliwie odnosił się do kolegów.

A przecież niezależnie od wszystkich pięknych słów i poklepywania się po plecach był pewien aspekt całej tej sceny, który zapowiadał nadciągającą katastrofę: kontrast pomiędzy długowłosym Maradoną w podkoszulku, wyglądającym jak żreback w boksie startowym, a poważnymi, wbitymi w garnitury działaczami Barcelony, eleganckimi, pewnymi siebie, w wyłożonej boazerią sali, gdzie na półkach stoją puchary, a na ścianach wiszą zdjęcia zawodników, a drogie meble przypominają, co jest sednem współczesnego futbolu: władza i pieniądze.

**W PORÓWNIANIU Z FC BARCELONA, BOCA i Argentinos Juniors** były klubami amatorskimi. Już motto Barcelony mówi samo za siebie: „Więcej niż klub”. Był to największy klub na świecie, liczący sto tysięcy stałych członków i ponad tysiąc fanklubów od Pekinu po Ohio. W porównaniu z jego leżącym na przedmieściach Barcelony stadionem, La Bombonera, gdzie Maradona rok wcześniej wywalczył mistrzostwo Argentyny, wydawał się podwórkowym boiskiem. Gigantyczny Nou Camp stał właściwie pośrodku małego miasteczka, na które składały się budynki administracyjne, sportowe i muzeum.

Swoją pozycję klub zawdzięczał polityce. Założony w roku 1899 przez grupę pracujących w Barcelonie szwajcarskich biznesmenów jako symbol katalońskiego nacjonalizmu, trwał, czerpiąc siły z utrzymującej się przez wszystkie lata dyktatury Franco atmosfery oblężonej twierdzy. Dążenia wolnościowe Katalończyków napotykały na zdecydowany opór i represje, dlatego też Nou Camp stał się świątynią i symbolem kulturowej tożsamości; każdy mecz z Realem Madryt stanowił deklarację niezależności, a prezesura FCB była najważniejszym cywilnym stanowiskiem w Katalonii.

Kiedy Maradona podpisywał w 1982 roku kontrakt, Franco nie żył już od siedmiu lat, a w Hiszpanii panował demokratycznie wybrany rząd, niemniej klub FC Barcelona nie zmienił stosunku do obcych. Zachował symbole niezależności: katalońską flagę i kataloński język, a wszystkie osoby związane z klubem – urzędnicy, menedżerowie, zawodnicy i kibice – musiały jawnie opowiadać się za ideałami FCB; wszelkie odstępstwa i brak dyscypliny były nie do pomyślenia. Wiceprezes Nicolau Casaus, który dał początek zainteresowaniu Barcelony Maradoną, był najstarszym członkiem rady nadzorczej. Prezes Josep Lluís Núñez za nic sobie miał jedwabiste subtelnosci dawnej dyplomacji. Twardy Bask, który sukcesy odniósł jako przedsiębiorca budowlany, zarządzał klubem jak prywatnym folwarkiem. Było się albo z nim, albo przeciw niemu. Po tym, jak wstrząsnął strukturą finansów klubowych, oczekiwał, że jego prezesura potrwa kilka kadencji. Kiedy w 1978 roku wybrano go na prezesa, udało mu się nakłonić członków klubu – praktycznie jego akcjonariuszy – aby podwyższyli swe roczne składki, i z uzyskanych w ten sposób funduszy powiększył Nou Camp oraz podjął kilka innych inwestycji, do których należały: zwiększenie liczby miejsc siedzących i zakup Maradony.

W tej ostatniej kwestii zdawał sobie sprawę z ryzyka. Diego Maradona był wprawdzie argentyńskim bohaterem narodowym, ale nigdy jeszcze nie próbował szczęścia w jakimkolwiek zagranicznym klubie. Niezbyt fortunny występ na mistrzostwach świata – pierwszy poważny start międzynarodowy w dorosłym futbolu – wzbudził wątpliwości co do jego prawdziwej wartości; wzbudził je w całej Hiszpanii, ale przede wszystkim w Madrycie.

Núñez zamierzał udowodnić wszystkim sceptykom, że się mylą. Chciał w pełni wykorzystać talent Maradony, aby wypełnić miejsca na stadionie i przyciągnąć do klubu nowych członków. Żeby to uzyskać, trzeba było mierzyć wysoko. Barcelona w ostatniej dekadzie miała wzloty i upadki, lecz tak naprawdę nigdy nie odzyskała wielkości z czasów Helenia Herrery czy Johana Cruyffa. Udało jej się zdobyć Puchar Zdobywców Pucharów, jednak dla większości fanów klubu była to marna rekompensata za kiepskie występy w poprzednim sezonie, zwłaszcza gdy zestawiono się je z osiągnięciami rywala nad rywalami: Realu Madryt. Núñez postawił sobie za cel mistrzostwo Hiszpanii i Puchar Europy, co powinno za sobą pociągnąć mnóstwo umów ze sponsorami i stacjami telewizyjnymi. Dla realizacji tych zamierzeń potrzebował od Maradony tylko dwóch rzeczy: dyscypliny i sukcesu.

Wkrótce okazało się, że Diego nie jest bynajmniej oczkiem w głowie barcelońskiej publiczności, której sympatię musiał sobie dopiero zdobyć grą i wynikami. Dwudziestego ósmego lipca 1982 roku, trzy tygodnie po wyeliminowaniu Argentyny z turnieju o mistrzostwo świata, na Nou Camp odbyła się tradycyjna impreza prezentacji drużyny na początek sezonu. Na stadion przyszło pięćdziesiąt tysięcy osób – rekord, jeśli chodzi o tę okazję – ale popularność Maradony przyćmił Bernd Schuster, który wraz z reprezentacją Niemiec Zachodnich wygrał w roku 1980 mistrzostwa Europy i natychmiast potem został zakupiony do Barcelony. Nou Camp zatrzęsł się od okrzyków „Schuster, Schuster!”, a nie „Maradona, Maradona!”. Niemiecki pomocnik wracał do gry po kontuzji kolana, która nie pozwoliła mu walczyć o Puchar Świata.

Trzecią z zagranicznych gwiazd był Duńczyk, Allan Simonsen. Ponieważ hiszpańskie przepisy zezwalały na udział w meczu ligowym tylko dwóch zawodników z zagranicy, powszechnie oczekiwano, że Duńczyk będzie musiał pozostać w cieniu, bo dwiema głównymi siłami napędowymi w przegrupowywanej przez niemieckiego trenera Udo Latka drużynie zostaną Schuster i Maradona. Diego miał świadomość, że nadszedł kluczowy moment w jego karierze.

Od samego początku zabiegał o zaufanie i sympatię kolegów. Bardzo szybko nawiązał przyjaźń z jednym z najpopularniejszych zawodników, „Lobo” Carrasco, który dojrzywał w drużynie klubowych młodzików. Carrasco, dwa lata starszy od Maradony, nadawał się na doradcę i powiernika. Ze swoim całkowitym brakiem arogancji czy pychy, kontrastujący w tej kwestii z najważniejszymi osobistościami klubu, zdobył sympatię Diega. Dzielili pokój w czasie poprzedzającego sezon obozu w Andorze. Podczasciągających się niekiedy nocnych rozmów Maradona opowiadał o swoich wrażeniach. Poza boiskiem i światłem reflektorów okazał się szczery i prostolinijny, zupełnie niepodobny do gwiazdora.

Duże wrażenie zrobiła na mnie jego skromność i wrażliwość – opowiada Carrasco. – W Argentynie był półbogiem, rozmowy ze mną dowodziły, że dobrze wie, jaką drogę przebył. Opowiadał, jak zaciekle musiał walczyć i dalej musi, aby zabezpieczyć przyszłość rodziny. Patrząc na niego, dostrzegłem chłopaka pełnego marzeń, który zachował w sobie niewinność i głód sukcesu, zarazem jednak widziałem, że patrzy na świat oczami wielkimi jak spodki i z największą chęcią pożarłby go w całości. To budziło mój niepokój. Im bardziej się zaprzyjaźnialiśmy, tym mocniej się o niego bałem i myślałem, że jego koniec może być opłakany

Wszystkie ślady słabości i niepewności znikają, gdy tylko pojawia się piłka.

Był jak kameleon – wspomina Carrasco. – Na boisku zmieniał się nie do poznania. Był całkowicie pewny siebie, piłka uległa go słuchała. Gdy biegnąc, wymijał przeciwników, wydawało się, że jest przywiązana do jego butów. Pamiętam nasze pierwsze treningi. Cała drużyna stawała, aby mu się przypatrywać. Nikt inny nie wzbudzał takiego zainteresowania; po prostu przyjemnie było patrzeć na to, co robi.

Maradona doskonale wiedział, jakie wrażenie wywiera na kolegach. Kiedy dziesięć lat później będzie opisywał swój pobyt w Barcelonie, powie, że Carrasco był jego „sojusznikiem”, zarazem jednak nie pozostawi wątpliwości, który z nich więcej nauczył się od tego drugiego: „Carrasco starał się naśladować mnie we wszystkim. Jest bardzo pojętny, więc u mojego boku robił ogromne i szybkie postępy”. Przez większość kariery Maradona samą swą obecnością przytłaczał mniej doświadczonych kolegów z zespołu, ale w Barcelonie dla takich jak Carrasco stawał się inspiracją. Z kolei zaufanie innych zawodników podnosiło jeszcze pewność siebie Diega, co widać było w jego początkowych występach w barwach Barcelony.

Jak się tego spodziewano, Udo Lattek postanowił, że zagraniczny duet stworzą Maradona z Schusterem, Simonsena zaś posadził na ławce rezerwowych. Zdaniem Lattki, Niemiec i Argentyńczyk znakomicie się uzupełniali. I rzeczywiście, rozpoczynane ze środka pola akcje kończyły się efektownymi golami, jak za pamiętnych czasów Cruyffa. W meczu z lokalnym rywalem, RCD Espanyol, Diego pokazał, jak potrafi czasami sięgnąć do ukrytych zasobów sił. Do przerwy utrzymywał się wynik bezbramkowy. Maradona, chociaż nie wykurował się jeszcze w pełni po ostatniej kontuzji nogi, ubłagał Lattkę, by wpuścił go na boisko. Wystarczyło kilka minut, by strzelił jedyne w tym spotkaniu gola. Jedenaście dni później widzowie, stojąc, żegnali brawami zespół Barcelony schodzący z boiska Crveneje Zvezdy w Belgradzie, gdzie pokonali gospodarzy w meczu 1/8 finału Pucharu Zdobywców Pucharów. Maradona i Schuster zaliczyli po dwie bramki, a ich drużyna zwyciężyła 4:2.

Gdyby chodziło o jakiś inny klub, te piękne początki okazałyby się pierwszą fazą korzystnego sześcioletniego kontraktu z prawdziwą gwiazdą. Tymczasem w specyficznej atmosferze FC Barcelona skomplikowane charaktery Núñeza, Lattki, Schustera i Maradony stworzyły mieszanekę wybuchową.

Inni zawodnicy nie przestali cenić Maradony za jego koleżeńskość. Nie uszło ich uwagi na przykład, jak po treningu zbierał piłki, chociaż zwykle zajmuje się tym personel pomocniczy. Natomiast tacy zawodnicy jak Carrasco niepokoił się, jak uda się Maradonie znieść to, że nie będzie mógł prowadzić takiego trybu życia jak w Argentynie. Historia FC Barcelona pełna jest opowieści o piłkarskich sukcesach i katastrofach, a u źródeł tych drugich czasami leżał skrywany rasizm. W latach siedemdziesiątych zdecydowanie odmiennie potoczyły się losy Johana Cruyffa i ciemnoskórego Peruwiańczyka Hugo Sotila. Ten pierwszy nauczył się języka katalońskiego i sprowadził do Barcelony rodzinę, podczas gdy niewykształcony Sotil zyskał sobie przydomek Król Mambo z powodu częstych nocnych eskapad. Cruyff zdobył prawdziwie królewską renomę, podczas gdy Sotil, lekceważony coraz bardziej także i na boisku, ostatecznie opuścił Barcelonę w niesławie.



Carrasco na samym początku przekazał Maradonie prostą prawdę: albo będziesz zachowywał się statecznie, albo klub cię zniszczy.

Wiedząc, jak to było z innymi przyjezdnymi zawodnikami, powiedziałem mu jasno: „Uważaj, jeśli się wypuszczasz na miasto. W poniedziałek, wtorek możesz właściwie robić, co chcesz, ale jeśli chcesz wyskoczyć w piątek, przed meczem, bardzo uważaj, żebyś nie wpadł w oko mediom”.

Maradonie trudno było trzymać się tej rady, za co miał słono zapłacić.

Niezależnie od sympatii i zrozumienia, z jakimi mógł się spotkać, właściwie od początku przepełniało go poczucie wyobcowania. Mniej więcej miesiąc po rozpoczęciu sezonu musiał przerwać treningi z powodu naciągnięcia mięśnia, ale nie chciał oddać się w ręce klubowych lekarzy; nalegał, aby z Mediolanu przyleciał dawny przyjaciel, doktor Oliva. Domagał się także, żeby jego formą zajmował się Fernando Signorini, Argentyńczyk, który niedawno zasilił „klan Maradony”. Jego wigor i młodzieńczy wygląd maskowały to, że był dziesięć lat starszy od Diega. Do Barcelony przybył niedawno, ożenił się i rozglądał za jakimś lepszym zajęciem od tego, które mógł znaleźć w ojczyźnie.

Na początek został nocnym stróżem na Paseo de Gracia, ulicy, przy której stały najdroższe domy w Barcelonie. W wolne dni odwiedzał znajdujące się niedaleko Nou Camp boisko treningowe, a dzięki żonie udało mu się przeniknąć do kręgu otaczającego Maradonę. Pracowała jako instruktorka tenisa w prywatnym klubie, który odwiedzali dziewczyna Diega, Claudia, i jego młodszy brat, Lalo. Lalo był równie miernym tenisistą jak piłkarzem, odniósł jednak kilka zwycięstw w lokalnych turniejach deblowych, gdy połączono go w parę z jednym z najlepszych graczy. Kiedy Signorini po raz pierwszy został zaproszony do domu Maradony, ten za namową Claudii zaproponował, aby został jego osobistym trenerem. Signorini był oczywiście wniebowzięty, ale starczyło mu realizmu, by zdawać sobie sprawę, że jest zbyt mało znany, aby taka funkcja nie spotkała się z ostrą krytyką.

„Do diabła z tym, co powiedzą ludzie, jesteś mi potrzebny”, powiedział na to Diego. Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście – wyznał Signorini. – Niektórzy oddaliby wszystko za taką pracę.

Taki właśnie świat budował Maradona wokół siebie: świat osobistych znajomości i sojuszy opartych na niepisanym kodeksie lojalności i pomocy, dość podobny do tego, który jego rodzice znali z Esquiny, a potem tworzyli w Villa Fiorito. Tu Diego mógł się poruszać jak pan i władca, folgujący swoim zachciankom i mogący liczyć na tolerancję, aczkolwiek nie mogło to nie zaostrzyć relacji z klubem, który go nabył.

I Oliva, i Signorini twierdzili, że Maradona to zawodnik szczególnie i tylko oni wiedzą, czego mu potrzeba. Tymczasem lekarze Barcelony uważali się za najlepszych specjalistów w Hiszpanii i wcale nie było im w smak, że miałyby ich pouczać jakiś Latynos. Z drugiej strony, tradycyjny w swych poglądach i autorytarny Udo Lattek, który nie wahał się ani chwili, aby zakazać wstępu na treningi Cyterszpillerowi – uważał, że obecność agenta i przyjaciela w jednej osobie źle wpływa na Diega – pojawienie się jakiegoś amatora w funkcji osobistego trenera potraktował jako zniewagę dla swej profesji.

Bardzo więc szybko doszło do poważnych napięć w komunikacji między Maradoną a kierownictwem klubu. Na boisku treningowym i w szatni Diego mógł się zachowywać skromnie, ale we wszystkich innych aspektach życia chciał sam dyktować reguły i nie znosił żadnej kontroli. W Barcelonie jest wiele eleganckich i drogich domów, jednak ten, który Maradona wybrał sobie w bogatej dzielnicy Pedralbes, śmiało mógłby się znaleźć w Hollywood. Kazał go przebudować tak, aby na terenie posesji znalazły się fontanny, basen w kolorach FC Barcelona, a także dość miejsca dla rodziny i przyjaciół. „Dom wprawiał w osłupienie. Był tak wielki, że wprost sam domagał się, żeby zapraszać ludzi”, opowiadał dawny osobisty fotograf Maradony, Juan Carlos Laburu. Diego wspominał jednak pobyt w Barcelonie jako nieszczęśliwy okres w życiu, a szczególnie boleśnie odczuł pierwsze święta Bożego Narodzenia. „Czułem się oderwany od rodziny i Claudii”, mówił.

Wkrótce jednak w domu na Pedralbes obok Diega i Toty pojawiła się także Claudia oraz jego siostra Maria z mężem Gabrielem. Chitoro przyjeżdżał z wizytą i po chwili zniknął, wołał bowiem doglądać spraw w Argentynie. W domu zamieszkali także przyjaciele Maradony, którzy trzymali się

go od najwcześniejszych lat i mogli liczyć na opiekę i protekcję. Jednym z nich był Osvaldo Buona, który grał w Argentinos Juniors, nigdy jednak nie zdobył sobie uznania w kraju, natomiast został przyjęty do drugoligowej drużyny katalońskiej na żądanie, które Maradona zgłosił w końcowej fazie negocjowania kontraktu z Barceloną. Innym był Ricardo Ayala, El Soldadito, „Żołnierz”. Porzucony przez rodziców w Esquinie, najmłodsze lata spędził na ulicy, żebrząc i kradnąc, aż adoptowała go i posłała do szkoły para w średnim wieku. Maradona spotkał go podczas jednej z pierwszych wypraw do Esquiny, gdzie Ayala pracował jako służący u lokalnego biznesmena. Razem wypuścili się na ryby i Maradonie bardzo spodobały się dowcip i temperament Ayali, a także brak szacunku dla jakichkolwiek autorytetów. Zaproponował mu posadę szofera i ochroniarza, bo przy tej funkcji bezceremonialność i spryt ulicznika były prawdziwymi zaletami. I Buona, i El Soldadito przypominali Maradonie przyjaciół z Villa Fiorito, którzy zostali tam, zdani na swój los, a zarazem ci dwaj byli bliskimi mu ludźmi, w których mógł szukać oparcia, stając wobec wyrafinowanego i snobistycznego barcelońskiego towarzystwa. Potrzebował ich jak rodziny, nie tylko bowiem mógł liczyć na pomoc, ale także w ich towarzystwie mógł być naprawdę sobą.

Im z kolei patronat Maradony pozwalał czerpać z uciech świata. Buona ocenia wyjazd do Barcelony jako wielką „przygodę”.

Poznałem piękne miasto, w którym można było się zabawić równie dobrze jak w Buenos Aires. W niedziele i poniedziałki rozbijaliśmy się po klubach tak jak w Argentynie. Na Rambli wrzało nocne życie.

Na Rambli, słynnej barcelońskiej alei, biegnącej z centrum do morza, można było znaleźć wszystko: kwaciarnie, restauracje i lokale z pokazami erotycznymi.

„Klan” Maradony zasilili mieszkający w Barcelonie Argentyńczycy, których przysługi Diego sobie cenił. Znalazł się właściciel pizzerii, który przygotowywał *calabresi* tak jak w starej części Buenos Aires, nieopodal La Bombonery. Znalazł się właściciel baru, gdzie podawano takie kanapki, jakie jadało się na urodzinach kilkunastoletniego Maradony. Znalazł się przyjaciel dostarczający najlepsze argentyńskie mięso i inny, który zapewniał kasety wideo i nagrania z Julio Iglesiasem, ulubionym piosenkarzem Maradony. Na Pedralbes powstał zamknięty świat, małe Buenos Aires, gdzie panowała atmosfera jak w Villa Fiorito.

Jeśli chciało się dotrzeć do Zamku Pedralbes, kontaktu trzeba było szukać nie przez FC Barcelona, lecz via Maradona Productions. Firma została przemianowana na First Champion Productions, a jej europejskie przedstawicielstwo Cyterszpiller urządził w jednym z najbardziej luksusowych biurowców w Barcelonie. Niemal natychmiast doszło do awantury z właścicielem, kiedy Cyterszpiller przerobił jedno z pomieszczeń na kuchnię, żeby zawsze mieć na zawołanie ulubione smakołyki. Właściciel oznajmił, że zapachy roznoszą się po całym budynku, i zarzucił Cyterszpillerowi cygański tryb życia; domagał się, by ten zlikwidował kuchnię albo się wynosił. I tak przyjaciel Maradony dowiadywał się, że życie w Barcelonie nie będzie tak łatwe, jak skłonny był uważać.

Nie ustępował jednak. Nie zmienił lokalu, zatrudnił natomiast całą armię sekretarek i portierów, aby trzymali na dystans urzędników podatkowych i wszelkich innych intruzów. Wynajętą w Buenos Aires ekipę filmową zaczął przygotowywać do jednego ze swych najambitniejszych przedsięwzięć. Korzystając z przeschumowanych z Argentyny materiałów archiwalnych oraz zdjęć robionych w Hiszpanii, miała ona przygotować film *Życie Maradony*, który miał być rozprowadzony po całym świecie w dwunastu wersjach językowych. Ścieżką dźwiękową oraz montażem zajęły się studia w Los Angeles i Nowym Jorku, a całkowity koszt produkcji wyniósł ponad milion dolarów.

Cyterszpiller podjął też rozmowy z McDonald's i firmą AGFA; chciał z nimi zawrzeć umowy podobne do tych, które przed mistrzostwami świata podpisał z Pumą i Coca-Colą. Mogłoby się wydawać, że First Champion Productions, z jej agresywnym nastawieniem na komercję, porusza się w sferze całkiem obcej prostemu życiu, jakiego Maradona szukał w kręgu rodziny i przyjaciół, oba te obszary były jednak ściśle od siebie zależne. Materiały marketingowe prezentowały Diega jako prostego, kochającego życie rodzinne człowieka, który znalazł się na szczycie dzięki geniuszowi prezentowanemu na boisku piłkarskim. Taka wizja miała oderwać rodziców i dzieci od tapas i wina

i ustawić w kolejce po Big Maca oraz puszkę coli. Jeśli tylko zechcemy, każdy z nas może być Maradoną – oto przesłanie, z którym reklamy zwracały się do odbiorców.

Nawet jeśli Maradonie zależało na życzliwości kierownictwa klubu, to z coraz większą niechęcią odnosił się do światka, przed którym się zamykał. Działacze z rzadka byli zapraszani do jego domu, ale opowieści, jakie słyszeli od innych zawodników i znajdowali w lokalnej prasie, wyraźnie sugerowały, że supergwiazdor postępuje jak rozwydrzony nastolatek. Opowiadano, że jeśli chodzi o liczbę posiadanych filmów pornograficznych, Kopenhaga może uchodzić w porównaniu z domem Maradony za miejsce świątobliwe, że odbywają się tam wprawdzie niewinne barbecue, ale są też wyuzdane przyjęcia, na których nie brakuje prostytutek, a z rana całe towarzystwo kończy imprezowanie w basenie. Ramón Miravittas, redaktor popularnej gazety „Interviú”, wspomina:

Moje ówczesne związki z Maradoną w Barcelonie polegały na kontaktach z korowodami młodych dam o starych, zmęczonych i smutnych oczach, które za trochę pieniędzy chciały opowiedzieć, jak i przez kogo zostały zerżnięte na przyjęciach organizowanych przez „klan”.

Jedynym, jak się zdaje, członkiem rady nadzorczej klubu, który odnosił się do Diega z niezmienną sympatią, był Nicolau Casaus, ale i on zaczynał być coraz bardziej rozczarowany, nie tyle może samym Maradoną, ile jego otoczeniem.

Przyjechawszy do Barcelony, Maradona oświadczył, że klubowi chce dać z siebie wszystko, a ja mu wierzyłem – żalił się Casaus, gdy rozmawiałem z nim w 1995 roku. – To jednak bardzo dla niego typowe: odda ci całe serce, ale głowy w tym nie ma. Potem, wraz z upływem czasu, zaczynałem się orientować, że Diego nie panuje nad swoim życiem. Wszystkim kierował Cyterszpiler, co rozumiałem podczas pierwszej wizyty w nowym domu Diega. Otaczał go mur siedmiu, ośmiu osób, włącznie z Claudią, przez który nie mogłem się przebić.

Działacze FC Barcelona z coraz większą irytacją znaczną część swojego czasu marnowali na śledzenie zdarzeń, które – jak najczęściej się okazywało – nie powinny były się wydarzyć. Wyczyny „klanu” Maradony powoli przestały się ograniczać do Zamku Pedralbes, a zaczynały wypełzać w czujnie obserwowaną publiczną przestrzeń miasta. Konfliktami między zamożnymi Katalończykami a *sudacas*, jak pogardliwie określano przybyszów z Ameryki Południowej, karmiły się plotkarskie kolumny popołudniówek, a jeden z zapałem został utrwalony przez paparazzich. Pewnego razu Maradona w gronie przyjaciół i krewnych postanowił zakończyć noc w jednym z najbardziej ekskluzywnych nocnych lokali Barcelony, Up & Down. Roześmiana i niepokorna grupa miała już za sobą pobyt w kilku innych lokalach. Bardzo szybko Maradona doszedł do wniosku, że on i jego towarzystwo nie są traktowani z należyтым szacunkiem, a wprost przeciwnie: otacza ich chłód i niechęć. Obecni, w większości Katalończycy, z pewnością nie ukrywali niechęci do przybyszów, którym brak było klasy i edukacji. Nie wiadomo dokładnie, jak potoczyły się wydarzenia tej nocy, w każdym razie w pewnym momencie Maradona wraz z jednym czy dwoma kolegami zaczął w niezbyt wyszukany sposób zalecać się do obecnych na sali kobiet, najczęściej będących w towarzystwie. Doszło do bójki i kazano mu opuścić klub.

Tylko jeden gatunek plotek, które docierały do kierownictwa klubu, był starannie ukrywany. Podczas niektórych imprez w domu, a także i na mieście, Maradona sięgał po narkotyki. Pojawiały się opowieści, że czasami w nocnym klubie znika w towarzystwie kompanów w toalecie i powracają ze szklistymi oczami. Krążyły pogłoski, że zażywa kokainę. Dopiero po szesnastu latach Maradona publicznie przyznał, że długoletnia historia jego związków z narkotykami miała się zacząć w Barcelonie, chociaż podczas pobytu w Hiszpanii dementował wszystkie niekorzystne informacje na swój temat, a dziennikarzom groził procesami o zniesławienie.

Pierwszy raz spróbowałem kokainy w roku 1982 – powiedział w styczniu 1996 roku. – Miałem wtedy dopiero dwadzieścia dwa lata, a było to w Barcelonie. Zrobiłem to, bo chciałem poczuć, że żyję. W futbolu, podobnie jak w innych sferach życia, narkotyki istniały zawsze, ten problem nie pojawił się dopiero dzisiaj. I to nie ja jeden brałem. Robili to też inni.

Podczas pobytu w Barcelonie okazjonalne przyjmowanie przez Maradonę kokainy było tajemnicą znaną tylko najbliższemu przyjacielom; inni mogli co najwyżej żywić podejrzenia niepoparte żadnymi dowodami. Co więcej, Diego był tak przekonujący w swoich łągarstwach, że burmistrz Barcelony płacił mu za uczestnictwo w kampanii antynarkotykowej. W czasie największej oglądalności

regularnie pojawiała się w telewizji reklama, w której czysty i zdrowy Maradona bawił się na katalońskiej plaży w otoczeniu równie czystych i zdrowych dzieci, a napis głosił: *Ciesz się życiem. Narkotyki zabijają*. Reklamodawca nie wiedział, że tuż przed tą sceną lub zaraz po niej piłkarski gwiazdor wciągał być może kreskę koki.

Nie ma żadnych świadectw, że grając w FC Barcelona, Maradona kiedykolwiek przyjmował kokainę czy jakąś inną niedozwoloną substancję przed meczem ani że jakiegokolwiek badanie lekarskie wykryło u niego ślady dopingu. Działacze nie dzielili się publicznie swoimi podejrzeniami, ponieważ brakowało jednoznacznych dowodów. Tego stanowiska klub trzymał się także po rozstaniu z Maradoną; kiedy w 1995 roku rozmawiałem z najważniejszymi przedstawicielami Barcelony, stanowczo utrzymywali, że problemy z narkotykami zaczęły się dopiero po wyjeździe do Włoch.

Były jednak inne kwestie, których trudno było nie zauważać. Na początku listopada 1982 roku, dwa miesiące po rozpoczęciu sezonu, Maradona poprosił Udo Lattka, aby dał mu odetchnąć od nieprzerwanego ciągu spotkań towarzyskich, ligowych i pucharowych. Trener nie zgodził się i Maradona poleciał, chociaż niechętnie, na towarzyski mecz z mistrzem Francji, Paris Saint-Germain. W ostrej kłótni z działaczami domagał się jednak, żeby wszyscy zawodnicy otrzymali równie wysoką premię, jaką zaproponowano jemu. Drużyna, zapewne zbudowana takim przykładem solidarności, zwyciężyła 4:1, a Diego miał istotny udział w sukcesie.

Wieczorem nakłonił połowę zespołu, aby dla upamiętnienia wygranej wypuścić się na Paryż. Ta wyprawa trwała aż do późnych godzin rannych. Śladem piłkarzy pociągnęli katalońscy i francuscy dziennikarze i do Núñeza dotarła wiadomość, że argentyński gwiazdor pociągnął za sobą cały zespół. Prezes klubu dał wyraz oburzeniu, nie czekając na powrót zawodników.

Ja nigdy nie wałęsam się nocą po lokalach... Będę musiał porozmawiać sobie poważnie z Diego Maradoną, bo kibice oczekują od niego efektywnej gry na boisku i nieskazitelnego zachowania poza nim.

Odpowiedź Maradony była wojownicza:

Chodzę, gdzie chcę i kiedy chcę. Tym, co robię poza klubem, nie powinien się interesować żaden z działaczy, dopóki pozostaje to bez szkody dla mojej wartości jako sportowca i piłkarza.

Zdaniem Cyterszpilera ten słowny pojedynek na odległość był tylko błędą kopią starcia, do którego doszło między nim i Núñezem. Przeczytawszy prasową wypowiedź prezesa, Cyterszpiler za zgodą Maradony zadzwonił z paryskiego hotelu i zażądał wyjaśnień, dlaczego Núñez powiedział to, co powiedział. Gdy ten odparł, że chciał podkreślić, kto tu rządzi, Cyterszpiler miał odpowiedzieć: „W takim razie jest pan skurwysynem”.

Jakkolwiek wszystko to wyglądało, nie ulega wątpliwości, że tak zwana „noc w spelunkach Paryża” ujawniła ostry konflikt charakterów Núñeza i Maradony. Ten drugi miał instynktowne poczucie, że nie dotyczą go żadne normy, a odpowiada tylko przed samym sobą, ponieważ został przez Boga przeznaczony do bycia wielkim. Núñez był, podobnie jak Maradona, „małym wielkim człowiekiem”, ale zupełnie inaczej przedstawiała się jego hierarchia wartości. Widział wielu znakomitych piłkarzy, którzy pojawiali się w Barcelonie i opuszczali ją, ale żaden dobrze nie wyszedł na niesubordynacji. Nie wyobrażał sobie, by w kierowanym przez niego klubie jeden gwiazdor miał wzniecać rewolucję.

Napięcie między nimi utrzymywało się przez cały czas pobytu Maradony w Barcelonie, najczęściej niejawne, ale niekiedy znajdujące publiczny wyraz. Tak stało się na przykład w maju 1983 roku, gdy Núñez nie zgodził się na wyjazd Maradony i Schustera do Monachium, gdzie rozgrywany był mecz pożegnalny Paula Breitnera, którego obaj bardzo szanowali. Núñez argumentował, że cztery dni, które dzieliły spotkanie w Monachium od finału Pucharu Króla, do którego Barcelona dotarła, to za mało. Maradonę jednak najbardziej zirytował fakt, że podobnie jak w przypadku incydentu paryskiego, prezes wypowiedział się dla prasy, z nim samym jednak nie chciał rozmawiać.

Zadzwoeniłem do Núñeza, ale on po dwóch minutach odłożył słuchawkę, mówiąc, że spieszy się na mecz młodzieżówki – skarżył się Diego. – Kiedy spotkanie się skończyło, podeszedłem do niego i spytałem: „To co, teraz ma pan czas na rozmowę?”, ale on się tylko odwrócił i odszedł.

Cała kłótnia miała, oczywiście, bardzo niewiele wspólnego z futbolem; raczej chodziło o konflikt zasad. Dla Maradony zakaz Núñeza oznaczał niewybaczalne pogwałcenie jego wolności osobistej. To, że w Barcelonie nie ma miejsca na taki libertarianizm, potwierdziło się nazajutrz, gdy grupka nieprzyjaznych fanów Barcelony osaczyła wychodzącego z treningu Maradonę. On wprawdzie głośno bagatelizował to zajście, mówiąc, że garstka chuliganów nie może świadczyć o wszystkich kibicach, prywatnie jednak nie zostawiał suchej nitki na Núñezie, który jego zdaniem uosabiał najgorsze wady zinstytucjonalizowanego futbolu, traktując piłkarzy z pogardą właściwą feudalnemu władcy. Od najmłodszych lat Diego miał do czynienia z życzliwym i opiekuńczym ojcem, dlatego też nie mógł się pogodzić z zimnymi realiami komercyjnej piłki nożnej, z którą jego życie było nierozzerwalnie związane.

FC Barcelona miała reputację klubu, w którym nieustannie toczą się wewnętrzne, często bardzo zajadłe, waśnie, a balast historycznej tradycji i finansowych żądań podsycaly niesnaski między zawodnikami, a także między nimi a kierownictwem, nigdy jednak te napięcia nie były tak ostre jak w czasach Maradony. Do konfliktu z Núñezem przyczyniły się częściowo inne spory Diega. Nie najlepsze były jego stosunki z Schusterem, który nie krył się z tym, że sumę wyłożoną na Argentyńczyka uważał za zbyt wielką, a jego przybycie – za zagrożenie dla swej pozycji. Czasami jednak twórcze napięcie może zdziałać cuda; współpraca między obu graczami w niektórych meczach przynosiła klubowi ogromną korzyść. W związku ze spotkaniem w Monachium obaj solidarnie skrytykowali wielkopańską manierę Núñeza. Maradona nigdy nie wyrzekł się ambicji, aby w drużynie grać pierwsze skrzypce, więc z rozmysłem pozwolił, aby coraz bardziej pogarszały się stosunki między Schusterem i Lattkiem. Sam miał na pieńku z trenerem, więc trudno mu było się bronić przed podejrzeniami, że on i Cyterszpiller mieli swój udział w dymisji Lattka w marcu 1983 roku, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że jego następcą został César Menotti.

**MENOTTI ZREZYGNOWAŁ Z PROWADZENIA** reprezentacji Argentyny po jej porażce w Hiszpanii, ale jego renoma była nadal wystarczająca, aby mieli na niego zakusy przedstawiciele Barcelony. Lattek spędził w klubie niewiele ponad jeden sezon, jednak działacze doszli do wniosku, że i tak było to o jeden sezon za długo. Niemogącej powrócić do znakomitości z czasów gry Cruyffa Barcelonie w sezonie 1982/1983 po raz dziesiąty z rzędu nie udało się zdobyć tytułu mistrza Hiszpanii, ponosiła też bolesne porażki na arenie międzynarodowej. W rozegranym w styczniu 1983 roku dwumeczu o Superpuchar uległa Aston Villi 3:1, ale największym upokorzeniem, które przesądziło o losach Lattka, było wyeliminowanie drużyny z rozgrywek o Puchar Zdobywców Pucharów przez klub Austria Wiedeń, którego wszyscy zawodnicy łącznie, jak zauważył jeden z piłkarskich komentatorów, najprawdopodobniej byli rynkowo mniej warty od jednego Maradony.

Ponownie pojawiło się pytanie: czy jest on rzeczywiście wart pieniędzy, jakie na niego wydano? W ciągu pierwszego półrocza w Barcelonie strzelił w meczach ligowych sześć bramek, potem zachorował na zapalenie płuc, a ponieważ dopadło go ono w okolicach pierwszych świąt Bożego Narodzenia obchodzonych bez wielkiej rodziny, przyczyniło się do jednej z periodycznie nawiedzających Maradonę depresji. Kilka tygodni wcześniej w rozmowie z Domingo Trujillem z „MARCA” wyznał:

Nie noszę samotności, muszę być otoczony przez kochających mnie ludzi. To z ich sympatii czerpię siłę do gry. Gram o wiele lepiej, kiedy mam w pobliżu rodzinę.

Wpływ na złe samopoczucie Diega miało obłączenie ze strony mediów, które przeżył podczas dwunastu tygodni choroby. Zdążył już dojść do przekonania, że tak naprawdę wszyscy miejscowi dziennikarze są tylko lokajami kierownictwa klubu, któremu wysługiwali się donosami. Cyterszpiller przyrównał kiedyś wrogów Maradony do „gestapowców czy agentów CIA”. Trzeba przyznać, że istotnie żadna informacja dotycząca życia gwiazdora, czy to piłkarskiego, czy prywatnego, nie wydawała się nazbyt prywatna; dla przykładu: katalońskie media uznały, że warto donieść o tym, że Maradona ma ponad dwieście pięćdziesiąt kaset wideo, a jego ulubionym filmem jest *E.T.* Nie

reagował na to, a procesem sądowym zagroził dopiero wtedy, gdy jeden z artykułów zasugerował, że nie chodzi wcale o zapalenie płuc, ale o rzeźączkę.

Wyzdrowienie Maradony i powrót do treningów zbiegły się z objęciem drużyny przez Menottiego. Ten zawsze utrzymywał, że jest jednym z nielicznych trenerów, którzy potrafią nie tylko zrozumieć dziwactwa Maradony, ale także wyzwolić z nich pozytywną energię. Zatrudniając go, kierownictwo klubu z pewnością liczyło, że nie są to tylko słowa.

Diego natychmiast przyłgął do Menottiego niczym syn, który po latach odnajduje ojca. Szczególnie cieszył się ze zmiany w reżimie treningowym, którego Lattek ściśle się trzymał. Niemiec obstawał przy porannym treningu, Menotti natomiast uważał, że zajęcia należy zaczynać o trzeciej po południu, gdyż, jak twierdził, jest to bardziej zgodne z naturalnym biorytmem piłkarzy. Tak czy owak, z pewnością bardziej odpowiadało to stylowi życia ich obydwu, obaj bowiem cenili nocne życie miasta. Maradona ratunku przed bezsennością szukał albo w tańcu, albo w oglądanych do świtu taśmach wideo i niełatwo mu było wcześniej zaczynać dzień.

Maradona nigdy nie sprawiał mi kłopotów – powiedział mi Menotti. – Chętnie podporządkowywał się poleceniom. Nie dochodziło między nami do żadnych scysji, ani podczas mistrzostw świata, ani później w Barcelonie.

Z pewnością udało mu się na pewien czas wprowadzić harmonię do drużyny, zapewniając przyjazne kontakty Maradony z innymi zawodnikami, także z Schusterem.

Diego odzyskał chęć do gry, na jakiś czas przemógł też instynktowną niechęć do regularnych treningów. Mistrzostwo kraju było nieosiągalne, ale czwartego czerwca 1983 roku w finałowym meczu o Puchar Króla rozegranym z Realem Madryt Barcelona triumfowała. W trzydziestej drugiej minucie Bernd Schuster długim podaniem uruchomił Maradonę, który z niesamowitym wyczuciem podał do Victora, a ten strzałem po ziemi pokonał bramkarza. I choć Real wyrównał wynik na początku drugiej połowy, to jednak Barcelona dominowała za sprawą wybornej gry Maradony i Schustera. W dziewięćdziesiątej minucie Julio Alberto okiwał przeciwnika na lewym skrzydle i zacentrował, a niekryty Marcos strzelił głową z taką siłą i precyzją, że bramkarz Realu, Miguel Angel, nawet nie wiedział, kiedy piłka znalazła się w bramce.

Nuñez wydawał się wniebowzięty, gdy kapitan, Sánchez, prowadził Maradonę i resztę drużyny do łoża króla Juana Carlosa, aby z jego rąk odebrać trofeum. Na chwilę wszystko zostało zapomniane; przez najbliższą dobę Barcelona bawiła się tak, jak tylko ona potrafi, a Menotti i Maradona znaleźli się wysoko w hierarchii bohaterów. Socjalistyczny burmistrz miasta, Pasqual Maragall, podczas wielkiej uroczystości oświadczył: „To zwycięstwo spełnia sny wszystkich mieszkańców”. I tylko miejscowy dziennik „La Vanguardia” pozwolił sobie na pewien sceptycyzm:

Nie wolno nam zapominać, że nie był to tak dobry sezon, jak się spodziewaliśmy. Jak długo przyjdzie nam jeszcze czekać na mistrzostwo Hiszpanii i najcenniejsze trofeum międzynarodowe: Puchar Europy Mistrzów Klubowych?

Menotti nie zdobył ani jednego, ani drugiego, natomiast swoją wizją futbolu uwikłał Maradonę w publiczny spór o to, jak powinna wyglądać piłka nożna. Menotti – mimo niepowodzenia, jakie spotkało prowadzoną przez niego drużynę na ostatnich mistrzostwach świata – nadal uważał się za wybitnego znawcę futbolu. Po wojnie o Falklandy w Argentynie dobrze sprzedawała się jego książka *Futbol sin trampa* (Czysty futbol), gdzie swojemu zamiłowaniu do gry swobodnej i twórczej przeciwstawił „tyranię” destrukcyjnej gry defensywnej, którą narzucają autorytarni trenerzy.

W opinii Menottiego, takie podejście do piłki prezentował Javier Clemente, trener Athletic Bilbao. Kilka dni po przyjeździe do Hiszpanii Menotti wdał się w publiczny spór z Clemente, oznajmiając, że „dzień, w którym Hiszpania postanowi stać się na boisku toreadorem, a nie bykiem, będzie dniem, kiedy zacznie grać lepiej w piłkę”. Clemente nie ukrywał, że nie zamierza wysłuchiwać pouczeń od argentyńskiego lekkoducha, któremu więcej czasu pochłania uwodzenie kobiet niż zgłębianie tajników piłki nożnej. Przy tak otwartym konflikcie generałów kwestią czasu było, kiedy do krwawej walki przystąpią żołnierze. Dla Maradony zachowanie Clemente wobec Menottiego było wyrazem tych samych rasistowskich uprzedzeń, z którymi on – tak mu się w każdym razie wydawało – miał do

czynienia od początku pobytu w Hiszpanii. Był również przekonany, że postawa hiszpańskich sędziów, zbyt łagodnie oceniających faule, sprzyja umacnianiu się postawy Clemente. Diego piętnował też hiszpańską telewizję, która przez wybiórczość przekazu zachęcała do fauli „poza ekranem”. Sam nie dostrzegał, że ponosił jakąś odpowiedzialność za pogorszenie stylu gry, ponieważ z wielką ochotą padał na boisko, by zasugerować, że dokonano na nim faulu.

W takiej sytuacji Barcelona Menottiego spotkała się dwudziestego czwartego września 1983 roku z prowadzonym przez Clemente Athletic Bilbao w meczu ważnym dla sytuacji w tabeli ligowej. Barcelona kiepsko zaczęła sezon, przegrywając dwa z trzech meczów, a teraz podejmowała na Nou Camp obrońców tytułu. Początek spotkania był dla niej pomyślny: zdominowała grę i jeszcze przed zakończeniem pierwszej połowy uzyskała prowadzenie 2:0, mimo twardej gry Basków. Katastrofa nastąpiła w drugiej połowie. W jej dwunastej minucie Maradona rozpoczął rajd środkiem i gnał, trudny do powstrzymania, na bramkę, gdy z tyłu zaatakował go i powalił na ziemię obrońca Bilbao, Goikoetxea. Nawet według standardów Bilbao był to jeden z najbardziej brutalnych fauli w dziejach hiszpańskiego futbolu. Edward Owen, brytyjski dziennikarz, wolny strzelec, który obserwował to spotkanie, ukuł przydomek „Rzeźnik z Bilbao”, kamień obrazy dla Basków, którzy takich określeń używali tylko pod adresem swych hiszpańskich ciemniźcyieli. Na pomeczowej konferencji prasowej Menotti stwierdził, że w całej swej historii Athletic Bilbao starał się o zawodników, których jedynym zadaniem było demolowanie przeciwników. Oskarżył Goikoetxeę, że należy do „rasy antyfutbolistów”, i domagał się dla niego dożywotniej dyskwalifikacji. Chociaż zawodnik Bilbao w meczu zarobił tylko żółtą kartkę, przez hiszpańskie władze piłkarskie został zawieszony na dziesięć meczów.

Dla Maradony była to jednak niewielka pocięcha. Kontuzja lewej kostki wyłączyła go z gry na trzy miesiące. Znowu popadł w depresję, jak wtedy, gdy przechodził zapalenie płuc. Uważał, że jest prześladowany i gnębiony; głównymi winnymi stali się Goikoetxea i Núñez.

Pocięchy szukał w kręgu najbliższych. Pogłębiła się przepaść oddzielająca „klan” Maradony od FC Barcelona. Kiedy Diego znajdował się jeszcze pod wpływem środków znieczulających, zajęli się nim klubowi lekarze i wprowadzili mu w stopę trzy śruby, aby przyspieszyć proces rekonwalescencji. Maradona wkrótce jednak dał wyraz swej nieufności do ortodoksyjnej medycyny i zwrócił się o pomoc do dawnego przyjaciela, doktora Olivy. Ten co tydzień przylatywał z Mediolanu i bardzo często dochodziło do kłótni między nim a barcelońskim zespołem medycznym. Na początku października Oliva zalecił pacjentowi, by odłożył kule i wykazał siłę woli, bez żadnej pomocy stąpając na kontuzjowanej nodze. Lekarze klubowi byli oburzeni, a Oliva twierdził, że nie rozumieją psychiki Maradony. Na Boże Narodzenie Diego wraz z doktorem Olivą poleciał do Buenos Aires i poddał się opracowanej przez niego indywidualnej rekonwalescencji. Cyterszpiler nie mógł przegapić takiej okazji, więc ekipa filmowa towarzyszyła wszystkim zajęciom Maradony. Później sprzedał jednej z katalońskich stacji telewizyjnych film, na którym Diego ćwiczy do dźwięków muzyki z *Flash Dance* oraz *Rocky'ego*.

Pierwszego stycznia 1984 roku oznajmiono, że Maradona jest już zdolny do gry. W pierwszym meczu, przeciw Seville, grał jak nowo narodzony, zdobywając dwa gole i prowadząc drużynę do zwycięstwa 3:1, a cały stadion wiwatował z okazji jego powrotu. Trzy mecze później po raz pierwszy od kontuzji stanął naprzeciwko drużyny baskijskiej na stadionie San Mames w Bilbao. Grał jak natchniony, bez lęku walcząc z przeciwnikami, którzy omal nie zakończyli jego kariery, i prowadząc kolegów do zwycięstwa w jednym z najbardziej brutalnych meczów, jakie rozegrano na tym stadionie. Oba zespoły zaliczyły rekordową liczbę ponad pięćdziesięciu fauli; Maradona zdobył obie bramki w spotkaniu wygranym 2:1.

Gdyby chodziło o inną drużynę, już te dwa występy zapewniłyby mu pewnie sławę i szacunek. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni w swej karierze sięgnął dna, ale tylko po to, aby odbić się od niego i pokazać, że jest jednym z najlepszych. Ale Barcelona to Barcelona i żaden osobisty heroizm nie mógł zrekompensować faktu, że znowu umknęły mistrzostwo kraju i Puchar Mistrzów. Zwycięstwo nad Bilbao okazało się ostatecznie mało istotne, skoro to Baskowie zostali mistrzami Hiszpanii, a na dodatek drugie miejsce zajął Real Madryt.

Na miesiąc, zanim rozstrzygnęły się losy tytułu mistrza kraju, Barcelona została wyeliminowana z rozgrywek o Puchar Zdobywców Pucharów przez Manchester United. Kilka godzin przed pierwszym spotkaniem rozgrywanym na Nou Camp Maradona poczuł powracające okresowo bóle krzyża. Była to jedna z tych sytuacji, która po raz kolejny poróżniła Olivę i sztab medyczny zespołu z Katalonii. Podczas gdy medycy spierali się o przyczyny tej kontuzji, Maradona upierał się, że chce grać. Koledzy zaczęli się już przebierać przed meczem, kiedy zaaplikowano mu serię zastrzyków znieczulających. Uznano, że jest zdolny do gry. Anestetyki szybko uśmierzyły ból, ale po kilku minutach spędzonych na boisku Diego zaczął odczuwać skutki uboczne. Stracił refleks, był całkowicie rozkojarzony. Ponad dziewięćdziesiąt tysięcy kibiców zgromadzonych na trybunach nic o tym, rzecz jasna, nie wiedziało. Widzieli natomiast Maradonę, któremu nie udawało się prosto podać piłki.

Coraz bardziej strapiiony trener Menotti dobrze wiedział, że wygranie tego dwumeczu i ewentualne zdobycie Pucharu może mieć decydujące znaczenie podczas rozmów na temat jego dalszej pracy w klubie. Wiedział też dobrze, że jednobramkowa zaliczka w perspektywie rewanżu na Old Trafford może okazać się niewystarczająca. Nie pozostawało mu nic innego, jak zdjąć Maradonę z boiska jeszcze przed końcem spotkania.

Schodzącego zawodnika kibice Barcelony pożegnali gwizdami i buczeniem. Diego nie usiadł na ławce rezerwowych, ale udał się wprost do szatni. Tutaj w towarzystwie Cyterszpilera rozpłakał się histerycznie, złorzecząc światu, który znowu go zdradził.

Dlaczego – pytał, łkając. – Dlaczego to wszystko? Poświęcam się, chce grać, a oni traktują mnie w ten sposób.

Tego wieczoru wszystkie frustracje i gorycze wypłynęły na wierzch. Jeśli wcześniej miał jakieś wątpliwości co do rozwiązania kontraktu, teraz je stracił: chciał się rozstać z Barceloną. W swym agencie i przyjacielu, Cyterszpilera, znalazł chętnego słuchacza, ponieważ na horyzoncie pojawiły się poważne kłopoty finansowe.



## 12 TERRY I DIEGO

**FIRMA MARADONA PRODUCTIONS** POWSTAŁA, bo Jorge Cyterszpiller wyobraził sobie, że dla siebie i dla swego klienta zdobędzie taką fortunę, jaką Mark McCormack zgromadził, pracując dla wielkich bohaterów sportu. Początki były skromne; niewielkie umowy ze sponsorami i reklamodawcami zawierał w Argentynie, stopniowo jednak jego działalność zaczęła się rozszerzać, obejmując także Niemcy i Hiszpanię. Im rozleglejsza stawała się działalność firmy, tym większe trudności napotykała, im wyżej bowiem wlatywał Maradona, tym trudniej było nad nim zapanować. Był nieprzewidywalny, jego życie obfitowało we wzloty i upadki, a na dodatek także i talenty Cyterszpilera miały swoje granice. Potrafił wprawdzie nieustępliwie prowadzić negocjacje, lecz na światowym rynku wiele było pułapek i niebezpieczeństw. Nieustannie wymyślał coraz to nowsze sposoby zarabiania pieniędzy, niestety nie zawsze trafnie oceniał wartość pomysłów i nie zawsze skutecznie je wprowadzał w życie.

Pod koniec pobytu Diega w Barcelonie zyski firmy Maradona Productions nie starczyły już na pokrycie długów. Nieustannie ponawiające się kontuzje, a także porażki Barcelony w walce o najwyższe hiszpańskie i europejskie trofea spowodowały, że drastycznie zmniejszyły się przewidywane wpływy ze sponsoringu i reklam. Czasami powstawały groteskowe sytuacje: McDonald's musiał dokonywać cudów, aby na zdjęciu nie widać było zagipsowanej stopy piłkarza, i wkrótce miejsce Maradony zajął w reklamówce anonimowy chłopak.

Nie najlepiej szła też sprzedaż filmu o życiu Maradony, na który Cyterszpiller wyłożył milion dolarów, korzystał z wynajętej ekipy filmowej oraz studio w Nowym Jorku i Los Angeles i przygotował dwanaście wersji językowych. I cóż z tego, że szybko znalazł się nabywca w Arabii Saudyjskiej, skoro oddźwięk w reszcie świata okazał się mniejszy od oczekiwanego? Taśmy czekały w magazynach, aż wreszcie w jakiś tajemniczy sposób zniknęły.

Ale największy kłopot wiązał się z tym, że z konta Maradona Productions trzeba było pokrywać koszty ekstrawaganckiego życia piłkarza. Cyterszpiller przyznaje, że jego największą porażką zawodową było to, że nie potrafił okiełznać wydatków Maradony na ubrania, samochody, kobiety, podróże i w ogóle wszystko, co uprzyjemniało mu czas wolny od futbolu. Do tego dochodził problem z „klanem”, znaczną grupą krewnych, przyjaciół i znajomych, którzy korzystali z opieki gwiazdora.

Musisz pamiętać, że byłem nie tylko agentem, ale też przyjacielem – opowiadał mi Cyterszpiller. – Jako agent byłbym z pewnością bardziej stanowczy, ale jako przyjaciel mogłem kontrolować wydatki Diega tylko do pewnej granicy. Zresztą ostatecznie to były jego pieniądze. Mówił mi: „Kup dom”, a ja nie miałem wyboru, musiałem kupować... Wielkie wydatki to był element jego stylu życia.

Przez większość czasu, który Maradona spędził w Barcelonie, jego finansowe kłopoty trzymane były w tajemnicy, zresztą aż po dziś dzień do kont Maradona Productions nie mają dostępu firmy audytorskie, a co dopiero mówić o dziennikarzach. Nie można wykluczyć, że te kłopoty były wyolbrzymiane przez Cyterszpilera – a potem przez jego następcę, Coppolę – aby obniżyć wielkość obciążeń podatkowych, ale nie ma na to żadnych dowodów i dysponujemy tylko słowami zainteresowanych. Fakt pozostaje faktem, że informacje o kryzysie finansowym zostały poważnie potraktowane przez działaczy Barcelony i stały się powodem kolejnego konfliktu między nimi a zawodnikiem. Już w roku 1984 bank odmówił realizacji czeku wystawionego przez Maradona Productions na pokrycie wydatków osobistego lekarza Maradony, doktora Olivy. Cyterszpiller przekazał rachunek Núñezowi, ten jednak nie przyjął go, argumentując, że Oliva nie należy do grona klubowych lekarzy.

Terry Venables, który w maju 1984 roku został trenerem drużyny, bardzo szybko zorientował się w kłopotach finansowych Maradony i jak później mówił, już w pierwszych dniach uznał, że trzeba rozstać się z argentyńskim graczem. Podkreśla, że plotki, jakoby Maradona nienawidził wszystkich Anglików z powodu wojny falklandzkiej, a on, Venables, nie mógł sobie poradzić z graczem takiego formatu, są nieprawdziwe. Głównym powodem było to, że jeden z najlepiej opłacanych na świecie piłkarzy miał kłopoty finansowe, bo – jak to ujął Venables – „był otoczony przez naciągaczy”.

Jak wiele osób – wspominał później – słyszałem plotki o jego wielkim geście, dopiero jednak gdy znalazłem się w Barcelonie i przeprowadziłem własne śledztwo, zorientowałem się, jaka to beznadziejna sprawa. Po mieście krążyły setki czeków z podpisem Maradony, aczkolwiek większość została wystawiona nie przez niego, lecz „rodzinę”, przyjaciół i najróżniejszych pomocników... Został praktycznie oskubany ze wszystkiego i jedynym rozwiązaniem był jakiś kolejny wielki kontrakt. Podwyższenie mu tygodniowej pensji o tysiąc funtów niczego nie zalażało.

Trzy miesiące pomiędzy upokarzającym meczem z Manchester United a zjawieniem się w klubie Venablesa Maradona i Cyterszpiller wykorzystali na realizację starannie przemyślanej strategii, która miała im zapewnić swobodę ruchów.

Pomysł był prosty – bezceremonialnie mówi Cyterszpiller w rozmowie ze mną. – Trzeba było tak wkurwić Núñeza, żeby nie pozostawało mu już nic innego, jak pozwolić Maradonie odejść.

Z satysfakcją opowiada, że jako pierwsze posunięcie zaproponował Maradonie, by w rozmowie z zaprzyjaźnionym dziennikarzem nazwał wszystkich Katalończyków skurwysynami. Stało się tak podczas wizyty w Nowym Jorku. Po powrocie Maradona twierdził, że nigdy czegoś takiego nie powiedział, ale zamierzony efekt został już osiągnięty.

Manipulując sportową prasą, Cyterszpiller okazał się godnym przeciwnikiem kierownictwa klubu. W połowie 1985 roku zaczął dawać do zrozumienia, że szykuje się wydarzenie znacznie bardziej interesujące od ponawiających się kontuzji Maradony. Pojawiały się przecieki o rozmowach z Juventusem i Napoli; informacje te spowodowały rozłam w radzie nadzorczej FC Barcelona. Núñez nie chciał się zgodzić na odejście Maradony nie dlatego, że pogodził się z jego niesubordynacją, ale dlatego, że zerwanie umowy stałoby się argumentem dla krytyków, którzy sprzeciwiali się jej od samego początku. W geście dobrej woli wiceprezes Joan Gaspart oznajmił Cyterszpillerowi, że Barcelona gotowa jest przejąć długi Maradona Productions, a także zadbać o finansową pomyślność firmy. Inni członkowie rady, a wśród nich Casaus i skarbnik klubu, Tusquets, sądzili, że trzeba pozwolić Maradonie na zmianę klubu, jeśli tego chce, bo trzymanie go na siłę sprawi tylko, że będzie marnie grał, co obniży wpływ z biletów.

Momentem przełomowym było kolejne dramatyczne spotkanie pomiędzy Barceloną a Athletic Bilbao. Trzydziestego kwietnia 1984 roku Athletic ponownie zwyciężył w lidze, a tydzień później na stadionie Realu Madryt w obecności królewskiej rodziny rozegrał z Barceloną finałowe spotkanie o Puchar Króla. Na trybunach zasiadło sto tysięcy widzów, przynajmniej pół Hiszpanii oglądało mecz w telewizji.

Do wojny, którą wypowiedzieli sobie Menotti i Clemente, włączyli się już inni, w tym porywczy Maradona. W przeddzień meczu oświadczył: „Clemente nie ma jaj na to, aby prosto w oczy nazwać mnie głupcem”. Odpowiedź była natychmiastowa: „Maradona nie tylko jest głupcem, ale i kastratem – powiedział Clemente. – To prawdziwa hańba, żeby zawodnik dostający tyle forsy pozbawiony był jakichkolwiek ludzkich cech”.

Mecz zaczynał się więc w atmosferze bardziej przypominającej bójkę niż rywalizację sportową. Do bójki doszło istotnie po zakończeniu spotkania. Bilbao zwyciężyło 1:0 po голу strzelonym w trzynastej minucie przez Endikę. Drużyna Bilbao fetowała swój sukces na boisku, które gracze Barcelony opuszczali sfrustrowani tym, że ich fałowe ataki na bramkę przeciwnika rozbijały się o jego fortyfikacje defensywne. Maradona nigdy nie potrafił przegrywać, a co dopiero, gdy był wściekły. Ekspłodował, kiedy jeden z zawodników Athletic, Sola, pożegnał go wulgarnym gestem dłoni. Rzucił się na Solę i przewrócił go na ziemię, ale natychmiast został otoczony przez graczy Bilbao, między którymi znalazł się też „Rzeźnik z Bilbao”, Goikoetxea. Poprzednio uszkodził Maradonie kostkę, teraz potężny kopniak tylko cudem nie sięgnął celu. Jedynie kilku graczy z obu stron nie przyłączyło się do

awantury. Król Juan Carlos, tysiące Hiszpanów na stadionie i miliony przed telewizorami obejrzeni festiwal ciosów i kopniaków godny walki dwóch ulicznych gangów z Bronxu. Działacze FC Barcelona byli zdruzgotani, przekonani, że honor jednego z najpopularniejszych klubów piłkarskich świata został wystawiony na szwank przez chuligaństwo niedouczzonego Argentyńczyka. „Na widok Maradony rzucającego się do bójki i całego chaosu, który potem nastąpił, wiedziałem jedno: nie możemy go dłużej trzymać”. Teraz Núñezowi chodziło już tylko o uzyskanie możliwie jak najlepszych warunków finansowych.

Maradona i Cyterszpiller, którzy również chcieli jak najszybciej opuścić Barcelonę, zintensyfikowali rozmowy na temat transferu do FC Napoli. Obaj byli zgodni, że Juventus przedstawił gorszą ofertę. FC Napoli na potęgę wyzybało się graczy – w dużej mierze po to, aby mogło sobie pozwolić na kupno Maradony – marząc o tym, aby utrzymać się w lidze, a w perspektywie dwóch, trzech lat powrócić na szczyt ligowej tabeli, podczas gdy Juventus już się na tym szczycie znajdował, a zawodnicy o międzynarodowej sławie, jak Francuz Platini, byli dobrze wpasowani w drużynę. Po doświadczeniach z Barceloną Maradona miał jak na razie dość klubów, które uważały się za wielkie i w których od początku trzeba było rywalizować z miejscowymi gwiazdami.

Po porażce Barcelony w Pucharze Króla Menotti zrezygnował z posady trenera i Maradona stracił w ten sposób ważnego doradcę i przyjaciela. Jeśli nie wyszedł z gabinetu Núñeza, trzaskając drzwiami, to tylko dlatego, że kontrakt z FC Napoli trzeba było jeszcze dopiąć i podpisać. Miało to też związek z charakterem Terry’ego Venablesa, którego prezes Barcelony wybrał na następcę Menottiego.

Jak wielokrotnie zauważano, sława Venablesa była większa od jego osiągnięć. W roku 1984 mało kto o nim słyszał poza Wielką Brytanią, a do tego grona z pewnością nie należał Maradona. Venables niewiele zdobył jako piłkarz w Chelsea i Tottenhamie, a także jako trener Crystal Palace i QPR; jeśli chodzi o dorobek, trudno byłoby mu się równać z Alexem Fergusonem, George’em Grahamem czy Howardem Kendalllem. Jako młody zawodnik wystąpił kiedyś na Nou Camp, gdy jednak przybywał do Barcelony jako trener, to przede wszystkim za sprawą rekomendacji.

„Terry trafił do Barcelony dzięki mnie – usłyszałem od Menottiego. – Większość ludzi w ogóle o nim nie słyszała”. Z kolei Menotti dowiedział się o Venablesie od brytyjskiego dziennikarza, z którym zaprzyjaźnił się podczas mistrzostw świata, Jeffa Powella z „Daily Mail”.

W rozmowie z Powellem spytałem, jaki angielski trener nadawałby się do pracy z wielkimi piłkarzami – dodał Menotti. – Nie może być dyktatorem, a oni zwykle mieli tu jakiegoś Niemca. Musi jednak jakoś przekonać do siebie zawodników.

Powell polecił Venablesa; ten drugi twierdzi, że polecali go także działaczom Barcelony Bobby Robson i Doug Ellis.

Venables znalazł się na krótkiej liście kandydatów, obok Helmuta Benthause z VfB Stuttgart, z którym właśnie zdobył mistrzostwo Niemiec, oraz Michela Hidalgo, który miał niebawem zdobyć z reprezentacją Francji mistrzostwo Europy. Kiedy dziesięć lat później rozmawiałem z Venablesem, tak opisał mi rozmowę:

I w ten sposób ja, trener zaledwie Queen’s Park Rangers, znalazłem się obok prawdziwych sław i naprawdę nie wiedziałem, co tam robię. Szybko jednak zorientowałem się, że zależy im na Angliku. Uważali, że drużyna nie jest dobrze poukładana, potrzebuje twardej, ale umiejącej ręki, a do tego nadawałby się Anglik. Sądziłem, że ponieważ Menotti zdobył mistrzostwo świata, to zabrakło mu motywacji do sukcesów. Dlatego potrzebowali kogoś z mniejszymi osiągnięciami.

I mniejszymi wymaganiami płacowymi, mógłby dorzucić.

Podczas rozmowy z kierownictwem FC Barcelona nie mógł się nie pojawić temat Maradony.

Chcieli się dowiedzieć, co zamierzam z nim zrobić: zatrzymać go czy dać mu odejść. Powiedziałem, że chciałbym pracować z najlepszym piłkarzem na świecie, chociaż wiem, że mają z nim jakieś kłopoty. Odniosłem wrażenie, że szefowie klubu najchętniej by się go pozbyli, pewni, że gdybym poznał całą historię, byłbym tego samego zdania.

Venables nie chciał podejmować decyzji naprędce. Obejrzał taśmy wideo z meczami Barcelony; uznał, że drużyna nie stanowi całości i jest zbyt zależna od Schustera i Maradony. To chciał zmienić, bo na razie zespół to było parę gwiazd i statyści. Korzystając z pomocy działaczy klubowych, rozeznał

się w finansowej sytuacji Maradony, bo w jego opinii była ona głównym powodem, dla którego Diego chciał opuścić Barcelonę. Venables zasięgnął też opinii hiszpańskich zawodników.

W Maradonie podobało mi się to – wspomina – że wszyscy koledzy wyrażali się o nim dobrze. To tak jak z Gazzą. Diego miał gest. Jeśli zdobył coś, chciał się tym ze wszystkimi podzielić.

Na koniec Venables porozmawiał z Cyterszpilerem i Maradoną. Diego potraktował go nieufnie. Jak wielu prostych Argentyńczyków, nie ufał Anglikom, na co nałożyła się jeszcze wojna falklandzka. Nie sądził, by był to dobry następca Menottiego. Ale podczas tej pierwszej i jedynej rozmowy przekonał się do Venablesa, który okazał się przystępny i naturalny, w jaskrawym kontraście do szefów FC Barcelona.

Za radą przyjaciela, Bobby’ego Robsona, Venables poduczył się hiszpańskiego na tyle, aby móc w tym języku rozmawiać z zawodnikami, co także zjednało do niego Maradonę. Venables prosił tylko, aby mówić do niego po hiszpańsku wolno, używając możliwie najprostszych słów. W sytuacji, gdy niepotrzebny był tłumacz, a między obu rozmówcami nawiązała się nić sympatii, Maradona otworzył się przed Venablesem i opowiedział o wszystkich rozczarowaniach i irytacji, jakie wiązały się z jego grą w Barcelonie. To ostatecznie przesądziło o postanowieniu Venablesa. „Z jego słów wywnioskowałem, że gdyby miał pozostać, sytuacja nieustannie by się tylko pogarszała. Powstałych szkód nie można już było naprawić”. Wyglądało więc na to, że ich współpraca się zakończy.

Ale kontakty między nimi miały jeszcze jedną odsłonę. Na początku 1987 roku Angielski Związek Piłki Nożnej zwrócił się do Venablesa z propozycją, aby przez jeden dzień poprowadził reprezentację złożoną z najlepszych zawodników XI mistrzostw świata, która dla upamiętnienia stulecia rozgrywek ligowych miała się spotkać z Anglią na Wembley. Po sukcesie w roku 1986 kandydatura Maradony była oczywista dla organizatorów, liczących na to, że będzie to najsilniejszy magnes dla widzów.

Skoro miała to być drużyna złożona z gwiazd ostatnich mistrzostw świata, to Maradony nie mogło w niej zabraknąć – wspomina Venables. – W tym czasie Diego grał zresztą znakomicie, a organizatorom bardzo zależało na jego obecności.

Prawdziwym logistycznym koszmarem okazało się ściągnięcie do Anglii Maradony, który na dodatek stawiał bardzo wygórowane żądania finansowe. Wszystkie pogarszały trudności w nawiązaniu łączności. Dni poprzedzające sierpniowe spotkanie Venables spędzał wraz z drużyną Barcelony w ośrodku treningowym w Andorze, gdzie centrala telefoniczna była stara i źle działała. Venables nieustannie podejmował próby dotarcia do Maradony w Argentynie, albo bezpośrednio, albo przez jego ówczesnego agenta, Guillermo Coppole, ale co najwyżej uzyskiwał odpowiedź, że Diego jest gdzieś na rybach. Do porozumienia doszło tylko dzięki osobistemu wstawiennictwu Ossiego Ardilesa, ustaleniu wielkiego honorarium (plotki wahają się między pięćdziesięcioma a dziewięćdziesięcioma tysiącami funtów za jeden mecz) oraz dostarczeniu prywatnego samolotu przez organizatora, Terry’ego Ramsdena.

Ostateczny efekt był fatalny i dla widzów, i dla Maradony. Przysporzywszy wszystkim mnóstwa kłopotów i wydatków, zjawił się na Wembley wyraźnie bez formy i jakiegokolwiek ochoty do gry i pozostawił po sobie wrażenie primadonny, która uważa, że należy jej płacić za samą łaskawą zgodę na występ. A trzeba pamiętać, że zaledwie rok wcześniej skorzystał z pomocy „ręki Boga”. Trudno też ustalić, na co właściwie liczył Ramsden. Maradona nigdy nie zagrał w jego klubie Walsall, aby wspomóc Ramsden Foundation, co obiecał jako rekompensatę za dziesięć tysięcy funtów, tyle bowiem kosztował jego przelot. A Ramsden, oskarżony i skazany za nadużycia finansowe, nigdy już nie zorganizował międzynarodowego meczu piłkarskiego.

## KRÓL POŚRÓD OJCÓW CHRZESTNYCH

**W**ŁAŚNIE MINĘŁO POŁUDNIE PIĄTEGO lipca 1984 roku, gdy helikopter z Diego Maradoną oraz jego agentem i wiernym przyjacielem, Jorge Cyterszpilerem, zbliżał się do stadionu San Paolo w Neapolu. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny Maradona spędził na zabawie w chowanego z tysiącami neapolitańskich fanów, którzy chcieli zobaczyć go choćby na chwilę. Z międzynarodowego lotniska kierowca uciekł płataniną bocznych dróg, aby ominąć autostradę, na której zgromadzili się kibice. Potem wynajęty sobowtór Maradony odciągnął na Capri uwagę paparazzich od prawdziwego obiektu ich zainteresowań, podczas gdy ten wypożyczonym jachtem chyłkiem opuścił wyspę. Teraz kończył się już czas łowów i manewrów: zakupiony właśnie do klubu Maradona miał się zaprezentować miejscowym *tifosi* (kibicom). Czekali na stadionie kilka godzin, wprowadzając się w stan takiej ekscytacji, że nawet według włoskich standardów zasługiwało ono na miano masowej hysterii.

Od chwili gdy pierwsze, na początku poufne, informacje o rozmowach z Barceloną przedostały się do wiadomości publicznej, przyjazdu Maradony oczekiwano z entuzjazmem i napięciem, jakie towarzyszą tylko największym wydarzeniom. Historia Neapolu zawsze była burzliwa; buntownicze miasto z jednej strony najczęściej podporządkowane potężniejszej północy kraju, z drugiej – stale zagrożone śmiercią, co sygnalizował wygasły krater Wezuwiusza. W czasach najnowszych żadna rozrywka nie wzbudzała w Neapolu większych emocji niż piłka nożna, ale największy w tym mieście klub, FC Napoli, zawsze odstawał od najsilniejszych w Serie A drużyn ze środkowych i północnych Włoch, przez pięćdziesiąt trzy lata swej historii nigdy nie zdobywając mistrzostwa kraju ani żadnego europejskiego pucharu. Jedyne trofeum zostało zdobyte podczas zarzuconych już rozgrywek o Puchar Alp.



Powitanie „zbawcy” na stadionie San Paolo w Neapolu, 1984 r.

Neapol to bez wątpienia miasto futbolu, ale nie tylko. To prawdziwy Babilon nad Zatoką, pełen pogaństwa i mistycyzmu, wielki kocioł ludzki, w którym może zdarzyć się wszystko. Maradona przybywał do miasta, gdzie ludzie zwracali się do astrologów, by ci objaśnili znaczenie liczb, które pojawiły się we śnie, z zapalem uczestniczyli w loteriach, a z witryn sklepowych spoglądały diabły i czarownice. Ale Neapol to także miasto świętego Januarego, biskupa męczennika, którego krew zebrana 1700 lat temu przez wiernych do buteleczki po dziś dzień burzy się w srebrnym relikwiarzu wystawianym dwa razy do roku. Nabożność, z jaką miejscowi odnosili się do świętego, aż do roku 1984 porównać można tylko do czci otaczającej Najświętszą Marię Pannę, której otoczonych świeczkami figurek pełno jest w ubogich dzielnicach miasta.

Wraz jednak z przybyciem Maradony neapolitańczycy zyskali trzeci obiekt adoracji. Nie liczyło się to, że jego kariera nie przebiegała bez zgrzytów, że swoją światową wielkość musiał dopiero wykazać w nadchodzących mistrzostwach, ani też to, że większość Katalończyków była zde gustowana tym, jak rozstawał się z ich stolicą. Oto zjawiał się piłkarz, który wierzył w przeznaczenie i boską opatrność, a potrafił niekiedy grać lepiej niż ktokolwiek inny na świecie, zawodnik wymieniany już pośród największych, chociaż pochodził z biednej rodziny, a po matce odziedziczył włoską krew. Maradona, Madonna – te dwa słowa zlewały się ze sobą: przybywał i jako zbawca, i jako matka, aby uzyskać należne mu miejsce w neapolitańskim panteonie.

*Tifosi* wpatrywali się w niebo, z którego spływał helikopter, kiedy jednak bohater zniknął im z oczu, zasłonięty przez tłum fotoreporterów, zrozumieli, że jest taką samą istotą ludzką jak oni: nie potrafił stąpać w powietrzu nad głowami dziennikarzy jak niegdyś Jezus po wodzie. *Tifosi* zażądali więc, żeby Maradona raz jeszcze wkroczył na stadion, ale tym razem tunelem prowadzącym z szatni

na płytę boiska, gdyż tylko wtedy będą mogli wszystko dokładnie obserwować. Działacze pośpiesznie urządzili ponowne entrée.

Kilka minut później Maradona raz jeszcze się ukazał, teraz jednak nie zstępując z nieba, lecz raczej wynurzając się z czeluści, jakby z głębi wulkanu. Stadion eksplodował racami i serpentynami. Ryk głosów był potężny jak grzmot pioruna, Maradona na chwilę zatrzymał się, ale zaraz po tym puścił się biegiem. Miał na sobie luźne długie spodnie, biały podkoszulek, a na szyi szalik FC Napoli. Jego swobodne ruchy dowodziły, że nie jest bynajmniej przedwcześnie postarzałym piłkarzem, wymęczonym życiem w Barcelonie, lecz dwudziestoczterolatkiem pełnym wigoru i radości życia, który nareszcie znalazł się we właściwym miejscu. Uśmiechał się, pozdrawiał widzów, przesyłał pocałunki, a kibice zgodnie krzyczeli: „Diego, Diego, Diego!”. Zbawca zatrzymał się pośrodku boiska i zaczął bawić się piłką: przerzucał ją z jednej nogi na drugą, kopnął w górę i przejął ją na głowę, potem znowu spuścił na wysokość stóp. Wszystkiemu temu Cyterszpiller przypatrywał się roziskrzonymi oczami.

Przed obiegnięciem stadionu raz jeszcze Maradona wziął pęk błękitnych balonów – barwy Napoli – i wypuścił w niebo. Stadion zatrząsł się od oklasków na widok tego czarnoksiężnika w mieście czarów.

Pośród siedemdziesięciu tysięcy widzów było kilka osób, którym szczególnie zależało na sukcesie argentyńskiego przybysza. Jedną z nich był Antonio Juliano, znany powszechnie jako „Totonno”, dawny internacjonał, obecnie menedżer w klubie, lokalny bohater, którego losy były nieco podobne do losów Maradony. Urodził się w bardzo biednej dzielnicy, wcześniej został wypatrzony przez jednego z klubowych skautów i zaczął grać w drużynie młodzików. Należał do najdłużej grających włoskich zawodników, jako kapitan poprowadził Napoli do jedyne go narodowego trofeum, jako jeden z nielicznych piłkarzy z południa Włoch występował na trzech kolejnych mistrzostwach świata. Juliano od roku 1980, gdy został menedżerem klubu, nie spuszczał oka z Maradony, sądził bowiem, że jest to jedyny gracz, który może doprowadzić FC Napoli co najmniej na wyżyny z połowy lat sześćdziesiątych, gdy drużyna dwa razy z rzędu została wicemistrzem Włoch, co było w dużej mierze zasługą innego lewonożnego Argentyńczyka, Omara Sivoriego.

Inną osobą, która uważnie przyglądała się Maradonie, był Corrado Ferlaino, prezes klubu, który nie od razu poparł projekty Juliana związane z Argentyńczykiem. Kierownictwo klubu objął dwa lata wcześniej, najpierw nabywszy jego akcje, a jednocześnie zadbawszy o mocną pozycję jako właściciel jednego z największych konsorcjów budowlanych. Budził kontrowersyjne opinie, zwłaszcza na początku, gdy wydawało się, że mniej czasu i uwagi poświęca klubowi niż przedsięwzięciom budowlanym, na które pojawiło się zapotrzebowanie po trzęsieniu ziemi w roku 1980.

Dopiero kiedy pojawiły się wyraźne niesnaski między Maradoną a kierownictwem Barcelony i rozeszła się wieść, że ambicje piłkarza związane są z Włochami, Ferlaino zaczął życzliwiej przysłuchiwać się namowom Juliana, że oto jest okazja, której nie wolno przegapić. Smaczkowi całej sytuacji dodawał fakt, że kupnem Maradony zainteresowany był też Juventus. Ferlaina bardzo pociągała perspektywa przelicytowania Gianniego Agnellego, właściciela Fiata, który podporządkował sobie turyński klub, stałoby się to bowiem symbolem niezależności Neapolu od północy Włoch i scentralizowanej władzy.

Negocjacje odbyły się w kilku turach rozmów między Julianem i Cyterszpilerem, które w maju i czerwcu 1984 roku miały miejsce w Barcelonie oraz na wyspie Ischia w pobliżu Neapolu. Pod koniec czerwca z obozu Maradony wieść o rozmowach przeciekła do prasy, co spowodowało najazd włoskich dziennikarzy na stolicę Katalonii, gdzie rozegrał się ostatni etap negocjacji, w którym wzięli udział Maradona, wiceprezes FC Barcelona, Gaspart, i prezes FC Napoli, Ferlaino. Nerwowa atmosfera wynikała z faktu, że nowe transfery należało zgłosić do włoskich władz piłkarskich najpóźniej do piątku, dwudziestego dziewiątego czerwca. Ferlaino przyleciał tego dnia do Barcelony przekonany, że kontrakt podpisze na tyle wcześniej, aby zgłoszenia dokonać przed upływem ostatecznego terminu. Miał oczekiwać w barze na wynik ostatniego spotkania między Maradoną a Gaspartem, które odbyło się w pobliskim hotelu Reina Sofia. Rozmowy zakończyły się późnym popołudniem, ale bez żadnych jednoznacznych rozstrzygnięć. Maradona odrzucił złożoną w ostatniej

chwili przez Gasparta ofertę, aby został w Barcelonie za cenę korekt w pierwotnym kontrakcie, nie zwolniono go jednak oficjalnie z klubu. „Jeśli będę musiał zostać, jednego dnia będę miał kontuzję, drugiego nie uda mi się dotrzeć na trening, w każdym razie z pewnością nigdy już nie zagram”, zagroził Maradona.

Kiedy minuty nieubłaganie upływały, Ferlaino kazał jednemu z podwładnych dostarczyć do siedziby Włoskiego Związku Piłki Nożnej zaklejoną kopertę. Znajdowały się w niej nazwiska trzech zagranicznych piłkarzy, którzy mieli występować w Napoli. Kiedy na początku następnego tygodnia zebrała się komisja rozpatrująca sprawy transferów, na liście przedstawionej przez FC Napoli znajdowało się tylko nazwisko Diego Maradony. Jakiemuś tajemniczemu posłańcowi udało się dostać do urzędowych pomieszczeń i zamienić koperty. To zdarzenie bynajmniej nie jest zaskakujące w takim mieście jak Neapol, gdzie powszechna jest korupcja na większości szczebli władz gospodarczych i politycznych.

W trakcie kolejnych czterdziestu ośmiu godzin Gaspart zrezygnował z dalszych prób zatrzymania Maradony i umieścił swój podpis na kolejnej rekordowej umowie, zgodnie z którą FC Barcelona miała otrzymać około 13 milionów dolarów, a Diego 6,4 miliona. Na porozumieniu tym mieli skorzystać nie tylko szefowie Barcelony i Maradona. Tego bowiem dnia na stadionie San Paolo zza pleców Ferlaina i Juliana wyglądała wielka i bezwzględna organizacja, która kilka tygodni wcześniej postanowiła na swój sposób wykorzystać obecność Maradony w mieście. Była to neapolitańska mafia, camorra.

Zdążyła się już bardzo oddalić od swych prymitywnych początków, gdy w dziewiętnastowiecznych Włoszech organizowała na wsi opór wobec wielkich posiadaczy ziemskich i wyzyskiwaczy z północy Włoch. Podczas drugiej wojny weszła do miast, organizując czarny rynek, najpierw pod okupacją niemiecką, potem aliancką. W czasach powojennych, podobnie jak mafia sycylijska, camorra stała się ważną siłą społeczną, budując zawiłą sieć zależności i powiązań w takich ważnych elementach państwa włoskiego jak partia chadecka i podporządkowując sobie te z legalnych i nielegalnych sektorów gospodarki, w których najszybciej można było liczyć na zysk.

Jej *modus operandi* polegał na łączeniu opieki z groźbą; tworzyła obejmującą całe życie społeczne rozgałęzioną hierarchię zależności i lojalności, na której szczycie znajdowali się *capi*, szefowie rodzin, władający biednymi dzielnicami Neapolu niczym panowie feudalni. Podlegali im kapitanowie odpowiedzialni za utrzymanie porządku, wypełnianie przyjętych zleceń i wykonywanie wyroków, do czego wykorzystywali szeregowych członków. Camorra z jednej strony miała łatwy dostęp do najwyższych urzędów, z drugiej – była na co dzień obecna wśród ludzi, w których życiu bezrobocie i nędza były normą. Podporządkowała też sobie media i sądy.

Nigdzie camorra nie wtapiała się tak płynnie w życie całego Neapolu jak na meczach rozgrywanych na stadionie San Paolo, ponieważ *capi*, kapitanowie i szeregowi członkowie organizacji fascynowali się futbolem w równym stopniu jak setki tysięcy *tifosi*.

Na konferencji prasowej, która odbyła się w dniu prezentacji Maradony kibicom FC Napoli, kłopotliwe pytanie zadał Alain Chaillou, francuski dziennikarz, który nie do końca uległ bezkrytycznemu zachwytowi włoskich kolegów. Spytał Maradonę, czy wie, że pieniędzy na jego zakup dostarczyła camorra. Diego albo nie dosłyszał, albo nie chciał usłyszeć, Chaillou zadał więc to samo pytanie Ferlainowi. Teraz reakcja była natychmiastowa. Oburzony prezes klubu wskazał drzwi ze słowami: „To obraźliwe pytanie. Neapol to porządne miasto. Proszę wyjść!”. Dziennikarza otoczyli ochroniarze i wypchnęli na zewnątrz.

Ferlaino, podobnie jak camorra, zbił pieniądze na budownictwie. Jego wuj został zamordowany przez mafię. W trakcie sezonu, który poprzedził przyjazd Maradony, jeden z meczów przerwano na jakiś czas po tym, jak nad stadionem przeleciała awionetka, z której na trybuny spłynęły ulotki z hasłem: *Zegnaj, Ferlaino, niech wraca Juliano*. W oświadczeniu dla prasy Ferlaino stwierdził, że to dzieło jego wrogów z camorry, która stara się w ten sposób obniżyć cenę akcji klubu, aczkolwiek ani słowem nie zająknął się o tym, dlaczego ma takich przeciwników.

Zdeponowany w banku FC Barcelona, Banca Mas Sarda, fundusz na zakup Maradony stworzyło konsorcjum włoskich banków pod przewodnictwem Banco di Napoli i Banca della Provincia di



Napoli, podejrzewanych o pranie gangsterskich pieniędzy. W ostatniej chwili przedstawiciele Barcelony podbili cenę o sześćset tysięcy dolarów. Wystarczył dzień, podczas którego tysiące neapolitańczyków zjawili się ze swymi oszczędnościami w lokalnej filii towarzystwa budowlanego Monte dei Paschi di Siena, aby zebrać brakującą sumę. Ów gest na miarę symbolu – biedacy z Neapolu wspierający swój ubogi klub – pokazuje, w jakim stopniu działania camorry pokrywały się z pragnieniami i oczekiwaniami szarych ludzi.

Neapolitańska mafia uznała przybycie Maradony za bardzo dla siebie korzystne, bo z jednej strony miała wzrosnąć dochodowość klubu, z drugiej – powinno to za sobą pociągnąć ożywienie ekonomiczne w tych sektorach, w których camorra była dobrze ustawiona.

O tym, jaką siłę stanowi w Neapolu camorra, Maradona wiedział od samego początku negocjacji z klubem, gdy wysłał Cyterszpilera, aby nawiązał kontakt z miejscowymi działaczami piłkarskimi, a także ogólnie zorientował się, jak wygląda życie w mieście. Trosce Cyterszpilera o dobre samopoczucie klienta i przyjaciela dorównywała tylko troska o dochody Maradona Productions. W Barcelonie musiał sięgać głęboko do zasobów firmy, aby pokrywać koszty ekstrawaganckiego życia Diega i jego otoczenia, był jednak przekonany, że na poziom zysków niekorzystnie wpływają także częste kontuzje oraz animozje pomiędzy Maradoną a władzami klubu. Cyterszpiler uważał, że w Neapolu Diego poczuje się bardziej jak w domu, co wpłynie korzystnie na jego osiągnięcia piłkarskie, a sława wśród mieszkańców – nie będzie tu miał żadnych rywali – zaowocuje polepszeniem finansowej sytuacji Maradona Productions.

Już na samym początku Cyterszpiler zrozumiał, że w Neapolu nie może liczyć na niekwestionowaną wyłączność na prawa do nazwiska i wizerunku Maradony. Działo się to na początku wiosny 1984 roku, kiedy we włoskiej prasie pojawiły się pierwsze spekulacje, że są w kraju kluby zainteresowane kupnem Maradony. Jadąc z lotniska do miasta, Cyterszpiler zauważył na poboczu przydrożnego sprzedawcę handlującego pirackimi kasetami, na których nagrana była piosenka rozbrzmiewająca nie tylko na trybunach stadionu San Paolo, ale też w zaułkach ubogich dzielnic Neapolu. Jej refren w dosłownym tłumaczeniu brzmiał:

Och, mamó, mamó, mamó  
Och, mamó, mamó, mamó  
Czy wiesz, czemu mi tak wali serce?  
Widziałam Maradonę, widziałam Maradonę  
I jestem, mamó, zakochana.

Widząc na produkcie zdjęcie swojego klienta, na które jego firma nie dała zezwolenia, Cyterszpiler zahamował. Po latach tak o tym opowiadał:

Spytałem, jaki jest sens sprzedawania tych kaset, skoro kontrakt nie jest jeszcze podpisany. A jeśli Maradona w ogóle się tu nie zjawi? Facet popatrzył na mnie zdziwiony i wzruszył ramionami. „A co mnie to obchodzi, skoro tylko dzisiaj sprzedałem dwa tysiące płyt?“, odrzekł.

Podczas rozmów z przedstawicielami klubu właśnie kwestia praw autorskich stała się jedną z bardziej spornych; nawet w chwilach, gdy ważyły się losy zasadniczego kontraktu, Cyterszpiler nie chciał słyszeć o ustąpieniu choćby z części praw do wizerunku Maradony, ponieważ doświadczenia argentyńskie i hiszpańskie przekonały go, jak obfite jest to źródło dochodów. Im dłużej jednak pozostawał w Neapolu, tym boleśniej się przekonywał, że wyłączności nie uda mu się zachować. Paulo Pauletti, dziennikarz telewizyjny i działacz FC Napoli, który należał we Włoszech do kręgu bliskich znajomych Diega, wspominał pewien wieczór, gdy wraz z Cyterszpilerem wyszli z pizzerii w modnej dzielnicy portowej Mergallina i zobaczyli chłopaka, który na skrzyżowaniu sprzedawał marlboro, zachwalając je: „Papierosy Maradony, dwie paczki w cenie jednej, papierosy Maradony!“. Kiedy Jorge spytał go, dlaczego sprzedaje marlboro jako „papierosy Maradony”, chłopak odrzekł, że w ten sposób lepiej idą. Nawet jeśli Jorge nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy, to w tym momencie zrozumiał, że nie on jeden stara się zarobić na Maradonie.

Cyterszpiler zagroził procesem o naruszenie praw autorskich każdemu, kto sprzedaje w Neapolu produkty, wykorzystując nazwisko Maradony, wtedy jednak skontaktowali się z nim przedstawiciele

camorry i zwrócili uwagę, że nie jest najlepszym pomysłem funkcjonowanie w Neapolu bez wcześniejszego porozumienia się z obrońcami biedaków, a taką rolę lubiła sobie przypisywać miejscowa mafia. W Neapolu sprzedaż uliczna znajdowała się pod kontrolą camorry, która w ten sposób utrzymywała wpływy wśród ubogich mieszkańców, a zarazem czerpała zyski z handlu hurtowego.

Propozycja brzmiała tak, że camorra kontroluje handel detaliczny, podczas gdy promocję i reklamę pozostawia w gestii Maradona Productions. Cyterszpiler nie był zachwycony tą ofertą, rozważywszy jednak problem bezpieczeństwa, i klienta, i własnego, przystał na nią z ociąganiem. Sam Maradona potwierdził umowę, zaraz po przyjeździe oznajmiwszy publicznie: „Będę szczęśliwy, jeśli dzięki mojej podobiznie biznes będzie lepiej rozkwitał w Neapolu”.

Ta wypowiedź potwierdza tylko powiązanie Maradony z camorram, która uznała, że piłkarz jest publiczną osobistością, więc można i należy zyskownie ją wykorzystać.

Camorra w tym czasie przypominała gigantyczną ośmiornicę, której macki oplatają główne elementy życia miasta – powiedział mi Rosario Pastore, neapolitański korespondent znanego włoskiego dziennika sportowego „Gazzetta dello Sport”. – Maradona był postacią niedającą się zignorować, a członkowie camorry chcieli być z nim identyfikowani, gdyż stanowił symbol potęgi.

Przez kilka miesięcy po przyjeździe Maradony do Neapolu wydawało się, że jego popularność nie zna granic. *Tifosi* na San Paolo – z których siedemdziesiąt procent, jak szacuje policja, mogło mieć jakieś związki z camorram – zachwycali się jego grą i nie szczędzili mu aplauzu. Zresztą występy Maradony w pierwszym sezonie odznaczały się świeżością i polotem, które zatracił w Barcelonie. Był pełen pomysłowości i energii, najwidoczniej też odpowiadała mu atmosfera włoskiego spektaklu piłkarskiego z wyrazistymi gestami, przesadnymi reakcjami i wybuchami emocji na trybunach. Po feudalnej dyscyplinie Nou Camp znowu znalazł się wśród pierwotnego ludu uwielbiającego magię i czary.

We włoskim futbolu nadal dominowało wówczas *catenaccio*, styl przede wszystkim nastawiony na defensywę, przy którym przez cały czas obowiązuje ścisłe krycie jeden na jednego, a za linią obrońców czyha jeszcze libero, mający dodatkowo zablokować dostęp do bramki. Podczas mistrzostw w Hiszpanii w 1982 roku włoskie *catenaccio*, zwłaszcza w wydaniu Gentile, całkowicie zneutralizowało zdezorientowanego i nieznajdującego w sobie motywacji do energicznej gry Maradonę. Teraz w Neapolu poruszał się po boisku, z niezwykłą swobodą i lekkością ogrywając obrońców i albo samemu strzelając gole, albo umożliwiając to kolegom z zespołu: Carece, De Napoliemu, Franciniemu czy Crippie. Znowu odnosiło się wrażenie, że jakby przywiązana do jego nóg piłka nagle się od nich odrywa i zakreśla w powietrzu łuk z matematyczną wręcz precyzją. *Tifosi* kochali swego *Rei*, Króla, on zaś dziękował im za aplauz po każdym голу, wykręcając w powietrzu fikołki, przesyłając całusy lub gnając z zaciśniętą pięścią w tym kierunku, gdzie tłum widzów był najgęstszy i najgłośniejszy.

Zakochany w Maradonie był nie tylko stadion San Paolo; zakochało się w nim całe miasto. Podobnie jak w Barcelonie, otoczył go krąg argentyńskich krewnych i przyjaciół, tyle że tutaj słowo „klan” nie miało już negatywnego wydźwięku, wprost przeciwnie: mówiło o cenionych nieformalnych związkach lojalności i współpracy. W krzykliwych koszulkach od Versace i skórzanych kurtkach „klan Maradony” nie różnił się od innych „klanów” funkcjonujących w podporządkowanych camorrze dzielnicach Quartieri Espognoli czy Forcella i przesiadujących w kafejkach i nocnych klubach. Przez sześć lat spędzonych w Neapolu Maradona został włączony do tak zwanej *seconda societa*, co w jakimś stopniu służyło umocnieniu pozycji camorry.

W styczniu 1986 roku dwóch emisariuszy rodziny Giuliano, jednej z najpotężniejszych rodzin camorry, pojawiło się na boisku treningowym FC Napoli i oznajmiło piłkarzowi, że szefowie chcieliby go poznać bliżej. Nie występowali jako gangsterzy, lecz jako *tifosi*, którzy chcą dać wyraz szacunku dla mistrza. Niewiele różnili się wyglądem od Maradony i ani on, ani jego agent nie widzieli żadnych powodów, aby odrzucić zaproszenie. Kilka tygodni później Maradona wystąpił jako jeden z głównych gości na przyjęciu wydanym przez Carmine Giuliana, jednego z przywódców rodziny, której działalność obejmowała futbol, narkotyki, przemysł papierosów i prostytutkę. Była to typowa biesiada

camorry, z lejącym się strumieniami szampanem, obfitością makaronów i ciast, a także sobowtórami Ala Pacino i Sophii Loren. Na powierzchni była to radosna impreza, pełna uśmiechów i klepania się po plecach, głębiej jednak czaiło się napięcie, jedni bowiem wiedzieli, że należy im się wdzięczność za przysługi – niekiedy narzucone – inni, znacznie liczniejsi, zdawali sobie sprawę, że mają długi do spłacenia. Gdziekolwiek pojawił się Carmine, wszędzie spotykał się z wyrazami czołobitności. Kędzierzawy, z głęboko osadzonymi czarnymi oczami i krępą posturą, był podobny do tysięcy neapolitańczyków, których można spotkać na całym świecie. Równie dobrze mógł być korzystającym z wolnego czasu kelnerem lub kolegą klubowym Maradony, tymczasem budził powszechny lęk. Każde jego polecenie było natychmiast wykonywane.



Z rodziny Giuliano, Neapol 1986 r.

Giulianowie doprowadzili do mistrzostwa sztukę patronatu. Świetnie wiedzieli, kim dobrze jest się zaopiekować lub o czyim istnieniu trzeba choćby przypomnieć publiczności. Nie trzeba było żadnych przemówień, wystarczyło samo jawne zaakceptowanie przez dynastię, co wyrażało się w potraktowaniu gościa. Od pierwszej chwili przybycia Maradony nieprzerwanie sunęła za nim grupka fotografów, których zadaniem było utrwalenie każdej sceny, gdy piłkarz witał się z członkami rodziny czy pozował wraz z nimi. Po Carmine następnymi Giulianowie obejmowali Diega, całowali go, wznosili do niego toasty. Przedstawiali mu swych współpracowników i swe piękne towarzyszkę. W tym gronie Maradona czuł się odprężony i niezagrożony. Oto ludzie, którzy do pieniędzy i pozycji doszli, wyruszając jak on z zaułków. Mówili takim samym językiem, spoglądali tak samo na świat. W Barcelonie zawsze czuł się *sudaca*, lekceważonym przez Katalończyków intruzem z Ameryki Południowej, tutaj natomiast poczuł się neapolitańczykiem. Było to pierwsze z całej serii przyjęć Giulianów, w których Maradona miał uczestniczyć podczas pobytu w Neapolu, włącznie

z niesłychanie wystawnym weselem, przywodzącym na myśl początek *Ojca chrzestnego*. Także i wtedy zrobiono mu zdjęcie – był jakby maskotką rodzinną. Na razie zdjęcia te pozostawały w albumach Giulianów; podobnie jednak jak inne zrobione w 1986 roku, potem miały się stać zmorą Maradony.

NA POCZĄTKU KONTAKTY DIEGA Z CAMORRĄ nie wywołały komentarzy, on sam zresztą chyba nie widział w nich nic niezwykłego. Wydawało mu się jak najbardziej naturalne, że organizacja, która miała tak ścisłe związki z miejscową piłką, będzie się afiszowała z wybitnym zawodnikiem. Na przyjęciach występował właśnie jako piłkarz, a nie współnik przestępstw. Pierwsze zaproszenie na przyjęcie u Giulianów dotarło do Maradony przez Cyterszpilera, do którego z kolei zwrócił się przewodniczący miejscowego fanklubu. „Nie miałem pojęcia, czym zajmują się Giulianowie. Ktoś zapraszał mnie do nich do domu, a ja często się zgadzałem”, mówił później Maradona, gdy nagabywano go o związki z tą rodziną. Nie było to do końca prawdą, jak wynika ze słów włoskiego doradcy prawnego Maradony, Vincenzo Sinischalskiego, który rozmawiając ze mną w 1995 roku, powiedział: „Generalnie wiedział, że są członkami camorry, co jednak nie znaczy, że sam do niej należał”.

Dopiero znacznie później Maradona zaczął dostrzegać, jak dwuznaczna była jego przyjaźń z przestępczą organizacją.

Stałem się faworytem camorry nie dlatego, że byłem piękny czy dobry, ale ponieważ uszczęśliwiałem ludzi, tych zapewne, których oni wykorzystywali – wyznał w wywiadzie ze stycznia 1996 roku. – Mówiąc inaczej, chodziło o pieniądze i władzę.

Łatwość, z jaką wówczas zaakceptowano, przynajmniej w Neapolu, związki Maradony z camorrą, można zrozumieć tylko w kontekście ich rozwoju. W momencie gdy Diego pojawił się jako futbolowy król, camorra cieszyła się jeszcze znaczną swobodą działania. Antykorupcyjna akcja prokuratorów dopiero się zaczynała i stare układy władzy w Neapolu, wiążące chadeckich polityków, ojców rodzin camorry i miejscowych przedsiębiorców, dalej bezkarnie funkcjonowały. W mediach niewielu dziennikarzy było zainteresowanych niszczeniem tego układu; jednym z nielicznych był „wolny strzelec”, Giancarlo Siani. W 1985 roku w małym miasteczku nieopodal Neapolu badał powiązania miejscowych polityków z camorrą, zamierzając sprzedać reportaż którejś z ogólnokrajowych gazet. Zastrzelono go, zanim zdążył komukolwiek przekazać zebrane materiały. Inny z lokalnych dziennikarzy uznał, że milczenie jest bezpieczniejsze, i przeżył.

Musisz zrozumieć, jak się wtedy żyło w Neapolu – opowiadał mi. – Krażły między nami słowa, których u nas nie trzeba było nikomu tłumaczyć: „Mam rodzinę. A więc nie mogę pisać o camorze, bo albo mnie zastrzelą i zostawię swoich bliskich, albo przytrafi się to jednemu z nich”.

Ale nie tylko camorra mogła występować publicznie „poza dobrem i złem”. Na jakiś czas Maradona stał się równie nietykalny jak każdy z „ojców chrzestnych”. Jego sukcesy na boisku uruchamiały plemienną lojalność; otoczyła go aura moralnego szacunku, godna matki Teresy. Załatwiono mu audiencję u papieża, został ambasadorem UNICEF-u. Do Watykanu udał się jako żywy przykład Bożej łaski: poczęty w slumsach, urodził się jednak pod szczęśliwą gwiazdą, został bowiem obdarowany talentem, który pozwalał mu uszczęśliwiać ludzi, za co dziękował Panu, żegnając się przed wejściem na boisko i wznosząc pięść ku niebu po każdym голу. W UNICEF-ie występował jako dziecko ze slumsów, które dorósłszy, nigdy nie zapomniało o swej przeszłości i potrafiło się zdobyć na wielkoduszność. W chłodny deszczowy dzień w zimie 1985 roku potrafił znaleźć czas w natłoku zajęć sportowych i towarzyskich, aby razem z dwoma braćmi, Hugo i Lalo, zagrać w meczu, z którego dochód przeznaczony był na cele dobroczynne. W innym takim spotkaniu ryzykował kontuzję, grając na przypominającym klepisko boisku gdzieś na zapadłej prowincji południowych Włoch. Kilka miesięcy później leciał ponad dziesięć tysięcy kilometrów do Pasadeny, aby wystąpić w meczu zorganizowanym przez UNICEF – w przeciwieństwie do kilku innych międzynarodowych sław piłkarskich, które nie dotrzymały obietnicy. „Był wówczas zdolny do gestów

nie do pomyślenia w zimnym, wyrachowanym świecie pieniądza, jakim wkrótce stała się piłka nożna”, mówi Bruno Pasarella, pracujący we Włoszech argentyński dziennikarz.



*Diego i Claudia w Watykanie, 1985 r.*

Piękne gesty Maradony były upowszechniane, inne aspekty jego życia otaczała większa tajemnica. Nie dlatego, że w Neapolu bardzo chroniono życie prywatne. To miasto labirynt, w którym zarazem trudno znaleźć schronienie przed wścibskimi spojrzeniami. Nigdzie ten paradoks nie jest wyraźniejszy niż w biednych dzielnicach, gdzie wielbiono Maradonę. Pośród wąskich uliczek i nadgryzionych zębem czasu domów mnóstwo jest ślepych zaułków, mrocznych podwórek, sekretnych przejść, ale jednocześnie drzwi i okna domów stoją otworem, mieszkańcy zaś zaciekle dyskutują o prywatnych wypadkach i politycznych zdarzeniach. Na pozór wydaje się, że w tym tętniącym życiem mieście trudno cokolwiek ukryć.

A jednak ta pozorna jawność nie przeszkodziła miastu przez całe wieki opierać się obcym władcom. Miejscowi czuli się odpowiedzialni tylko za siebie, a nie za resztę Italii czy cały świat; odpowiedzialni za rodzinę, dalej klan, a w następnej kolejności za Neapol. W takiej atmosferze prywatne życie Maradony mogło być nieupubliczniane, a przynajmniej niecenzurowane.

Na początku Maradona wraz z całym swoim „klanem” zamieszkał w Royal, jednym z najdroższych w mieście hoteli; bywały momenty, gdy pokoje zajmowało ponad dwadzieścia osób. Piłkarz oświadczył, że przenieść może się jedynie do posiadłości podobnej rozmiarami do tej, którą miał w Barcelonie, otrzymał jednak tylko dwukondygnacyjny apartament przy Via Scipione Capece, na Posillipo, rezydencyjnej dzielnicy zajmującej wzgórze, z którego rozpościera się widok na Zatokę Neapolitańską. Działacze tłumaczyli, że w Neapolu, zwłaszcza po trzęsieniu ziemi, trudno o duże rezydencje.

Maradona uznał to za przejaw nagannego skąpstwa, a problem mieszkania stanie się z czasem jednym z istotnych powodów tarć pomiędzy nim a klubem. Nawet jeśli jednak uważał, że skazano go na życie w ciasnocie, nie zamierzał żyć z mniejszym niż dotąd rozmachem. Mnóstwo wydawał na siebie i na osoby ze swego otoczenia. Kupił jacht, sprawił sobie też flotyllę samochodów, z których część nabył sam, a część otrzymał w ramach sponsoringu. Miał zarejestrowanego w Monte Carlo rolls-royce'a, miał czarne ferrari testarossa, robione na specjalne zamówienie, podobne do tego, które posiadał uwielbiany przez niego Sylvester Stallone. Model taki niełatwo było zdobyć, Maradona jednak nie musiał długo czekać – Cyterszpillerowi udało się podczas jednej rozmowy telefonicznej przekonać Gianniago Agnellego, że Maradona za kierownicą testarossy będzie znakomicie reklamować Ferrari, a jednocześnie przypominać południu Włoch, że prawdziwa potęga gospodarcza to północ.

O ile w Barcelonie Maradona czuł się niekiedy parweniuszem, który nie wszędzie ma wstęp, o tyle w Neapolu miał wrażenie, że wszystkie drzwi stoją przed nim otworem. Poruszał się po mieście z dumą udzielnego władcy, nieniekonny przez dziennikarzy ani władze i mający wokół siebie tylko tych ludzi, których chciał widzieć. O kobiety było równie łatwo jak o jachty czy samochody; dziewczyny czyhały na okazję, aby tylko pokazać się u boku Maradony, liczyły bowiem na to, że zdjęcie w gazecie może im pomóc w karierze. Jedną z tych, którym się udało, była Heather Parisi, długonoga dwudziestojednoletnia blondynka z Kalifornii, która zdążyła już sobie zaskarbić względy męskiej widowni, w jednym z nocnych niedzielnych programów telewizyjnych obnażając swoje wdzięki. W styczniu 1985 roku, gdy Claudia wyjechała na krótko do Argentyny, Heather nawiązała romans z Maradoną, czemu wiele miejsca poświęciła plotkarska gazeta „Oggi”. Była to jedna z najchłodniejszych zim w historii Neapolu, a mimo to para w połowie swego romantycznego tygodnia pojawiła się uśmiechnięta na balkonie apartamentu Maradony, a zdjęcia zrobione teleobiektywem były potem sprzedawane na „wyłączność” po osiem tysięcy dolarów.

Takie wysoki mogły dobrze wpływać na libido Maradony, a także zapewnić okolicznościowe zyski, nie sprzyjały jednak harmonii życia rodzinnego. Nieporozumienia z Claudią zaczęły się wkrótce po przenosinach z hotelu Royal, czego doświadczyła Argentynka Juana Bergara, która od 1985 pracowała u Maradonów jako pokojówka. Zgodnie z umową podpisaną z Maradona Productions, miała obsługiwać Claudię, tymczasem tej coraz częściej nie było w domu. Kiedy zaniepokojona Bergara spytała w sekretariacie firmy, kiedy zobaczy swą pracodawczynię, usłyszała w odpowiedzi: „Nie wiadomo, czy w ogóle... Teraz to poważna sprawa. Diego powiedział, że nie chce jej w ogóle widzieć, i chyba mówił to poważnie”.

Nieco więcej dowiedziała się Juana od mieszkającej na parterze siostry Maradony, Marii.

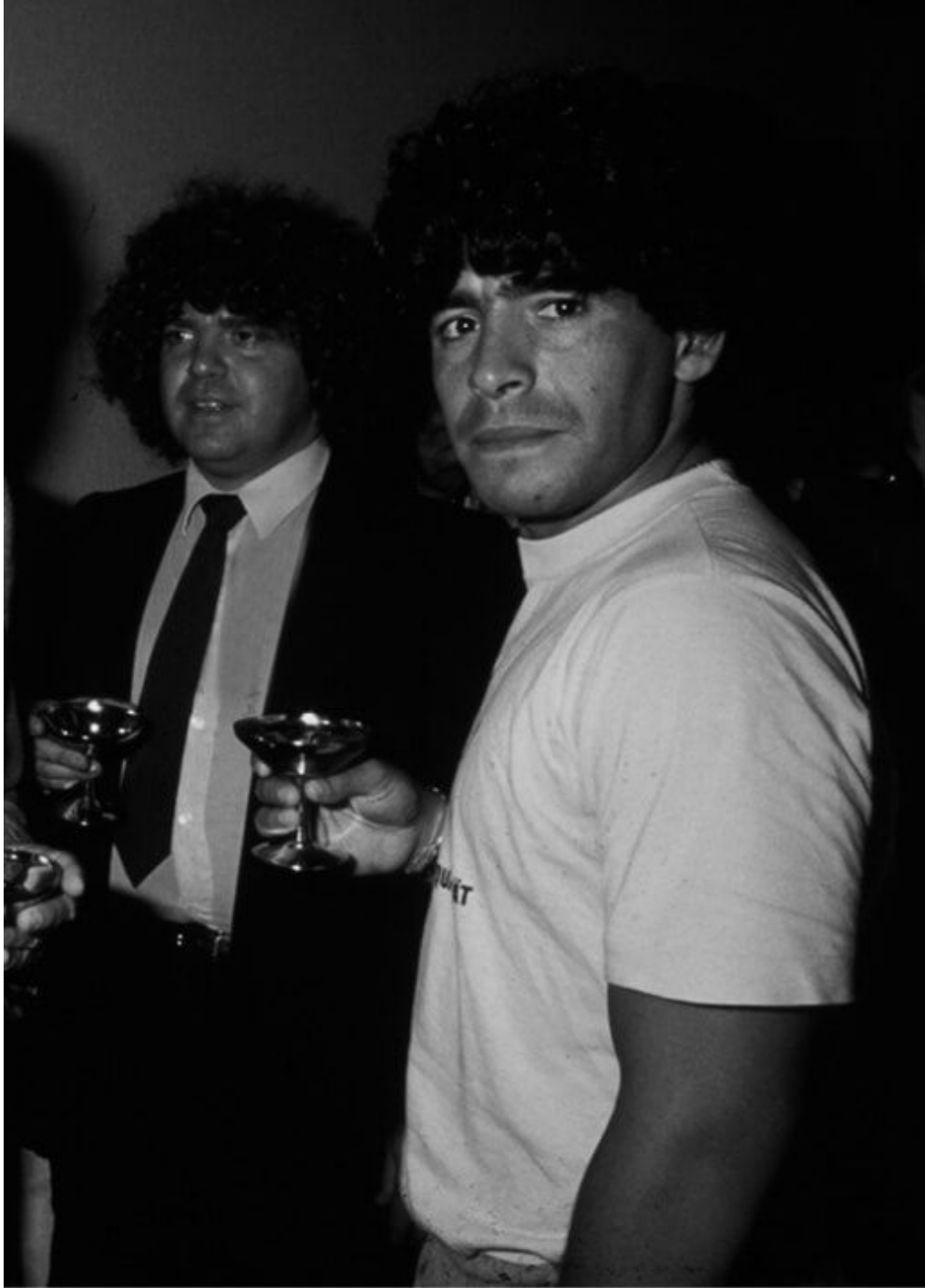
Powiedziała mi, że Claudia i Diego zachowują się teraz jak najgorsi wrogowie, nie ma między nimi pieszczot ani słodkich słówek, nieustannie mają do siebie pretensje, oburzając się wyzwiskami i dochodzi do okropnych awantur.

Według Marii, powodem napięć były w znacznej mierze niedobre stosunki między Claudią i Totą, która od zawsze chciała dominować w życiu rodzinnym i decydować o wszystkim, a tymczasem przed wyjazdem z Barcelony usłyszała od syna, że jeśli poślubi kiedykolwiek jakąś kobietę, będzie to Claudia. Co więcej, przyszła synowa Toty umiała zadbać o swe interesy i zagwarantować prawa do majątku sobie i ewentualnym dzieciom, które będą mieli. Matka i inni członkowie najbliższej rodziny nie mogli tego nie zauważyć. Z perspektywy czasu widać, że Tota, kobieta praktyczna i rozzębiona, musiała wiedzieć, że dla dobra syna powinna tolerować jego narzeczoną.

„Przez pierwsze miesiące pracy w domu Maradonów w ogóle nie widziałam Claudię, zupełnie jakby się zapadła pod ziemię”, powiedziała Juana Bergara. Narzeczoną Maradony nie tylko fizycznie była nieobecna: bardzo szybko pozniakały wszystkie jej fotografie. Okazało się zresztą, że nie jest jedyną osobą z dawnych czasów, z którymi Diego zrywał. Następny w kolejce był przyjaciel z czasów dzieciństwa i agent. We wrześniu 1985 roku, gdy Cyterszpiller negocjował w Meksyku prawa autorskie Maradony z miejscową telewizją, trzęsienie ziemi zniszczyło wiele budynków i pociągnęło za sobą wiele ofiar śmiertelnych. Cyterszpiller wyszedł z niego bez szwanku, zaraz jednak otrzymał

informację, której efekt był taki, jakby mu się ziemia rozstąpiła pod stopami. Ledwie przywrócono łączność Mexico City z resztą świata, dowiedział się telefonicznie, że Maradona go zwolnił. Kilka godzin wcześniej dwaj argentyńscy pracownicy Maradona Productions, Guillermo Blanco, jej rzecznik prasowy, oraz Juan Carlos Laburu, główny filmowiec, zostali wezwani przez Maradonę i zwolnieni. Chłodnym tonem biznesmena, który musi się przede wszystkim troszczyć o koszty przedsiębiorstwa, poinformował ich, że z powodu kłopotów finansowych Maradona Productions musi się rozstać z Cyterszpilerem, a także im wypowiedzieć pracę. Wszelkie kwestie finansowe mieli omówić z Guillermo Coppolą, który zajął miejsce Cyterszpilera.

Dla całej trójki był to straszliwy szok, uważali się bowiem nie tylko za pracowników firmy, ale też za lojalnych przyjaciół Maradony. Blanco przez cały czas usiłował rozpowszechnić jego wizerunek jako nie tylko geniusza piłkarskiego, ale i sympatycznej, przyjaznej światu i ludziom osoby. I w Barcelonie, i w Neapolu to on jako rzecznik prasowy chronił mistrza przed agresją dziennikarzy. Laburu porzucił stałą, nawet jeśli odrobinę monotonną, pracę w argentyńskiej telewizji, aby filmując Maradonę w życiu prywatnym i zawodowym, gromadzić materiały pozwalające budować jego publiczny wizerunek jako geniusza piłki nożnej. Na początku pobytu w Neapolu, gdy Diego mieszkał jeszcze w hotelu Royal, to właśnie w skromnym domu Laburu i jego żony szukał ucieczki, aby w spokoju zasiąść do pizzy i kart.



*Maradona oraz jego menedżer i przyjaciel Cyterszpiller tuż po podpisaniu kontraktu z FC Napoli, czerwiec 1984 r.*

Zapewne najbardziej zdradzony miał prawo czuć się Cyterszpiller. Od kilkunastu lat wszystkie swoje siły poświęcał Maradonie. Gdy dowiedział się w Meksyku, że został zwolniony, przeszłość stanęła mu przed oczami jakby utrwalona na zastygłych kadrach. Kupuje Maradonie colę i herbatniki; zabiera go na mecz bokserski; negocjuje kontrakt z Boca Juniors; negocjuje kontrakt z Barceloną; negocjuje kontrakt z FC Napoli. Jeśli teraz Maradona mógł się czuć królem, w ogromnej mierze zawdzięczał to Cyterszpillerowi. Okazało się jednak, że wszystko to niewiele znaczy, gdy dowiadywał



się przez telefon, że firma Maradona Productions znowu stanęła na krawędzi finansowej katastrofy, a jedną z przyczyn była zaaprobowana przez Cyterszpilera niefortunna pożyczka. Nie ma dowodów na to, że rzeczywiście uwikłał się w operację, która zagroziła fundamentom jego własnego dzieła, ale Maradona chętnie w to uwierzył. Coraz trudniej przychodziło mu odróżnianie przyjaciół od naciągaczy; bał się, że został wykorzystany przez Cyterszpilera. Domagał się od wszystkich lojalności i najmniejsze podejrzenie powodowało zdecydowane i gwałtowne posunięcia.

Nie ulega wątpliwości, że kłopoty finansowe, które pojawiły się w Barcelonie, nie przestały nękać Maradona Productions. Także w Neapolu z kont firmy dokonywano ogromnych wypłat, a przychody były nieregularne. Maradona dawał upust doraźnym przyjemnościom, nie troszcząc się o jutro, a camorra uszczupliła dochody płynące dotychczas z promowania jego wizerunku. Jedną z osób z neapolitańskiego sztabu mówi:

Diego wydawał coraz więcej, a Jorge nie wiedział, jak powiedzieć: „Dość!”. Diego mówił: „Kup mi to i to”, a Jorge posłusznie to robił.

Ale kłopoty w Neapolu nie były większe niż w Barcelonie, w każdym razie nie usprawiedliwiają sposobu, w jaki zostali potraktowani Cyterszpiler i inni. Ktoś może dostrzec coś osobliwego w fakcie, że właśnie w dzień patrona Neapolu, świętego Januarego, Maradona podjął swą drastyczną decyzję, jakby wypełniał wolę Bożą. Cyterszpiler, Blanco i Laburu doszukają się jednak bardziej przyziemnego wyjaśnienia. Ich zdaniem, to właśnie wtedy rozpoczął się proces upadku Maradony. Czując na sobie presję oczekiwań nie tylko rodziców, ale też wszystkich neapolitańczyków, coraz trudniej godząc zawodowe wymagania z trudnościami życia osobistego, Maradona tracił rozeznanie w tym, kto jest jego przyjacielem, a także w tym, kim jest on sam.

## 14 GWIEZDNY PYŁ

**W** GRUDNIU 1985 ROKU **MARADONA** poznał kogoś, kto na krótki czas pozwolił mu znowu stać się sobą. Była to dwudziestojednoletnia mieszkanka Neapolu, Cristiana Sinagra. Należała do towarzystwa, które otoczyło siostrę Maradony, Marię, jej męża, Gabriela Esposito, i dwóch młodszych braci, Hugo i Lalo. Najlepsza przyjaciółka Cristiany chodziła z Hugo, podczas gdy jej młodsza siostra flirtowała z Lalo. To Maria postanowiła poznać Diega z Cristianą.

Doszło do tego pewnego wieczoru, gdy Claudia przebywała w Argentynie. Maria urządziła dla przyjaciół imprezę w swym mieszkaniu, nad którym znajdowały się pokoje zajmowane przez jej brata. Tam zobaczyli się po raz pierwszy. W Cristianie Diego znalazł osobę, która pasowała do kręgu jego przyjaciół, a zarazem bardzo różniła się od łatwych dziewczyn, z którymi najczęściej miał dotąd do czynienia. Nie była to ani Heather Parisi, ani Claudia. Wierna dość tradycyjnym wartościom, niewiele w sobie mająca z feministki, dopiero po pewnym czasie uległa zabiegom ze strony Diega. Z jej opowieści o tym, jak rozwijał się ich związek, można wnosić, że przynajmniej na chwilę w jego życiu miłość wzięła górę nad czystym pożądaniem.

Wydaje się, że najpierw narodziła się między nimi sympatia, zanim w ogóle zaczęli myśleć o seksie.

Poznawaliśmy się stopniowo, powoli odkrywałam, że jest w nim jakaś część zupełnie niepodobna do publicznego wizerunku. Diego, którego poznawałam, nie był tym z magazynów ilustrowanych. Zdolny do wierności i lojalności, poważnie myślący o życiu, nie miał w sobie arogancji ani zepsucia, żadnej skłonności do alkoholizmu czy narkomanii. Kochający, troskliwy, wrażliwy, uroczy człowiek, który przy mnie był wierny swemu najgłębszemu ja.

To usłyszałem od Cristiany, gdy w grudniu 1995 roku umówiliśmy się w kawiarni na przedmieściach Neapolu. Usiadła tak, aby mogła obserwować, kto wchodzi; towarzyszyło jej dwóch przyjaciół. Dziesięć lat po pierwszym spotkaniu z Maradoną wspomnienia ani trochę nie wyblakły, ale nie zmniejszył się też strach przed osobistą zemstą. Dopiero kiedy nabrała do mnie zaufania, pokazała mi świadectwo, które jednoznacznie potwierdzało jej wersję zdarzeń.

Trzy dni później, gdy w wilgotnym popołudniowym powietrzu unosił się wulkaniczny zapach siarki, zobaczyłem Diegita, synka Diega i Cristiany. Wraz z dziesięcioma innymi rówieśnikami rozgrywał spotkanie lokalnej ligi dziecięcej. Mecz nie toczył się na zakurzonym podwórku Villa Fiorito, lecz na dużym boisku treningowym należącym do klubu utrzymującego się ze składek członków, którzy podobnie jak Cristiana należeli do klasy średniej. Nawet niezależnie od fizycznego podobieństwa można było w chłopcu rozpoznać ojca: ta sama pewność siebie, to samo wycucie piłki. Inni zmagali się z nią, on bez trudu dryblował w lewo, prawo, zanim posłał ją do bramki. Po każdym golu biegł w kierunku matki, wyrzucając w niebo zaciśniętą pięść gestem dokładnie naśladującym ojca. Lepiej posługiwał się prawą nogą niż lewą, ale stawiał przed sobą cele równie ambitne jak niegdyś ojciec. Powiedział kiedyś Cristianie, że jego marzeniem jest wystąpić w reprezentacji Argentyny.

Dziesięć lat wcześniej, zanim Diegito został poczęty, Maradona zerwał z nocnymi wypadami na miasto, a wolny czas poświęcał Cristianie. Im więcej z nią przebywał, tym czuł silniejszą aprobatę ze strony rodziny. Maria zabierała Cristianę na zakupy, pozwalała jej też opiekować się swoimi dziećmi, co jednak ważniejsze, Cristiana najwyraźniej zdobywała sobie także życzliwość rodzinnej monarchini, Toty, usiłującej ciągle dbać o przyszłość syna. Któregoś dnia podczas rozmowy z jedną z pokojówek powiedziała: „To świetna dziewczyna i nie wolno jej traktować jak innych panienek Diega, które zmienia po tygodniu”.

W intymnych chwilach Diego wyznawał Cristiane, jak pragnie mieć z nią dziecko; zaczęli nawet zastanawiać się nad małżeństwem. Dzwonił do niej codziennie po treningu i przysyłał „miliony całusów”, jak najczęściej mówił. Cristiana, zakochana po raz pierwszy w życiu, żyjąca z głową w chmurach, przestała zważać na konsekwencje wynikające z seksu.

Romantyczna atmosfera skończyła się w kwietniu 1986 roku, kiedy Cristiana nie mogła już ukryć przed rodziną Maradonów, że jest w ciąży. Zawsze powtarza, że od razu poinformowała o tym Diega, a on na początku był zachwycony perspektywą zostania ojcem. Kiedy jednak wieść doszła do reszty rodziny, ta zaczęła nalegać na aborcję. Także i Maradona zmienił postawę, prawdopodobnie pod wpływem rozmów z przyjaciółmi. Maria, twierdząc, że lepiej od Cristiany zna brata, przekonywała przyjaciółkę, że tylko przerwanie ciąży podtrzyma jego miłość do niej. Także i Tota, chociaż początkowo pobłogosławiła związek, potem zaczęła naciskać na syna, aby jak najszybciej zerwał z Cristianą. Z dnia na dzień zniknął kochający i czuły Diego, a jego miejsce zajął Maradona Król, rozkapryszony dzieciak, który za nic nie chce pozwolić, by jakiegokolwiek zobowiązania wobec świata miały stanąć na drodze jego ambicji. Cristiana przestała być cudownym zdarzeniem w jego życiu; stała się ciężarem. Zamiast czułych słów słyszała teraz wyzwiska. Jej ojciec zdecydował się na wizytę u Maradony, aby apelować do jego poczucia odpowiedzialności. „Tak, to moje dziecko – usłyszał – ale nie chcę, żeby je urodziła”. Związek praktycznie się skończył; z Argentyny wracała Claudia, aby znowu jako narzeczona zająć miejsce u boku Diega, który teraz myślał już tylko o jednym: o mistrzostwach świata w Meksyku.

## 15 MEKSYKAŃSKA FIESTA

CHOĆ OPINIE NA TEMAT KARIERY Diego Maradony mogą się różnić, to w jednej przynajmniej kwestii nie ma, jak się zdaje, wątpliwości: oceny jego roli w wywalczeniu mistrzostwa świata w Meksyku w roku 1986. Niewielu było dotąd zawodników, których otaczałoby podobne zainteresowanie i tak powszechny entuzjazm. Dla setek dziennikarzy i milionów widzów, śledzących mistrzostwa na żywo i w telewizji, od początku do końca zostały one zdominowane przez geniusz Maradony. Na przekór kłopotom w Barcelonie, na przekór nieudanemu występowi w Hiszpanii cztery lata wcześniej, teraz dwudziestopięcioletni gracz zajmował w stolicy Azteków tron Króla Futbolu.

Tymczasem w tle rozgrywały się osobiste dramaty, o których opinia publiczna niewiele wówczas wiedziała. Żaden z ciężarów, które zabierał ze sobą Maradona z Neapolu do Meksyku, nie był dotkliwszy od zbliżających się narodzin nieślubnego dziecka, którego ojcem zgodził się być, ale później z obietnicy się wycofał. Przed wyjazdem udzielił Ernesto Cherquisowi Bialo, redaktorowi naczelnemu argentyńskiego magazynu futbolowego „El Gráfico”, jednego z tych wywiadów, w których od czasu do czasu ujawniał coś ze swych przeżyć.

Tak, rzeczywiście czuję się samotny – przyznał. – Czasami myślę, żeby się ze wszystkiego wycofać. Chwalić Boga, że mam koło siebie mamę, ale... Ale czasami bywają takie dni, że widzę ją rano i mówię: „Wiesz, zbierajmy się i uciekajmy jak najdalej stąd”. Nie jest dobrze, naprawdę.

Zrywając kontakty z Cristianą Sinagrą, matką przyszłego dziecka i jedyną być może kobietą, którą naprawdę kochał, Maradona miał nadzieję, że problem rozwieje się jak dym. Odległość między Meksykiem a Włochami z początku nawet podsycala tę nadzieję. Długo to jednak nie potrwało. Na kilka dni przed rozpoczęciem rozgrywek jego szwagier, Gabriel Esposito, zadzwonił do Club America, gdzie rozlokowała się drużyna Argentyny, z informacją o „aferze Sinagry”, jak to już niedługo miały nazwać neapolitańskie gazety. Cristiana, która była wtedy już w ósmym miesiącu ciąży, powiedziała siostrze Diega, Marii, że za namową rodziny i przyjaciół nie chce już ulegle przystawać na to, że Maradona ucieka od wszelkiej odpowiedzialności, i ma zamiar z narodzin swego dziecka uczynić sprawę publiczną, podobnie jak z kwestii ojcostwa. Co więcej, gdyby Maradona wypierał się go, Cristiana nie cofnie się przed wystąpieniem do sądu. Wiadomość ta była wstrząsem dla Diega; przez najbliższe dwa dni chodził jak struty i niemal się nie odzywał do kolegów z drużyny.

Argentyna nie była może głównym faworytem, ale wymieniano ją w gronie kandydatów do zdobycia tytułu mistrza świata. Chyba tylko nieliczni obserwatorzy dostrzegli ślady wewnętrznych napięć i podziałów, a także brak zaufania do własnych możliwości. Reprezentacja nie otrząsnęła się jeszcze z porażki na poprzednim turnieju o Puchar Świata. W meczach kwalifikacyjnych i przygotowawczych nie pokazała się jako zgrany zespół, dały o sobie znać konflikty między niektórymi graczami, w tym między Danielem Passarellą, dawnym kapitanem, i Maradoną, który miał zostać jego następcą. Passarella, jeden z najstarszych i najbardziej doświadczonych argentyńskich piłkarzy, był oburzony, że jego miejsce ma zająć ktoś znacznie młodszy, a na dodatek nieprzewidywalny. Mistrzowską drużyną z roku 1978 dowodził w sposób autorytarny, co dobrze pasowało do atmosfery Argentyny pod rządami generałów. Nie sprzeciwiał się decyzji Menottiego, aby nie włączyć do drużyny Maradony. Cztery lata później, w Hiszpanii, na próżno usiłował walczyć o dyscyplinę w zespole, a Maradona należał do tych, którzy najostrej mu się sprzeciwiali. Od tego czasu Passarella, zawsze nieco zarozumiały, z niechęcią spoglądał na sukcesy Maradony; uważał, że ten jako piłkarz jest przereklamowany, a w życiu prywatnym – nieodpowiedzialny i pozbawiony zahamowań. W trakcie przygotowań do mistrzostw Passarella wpadł do hotelowego pokoju

Maradony, gdzie odbywała się właśnie impreza, i krzyknął: „Skoro masz być kapitanem, to zachowuj się, jak na niego przystało!”.

Do pięć dochodziło także między Maradoną a Ricardo Bochinim, najstarszym graczem w drużynie. Jako nastolatek Maradona podziwiał obok Pelé i Cruyffa także Bochiniego – którego nazywano El Bocha – gdy ten doprowadził drużynę Independiente do zdobycia Copa Libertadores. Jeden z kolegów określił Bochiniego jako „Woody’ego Allena na boisku piłkarskim”: mały, na pozór ofermowaty, ze strapioną miną, kiedy jednak dostawał piłkę, potrafił ośmieszać graczy wyższych, silniejszych, o bardziej efektownej posturze. Skończył już trzydzieści siedem lat, więc czas największej świetności miał za sobą; jeśli chodzi o sławę, nie mógł się równać z Maradoną, niemniej jednak czuł więź lojalności z dotychczasowym kapitanem, Passarellą, a skrycie z zawiścią spoglądał na to, że Maradona, jak młode ksiąźtko, zajmuje monarszy tron.

Jak się potem okazało, nieznoszący przegrywać Passarella nie znalazł nawet miejsca w pierwszym składzie, dolegała mu bowiem kontuzjowana łydka i miał kłopoty żołądkowe, a El Bocha całe niemal mistrzostwa przesiedział na ławce rezerwowych. Kiedy trener wpuścił go na boisko na sześć ostatnich minut meczu półfinałowego, został powitany przez Maradonę słowami: „Dobra robota, mistrzu”. Trudno się dziwić, że po powrocie do kraju Bochini mówił, że chciałby Meksyk jak najszybciej zapomnieć. „Ani trochę nie czuję się mistrzem świata”, oznajmił, nie kryjąc upokorzenia i rozżalenia.

A jednak Argentyna została znowu mistrzem świata. Sukces stał się możliwy dzięki temu, że Maradonie na czas rozgrywek udało się pokonać psychiczny kryzys. Niemal od pierwszej chwili, gdy drużyna zjawiała się w Club America, można było w niej wyczuć wolę zwycięstwa. Z bliska mógł to obserwować Paulo Pauletti, zaprzyjaźniony z Maradoną włoski dziennikarz. Młody i sympatyczny, zbliżył się do piłkarza, pomagając w jego przenosinach z Barcelony dzięki wyemitowaniu wywiadu telewizyjnego, bardzo przychylnego Neapolowi i neapolitańczykom. W Meksyku tylko on miał nieograniczony dostęp do Club America, podczas gdy większość światowej prasy była skazana na improwizowane konferencje, kiedy Maradona odpowiadał na pytania zza siatki ogradzającej ośrodek. Już za pierwszym razem, gdy Pauletti zobaczył Maradonę w holu Club America, uderzyła go przemiana fizyczna i duchowa, jaka zaszła w piłkarzu: był pełen siły, zdecydowania i młodzieńczej energii. Także na innych reporterach, którzy dokładniej przyglądali się Maradonie podczas mistrzostw – jak Ezequiel Fernández Moores – robił takie wrażenie, jakby przestały dla niego istnieć jakiegokolwiek problemy, z wyjątkiem jednego: wygrać.

W tym nastroju prawdopodobnie podtrzymywał go nowy trener reprezentacji, Carlos Bilardo. Ten nie zajmował się kawiarnianym filozofowaniem w stylu swego poprzednika Césara Menottiego, którego obwiniał o chaos w drużynie i porażkę na poprzednich mistrzostwach. Bilardo nie miał ani wyglądu playboya, ani nie głosił lewicowych poglądów. Podobnie jak jego asystent, Carlos Pachamé, Bilardo był zwolennikiem twardej wersji futbolu, w której dozwolone jest wszystko, co pomaga w zwycięstwie. Razem z Pachamé poznawali piłkę nożną, grając w Estudiantes, drużynie, która wygrywała mistrzostwa Argentyny w latach sześćdziesiątych i nawet za granicą znana była z nieczystej gry. Spotkanie z Manchester United upamiętniło się tym, że Bilardo głową uderzył w twarz Nobby’ego Stilesa, a efektem kopnięcia Pachamé było otwarte złamanie nogi Bobby’ego Charltona.

Niemniej jednak jako lekarz z wykształcenia, Bilardo korzystał też z wiedzy naukowej i strategię na każdy mecz i wszystkie treningi starannie planował na podstawie dokładnej obserwacji graczy własnych i przeciwnika. Futbol w jego wydaniu był eklektyczny. Maradona był dla niego zawodnikiem, który umykał wszelkim wzorcom i regułom, niezwykłym talentem domagającym się na boisku starannie odmierzonej mieszanki dyscypliny taktycznej i kreatywnej swobody.

Bilardo był sąsiadem Francisa Cornejo, skauta Argentinos Juniors, który kiedyś odkrył Maradonę. Obserwował chłopaka, gdy dawał popisy swych umiejętności w przerwach ligowych meczów, a potem jako działacz argentyńskiej federacji przyglądał się jego dalszej karierze. Kiedy w 1983 roku Bilardo został powołany na następcę Menottiego, przeprowadził konsultacje z najbardziej znanymi graczami, zanim przyleciał do Barcelony z propozycją, aby Maradona został kapitanem drużyny.

Posunięcie to skrytykowała hiszpańska prasa, uważając, że nie należy dodatkowo obciążać zawodnika, którego stosunki z klubem zaczynały już być konfliktowe. Bilardo był pewien swego.

Rozmawiałem z nim u niego w domu przez pięć godzin, aż do jakiejś trzeciej nad ranem. Była też z nami jego matka – wspomina. – Wyjaśniłem mu, jak widzę grę drużyny, a on był wyraźnie zachwycony, pełen entuzjazmu... Miałem przed sobą znakomitego gracza, który mógł zostać najlepszym piłkarzem na świecie... Od pierwszej chwili nosiłem się z myślą, że dobrze byłoby mieć w nim kapitana mojej drużyny. Dokonując tego wyboru, odwoływałem się do całej swej wiedzy jako lekarza, piłkarza, trenera. Wiedziałem, że z czasem ta funkcja stanie się dla niego prawdziwym wyzwaniem. Czulem także, że decyzję tę poprą inni gracze. On był najlepszy, da innym przykład i w ten sposób będę mógł budować zespół wokół niego.

Bilardo od samego początku przystał na specjalny status Maradony w drużynie. O ile inni zawodnicy podlegali temu samemu programowi treningowemu, a także wspólnym zasadom regulującym porę spania, wstawania, a nawet spędzanie czasu wolnego, o tyle Maradonie wolno było mieć prywatnego trenera, Fernando Signoriniego, osobistego masażystę, Victora Galindesa, a także postępować w sposób w jego zdaniem konieczny do zapewniania mu spokoju ducha.

Od samego początku wiedziałem, że on musi podlegać innym regułom – opowiadał mi Bilardo. – Powiedziałem sobie: Z jednej strony jest Maradona, z drugiej – reszta drużyny.

Signorini i Galindes uosabiali wewnętrzne sprzeczności w samym Maradonie. Signorini był dobrodusznym ekstrawertykiem, który nigdy nie tracił kontaktu z rzeczywistością. Większość zawodowego życia spędziwszy poza Argentyną, był mniej od reszty „klanu” Maradony skłonny wszędzie węszyć intrygę. Nie stracił nic z młodzieńczej żywotności, którą demonstrował na kortach w Barcelonie, a zarazem był rozważny, pełen wewnętrznej dyscypliny; nieustannie, nawet wtedy, gdy wydawało się to skazane na porażkę, usiłował przekonać Maradonę do korzyści płynących z jednoczesnego zdrowia fizycznego i psychicznego.

Galindes natomiast ucieleśniał bardziej mroczne aspekty osobowości Maradony. Podobnie jak Diego, pochodził z ubogiej rodziny i był jednym z tych zabranych do Barcelony przyjaciół, którzy niemal natychmiast zrazili do siebie miejscowych. Jego umiejętności zawodowe mniej się liczyły od lojalności i poglądów na świat, których Maradona nigdy do końca się nie pozbył. Kwalifikacje Galindesa jako masażysty mogą budzić wątpliwości, skoro przed meczem zajmował się głównie przenoszeniem sprzętu i strojów, a także oddawaniem czci Matce Bożej z Luján, świętej patronce Argentyny. Mniej w tym było pobożności, a więcej przesądnej wiary, że magię można zaprząć do zwycięstwa na boisku. Jeśli Galindes nie modlił się ani nie wyliczał szczęśliwych liczb, zachrypniętym głosem wypowiadał się na różne tematy, używając niecenzuralnego języka slumsów. W Barcelonie to on umacniał poczucie wyobcowania Maradony, oskarżając Katalończyków o rasizm wobec ludzi z Argentyny. On też lepiej się chyba czuł w Neapolu i Meksyku niż w Hiszpanii.

Dając Maradonie swobodę wyboru osób, które miały się nim opiekować, Bilardo także z pewnością wyrozumiałością podchodził do jego pomysłów na spędzanie wolnego czasu. Diego swobodnie mógł się widywać z rodziną; podczas gdy inni zawodnicy najpóźniej o północy musieli się znaleźć w łóżkach, jako rzecz oczywistą traktowano to, że Maradona udawał się na spoczynek ostatni. Bilardo, który sam w trakcie studiów medycznych przywykł do nocnego przesiadywania, niekiedy rozmawiał z nim aż do drugiej, trzeciej w nocy.

A było o czym rozmawiać. Problemy z kontuzjami, które przytrafiały się Maradonie od samego początku kariery, nasiliły się w Barcelonie i miały też stać się zmurą w Neapolu. Jego organizm odczuwał efekty zabójczego cyklu: ból, znieczulenie, ponowny, jeszcze większy, ból; ból zawiniony przez lekarzy, którzy woleli sięgać po środki chemiczne czy psychoterapię, niż zdecydować się na operację, która oznaczałaby dłuższą przerwę w występach. Krępe, muskularne ciało przesycone było kortyzonem i środkami znieczulającymi, kostka zdemolowana przez „Rzeźnika z Bilbao” nadal trzymała się na śrubach. W Neapolu po każdym meczu siniała i pojawiał się stan zapalny.

Przed wyjazdem do Meksyku Maradona został wysłany do Rzymu do doktora Dalmonte z Włoskiego Komitetu Olimpijskiego; lekarz miał zbadać, czy w jego krwi nie ma śladów jakichś zakazanych substancji, co wyglądało dość zabawnie, jeśli wziąć pod uwagę brak energicznych działań

władz wobec pleniącego się we Włoszech dopingu. Innych zawodników poddali podobnym testom argentyńscy lekarze; wieść głosi, że wyniki były pozytywne, ale nigdy nie przekazano ich FIFA.

Nie ma żadnych dowodów na to, że podczas meksykańskich mistrzostw Maradona przyjmował jakieś niedozwolone substancje, aby lepiej grać. Od jednej z osób związanych z FIFA dowiedziałem się, że w trakcie rozgrywek trzy razy go kontrolowano, ponieważ jednak wyniki były negatywne, nie informowano o tym publicznie. Tak czy owak, nie ulega wątpliwości, że świat narkotyków i podejrzanych środków pukał do drzwi reprezentacji Argentyny. *Barras bravas*, argentyńscy zorganizowani chuligani, zostali zatrzymani i aresztowani, gdy oferowali członkom drużyny regularne dostawy kokainy. Nie jest jasne, czy Maradona był w to jakoś wplątany, jest natomiast oczywiste, że lekarze i działacze doszli do porozumienia, że musi grać za wszelką cenę, jakkolwiek miałyby się to odbić na jego dalszym zdrowiu. On sam ponosi tu część winy, tak bardzo bowiem pragnął zwycięstwa, że zgadzał się na traktowanie, któremu inny zawodnik by się sprzeciwił.

Przed rozpoczęciem rozgrywek nieprzerwanie otrzymywał zastrzyki, a podczas meczu jeden but był wyraźnie większy od drugiego, tak bardzo puchła kostka. Ekipą opiekował się od strony medycznej doktor Madero; do grupy jego współpracowników należał przez pewien czas lekarz oskarżony o podawanie sterydów gwarantujących nienaturalnie szybki przyrost mięśni. Bilardo – przypomnijmy: lekarz z wykształcenia – nie odczuwa wyrzutów sumienia w związku z tym, jak wykorzystywano Maradonę.

Było bardzo ważne – wspomina – żeby grał, chciałem go mieć na boisku niezależnie od tych czy innych dolegliwości. Uważałem, że jeśli może chodzić i biegać, jeśli jest w stanie zapanować nad bólem, powinien grać.

**WEDŁUG ZGODNEJ OPINII EKSPERTÓW**, od roku 1982 talent Maradony jeszcze bardziej się rozwinął. Gra poza Argentyną nauczyła go innego podejścia, zorientował się w specyficznych umiejętnościach europejskich zawodników i taktyce stosowanej przez ich drużyny. Dojrzał jako piłkarz. W Barcelonie bywało różnie, ale podczas dwóch pierwszych sezonów w FC Napoli odzyskał energię i zapał do gry. Funkcja kapitana dała mu to poczucie pewności siebie, którego potrzebował, aby nie poddać się problemom osobistym. Osiągnięcia argentyńskiej drużyny od czasu, gdy w 1983 zaczął ją trenować Bilardo, nie były zbyt olśniewające: trzynaście wygranych w trzydziestu czterech spotkaniach międzynarodowych. Ogromnie wiele zależało od umiejętności Maradony, których szczególny popis dał podczas meczu eliminacyjnego z Kolumbią. Odbывał się w atmosferze wrogości, jak zwykle gdy spotykały się te dwie drużyny. Kibice obu ekip wyzywali nawzajem siebie i zawodników przeciwnika, na boisko leciały różne przedmioty. W pewnej chwili ktoś cisnął pomarańczą w Maradonę, a ten, zauważywszy nadlatujący owoc, zastopował go lewą stopą, przerzucił na prawą, powtórzył to kilka razy i na koniec odkopnął z wielką siłą na trybunę. Nic nie stracił ze swych zdolności od czasu, gdy po raz pierwszy prezentował żonglerkę pomarańczą przed kamerami.

Bilardo dobrze wiedział, że losy drużyny i jego własne w ogromnej mierze zależą od Maradony. Inni gracze, jak skrzydłowy Realu Madryt, Jorge Valdano, czy uprzedni kapitan, Daniel Passarella, w rozmowach z dziennikarzami dawali wyraz obawom, że znakomitość jednego zawodnika może nie zrównoważyć słabości drużyny. Valdano, podobnie podchodzący do futbolu jak Menotti, z trudnością adaptował się do pragmatyzmu Carlosa Bilardo, a w słowach Passarelli można było się dosłuchać nutek zazdrości. Valdano wprawdzie podziwiał Maradonę i przyjaźnił się z nim, dobrze jednak rozumiał, jak ryzykowne jest uzależnienie całego zespołu od jednego jedyne go zawodnika. Z Maradoną Argentyna mogła ubiegać się o finał. Bez niego opracowana przez trenera taktyka 4-3-3 musiałaby się rozpaść niczym domek z kart.

Jak bywało już wcześniej, to dawny reprezentant Argentyny, Ossie Ardiles, musiał wystąpić w roli dyplomaty i rozwiewać wszelkie wątpliwości, jakie mogły się pojawiać w związku z Maradoną. „Gdybym miał postawić wszystkie pieniądze na tylko jednego gracza, byłby to Diego Maradona”, powiedział w przeddzień rozpoczęcia turnieju brytyjskiemu dziennikarzowi Johnowi Motsonowi.

Ardiles miał rację. To prawda, że tacy piłkarze jak Valdano czy José Luis Brown, który zastąpił Passarellę na środku obrony, przyczynili się do tego, że Argentyna grała znacznie lepiej niż w eliminacjach, ale niekwestionowaną gwiazdą nie tylko tej drużyny, lecz także całych mistrzostw był Maradona. Oto co pisał o nim w „Observerze” Hugh McIlvanney przed finałowym meczem z ekipą RFN:

Nigdy w trakcie pięćdziesięcioletniej historii piłkarskich mistrzostw świata talent jednego gracza nie zdominował w takim stopniu całego turnieju. Nie stręci się wszystkiego w jednym zdaniu, że obecnie jest po prostu najlepszym i najbardziej ekscytującym graczem. Od samego początku wszystkie jego poczynania na boisku są zarazem publiczną deklaracją, że upatrzył sobie stadion Azteca na miejsce, gdzie da popis swego geniuszu.



## FALKLANDY: ODSŁONA DRUGA

NA DŁUGO PO ZAKOŃCZENIU mistrzostw świata w 1986 roku w pamięci milionów kibiców zachował się obraz dramatycznego i budzącego zaciekle kontrowersje meczu ćwierćfinałowego, który Argentyna rozegrała z Anglią. Jeśli nie liczyć sławetnego meczu między Salwadorem i Hondurasem, który dał początek wojnie między obu krajami w roku 1969, żadnemu innemu meczowi międzypaństwowemu nie towarzyszyło tyle politycznych podtekstów i napięć. Kiedy cztery lata wcześniej Maradona został wyrzucony z boiska, było to jakby odzwierciedleniem upokorzenia, jakim stała się dla Argentyny wojna o Falklandy. Po czterech latach konfrontację na boisku poprzedziło podbijanie bębienka po obu stronach. Brytyjskie gazety z zapalem starały się odmalować reprezentację piłkarską Anglii jako cywilną wersję sił specjalnych. *Meksyk w stan pogotowia stawia 5 tysięcy żołnierzy!*, krzyczał jeden z tytułów; *Argies – nadchodzimy!!!*, ostrzegał drugi. Ich argentyńskie odpowiedniki także nie pozostawały w tyle. Maradonę porównywano z generałem José San Martínem, dziewiętnastowiecznym bohaterem, który dopomógł ojczyźnie wyzwolić się z kolonialnych kajdan. *Dopadniemy was, piraci*, groził nagłówek w populistycznej „Crónica”. Grupy *barras bravas* wsiadały do samolotów lecących z Buenos Aires do Mexico City, przysięgając, że pomszczą śmierć braci na Malwinach, i demonstracyjnie paląc brytyjskie flagi.

W rozmowie z argentyńskimi dziennikarzami Valdano uznał mecz z Anglią za fragment dialektycznego procesu wyzwiania się z kolonialistycznego uzależnienia. Ekstrawertyczny bramkarz, Nery Pumpido, mniej troszczył się o subtelności filozoficzne, deklarując bezceremonialnie: „Wygrana z Anglią będzie podwójnie radosna, bo odpłacimy się za to wszystko, co stało się na Malwinach”. Prywatnie Maradona dawał wyraz uczuciom bardzo podobnym do tych żywionych przez *barras bravas* i podobnie jak większość rodaków skłonny był wszystkich Anglików uważać za aroganckich kolonialistycznych uzurpatorów, taki bowiem ich portret kreśliły argentyńskie podręczniki szkolne. Prawdopodobnie te uczucia jeszcze bardziej wzmagaly w nim pragnienie pokonania Anglików na boisku, warto jednak podkreślić, że w trakcie przygotowań do spotkania zachowywał takie emocje tylko dla siebie i bardzo konsekwentnie nie dawał się wciągnąć we wrzawę rozpetaną przez media.

W Anglii kibice Tottenham Hotspur mogli kilka tygodni wcześniej oglądać nowego Maradonę, gdy wziął udział w meczu pożegnalnym Ossiego Ardilesa na White Hart Lane. (Maradona wystąpił w tym spotkaniu z użyczonym przez Glenna Hoddle’a numerem 10. Zespół z Londynu wygrał 2:1). Wśród graczy, którzy wraz z Argentyńczykami wystąpili przeciw Interowi Mediolan, znalazł się przyszły trener reprezentacji Anglii, Glenn Hoddle, który potem będzie z wielką przyjemnością wspominał to spotkanie. I Maradona, i Ardiles zostali powitani przez fanów Spursów huraganowymi brawami. Maradona nie pokazał może wszystkich swych możliwości, ale to, co zrobił, i tak wystarczyło, by upewnić Hoddle’a i tysiące widzów w przekonaniu, że mają do czynienia z „małym, krępyim geniuszem”. Z kolei Maradona zaskoczony był umiejętnościami Hoddle’a, który jako dzieciak uważnie podpatrywał w telewizji sztuczki Brazylijczyków, a podczas gry demonstrował wyobraźnię i inwencję, których według wielu ludzi brakowało w grze Anglików. Od tego czasu Hoddle dołączył w oczach Maradony do Platta, Keegana, Venablesa i Gascoigne’a, czyli tych piłkarzy z Wielkiej Brytanii, których trzeba traktować z szacunkiem.

Ale kolejne boiskowe spotkanie Maradony i Hoddle’a rozgrywało się już w zupełnie innej atmosferze: uruchomiono bardzo silne emocje, wydawało się, że do zdobycia lub przegrania jest wszystko. Hoddle doceniał to, że Maradona nie dał się wciągnąć w tę grę i nie wypierał się znajomych. Kiedy obie drużyny czekały w tunelu, aż sędziowie wprowadzą je na boisko, Maradona

spojrzał w oczy Hoddle'owi, uśmiechnął się i życzliwym gestem uniósł kciuk. Na jednej z konferencji przed spotkaniem z Anglią oświadczył wyraźnie: „Kiedy wychodzimy na stadion, liczy się piłka, a nie to, kto wygrał wojnę”. A Johnowi Carlinowi z londyńskiego „Timesa” powiedział: „Posłuchaj, gram w piłkę, a na polityce zupełnie się nie znam. Rozumiesz: zupełnie”.



*Maradona i Glenn Hoddle, mecz towarzyski Tottenham–Inter, pożegnanie Ossiego Ardilesa, maj 1986 r.*

Ludzie mediów nie wiedzieli wówczas, w jak wielkim stopniu dyplomacja splotła się ze sportem w czasie poprzedzającym mecz. Doszło do poufnego spotkania ambasadorów obu krajów, prezydent Argentyny, Raul Alfonsín, rozmawiał przez telefon z trenerem reprezentacji; ostatecznie i Bilardo, i trenujący Anglików Bobby Robson zgodzili się, że zrobią wszystko, aby oddzielić politykę od piłkarskiej rywalizacji. Kiedy konfrontacja obu drużyn stawała się coraz bardziej prawdopodobna, Bilardo bardzo stanowczo zabronił Maradonie jako kapitanowi, a także wszystkim innym zawodnikom, udzielania prasie jakichkolwiek wypowiedzi, które mogłyby podburzyć jednych lub drugich kibiców.

Zebrałem chłopaków – wspomina Bilardo – i powiedziałem: „Señores, to są mistrzostwa świata w piłce nożnej. Jeśli ktokolwiek spyta was o stosunki argentyńsko-angielskie, macie mówić tylko i wyłącznie o piłce”. Wiedziałem, że wszyscy żywo pamiętają jeszcze Malwinę, ale za nic nie chciałem dopuścić do atmosfery rewanzu.

Bobby Robson przyjął podobną postawę, a w swym pamiętniku zapisał:

Mogłem starannie unikać jakichkolwiek aluzji politycznych, ale przecież nie mogłem unieważnić faktu, że przed czterema laty prowadziliśmy wojnę z Argentyną. Zebrałem więc zawodników i powiedziałem im, że nie mogą dać się wciągnąć w żadne polityczne gierki, co, rzecz jasna, dotyczyło również mnie. Przyjechalśmy grać w piłkę, a ja byłem trenerem, a nie politykiem.

Robson był przekonany, że może liczyć na swoich graczy, natomiast obawiał się, że dobrze – jak na razie – sprawujący się Brytyjczycy, sprowokowani przez argentyńskich kibiców, urządzą awantury na oczach widzów z całego świata.

Do meczu z Anglikami Maradona przystępował z mniejszą niż dotąd obawą o poziom sędziowania. W Hiszpanii, zarówno podczas mistrzostw świata, jak i potem podczas występów w Barcelonie, źli sędziowie często właściwie uniemożliwiali mu grę, tolerując rozmyślne faule, koncentrując się natomiast na teatralnych skłonnościach Diega, czy to padającego z rozmachem większym, niż usprawiedliwiałaby to sytuacja, czy to wyrazistymi gestami dającego upust niezadowoleniu. Gdy ponosił go temperament, bo przeciwnicy na wszelkie możliwe sposoby nie pozwalali mu wykorzystać talentu, do frustracji dołączały się sędziowskie upomnienia. Tymczasem w Meksyku sędziowie bardziej byli skłonni chronić go przed brutalnymi zagraniami, dzięki czemu więcej mógł myśleć o grze, a mniej o wyrównywaniu rachunków. Bardzo korzystne było też to, że w przeciwieństwie do Menottiego w 1982 roku, Bilardo nie wydawał Maradonie żadnych ścisłych dyspozycji. Diego mógł więc swoje zachowania na boisku dostosowywać do aktualnej sytuacji. Po meczu z Urugwajem Ron Greenwood, były trener Anglików, powiedział:

Pełno go było na boisku, wydawało się, że uczestniczy we wszystkim... Kopali go, szarpali, ale on nie wdawał się w przepychanki, tylko robił swoje. No, synu, wyrazi prawdziwego uznania, pomyślałem.

W żadnym jednak meczu sędzia nie był tak przychylny dla Maradony jak w spotkaniu z Anglią. W kategoriach czysto piłkarskich, odartych z akcentów politycznych, miało to być starcie nie tyle dwóch krajów czy reprezentacji, ile dwóch znakomitych zawodników: Maradony i angielskiego bramkarza Petera Shiltona. W swych drużynach mieli niemal identyczny status. Podczas gdy Argentyńczycy uzależniali sukces od ofensywnych zdolności Maradony, to wielu angielskich komentatorów było zdania, że szanse Anglii są nierozzerwalnie związane z tym, na ile Shiltonowi uda się obrona bramki. Robson zadbał o to, aby Shilton miał przed sobą ruchomy mur czterech graczy, którzy będą w stanie powstrzymać tego jedynego przeciwnika, którego się lękali. Na przedmeczowej odprawie Robson upominał zawodników, by ani na chwilę nie tracili z oka Maradony, ponieważ ten sam jeden w ciągu pięciu minut może odmienić losy meczu, ale też by nie wpadali w panikę. *Przez cały czas ktoś musi być koło niego* – pisał w swym dzienniku. – *Czwórka stale z tyłu, żadnych zrywów, szaleńczych ataków*. Bilardo nie był pewien, czy inni zawodnicy będą potrafili wspomóc Maradonę, Robson swoich był pewien, a oni też mieli do siebie zaufanie. Ostatnie dwa mecze Anglia wygrała różnicą trzech goli; przez cztery lata prowadzenia drużyny przez Robsona nigdy nie wygrywała tak wysoko. *Nie byłem chciwy* – pisał Robson. – *Teraz wystarczyłby jeden gol*.

Pierwsza połowa nie była specjalnie dramatyczna; Argentyńczycy bez trudu dawali sobie radę z długimi przerzutami. Maradona mógł oszczędzać siły, a Hoddle i Peter Reid w środku pola przyglądali się tylko piłce przelatującej im nad głowami, podczas gdy obaj napastnicy, Gary Lineker i Peter Beardsley, bezradnie odbijali się od muru obrony przeciwnika. Pierwszy faul w meczu popełnił w dziesiątej minucie Terry Fenwick i natychmiast został ukarany żółtą kartką przez sędziego z Tunezji, Alego Bennaceura, co miało wpłynąć na późniejszą grę Anglików. Tunezyjczyk uchodził wprawdzie za jednego z najlepszych sędziów afrykańskich, Robson jednak od samego początku obawiał się, że Bennaceur może faworyzować Argentyńczyków.

Pięć minut po rozpoczęciu drugiej połowy, przy stanie bezbramkowym, potwierdziły się najgorsze przypuszczenia Robsona. Atak rozpoczął Maradona, minął kilku graczy i niezbyt celnie zacentrował

do Valdano. W powstałym zamieszaniu Steve Hodge posłał lobem piłkę w kierunku Shiltona. Wystartował do niej również Maradona; minęli się, w powietrzu mignęły ręce, piłka wpadła do siatki. Maradona, nie czekając na decyzję sędziego, rzucił się rozradowany w kierunku kolegów, z kolei Shilton i reszta drużyny sygnalizowali zagranie ręką. Angielski bramkarz wybiegł poza pole karne, protestując przeciw uznaniu bramki, co jak na niego było zachowaniem niezwykłym. Sędziowie główny i liniowy zgadzali się, że gol został zdobyty prawidłowo. Dla stanu rywalizacji argentyńsko-angielskiej tylko to się liczyło.

Cztery minuty później Maradona strzelił drugiego gola, który, w przeciwieństwie do pierwszego, zapisał się w kronikach piłki nożnej jako jeden z najpiękniejszych. Była to bramka, jak napisał Brian Glanville:

...tak niezwykła, tak romantyczna, że prędzej należałoby się jej spodziewać na szkolnym boisku, gdzie nie panuje żelazna dyscyplina taktyczna, czy w czasach, gdy drybling był jeszcze w modzie. Nie pasowała do dzisiejszych racjonalnych i wyrachowanych czasów, gdy drybler jest kimś równie archaicznym jak pterodaktyl.

Maradona przejął piłkę na własnej połowie i prowadząc ją przy nodze tak, jakby była przyklejona, pobiegł w kierunku angielskiej bramki, lekko i zwinnie wykonując manewry slalomisty. „Kiedy dostałem piłkę na prawym skrzydle – opowiadał później – i zobaczyłem, że Peter Reid nie zdąży mi przeszkodzić, poczułem straszną chęć, żeby biec przed siebie, bo nikt mnie nie zatrzyma”.



Zwodem w lewo łatwo pokonał Gary’ego Stevensa, kolejny zwód tak zmylił Terry’ego Butchera, że ten skoczył w złym kierunku, bardziej przypominając zabłąkaną owcę niż obrońcę o międzynarodowej sławie. Teraz Maradonę chciał zaatakować Fenwick, ale na chwilę się zawahał, bo miał już żółtą kartkę i obawiał się, że gdyby przewrócił Argentyńczyka, mógłby wylecieć z boiska. „Nie mógł zrobić wślizgu, byłem za bardzo rozpędzony”, mówił później Maradona. Minąwszy Fenwicka i ani na chwilę nie straciwszy kontroli nad piłką, zerknął, jak ustawiony jest Shilton. Bramkarz kołysał się niespokojnie, usiłując zgadnąć, co dalej zrobi przeciwnik, ten biegł więc nadal, zwlekając ze strzałem do ostatniej chwili. Z tyłu raz jeszcze spróbował Butcher, z rozmysłem usiłując złapać Maradonę, ale i to mu się nie udało. Diego odzyskał równowagę, przerzucił piłkę z prawej nogi na lewą i jakby od niechcienia posłał ją obok Shiltona do bramki.

Tym razem Anglicy mogli tylko z podziwem kręcić głowami.

To nie był brak dyscypliny taktycznej z naszej strony, nie popełniliśmy żadnego błędu – wspominał Robson. – Po prostu jeden genialny gracz przedarł się przez połowę naszej drużyny i strzelił najpiękniejszą bramkę w całym turnieju.

Dla kolegów z drużyny popis Maradony był potwierdzeniem jego szczególnego statusu nie tylko w reprezentacji, ale w ogóle w światowej piłce nożnej. Pomocnik Valdano był chyba najlepiej ustawiony, żeby pomóc Maradonie zamienić jego indywidualną szarżę w zespołowy wyczyn. Zaczął biec z własnej połowy, usiłując nadążyć za kolegą, ale zaraz zorientował się, że w tej akcji nie ma dla niego miejsca.

Z początku usiłowałem dotrzymać mu kroku, żeby nie zostawić go sam na sam z przeciwnikami, ale potem zrozumiałem, że po prostu jestem jednym z widzów – opowiadał Valdano. – Do niczego nie mogłem się przydać, to był jego gol, bez związku z resztą drużyny, własny wyczyn Diega, który można było tylko podziwiać.

Anglia strzeliła potem wprawdzie gola, ale przegrała 2:1.

Po meczu angielscy komentatorzy skoncentrowali się przede wszystkim na pierwszej bramce. Nie mieli żadnych wątpliwości, że piłka została zagrana ręką, bramka zatem nie powinna być uznana. Obaj angielscy gracze, którzy znaleźli się najbliżej zdarzenia, Shilton i Hoddle, absolutnie przekonani o wykroczeniu Maradony, próbowali interweniować u sędziego.

Niektórzy z zawodników mówili mi później, że nie widzieli dokładnie zdarzenia, i dopiero powtórki w telewizji pozwoliły im zobaczyć, co się stało – pisał później Hoddle w autobiografii *Spurred to Success*. – Ja jednak spostrzegłem wyraźnie, jak ręka Maradony idzie w górę i uderza piłkę. Muszę przyznać, że chyttrze to zamaskował, bo jednocześnie wykonał ruch głową, jak przy strzale, ale mnie nie zmylił. Takie zagrywki nie przechodzą nawet na podwórku.

Także Shilton czuł się oszukany; był przekonany, że tylko używając ręki, Maradona mógł go pokonać.

Terry Butcher należał do tych, którzy dopiero potem w telewizji mogli ocenić, jak się rzeczy miały, na boisku bowiem zasłoniła mu widok – podobnie jak sędziemu – głowa Maradony. „Kiedy podczas meczu spytałem go, czy zagrał ręką, uśmiechnął się i pokazał na głowę”, opowiadał Butcher.

Wszyscy Argentyńczycy byli zbyt daleko, aby ocenić sytuację, ale euforia spowodowana bramką nie zostawiała miejsca na wątpliwości. Tak czy owak, Bilardo nigdy nie wypowiadał się z taką stanowczością jak Bobby Robson, który i zaraz po meczu, i lata po nim zdecydowanie utrzymywał, że Maradona strzelił bramkę ręką. Podobnych wątpliwości nie miał zresztą nikt w obozie angielskim. W przygotowywanym w roku 1995 dla brytyjskiej telewizji filmie o Maradonie Robson mówił:

Od razu wiedziałem, że zagrał ręką, o nic więc się nie bałem, ale po chwili zobaczyłem, że wszyscy, włącznie z sędzią głównym i liniowym, biegną w kierunku linii środkowej, więc pomyślałem: Cholera, nie zauważyli. I dopiero w następnej chwili dotarło do mnie: bramka uznana, przegrywamy jeden do zera.

W chwili gdy piłka znalazła się w siatce, Bilardo zerwał się z ławki z okrzykiem „Gol!”. Jak mówi, on i Robson byli jakieś sześćdziesiąt metrów od angielskiej bramki i mogli się orientować tylko po reakcjach zawodników. Od kilku z nich usłyszał, że być może była ręka, obejrzał więc całą scenę na wideo, ale nie rozstrzygnął wątpliwości.

W chwili strzału wydawało mi się, że wszystko było w porządku. Potem obejrzałem powtórki i zacząłem się zastanawiać. Ujmijmy to w ten sposób: nie mówię „Tak”, nie mówię „Nie”; nigdy nie kwestionuję sędziowskich decyzji.

W jakimś sensie ten gol był po prostu produktem skomercjalizowanego futbolu, w którym zasady fair play zostają wyparte przez dążenie do sukcesu za wszelką cenę. Stanley Lover w *Soccer Match Control* (Kontrola meczu piłki nożnej), książce wydanej w okresie mistrzostw świata w Meksyku, napisał, że w futbolu oszustwo stało się elementem strategii i nie powoduje moralnych skrupułów. Należy przechytrzyć sędziego, a wstydlive jest tylko to, że się zostało na tym schwytanym. Oszustwo zagościło w piłce nożnej w sposób równie oczywisty jak sponsorowanie. Nawet Hoddle, któremu „chciało się od tego rzygać”, pretensje miał nie tyle do Maradony, ile do sędziów – głównego i liniowego – że nie dostrzegli wykroczenia (zwłaszcza ten drugi powinien był zauważyć). Ze strony rodaków Maradona nie tylko nie spotkał się z potępieniem, lecz także jego gol wywołał powszechny aplauz, warto bowiem pamiętać, że Argentyńcy zawsze mieli własny pogląd na to, co w grze uchodzi za przyzwoite, a co nie. A ponieważ bramka została uzyskana w meczu z Anglikami, tym bardziej potraktowano ją jako dowód *viveza*, cnoty chytrkości cieszącej się w Argentynie szczególnym uznaniem.

Nie ulega wątpliwości, że oszustwo zamieszkało na piłkarskich boiskach, a gracze starają się zdobywać bramki na wszelkie możliwe sposoby. Dobry sędzia potrafi odróżnić przewinienie od udawania, zły albo na zbyt wiele pozwala, albo jest zbyt rygorystyczny. Pierwsza bramka w meczu z Anglią na pewno wynikała ze zbytnej tolerancji. Hoddle napisze potem w autobiografii:

Każdy zawodnik ma w trakcie kariery moment, gdy wyciągnie rękę, aby zatrzymać piłkę czy strzelić gola, a robi to bardziej w ferworze walki niż z chęci oszustwa. Tyle że niewielu uchodzi to na sucho.

Bramka Maradony ma w sobie jednak coś symbolicznego. Gdyby przytrafiła się komuś innemu, najpewniej dawno by już o niej zapomniano. W jego przypadku chodziło o połączenie geniuszu z małością. Ani podczas meczu, ani zaraz po nim, ani kiedykolwiek później Maradona nie przyznał się do wykroczenia. Powiedział, że była to „ręka Boga”, przyznając, że użył dłoni, zrobił to jednak za Bożym przyzwoleniem i dlatego nie został ukarany. Wszyscy koledzy z drużyny, na czele z Valdano, uznali, że oba gole były efektem indywidualnego talentu, który był poza ich zasięgiem; także ich postawa umacniała Maradonę w przekonaniu o czuwającej nad nim opatrności.

W kontekście jego życia nietrudno zauważyć, jak oba gole strzelone Anglii w Meksyku tego czerwcowego dnia wyrastają z tej samej osobowości. Z jednej strony widzimy ulicznika, który stał się gwiazdą, a na tyle jest niepewny siebie, że czuje potrzebę oszustwa. Z drugiej – widzimy niezwykle utalentowanego gracza, którego przyspieszenie, panowanie nad piłką, siła i precyzja czynią na boisku niezrównanym. W Meksyku niski, krępy Maradona był dostatecznie zwinny i szybki, aby umknąć przeciwnikom; jego wyobraźnia i zdolności improwizatorskie zaowocowały dwiema bramkami, chociaż w całym meczu nie stworzył zbyt wielu okazji dla partnerów. Gorszi zawodnicy grają ręką, ponieważ nie mają wyboru. Tragedia Maradony kryje się w przekonaniu, że musiał tak zrobić, i w szukaniu później dla tego usprawiedliwień, chociaż sam pokazał, że z równym powodzeniem może oprzeć się tylko na swym talencie.

**MIMO ŻE DLA NIEKTÓRYCH** MISTRZOSTWA Świata w 1986 roku rzuciły cień na wizerunek Maradony, to w oczach wielu ludzi ostatecznie potwierdziły, że jest najlepszym piłkarzem na świecie. Finałowy mecz z drużyną Niemiec Zachodnich, wygrany przez Argentynę 3:2, nie był taką mieszanką elementów czy to wątpliwych, czy też wspaniałych, a dla Maradony przebiegał pod znakiem nieustannej walki z niemieckim pomocnikiem Lotharem Matthäusem, w której sprawność i opanowanie Argentyńczyka wzięły górę nad twardością i nieustępliwością Niemca. Ostatecznie to akcja Maradony zadecydowała o końcowym wyniku: celne podanie trafiło do pomocnika Jorge Burruchagi, który zdobył decydującego gola.



*Maradona z Pucharem Świata, Meksyk, 1986 r.*

Było to właściwe zakończenie turnieju, który ukazał, jak Maradona dojrzał jako piłkarz od roku 1982, gdy zaczął grać w europejskich klubach. Kiedy przybywał do Meksyku, jego życie osobiste było w strzępach, drużyna w nieładzie, a przecież był świadom, że przyjdzie mu wystawić na najtrudniejszą próbę sławę, którą się cieszył. Słabsza osobowość nie wytrzymałaby takich napięć, a tymczasem Maradona potrafił dać pozytywny upust wewnętrznemu ciśnieniu. Poza boiskiem pobierał lekcje antykapitalistyczne od kolegi o socjalistycznych skłonnościach, Jorge Valdano, a potem nie wahał się zaatakować João Havelange'a. Władzom piłkarskim miał za złe, że zmuszają zawodników do gry w upalnym słońcu tylko po to, aby dostosować się do wymogów światowych sieci telewizyjnych. Postępując tak, Maradona ani przez chwilę nie zastanawiał się nad własnym udziałem w komercjalizacji futbolu, lecz nie musiał tego robić. W Meksyku udało mu się pozyskać emocje fanów z Trzeciego Świata, którzy identyfikowali się z nim rasowo i społecznie. Na stadionie Azteca narodziła się meksykańska fala, będąca wyrazem radości i wigoru powracających po trzęsieniu ziemi; można powiedzieć, że dzięki magii, jaką roztaczał na boisku, Maradona wznosił się na szczycie tej fali.

Trudno było teraz wątpić w jego walory jako gracza. Nieprzewidywalny, nastrojowy, egoistyczny Maradona, z Hiszpanii roku 1982, w Meksyku nie tylko potrafił zrobić użytek ze swego gigantycznego talentu, ale umiał też współpracować z innymi. Bywały takie sytuacje, jak w meczu z Anglią, gdy właściwie grał sam z przeciwnikami, lecz bywały też liczne inne, gdy demonstrował precyzję zagrań z pierwszej piłki i niebywałą dokładność podań, siejących zniszczenie w defensywie rywala. Nie był przywiązany do jednej pozycji, poruszał się po całym boisku, a jego zrywy były szybkie jak błyskawica. W takich chwilach wznosił się ponad cały komercjalizm, ponad wszystkie czynniki pozasportowe i jak żaden inny piłkarz oddany był grze i tylko jej.



Nawet jeśli Havelange'a, jego przybocznego Josepha Blattera i całą resztę autokratycznych szefów FIFA irytowała postawa Maradony, musieli poważnie traktować jego niezwykłą popularność. Żadna z trzech niezależnie sporządzonych ocen meczu Anglia–Argentyna – włączonych do archiwów federacji – nie zawiera zastrzeżeń co do gry Maradony czy decyzji sędziego. Niewykluczone, że zgadzało się to z ogólną tendencją FIFA do zignorowania kontrowersji, która ostatecznie w niczym nie przeszkodziła komercyjalnemu sukcesowi mistrzostw. Cały występ Maradony – nie tylko w meczu z Anglikami – tak poruszył zbiorową wyobraźnię, że należało go traktować jako źródło poważnych zysków, czego działacze z Zurychu nie mogli w żaden sposób ignorować.

Maradona triumfalnie powrócił do Buenos Aires *via* Włochy. Sznury rozentuzjasmowanych kibiców ustawiły się wzdłuż drogi, którą kawalkada samochodów z mistrzami świata przejechała z lotniska do Casa Rosada, pałacu prezydenckiego, z którego balkonu zaprezentowano zgromadzonym tłumom Puchar Świata. Raul Alfonsín, który zwyciężył w wyborach rozpisanych po obaleniu wojskowych rządów w roku 1983, cieszył się już znacznie mniejszym poparciem, ponieważ nie udało mu się zahamować hiperinflacji. I znowu Maradona dawał się wykorzystywać politycznie, pozwalając prezydentowi stanąć na chwilę w glorii sukcesu. Od kwietnia 1982 roku, gdy generał Galtieri pojawił się na balkonie, aby obwieścić „historyczne” odzyskanie Las Malvinas, nigdy tytuł Argentyńczyków nie spoglądało tak radośnie na Casa Rosada.

Ale nawet ta euforia okazała się tylko błędą namiastką zbiorowej ekstazy, która opanowała Neapol wiosną roku 1987, gdy Maradona poprowadził FC Napoli do pierwszego w dziejach tytułu mistrzów Włoch. Przez sto lat istnienia klub odgrywał tak podrzędną rolę w krajowej lidze jak miasto, które reprezentował, w życiu Italii. W polityce i gospodarce Włoch zawsze dominowała północna część kraju; stamtąd pochodziły oba kluby mediolańskie, Milan i Inter, wydzierające sobie wraz z Juventusem mistrzostwo Włoch, chociaż czasami przychodziło je odstąpić Rzymowi. Dzięki Maradonie Neapol mógł się otrząsnąć z poczucia niższości i spojrzeć z góry na resztę Włoch przynajmniej w futbolu, którym zawsze żyły miliony rodzin. Dwudziesty czwarty maja 1987 roku to jedna z tych dat, których żaden neapolitańczyk nigdy nie zapomni. W dniu, kiedy FC Napoli sięgnęło po *scudetto* („mała tarcza” – popularne określenie mistrzostwa Włoch), w mieście niemal na tydzień nastął karnawał. Ludzie wylegli na ulice tak tłumnie i z takim entuzjazmem, że dało się to tylko porównać z dniem wyzwolenia przez aliantów podczas drugiej wojny światowej. Oto jak wspomina te chwile jeden z ich uczestników:

Tego dnia, gdy drużyna zdobyła *scudetto*, miasto zwariowało. Wszyscy uczestniczyli w radości, niezależnie od wieku i statusu, jak gdyby ziszcilo się wspólne marzenie.

Odprawiano szyderczo pogrzeby AC Milan i Juventusu; przez lata FC Napoli było drwiąco przedstawiane jako osioł; teraz neapolitańczycy przebrani za osły ciągnęli za ogon symbolizującego północ Włoch diabła. Maradona stał się zarazem królem i świętym. Na jego cześć nazywano ulice i potomków, zewsząd sypały się prośby, by zechciał zostać ojcem chrzestnym. Urodzony w biednym zaułku i ukoronowany sukcesem, był bardziej neapolitański niż rodowici neapolitańczycy. Gwiazdy wyraźnie mu sprzyjały.

## 17 POD WULKANEM

NAWET W CHWILACH SWYCH NAJWIĘKSZYCH osiągnięć Maradona był nieustannie wmieszany w nader podejrzane interesy. Kiedy w 1987 roku celebrowano w Neapolu zdobycie mistrzostwa kraju, rodzina Giuliano organizowała uliczne imprezy, rozdawała za darmo szampana i jedzenie. Camorra szykowała się na ten dzień od chwili przyjazdu Maradony, tak jak ich przodkowie szykowali się na zwycięstwo aliantów. W roku 1987 pozycja jej wodzów w życiu politycznym i ekonomicznym miasta była dostatecznie silna, aby wykorzystać *scudetto* do rozszerzenia władzy i wpływów.

Fakt, że stosunki Maradony z Neapolem nie są takie proste i niewinne, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać, uzmysłowiło grupie dziennikarzy to, co wydarzyło się wieczorem tego pamiętnego dnia. Po zakończeniu meczu decydującego o mistrzostwie – remis 1:1 z Fiorentiną na własnym boisku – zostali przez klubowych działaczy zaproszeni na prywatne przyjęcie wydane na cześć Maradony. Podano im adres, ale jednocześnie nie pozwolono pisać o szczegółach imprezy. Jednym z gości był Bruno Passarella, rzymski korespondent „El Gráfico”, potem z pasją opisujący świat, w który zaczynał się staczać Maradona. Tyle opowiedział o owym wieczorze, nie chcąc podawać żadnych dalszych szczegółów:

Wieczór ten Maradona spędził w Noli, jednej z miejscowości powstających wokół Neapolu niczym grzyby po deszczu. Nie sposób było się dowiedzieć, kto jest właścicielem domu, zabezpieczonego jak bunkier, z bramą zdalnie otwieraną, kamerami rozmieszczonymi po całym terenie i potężnymi mastiffami warującymi przed głównym wejściem. Przyjęcie było huczne, Moët et Chandon lał się niczym woda, serwowany w srebrzystych pucharach, na wielkim ekranie pokazywano gole Maradony, a na palcach wielu gości mieniły się klejnoty. Nieomylnie rozpoznawało się atmosferę nowobogactwa, szybko i łatwo zarobionych pieniędzy, wynoszących niektórych ludzi w Neapolu na szczyty nieoczekiwanego bogactwa. Kiedy z rana wracaliśmy do miasta, nikt z nas nie miał pojęcia, u kogo gościliśmy.

Wcześniej Maradona świętował w Buenos Aires zdobycie Pucharu Świata, a u jego boku pojawiła się znowu młodzieńcza miłość, Claudia Villafaña. Nie było to już owo dziewczę z początków kariery Diega, wstydliwie unikające obiektywów, ale nie była to też Claudia, która upokorzona zdradami, wyjechała z Neapolu. Teraz gotowa była zrobić wszystko, żeby na powrót zamieszkać w rozpościerającym się wokół Maradony świecie sławy. Ufarbowała włosy na jasny blond, dokonała chirurgicznej korekty nosa. Jej stroje w niczym nie przypominały już przedmieść Buenos Aires; były to kreacje gwiazdy chcącej uchodzić za symbol seksu.

Cztery tygodnie po finale mistrzostw świata wyjechali, aby spędzić szeroko rozreklamowany „romantyczny” urlop na jednej z polinezyjskich wysp. Maradona oznajmił, że obiecał to Claudii lata temu, dopiero jednak teraz mógł się wywiązać z przyrzeczenia. Argentyńskie media rozpisywały się o „miesiącu miodowym”, który miał piłkarzowi zrekompensować wstrzemięźliwość podczas turnieju.

Dopiero kiedy Maradona wrócił do Włoch, przeszłość zaczęła się domagać swoich praw. Dwudziestego września 1986 roku Cristiana Sinagra, jego dawna kochanka, urodziła syna, który otrzymał imiona Diego Armando. W wywiadzie dla państwowej telewizji włoskiej Cristiana stwierdziła, że dziecko zostało poczęte podczas jej czteromiesięcznego romansu z Maradoną, który trwał od grudnia 1985 roku do kwietnia roku następnego. Efekt tej wiadomości można porównać do trzęsienia ziemi. Cristiana nie mogła się opędzić od dziennikarzy żadnych najdrobniejszych szczegółów. Od samego początku występowała nie jako dziewczyna porzucona, lecz taka, która nie ma niczego do ukrycia. Dziecko było dla niej czymś najnaturalniejszym na świecie. Maradona natomiast przypominał chyłkiem przemykającego się złodzieja. Dziennikarze otoczyli go po meczu z Udinese, jednym z najgorszych w jego karierze, gdy podawał tragicznie i najwyraźniej nie interesowało go strzelanie na bramkę. „Nic o tym nie wiem, zupełnie nic”, oto jedyna odpowiedź, na którą potrafił się zdobyć pytany o osobę, którą niegdyś kochał. Coraz boleśniej czuł, że traci kontrolę

nad swym życiem. Cristiana, widząc, że ma po swojej stronie sympatię ludzi, była w ofensywie. Enrico Tuccillo, prawnik specjalizujący się w sprawach z uczestnictwem popularnych osób, gdzie stawki były wysokie, oznajmił, że wystąpi do sądu o potwierdzenie ojcostwa, jeśli Maradona nie przyzna się do niego publicznie. Piłkarz za nic nie chciał tego zrobić i tak rozpoczęła się zaciepka batalia prawnicza, która miała potrwać pięć lat. Ale zanim jeszcze zapadł korzystny dla Cristiany wyrok, Diego zaczął już ponosić konsekwencje całej sprawy.

W związku z „afery Sinagry” stracił sporo z miłości, jaką darzyli go neapolitańczycy. W mieście, gdzie więzy rodzinne stanowią jedną z podstaw życia społecznego, gdzie nieustannie powtarza się *I figli so' figli*, „dzieci to dzieci”, odżegnywanie się od odpowiedzialności ojcowskiej było tym okropniejsze, że chodziło o osobę, która osiągnęła status króla i świętego. Wobec uwielbienia, jakim go darzono, syn, nawet z nieprawego łoża, stawał się monarszym potomkiem, czego jednak ojciec nie dostrzegał. Życzliwość, jaka otoczyła Cristianę, a także bezceremonialność, z jaką media zaczęły penetrować prywatne życie piłkarza, powinny stanowić sygnał ostrzegawczy: Maradona pozostanie Królem Neapolu tylko tak długo, jak długo będzie postępował zgodnie z oczekiwaniami poddanych.

„Afera Sinagry” nie tylko zrodziła pierwsze napięcia w relacjach między neapolitańczykami i Maradoną, ale miała też poważny wpływ na jego życie emocjonalne. Claudia, która zaszła w ciążę mniej więcej w tym czasie, gdy przyszedł na świat syn Cristiany, miała mu urodzić dwie córki, nieustannie jednak trapiła go świadomość, że wyrzekł się tak upragnionego syna i że wypadki wymykają mu się spod kontroli. Przyjaciele zaczęli dostrzegać poważne zmiany w zachowaniu Diega po mistrzostwach świata i wybuchnięciu skandalu z Cristianą. Jak kiedyś, znowu zaczynały nim rządzić emocje, tyle że teraz stadia depresji były głębsze, a wybuchy złości gwałtowniejsze. Stał się mniej kontaktowy, bardziej arogancki, wyraźnie niewiele robił sobie z tego, jak postrzega go zewnętrzny świat.

Miał nowego menedżera, Guillermo Coppolę.

Przyjechałem zająć się tym, co jest jednocześnie bardzo proste i bardzo skomplikowane: zaprowadzić porządek na kontaktach Diega i sprawić, by bez kłopotów rozporządzał swymi pieniędzmi – oznajmił w styczniu 1986 roku, gdy zjawił się w Neapolu, aby zastąpić Jorge Cyterszpilera.

Kilka miesięcy wcześniej Maradona zwierzył się dawnej gwiazdzie Realu Madryt, również Argentyńczykowi, Alfredowi Di Stéfano, że z powodu nieporadności Cyterszpilera w zarządzaniu jego majątkiem znalazł się na skraju bankructwa.

Wolny od fizycznej ułomności Cyterszpilera, a także od nostalgii związanej ze wspólnym dzieciństwem, Coppola wprowadził do życia Maradony element finansowej bezwzględności. Był trzydziestoosmioletnim rozwodnikiem, ze słabością do majątnych kobiet, chętnie ubierał się u Versace i lubił spędzać czas w nocnych klubach. Mając za sobą studia ekonomiczne i doświadczenie bankowca, zaczął budować pozycję w argentyńskim futbolu jako finansowy doradca wielu najbardziej znanych piłkarzy. Głośno zrobiło się o nim w roku 1975, gdy w imieniu dwóch z nich z powodzeniem spekulował na rynku finansowym. Potroił wartość posiadanych przez nich akcji, szczególnie intensywnie spekulując w trakcie pewnego burzliwego tygodnia, gdy krążyły plotki o zamachu stanu, dewaluowano peso i galopowała inflacja. Odtąd nieustannie rozbudowywał swoje portfolio, tak że w roku 1985 zarządzał pieniędzmi ponad stu osiemdziesięciu piłkarzy, w tym także Oscara Ruggeriego i Ricardo Gareci, dwóch gwiazd argentyńskiego futbolu, którym załatwił łączny transfer z Boca Juniors do River Plate.

Coppola wielokrotnie dawał wyraz swojej dumie, że na początku jego poczynania bardziej miały charakter przyjacielskich przysług, a mniej nastawione były na zarobek.

Pomagałem im załatwić transfer czy coś innego, a w zamian dostawałem rolexa, bilety lotnicze, skuter czy jakieś ciuchy. Kiedy doszedł do skutku kontrakt Ruggieriego i Gareci, otrzymałem od nich kluczyki do nowego mercedesa.

Maradonie został przedstawiony przez jednego z bardziej kontrowersyjnych klientów, młodego zawodnika Boca Juniors, Carlosa Damiana Randazza, którego kilka miesięcy wcześniej klub zawiesił, ponieważ został oskarżony o posiadanie i rozprowadzanie narkotyków.

Przyjaźń między Maradoną i Coppolą miała przetrwać liczne skandale. Na początku piłkarz powierzył nowemu agentowi opiekę nad transakcjami w Esquinie, które między innymi polegały na nabyciu terenów nad rzeką Corrientes, gdzie Maradona chciał zbudować posiadłość. Dla Coppoli funkcja menedżera Maradony oznaczała punkt szczytowy kariery nastawionej na władzę, rozrywki i pieniądze. W Neapolu stał się alter ego piłkarza, nie tyle aniołem stróżem, ile powiernikiem, który troszczył się o to, aby starczyło pieniędzy na zaspokajanie kaprysów gwiazdy. Coppola natychmiast przystąpił do renegocjacji niektórych kontraktów zawartych przez poprzednika, argumentując, że teraz jego klient jest niekwestionowanym najlepszym piłkarzem na świecie, co musi znaleźć odzwierciedlenie w warunkach umów. Sam mający włoskie korzenie, potrafił twardo dyskutować z neapolitańczykami. Od samego początku cieszył się pełnym zaufaniem Maradony, który w jakiejś mierze podziwiał swego agenta. Pochodzący z niezamożnej klasy średniej Coppola sam był twórcą swego sukcesu i nie zamierzał nikogo przeproszać za to, że go osiągnął. Miał wprawdzie trzydzieści osiem lat, lecz wydawało się, że lepiej i pełniej potrafi korzystać z życia od większości dwudziestolatków.

W Neapolu zamieszkał w hotelu Paradiso, który dzięki widokowi na Zatokę Neapolitańską, wykwintnym warunkom i uprzejmej obsłudze był miejscem chętnie wybieranym przez majątnych młodożeńców i zakochanych. Odległy raptem o kilkaset metrów od domu Maradony, stał się też przystanią, w której Diego wraz ze swym menedżerem lądował po nocy spędzonej w klubie czy restauracji, a często towarzyszyły im poderwane po drodze dziewczyny. Coppola był jednak nie tylko towarzyszem nocnych eskapad piłkarza, ale troszczył się także o pomnożenie jego zasobów.

Zajmował się tym razem z księgowym, Juanem Marcosem Franchim, i prawnikiem, Danielem Bolotnicofem; obaj mówili biegle po angielsku, obaj też świetnie orientowali się w międzynarodowym prawie handlowym. Jednym z pierwszych posunięć była ponowna rejestracja Maradona Productions, ponieważ od czasów Barcelony firmę zaczęła otaczać dwuznaczna atmosfera. Teraz miała się nazywać DIARMA (DI – od Diego; AR – od Armando; MA – od Maradona) i wzorem innych przedsiębiorstw starających się uniknąć podatków i nazbyt wnikliwej uwagi została zarejestrowana w Liechtensteinie. To już DIARMA zawarła opiewający na pięćset tysięcy dolarów kontrakt na cotygodniowy program sportowy z udziałem Maradony.

Ale największy interes zrobił Coppola w 1987 roku. Twardy i sprytny jako negocjator, doprowadził prezesa Napoli, Ferlaina, do wyłożenia ponad siedmiu milionów dolarów, aby Maradona przedłużył kontrakt z klubem na następne pięć lat. Coppola powiedział, że umowa ta „gwarantuje, że dzieci Maradony będą jeść kawior do końca życia”.

Bolotnicof zjawił się w Neapolu, aby położyć kres organizacyjnemu chaosowi, za który Maradona obwiniał Cyterszpilera i jego ludzi. Największe wrażenie zrobił na nim stan ducha piłkarza.

Zaszokowało mnie to, że poza treningami siedział tylko za zasłoniętymi żaluzjami, dzień i noc oglądając telewizję – wspominał potem. – Zachowywał się jak więzień we własnym domu. Powiedział mi, że nie może już prowadzić normalnego życia. Ludzie wdrapywali się nawet na otaczające dom drzewa, aby tylko go podejrzeć przez okno. Klub zobowiązał się, że zapewni mu dom z wysokim ogrodzeniem, które będzie chroniło jego prywatność, ale nigdy nie wywiązał się z tego przyrzeczenia.

**P**IERWSZEGO MAJA 1988 ROKU W przedostatnim meczu sezonu Napoli, pokonane 3:2 przez AC Milan, gdzie trenerem był Arrigo Sacchi, straciło nadzieję na ponowne zdobycie tytułu mistrza. Kilka znakomych zagrań Maradony nie wystarczyło, aby poderwać cały zespół, a w drużynie przeciwników świetnie spisali się dwaj Holendrzy: Marco van Basten i Ruud Gullit. Ponownie więc Neapol został upokorzony, nie mogąc sprostać przeciwnikowi z północy, i niewiele mógł tu zmienić jeden już tylko sukces zespołu, gdy rok później zdobył Puchar UEFA. Porażkę w lidze bardzo dotkliwie odczuł Conrado Ferlaino, gdyż zwycięstwo rywala z Mediolanu oznaczało też ogromne wzmocnienie pozycji Silvio Berlusconi, potężnego właściciela włoskiej stacji telewizyjnej Canale 5.

Relacje między Maradoną a Ferlainem znacznie się zaostrzyły z powodu konfliktu piłkarzy z trenerem Ottavio Bianchim. W kontaktach z Maradoną trzeba było łączyć dyplomację z pragmatyzmem; Bianchimu brakło i jednego, i drugiego, a tymczasem jego najważniejszy gracz zaczynał właśnie przejawiać te patologiczne cechy, które dały już o sobie znać w Barcelonie. Do

Bianchiego przylgnęło określenie „Żelazny Sierżant”, bezpardonowo bowiem rozprawiał się z każdym problemem, który przed nim stanął, a po meczu z Milanem dał upust swego rodzaju mściwości, odsuwając od pierwszej drużyny sześciu graczy, którzy nie zgadzając się z jego metodami, zagrozili strajkiem. Maradona, który oficjalnie poparł kolegów, wpadł w furję; oznajmił publicznie, że teraz Ferlaino będzie musiał wybierać między Bianchim a nim. Ferlaino bezwarunkowo poparł trenera i przypomniał Maradonie, że obowiązuje go niedawno podpisany kontrakt. Taka była pierwsza publiczna odsłona konfliktu, który miał się zaostrzać, z o wiele większymi dla piłkarza konsekwencjami niż w przypadku wcześniejszej „wojny” z Barceloną.

Maradona, zdecydowawszy się na konfrontację z Ferlainem, nie mógł już liczyć na zbiorowe poparcie, którego świadectwa widział, gdy zjawił się w Neapolu, a które swój szczyt osiągnęło po zdobyciu *scudetto*. Jeden z najdłużej pracujących w klubie działaczy, Carlo Juliano, należał do tych, których pozytywny stosunek do Argentyńczyka – zarówno do człowieka, jak i piłkarza – zaczął się zmieniać na skutek postawy przyjętej przez Maradonę.

Sądzę, że zmamował okazję, którą miał na samym początku, aby mocno związać się z Ferlainem – powiedział Juliano. – Ten człowiek był jego entuzjastą. I pozostałby nim, gdyby tylko Maradona zachowywał się inaczej.

Problem polegał na tym, że zarówno pod względem charakteru, jak i pod względem talentów Maradona nie miał poprzedników. Jego zwolennicy twierdzą, że nie tyle on wykorzystywał klub, ile klub nie był w stanie go zrozumieć. Niewiele osób miało okazję z tak bliska obserwować finałowy okres Maradony w Neapolu jak Marcos Franchi, księgowy Coppoli, który w późniejszym okresie zastąpi go w funkcji menedżera piłkarza.

Najgorsze, że Ferlaino postępował tak jak większość prezesów w klubach piłkarskich – opowiadał potem. – Gracze byli dla niego po prostu pracownikami, których zatrudniał. A tymczasem Maradona nie znosił, gdy go tak traktowano. Żaden geniusz nie chce mieć nad sobą bossa i dlatego Diego tak wymykał się spod kontroli. A do takiej właśnie sytuacji doszło, gdy zyskał w klubie pozycję silniejszą od prezesa. Z tym Ferlaino nie mógł się pogodzić. Chciał podporządkować sobie Maradonę i wykorzystywał do tego każdą sposobność. W efekcie ta próba sił zaczęła się toczyć na wszystkich możliwych frontach.

Raz jeszcze symptomem i źródłem konfliktu stały się kontuzje. Z Mediolanu regularnie przylatywał na konsultacje doktor Ruben Oliva; podobnie jak w Barcelonie, Maradona upierał się, że ufa tylko jemu i nie chce mieć do czynienia z lekarzami klubowymi. Popierała go w tym matka, która wkrótce po podpisaniu kontraktu z Napoli zadzwoniła do Olivy i powiedziała: „Najlepsze w tych przenosinach do Włoch jest to, że teraz Diego będzie blisko pana. Mam nadzieję, że możemy na pana liczyć”.

Oliva był zdania, że niewiele jest dolegliwości piłkarza, z którymi nie mogłaby sobie poradzić zupełnie elementarna psychologia. Bardzo sprawnie przekonywał do swoich idei, uważnie tropiąc wszystkie słabości klienta, aby je potem wykorzystać na swoją korzyść. Oliva uznał, że kłopoty Maradony mają korzenie neurotyczne i najlepiej można im zaradzić, ćwicząc silną wolę. Paolo Pauletti, jeden z najbliższych przyjaciół Maradony w Neapolu, miał kiedyś okazję przyglądać się Olivie w akcji.

Siedziałem w domu u Diega, kiedy zjawił się Oliva. Był właśnie piątek, na niedzielę przewidziano mecz, w którym Diego chciał zagrać, ale czuł, że nie da rady z powodu kontuzji. Doktor wydobyl wielką strzykawkę; zastrzyk był tak bolesny, że Diego zagryzł zęby na gazecie. „Teraz z całą pewnością będziesz mógł zagrać w niedzielę”, obiecał lekarz. Kiedy potem odwoziłem go na lotnisko, powiedział: „Wyznam ci coś w tajemnicy. Wiesz, co mu wstrzyknąłem?”. „Co?”. „Wodę”.

Maradona zagrał tej niedzieli, ale od roku 1988 coraz rzadziej zjawiał się na klubowych treningach. W maju 1989 roku oznajmił, że z powodu bólów w kręgosłupie nie może jechać razem z drużyną na arcyważny mecz do Bolonii. Miesiąc później jako przyczynę absencji w meczu z Ascoli podał niestrawność. Tydzień później na stadionie San Paolo w meczu przeciw AC Pisa po raz pierwszy od przybycia do Neapolu poprosił, żeby go zmienić, ponieważ naciągnął mięsień w prawej nodze. Kiedy ledwie siedemnaście minut po rozpoczęciu, kuśtykając, schodził z boiska, *tifosi* zaczęli gwizdać, a także rzucać wyzwiska – i nie tylko – w kierunku łoża honorowej, gdzie Coppola siedział razem z Claudią, trzymającą w ramionach pierwszą córeczkę, Dalmę. W poczuciu, że obrażono honor jego rodziny, a jego samego zdradzono, pełen furii Maradona gotów był natychmiast opuścić Neapol,

lecz zamiast to zrobić, zdarzenie to dopisał do długiej listy zarzutów pod adresem klubu i miasta. Niczym długoletni więzień w lochu, był pewien, że nie oszaleje tylko wtedy, jeśli zdoła kiedyś uciec.

Umocnił się w tym postanowieniu, gdy Ferlaino, nie konsultując tego z kimkolwiek, odrzucił ofertę właściciela i prezesa Olympique z Marsylii, Bernarda Tapiego, który chciał kupić Maradonę. Kiedy FC Napoli zdobyło Puchar UEFA, Maradona oświadczył Ferlainowi, że nic już więcej nie może zrobić dla klubu i z chęcią przeniósłby się do jakiegoś kraju, gdzie liga jest mniej wymagająca niż we Włoszech, tymczasem o propozycji Tapiego dowiedział się z gazet, które poinformowały o jego daremnej wizycie w Neapolu. I znowu jak w kilku innych kwestiach można się zastanawiać, jak dalej potoczyłaby się kariera Maradony, gdyby wypadki ułożyły się inaczej. Czy Tapie, który później zostanie aresztowany i skazany za finansowe malwersacje, wciągnąłby Maradonę w świat futbolowej korupcji, tak że kariera piłkarza skończyłaby się równie niechlubnie jak prezesa? A może Maradona oparłby się tej pokusie, a w efekcie również uniknąłby upadku, do którego miało dojść pod koniec pobytu w Neapolu i po powrocie do Buenos Aires?

Jedno jest pewne: bezceremonialne odrzucenie propozycji Tapiego pogorszyło jeszcze stosunki między Ferlainem i Maradoną, który tym bardziej poczuł się jak zwierzę w potrzasku. Złe emocje zaczęły szukać dla siebie ujścia na najróżniejsze sposoby; wydawało się, że Król Neapolu przestał panować nad sobą.

Kiedy FC Napoli zakwalifikowało się do finału Pucharu UEFA, Maradona w towarzystwie Coppoli i innych przyjaciół udał się na wystawną kolację do jednej z najpopularniejszych restauracji w mieście, La Stangata. Biesiada zakończyła się o piątej nad ranem; Maradona zaczął śpiewać i tańczyć na ulicy. Jego występy obudziły starszą kobietę, która wrzasnęła z okna: „Dość już tego! Co ty sobie myślisz? Że cały Neapol do ciebie należy?”. Zadarł głowę i na cały głos, naśladując kibiców na stadionie, zawołał: „Jestem Maradooooooooona!”. Dopiero teraz go rozpoznawszy, kobieta zaklaskała, a potem przesłała mu serdecznego całusa.

Później, zwłaszcza po wizycie Tapiego, coraz trudniej było o takie wyrazy uwielbienia, natomiast coraz intensywniej krążyły plotki, wiążące kiepskie występy na boisku i opuszczanie meczów z hulawczym życiem nocnym. A Maradona coraz bardziej umacniał się w przekonaniu, że toczy się przeciw niemu zorganizowana kampania. Coraz gniewniej reagował na zainteresowanie mediów; bez powodzenia usiłował zakazać niektórym dziennikarzom wstępu na treningi i mecze z jego udziałem. Cotygodniowy program telewizyjny, który miał poprawić jego publiczny wizerunek, stał się okazją do osobistych ataków na mniej lub bardziej wyimaginowanych prześladowców.

Przedstawiciele mediów skłonni byli w tych spiskowych teoriach dopatrywać się przejawów paranoi. Wątpliwości co do psychicznej równowagi Maradony pogłębiły się jeszcze, gdy zaczął osobiście odwiedzać redakcje gazet i dawać wyraz swym pretensjom. Pewnego razu wepchnął kawałek gazety w usta felietoniście, który napisał o nim krytyczny artykuł.

Na wiosnę 1989 roku Maradona wyjechał z Neapolu do Argentyny, grożąc, że więcej już nie wróci. Udał się do Esquiny w nadziei, że kolejny powrót do korzeni pozwoli mu odzyskać siłę ducha. Była to w istocie ucieczka, która tylko zaostrzyła włoskie napięcia. *Tifosi*, media i działacze klubowi żyli w poczuciu zdrady. Seria wywiadów przeprowadzonych w ubogiej neapolitańskiej dzielnicy Forcella, stanowiącej jedną z ostoji rodziny Giuliano, pokazała, że powszechne nastroje zaczynają być wrogie wobec argentyńskiego piłkarza. W gazecie „Il Mattino” cytowano wprawdzie mieszkańców Forcelli mówiących, że są gotowi udać się do Buenos Aires i błagać Maradonę o powrót, inni jednak grozili mu osobistą zemstą.

Maradona znalazł się w błędnym kole oskarżeń i pretensji. Im bardziej go atakowano, z tym większą furią odpowiadał, a to tylko sprawiało, że krytykowano go z jeszcze większą zjadłością. Podczas pobytu Diega w Argentynie Coppola wydał w jego imieniu oświadczenie, że on i jego rodzina czują się ofiarami zorganizowanej akcji, która ma na celu ich upokorzenie i udręczenie. Wspomnił o meczu z AC Pisa, gdy Maradona musiał zejść po siedemnastu minutach, a kibice dali upust gniewowi, ciskając butelki w kierunku Coppoli i Claudii; wspomnił o tajemniczych wydarzeniach, takich jak włamanie do neapolitańskiego mieszkania Marii, mieszkającej na parterze domu Diega, czy uszkodzenie jego samochodu przez nieznanego sprawcę.

Wszystko to umacnia mnie w przekonaniu, że toczy się zorganizowana kampania przeciw mnie, w której niebezpieczeństwo grozi także moim współpracownikom, dzieciom, rodzeństwu i rodzicom.

Na tym etapie trudno było o jakieś konkretne dowody na poparcie tak radykalnego oskarżenia. Należałoby raczej mówić o spontanicznych reakcjach rozczarowanych kibiców niż o zorganizowanej operacji. Rzekome prześladowanie Maradony i jego rodziny nie wykraczało poza wyrazy niechęci czy frustracji, z którymi spotkać się mogą wszyscy wielcy tego świata. Historia z samochodem wydarzyła się dwa lata wcześniej; ktoś rzucił kamieniem w boczną szybę. Policja nie wykryła winnego, nikt też nie przyznał się do tego wybryku. Poważniej wyglądało włamanie do mieszkania siostry. Mówiąc, że niczego nie ukradziono, a tylko zniszczono meble i dokumenty, Maradona wskazywał palcem na camorrę, która w ten sposób lubiła ostrzegać swe ofiary.

Nie przyznał się do autorstwa tego oświadczenia, wszystko zrzucając na Coppolę, ale mało kogo to przekonało. Posunięcie zrodziło się zapewne z błędnych kalkulacji. Zdaje się, że Coppola i Maradona chcieli jakoś wytłumaczyć przedłużającą się nieobecność piłkarza w Neapolu, jednocześnie zyskując mu sympatię ze strony *tifosi*, a także skłaniając Ferlaina do większej pojednawczości albo zgody na to, by Diego opuścił klub. Obaj nie zdawali sobie jednak sprawy z tego, w jak wielkim stopniu mieszkańcy Neapolu czują się zdradzeni przez swego niegdysiejszego ulubieńca, który tracił swój specjalny status.

Na początku pobytu w Neapolu Maradona nigdy nie skarżył się na żaden spisek, jeśli bowiem nawet jakiś istniał, on sam w nim z ochotą uczestniczył. Nie musiał się spowiadać z nocnego życia i podejrzanych przyjaźni. Grał pięknie w piłkę i zdobywał dla miasta trofea. Tylko to się liczyło. Można ewentualnie mówić o zмовie milczenia między działaczami i dziennikarzami, którzy przymykali oczy na ciemne strony poczynań Maradony: komitywę z camorrą, podejżenia o narkotyki. Teraz w oczach niektórych *tifosi* i przedstawicieli świata przestępczego zaczynał wyglądać na sprzedawczyka, który zdradą chce okupić swe uczestnictwo w zмовie. Nikt już nie zamierzał obchodzić się z nim w białych rękawiczkach; Maradona nie mógł dłużej liczyć na powszechną wyrozumiałość dla jego wyskoków i słabości. Zaczynała się otwarta wojna.

Kilka dni po wspomnianych wywiadach w „Il Mattino” opublikowano na czterech kolumnach fotografię Maradony popijającego szampana w towarzystwie dwóch przywódców rodziny Giuliano: Raffaelego i Carminego. Zrobiono ją na urządzonym przed trzema laty przyjęciu, dotąd jednak trzymano w sekrecie. Podpis pod zdjęciem głosił: *To absurd myśleć, że ktokolwiek chciałby zdrzeć z camorrą, porywając się na jej idola*. Sugestia była jasna, nawet jeśli nie całkiem przekonująca: jak to możliwe, aby to camorra stała za akcją przeciw piłkarzowi, na którym tyle zarobiła i który pomógł jej umocnić władzę nad *tifosi*?

Spiski mają to do siebie, że trudno ich dowieść, niemniej jednak są poszlaki sugerujące, że tamtego lata camorra rzeczywiście podsyciała powszechną niechęć do Maradony z powodu jego „zdrady” i dyrygowała wyrazami antypatii, nie chciała jednak go zniszczyć, lecz tylko przywołać do porządku. Ojcowie chrzestni nie mają w zwyczaju pozwalać, by pupilkowie występowali przeciw nim publicznie, i nie zamierzali robić wyjątku dla Maradony.

## AMBASADOR SPORTOWY

WALKA MARADONY Z MIESZKAŃCAMI NEAPOLU zajęła większą część lata 1989 roku, potem jednak nastąpiło zawieszenie broni. Tym, co w każdej sytuacji kryzysowej mogło dać Maradonie oparcie, było nowe wyzwanie sportowe, a właśnie na horyzoncie pojawiła się perspektywa kolejnych mistrzostw świata, które w roku 1990 miały zostać rozegrane we Włoszech. I znowu sama tylko siła woli pozwoliła Maradonie podnieść się z depresji, w którą popadł, wyjechawszy z Neapolu. Jak zdarzało się wcześniej i miało powtarzać potem, zarzucenie na jakiś czas treningów i meczów zaowocowało wzrostem wagi i osłabieniem tkanki mięśniowej, co było efektem bezceremonialnego traktowania jego ciała przez lekarzy od najwcześniejszych lat. Najpierw podawano mu środki przyspieszające wzrost masy ciała, potem faszeryowano kortyzonem, aby zneutralizować ból powodowany przez kontuzje. Telewizyjny obraz Maradony jako małego, krępego dynamy ukrywał prawdę. Tylko siła woli i ukryte zasoby sił sprawiały, że nie wyglądał jak emerytowany ciężarowiec. Pod koniec lata poddał się ostrej diecie i intensywnemu treningowi; pozbył się zbędnego tłuszczu i wzmocnił mięśnie, dzięki czemu, wprawdzie z opóźnieniem, ale mógł dołączyć do drużyny.

Jeśli był kiedyś moment, gdy Maradona mógł zapomnieć o wszystkich zaszłościach i po prostu tylko poświęcić się grze, to właśnie wtedy. Nastroje neapolitańczyków są tak zmienne, że od nienawiści łatwo mogli powrócić do dawnej miłości. Kłopot w tym, że Maradona miał przeciwników nie tylko na zewnątrz, ale też w sobie. Z jednej strony twierdził, że pragnie, by pozostawiono go w świętym spokoju, z drugiej – nie mógł długo wytrzymać bez adrenaliny, której poziom rósł w świątłach jupiterów. Kilka tygodni przed jego powrotem do Włoch cały świat został więc zaproszony do uczestnictwa w jednym z najbardziej ekstrawaganckich publicznych występów danych kiedykolwiek przez sportowca. Chodziło o ślub z Claudią.

Od chwili, gdy Maradona stał się znanym piłkarzem, zdecydowanie odrzucał wszystkie sugestie, aby nadać bardziej konwencjonalną i stabilną formę swemu kilkuletniemu związkowi. Claudia i Diego nie byli małżeństwem w trakcie szeroko komentowanego „miesiąca miodowego” po meksykańskich mistrzostwach świata; obie ich córki, Dalma i Giannina, były nieślubne. Mogło to wprawdzie doskwierać jego pobożnym rodzicom, Diego sądził jednak, że bogactwo i sława pozwalają mu nie przejmować się wymogami Kościoła katolickiego. Dlaczego nie miałby prawa robić tego, co było na porządku dziennym w życiu osób z najlepszych sfer towarzyskich Argentyny, a o czym z zapałem donosiły plotkarskie czasopisma? Układanie życia prywatnego dokładnie według swoich chęci było jednym z wyznaczników ostatecznego wyzwolenia się od społecznych korzeni, bo pieniądze i sława pozwalają, by człowiek sam wybierał normy.

Ślub Maradony był najbardziej okazałym gestem nuworyszostwa od czasów Evy Perón wydającej miliony dolarów na garderobę. Podobnie jak okazały dom w Buenos Aires, zamek w Barcelonie, jacht i samochody w Neapolu, także teraz ślub miał za sprawą swego rozmachu stać się świadectwem przynależności do potężnych i wielkich tego świata. Był to też sposób Maradony na przekazanie rzeszom wielbicieli tej samej wieści, którą Evita przekazywała tłumom *descamisados*: Każdy może osiągnąć sukces, jeśli tylko Bóg sprzyja jego talentom i ambicjom.

Jeśli chodzi o pompę i wystawność, była to ceremonia iście hollywoodzka. Claudia miała na sobie suknię od jednego z najsławniejszych argentyńskich projektantów mody. Została opisana niesłychanie drobiazgowo: waga piętnaście kilogramów, zdobienia z pereł, złota oraz koronki importowanej ze Szwajcarii i z Lyonu we Francji; cena: około 30 tysięcy dolarów. Ponieważ najwyższe argentyńskie warstwy społeczne z pogardą odnosiły się do nowobogackich, Maradonie bardzo zależało na



zezwoleń katolickich władz kościelnych, aby ceremonia została odprawiona w katedrze w Buenos Aires. W kościele zgromadziło się mnóstwo widzów, młodożęcom towarzyszyły jako drużny obie córki, była muzyka, kadzidła i kwiaty.

Przyjęcie weselne na tysiąc pięćset osób wydano w Luna Parku, gdzie jako nastolatek Diego oglądał mecze bokserskie. Goście zagraniczni przylecieli specjalnie wynajętym samolotem odrzutowym. Coppola, powiernik Maradony, był prawdziwym mistrzem ceremonii; organizował jej obsługę prasową i telewizyjną, troszczył się o gości i zaplanował niezwykle program rozrywkowy. Wśród zaproszonych znaleźli się koledzy Maradony z drużyny, a także niektórzy działacze klubu; pan młody pokrył koszty ich przylotu z Włoch oraz pobytu w pięciogwiazdkowym hotelu. „To była wspaniale zorganizowana impreza, a my wszyscy czuliśmy wzruszenie z powodu zaproszenia”, wspomina szef banku informacji w FC Napoli, Carlo Juliano.

Chociaż jednak ślub był pomyślany tak, aby poprawić wizerunek Maradony w oczach opinii publicznej, w istocie pogorszył jeszcze bardziej jego reputację gwiazdora, który nie panuje nad swym zachowaniem. I Claudia, i on starali się wyglądać jak para z lukrowanego romansu, ale Diego nie potrafił ukryć wewnętrznego napięcia. W drodze na ślub cywilny uderzył fotografa, który chciał zrobić zdjęcie z bliska, potem podejrzano, jak wewnątrz budynku krążył w holu z kąta w kąt niczym lew uwięziony w klatce. Osobom, które to widziały, tym bardziej surrealistyczny musiał się wydać późniejszy przejazd ulicami Buenos Aires kawalkady pojazdów, na której czele sunęła odkryta limuzyna z młodą parą machającą do widzów. Pan młody wyglądał w smokingu sztywno i nienaturalnie, jego gesty raziły mechanicznością. Ślub odbył się mimo ogólnokrajowego strajku, który pracownicy transportu publicznego ogłosili w proteście przeciw niskim płacom.

Włoscy dziennikarze, którym udało się dotrzeć do listy zaproszonych gości, zdobyli pikantne szczegóły. Podobno ściągnięto prostytutkę z całego świata, aby świadczyła usługi podczas imprezy, a najłatwiej dostępnym w Luna Parku środkiem pobudzającym była ponoć kokaina. Marcos Franchi, który pomagał Coppoli w przygotowaniu przyjęcia weselnego, stanowczo temu zaprzeczał: rzekome prostytutki były, jak twierdził, tłumaczkami, a kokainą był cukier rozstawiony na stołach. Ale nawet najbardziej wyrafinowane zaprzeczenia nie będą w stanie dowieść jednego: że narkotyki były nieobecne w życiu Maradony. Miały to pokazać wydarzenia najbliższych miesięcy w Neapolu i tych sprzedających mistrzostwa świata w 1990 roku.

**Z POCZĄTKIEM MAJA 1990 ROKU** w barze jednego z wiedeńskich hoteli doszło do osobliwego spotkania między Maradoną i argentyńskim dziennikarzem, Fernando Niembrem. W samym spotkaniu nie byłoby niczego dziwnego, skoro Niembro należał do czołówki sportowych reporterów telewizyjnych i radiowych, a Maradona przebywał nad Dunajem, gdyż reprezentacja Argentyny miała rozegrać towarzyski mecz z Austrią w ramach przygotowań do nadchodzących mistrzostw świata. Osobliwa była propozycja, którą Niembro, wówczas rzecznik prasowy prezydenta Carlosa Menema, złożył Maradonie w imieniu swego szefa. Maradona jako jedna z najwybitniejszych postaci światowego futbolu miał zostać „sportowym ambasadorem” Argentyny; przed rozpoczęciem mistrzostw prezydent Menem miał mu wręczyć dyplomatyczny paszport. Niejasne było, na czym miałyby polegać działania Maradony, w każdym razie prezydent zatroszczył się o to, aby kilka najpotężniejszych argentyńskich firm złożyło się na pokrycie kosztów ewentualnych dyplomatycznych wojaży. Na liście sponsorów znalazła się Amalita Fortabat, jedna z najbogatszych kobiet świata, kierująca największą w Argentynie firmą budowlaną.

Pomysł takiej propozycji może się wydać ekscentryczny, był jednak efektem politycznych kalkulacji. Menem rok wcześniej objął władzę jako rzecznik peronizmu. Niski mężczyzna z bakami tak długimi i gęstymi jak u Facundo Quirogi, dwunastowiecznego *gaucho*, podsycał w kraju najbardziej prymitywne emocje charakterystyczne dla ery Peróna. Kampanię wyborczą organizował Menemowi nie kto inny, jak Jorge Cyterszpiller, agent futbolowy, który z prowincjonalnego piłkarza uczynił Maradonę światową gwiazdą. Niepomny tego, jak Diego się z nim rozstał, Cyterszpiller nadal uważał się za jego lojalnego przyjaciela, a czas zgodnej współpracy oceniał jako najpiękniejszy okres

swego życia. Wydaje się, że istotną rolę w opracowaniu i urzeczywistnieniu idei Maradony jako ambasadora odegrał też Ramón Hernández, osobisty sekretarz prezydenta i jeden z jego zaufanych powierników. Wraz z synem Menema, Carlosem, należał do przyjaciół Coppoli; wszyscy trzej stanowili część ekskluzywnej grupy, której ekstrawaganckie życie spletało się z politycznymi intrygami i podejrzanymi przedsięwzięciami gospodarczymi.

Uderzające były analogie między Menemem i Maradoną. Ten pierwszy także nie był arystokratą; snobistyczne kręgi Buenos Aires z lekceważeniem traktowały El Turco, bo takim przydomkiem obdarzono syna emigrantów z Syrii. Menem nie żył wprawdzie w slumsach, ale jego ojciec zarabiał na życie jako handlarz objeżdżający na mule mieściny i wioski na północy Argentyny. Jego droga na szczyty – podobnie jak drogi Evity czy Maradony – obrazowała możliwości istniejące w społeczeństwie, którego znaczną część stanowili emigranci i ich bezpośredni potomkowie. Pokazywała, że mimo panującej w nim bigoterii i ksenofobii także ubodzy przybysze stanowią żywą część Nowej Argentyny, usiłującej znaleźć swą tożsamość w połączeniu starych mitów – których bohaterami byli *gauchos* i *libertadores*, wyzwolicieli – z ekstrawaganckim konsumpcjonizmem. I Menem, i Maradona wielbili Peróna, Najświętszą Panienkę, futbol, szybkie samochody i kobiety.

W maju 1990 roku Menem walczył zarówno o popularność w kraju, jak i o nowych przyjaciół za granicą. Także i to bardzo upodobało jego sytuację do sytuacji Maradony w Neapolu, aczkolwiek w Buenos Aires niewiele jeszcze wiedziano o ostrości konfliktu między piłkarzem a klubem i miastem. Tam Diego nadal był bohaterem i najważniejszym Argentyńczykiem na świecie. Menem natomiast starał się stworzyć pozory ładu ekonomicznego w kraju targanym przez hiperinflację i co jakiś czas ujawniane skandale, które wiązały się z otoczeniem prezydenta. Tajemnicą poliszynela była pycha jego żony, Zulemy, oraz wystawne życie obojga dzieci, Carlitosa i Zulemity. Zagraniczni inwestorzy i komentatorzy nie traktowali serio polityka, za którym ciągnęła się zła sława demagoga.

Fernando Niembro większość życia poświęcił dziennikarstwu sportowemu i z bliska mógł się przypatrywać, jak wielki jest wpływ sportu na społeczeństwo i politykę. W 1978 roku widział, jak triumf Argentyny w mistrzostwach świata sprawił, że mroczne dni panowania junty na chwilę stały się promienne i radosne. Gdy osiem lat później, tym razem pod wodzą Maradony, reprezentacja zdobyła Puchar Świata po raz drugi, mogło się odrodzić poczucie narodowej dumy po upokarzającej klęsce na Falklandach. Teraz pojawiała się możliwość trzeciego zwycięstwa – Argentynę wymieniano w gronie faworytów. Objęcie prezydenckim patronatem najlepszego gracza w najgorszym razie przynajmniej na chwilę postawiłoby Menema w kręgu zainteresowania mediów krajowych i zagranicznych, w najlepszym sugerowałoby, że był jednym z ojców wielkiego sukcesu.

Obserwowałem Maradonę od roku 1976 – wspomina Niembro – i nigdy nie wątpłem w jego geniusz. Futbol był jego życiem, powietrzem, którym oddychał. Maradona był bardziej znany na świecie niż Pelé czy papież, stał się uniwersalnym idolem. Przedstawiłem swój pomysł Menemowi w czasie, gdy bardzo troszczył się o swój publiczny wizerunek; chciał przyciągnąć inwestorów, chciał wzbudzać zaufanie. Przypomniałem mu sportowców, którzy zaskarbili nam międzynarodowy szacunek, jak kierowca wysłigowy Fangio. Powiedziałem, że za sprawą Maradony cały świat przychylniej spojrzy na jego prezydenturę, a mistrzostwa świata były okazją, której nie należało przegapić.

Nietrudno było mu przekonać prezydenta, by włączył Maradonę do swego dworu. Menem tak naprawdę zazdrościł Maradonie. „To futbol ukształtował mnie fizycznie i duchowo”, powtarzał wielokrotnie. W dzieciństwie marzył o tym, by zagrać w reprezentacji Argentyny, i marzenie to udało mu się symbolicznie zrealizować, gdy już jako prezydent w narodowym stroju wziął udział w jej treningu. Wystąpił też w utworzonej przez siebie jedenastce, która w meczu dobroczynnym spotkała się z drużyną Bobby’ego Charltona, który tak skomentował prezydencki występ:

W ogóle się nie poruszał, stał tylko pośrodku boiska, a inni gracze podawali mu piłkę, żeby mógł ją bezpiecznie przekazać najbliższemu zawodnikowi.

Marcosowi Franchiemu, jednemu z tych ludzi z bezpośredniego otoczenia Maradony, którzy starali się go zrozumieć, pomysł z paszportem dyplomatycznym wydawał się zupełnie bezsensowny.

Jeśli chodzi o Maradonę, trzeba odróżnić osobę publiczną od osoby prywatnej. Jako osoba publiczna dostawał kostium piłkarski, wychodził na boisko i grał lepiej od reszty. To wszystko... A tu pewnego dnia ktoś oferuje mu paszport dyplomatyczny, podczas gdy on nawet nie wie, co to takiego. Ma zostać ambasadorem. Świetnie, ale czy

ktokolwiek z tych, którzy wpadli na ten pomysł, zastanowił się, czy aby Diego jest przygotowany duchowo, psychicznie i intelektualnie, żeby wziąć na siebie taką odpowiedzialność? Nie, bo nikogo to nie obchodziło. Liczyło się tylko to, aby mianować go oficjalnie ambasadorem, przylecieli więc i wręczyli mu paszport.

Siódmego czerwca 1990 roku o godzinie 18.35 prezydent Menem przybył do budynku przylegającego do stadionu San Siro w Mediolanie, aby na oczach tłumnie zebranych dziennikarzy wręczyć Maradonie paszport dyplomatyczny i obwieścić światu, że Argentyna ma nowego ambasadora sportowego. To jedno z najbardziej ekscentrycznych wydarzeń związanych z piłkarskimi mistrzostwami świata roku 1990 obserwował między innymi angielski pisarz, Peter Davies.

Maradona kazał czekać Menemowi piętnaście minut, ale jeśli rządysz takim chłamek jak Argentyna, to powiedzmy sobie szczerze, o wiele bardziej potrzebujesz Maradony niż on ciebie – pisał Davies w książce *All Played Out*. – Menem wyglądał jak rekiniątko, które właśnie beknęło, by powtórzyć słynne określenie, jakie zaskarbił sobie niedysiejszy kandydat na prezydenta USA, Michael Dukakis. Rozwichrzona włosy i nerwowy uśmiech od ucha do ucha mogłyby ewentualnie podsunąć porównanie do wiewiórki, która wpadła do beczki z olejem.

Większość wśród dziennikarzy stanowili Argentyńczycy, którzy przesłali do kraju informację o niekwestionowanym dyplomatycznym sukcesie Menema. Obecni byli zarówno trener reprezentacji, Carlos Bilardo, jak i ówczesny menedżer Maradony, Guillermo Coppola. Menem wystąpił ze swą rozpromienioną podobnie jak on dostojników. W sytuacji takiej wzajemnej adoracji Maradona na chwilę zapomniał, kim i gdzie jest, i szczerze wierzył w powagę chwili i uroczystości. Najbardziej chyba dumna z dyplomatycznego statusu Diega była doña Tota, wszędzie doszukująca się potwierdzeń swego przekonania, że syn stąpa drogą wyznaczoną mu przez Boga. Sam Maradona nie omieszkał wspomnieć o matce i ojcu. „Moi rodzice są dziś z pewnością dumni ze swego syna. Razem będziemy teraz bronić Argentyny”.

Także i Menem chciał jak najlepiej wykorzystać sytuację i rozplęwał się w zachwytach.

Oto uczestniczymy w narodzinach nowej formy akredytacji i nowego obrazu dyplomacji... Platon powiedział, że sport czyni ludzi mądrymi i rozsądnymi, a takich właśnie ludzie potrzebuje dzisiejszy świat.

Peter Davies należał do tych, którzy nie dali się olśnić. Kiedy spytał Gary'ego Linekera o opinię, ten odrzekł: „Dzisiejszy świat potrzebuje ludzi tak mądrych i rozsądnych jak Diego? Czy to znaczy, że przestał już oszukiwać?”.

**PIŁKARSKIE MISTRZOSTWA ŚWIATA ROKU 1990** zostaną zapamiętane jako mistrzostwa łez. Miliony widzów zobaczyły je na twarzach tak różnych osób, jak Anglik Paul Gascoigne i Argentyńczyk Diego Maradona, aczkolwiek każdy z nich płakał z innego powodu.

Publiczne dawanie wyrazu emocjom nie bardzo daje się pogodzić z angielskim charakterem. Jeśli w ogóle płakać, to tylko dyskretnie. Tymczasem, jak zauważył jeden z biografów Gascoigne'a, Ian Hamilton, łzy Gazzy w półfinałowym meczu z Niemcami Zachodnimi sprawiły, że w oczach Anglików Gazza z piłkarskiego chuligana stał się narodową dumą. Najpierw płakał nad sobą: żółta kartka, druga w tej fazie turnieju, wykluczała go z meczu w finale, gdyby Anglia do niego dotarła. Potem jednak, po ostatnim gwizdku, łzy Gazzy były wyrazem zbiorowych uczuć żalu i rozczarowania, że Anglia przegrała po zażartej i bohaterskiej walce. Łzy, które w Turynie pojawiły się na twarzy Gascoigne'a, powtórzone zostały niezliczoną liczbą razy na plakatach, koszulkach, szalikach i kubkach.

Maradona płakał na zakończenie finałowego spotkania z Niemcami, którzy pokonali Argentyńczyków. Nie było ani bohaterstwa, ani magii, mecz był brutalny, mało porywający, być może najgorszy z dotychczasowych finałowych na mistrzostwach świata. Dwaj argentyńscy gracze zostali wyrzuceni z boiska, dołączając do czterech innych, którym przydarzyło się to w trakcie turnieju, Argentyna bowiem – zgodnie z koncepcją Carlosa Bilardo – nie przebiegała w środkach.

Rosnąca w trakcie turnieju niechęć do jego drużyny sprawiła, że Bilardo zaczął się zastanawiać nad pewnym ryzykownym posunięciem. Zawsze uważał, że narodowy hymn Argentyny jest zbyt długi i niezbyt nadaje się do odgrywania przed meczami futbolowymi, rozprasza bowiem

zawodników, a nieprzychylnym kibicom daje zbyt wiele okazji do wyrażenia niechęci. Dlatego Bilardo myślał nad skróceniem hymnu o jego operową część końcową, w której Argentyńczycy obwieszczają swą gotowość do śmierci za flagę. Ostatecznie wycofał się z tego projektu w obawie przed reakcją rodzimych nacjonalistów, miał tego jednak żałować.

Kiedy przed meczem finałowym argentyńscy zawodnicy, wyprostowani na baczność, słuchali swego hymnu, włoscy kibice dali upust wrogości, gwizdząc i bucząc w jawnej drwinie z ceremonii. Maradona pod czujnym okiem kamer powtarzał półgębkiem „Skurwysyny!”. Głosu nie było wprawdzie słychać, ale nawet niewycwiczone oko mogło odczytać z ruchu warg słowo, natychmiast wskazane milionom widzów przez komentatorów. Gdy na koniec przyszła pora na łyż, położy się ciurkiem. Był to o jeden płacz za wiele. Podobnie jak nieustanne pretensje do sędziów, gesty pod adresem niebios czy emocjonalne wybuchy, opatrzył się. Większość milionowej publiczności nie współczuła Maradonie, traktując jego łyż w najlepszym razie jako wyrastającą z arogancji przesadę, w najgorszym – jako dowód braku psychicznej równowagi. Jeśli ktoś się we Włoszech załamał, to Maradona, nie Gazza.

Miesiące poprzedzające turniej przygotowywały ten wybuch. W listopadzie na godzinę przed spotkaniem z FC Wettingen w drugiej rundzie rozgrywek o Puchar UEFA nowy trener Napoli, Arrigo Sacchi, oznajmił, że Maradona nie jest zdolny do gry. Nie wziął udziału w kilku treningach, podejrzewano też, że noc spędził na jednej ze swych hedonistycznych wypraw. I znowu jak przed trzema miesiącami piłkarz widział w tym element spisku przeciw sobie. W następnym miesiącu sytuacja stała się jeszcze gorętsza, gdy Maradona oświadczył, że wynik mistrzostw świata jest już przesądzony.



*Maradona po przegranym finale mistrzostw świata w 1990 r.*

To niepoparte żadnymi dowodami stwierdzenie było ostatnim z całego ciągu publicznych wystąpień przeciw FIFA, które ta największa organizacja futbolowa oficjalnie oceniła jako przejaw jego niedojrzałości. Sekretarz generalny FIFA, Joseph Blatter, powiedział kiedyś: „Albo jest głupi, albo podły”. Także i Włosi coraz bardziej niechętnie odnosili się do Maradony, wydawało się bowiem, że skłonny jest akceptować tylko to, w czym miał swój udział, sam jednak nierzadko zawodził.

Pod koniec grudnia Napoli znowu znalazło się w pobliżu szczytu włoskiej ligi, Maradona jednak w szesnastu meczach uzyskał tylko sześć goli, z czego trzy z rzutów karnych. Najwyraźniej nową motywacją stała się dla niego perspektywa kolejnych mistrzostw i przewodzenia reprezentacji Argentyny. Zaczął ostrzej trenować, poddał się kuracji odchudzającej i wzmacniającej siłę mięśni, zredukował też liczbę zastrzyków kortyzonu. Przez kilka tygodni wydawało się, że odzyskał dawny geniusz: poprowadził klub do drugiego tytułu mistrzowskiego. Było to jednak pyrrusowe zwycięstwo. Neapol cieszył się, ale mniej było zbiorowego entuzjazmu dla Maradony niż w roku 1987, a na dodatek reakcje w innych częściach Włoch były zdecydowanie mniej jednoznaczne.

Na północ od Neapolu nie żywiono przesadnej miłości do Maradony, na dodatek kontrowersje budziły okoliczności, w jakich Napoli wzięło górę nad Milanem. Klubowi Maradony przyznano walkower w meczu z Atalantą, gdyż bramkarz Napoli, Alemao, został trafiony w głowę monetą ciśniętą przez kibica drużyny przeciwnej. Prezes Milanu, Silvio Berlusconi, powtarzał publicznie, że incydent został rozdęty, a Alemao symulował obrażenie, którego wcale nie odniósł. Protest Berlusconiego odrzucono, wystarczył jednak do tego, by ci z północy Włoch poczuli się wykiwani przez oszustów z południa, którym jako superoszust przewodził Diego Maradona.

Po zdobyciu przez Napoli drugiego *scudetto* Maradona oświadczył:

Chcę powiedzieć coś argentyńskim rodakom. Ten nowy puchar i nową radość dedykuję ojcu. Zaraz po zakończeniu meczu zadzwoniłem do niego i obaj popłakaliśmy się... Powiedział mi, że jest szczęśliwy i cieszy się wraz ze mną, ale nie zapomina także, jak wielu obrzucało mnie wyzwiskami i szaleńczymi podejrzeniami, chociaż każdy powinien wiedzieć, jak ciężko trzeba było walczyć, aby z nizin wspiąć się na poziom, do których dotarliśmy... Plakałem ja, płakał ojciec, płakaliśmy obydwaj. To zwycięstwo dedykuję jemu, bo wiele z mojego powodu wycierpiał.

No cóż, jakby Bóg Ojciec, Bóg Syn... W oczach innych wizerunek Maradony był jednak mniej świątobliwy. W przeddzień mistrzostw świata w 1990 roku po Włoszech zaczął krążyć film wideo z Ioną Staller, La Cicciołiną, aktorką porno i posłanką do parlamentu. Cicciołina jako rozpustna, ale patriotyczna bohaterka baśni spełniała obywatelski obowiązek, doprowadzając przed meczem przeciwników Włochów do fizycznego wycieńczenia. Głównym obiektem jej zakusów był Maradona, grany przez otyłego aktora, tak zadurzonego w sobie, że wolał się masturbować, niż przyjmować wyuzdane awanse Cicciołiny. Film kończy się sceną, gdy Maradona, osiągając autoekstazę, krzyczy: „Brawo, brawo!!!”.

Przed rozpoczęciem turnieju Maradona przekonywał samego siebie, że nawet jeśli ma północ Włoch przeciw sobie, może liczyć na poparcie kibiców z południa. Wielokrotnie dawał do zrozumienia, że oczekuje, by *tifosi* z Neapolu raczej kibicowali graczowi, który właściwie tylko własną nogą zapewnił sukcesy ich klubowi, niż reprezentacji krajowej. Postępowanie takie było niezgodne z zasadniczą i od lat usilnie realizowaną linią FIFA, aby grę jak najbardziej odgradzać od politycznych i osobistych intryg.

Maradona uniknąłby może przynajmniej jakiejś części niechęci, której miał zasmakować, gdyby darował sobie tego typu wystąpienia i skupił się na piłce nożnej. W roku 1990 niewiele jednak było w jego grze magii, którą czarował w Meksyku. Radość ustąpiła miejsca zawziętości. Bliskie mu osoby winiły za to brak jakichkolwiek wskazówek za strony Carlosa Bilardo, a także napiętą atmosferę, jaka zaczęła otaczać Maradonę od chwili, gdy jego stosunki z klubem się pogorszyły. W inauguracyjnym meczu z Kamerunem niewiele się udzielał. Obrońcy tytułu przegrali 1:0, a mediolański stadion San Siro wybuchnął entuzjazmem. Znacznie cieplej przyjęto Maradonę w Neapolu, gdzie Argentyna walczyła ze Związkiem Radzieckim. Znowu na trybunach San Paolo rozbrzmiały okrzyki „Diego, Diego!”, a kibice Napoli i Argentyny razem zagrzewali wspólnego bohatera. Na zwycięstwo Argentyny cień jednak rzuciła błędna decyzja sędziego, także tym razem związana z oszustwem Maradony. Szwedzki arbiter Fredriksson nie dostrzegł tego, jak Maradona, po strzale głową Olega

Kuźniecowa, prawą ręką wybił z bramki piłkę, która w przeciwnym wypadku nieuchronnie wylądowałaby w siatce.

Dopiero w rozgrywanym w Turynie meczu z Brazylią Maradona na chwilę odzyskał pasję i siły, dzięki którym mógł zademonstrować swój talent. Na osiem minut przed końcem spotkania było 0:0. I wtedy Maradona na pozór bez najmniejszego wysiłku przedarł się przez linię brazylijskiej obrony i podał do swego długowłosego przyjaciela, Claudio Caniggii – napastnika, który właśnie z River Plate przeniósł się do Verony – a ten zdobył zwycięskiego gola. Kiedy Argentyna znowu przeniosła się do Neapolu, aby rozegrać tam półfinał z Włochami, Maradona ponownie okazał się swym najgorszym wrogiem, dając upust arogancji i usiłując podburzyć narodowe resentymenty, podczas gdy większość kibiców chciała się radować samą grą.

Czyniąc z meczu element politycznej i społecznej konfrontacji, powiedział:

Włosi chcą, by neapolitańczycy byli Włochami przez jeden dzień w roku, potem jednak za nic sobie mają Neapol. Takich rzeczy ludzie nie zapominają.

Niektórzy z argentyńskich komentatorów uznali to za mistrzowski manewr w wojnie psychologicznej, tymczasem Maradonie udało się co najwyżej przygasić entuzjazm, który mógłby towarzyszyć starciu dwóch dawnych rywali. Dziennikarze odnotowali osobliwą apatyczność *tifosi*, którzy nie dopingowali swojej drużyny z takim zapałem jak w Rzymie czy w Mediolanie. Na koniec cieszyli się tylko argentyńscy kibice, gdyż Włochy przegrały rywalizację w rzutach karnych. Maradona wykorzystał swoją „jedenastkę”, a skuteczna interwencja bramkarza, Sergio Goikoetxea, dała awans Argentynie.

Mistrzostwa zakończyły się dla Maradony tak, jak się zaczęły: gwizdami i obelgami. Trudno było pomyśleć, że to ten sam Maradona, który tak triumfalnie powracał z Meksyku, czy ten, który tyle radości dał wielu włoskim kibicom, kiedy Napoli zdobywało swe pierwsze *scudetto*. A tymczasem najgorsze miało dopiero nadejść.

## 19

### WŁOSKA WENDETA

JUŻ PIERWSZY KONTAKT MARADONY Z CAMORRĄ w roku 1985 rozpoczął proces, w którym bliski krąg osób związanych zaufaniem i lojalnością był zastępowany złowrogą siecią postaci z podziemia. Francesco Maglione, prawnik camorry, tak mówił Maruji Torresowi, dziennikarzowi z hiszpańskiego „El País”:

Zaraz po przyjeździe Maradona zaczął się dopytywać, kto jest we Włoszech najpotężniejszy. Nie chciał poznać burmistrza ani największych intelektualistów; interesowali go szefowie camorry.

Z drugiej strony także i oni chętni byli nawiązać kontakty ze słynnym piłkarzem.

Pod koniec roku 1990 nie sposób już było uchronić przed publicznym zainteresowaniem sieci powiązań, w którą Maradona dał się wciągnąć. Administracja państwowa i policja podjęły w całym kraju działania przeciw zorganizowanej przestępczości, nie mogła się więc utrzymać zasłona milczenia, która spowijała Maradonę od chwili przybycia do Neapolu. Pierwszą tego oznaką było pojawienie się we włoskiej prasie aluzji, że być może Maradona ma problem z narkotykami. Dwudziestego drugiego listopada 1990 roku, dzień po tym, jak Maradona wykręcił się z udziału w kolejnym meczu ligowym, tym razem z Fiorentiną, prestiżowa „Gazzetta dello Sport” opublikowała artykuł podpisany przez jednego z czołowych neapolitańskich dziennikarzy sportowych, Franco Esposito.

Wydaje się, że Maradona czuje się bardzo źle, fizycznie jest wyniszczony – czytamy tam. – Być może jakaś ciemna siła wzięła w swe władanie największego na świecie piłkarza... Na jaką mroczną, tajemniczą chorobę cierpi Maradona?

Esposito, tak jak większość kolegów, był przekonany, że Maradona jest coraz bardziej uzależniony od narkotyków i to negatywnie wpływa na jego grę. Z kolei działacze Napoli, poirytowani powtarzającymi się aktami niesubordynacji piłkarza, po raz pierwszy nie wystąpili ze zdecydowanym *dementi* pogłosek. Maradona nie mógł już być pewien ich ochrony, a wraz z rosnącym naciskiem ze strony policji także prostytutki i handlarze nie widzieli powodów, aby nie ujawnić tajemnic.

Potwierdzenie podejrzeń nastąpiło na początku roku 1991. Siódmego stycznia, tuż po północy, kilka godzin po tym, jak Napoli z Maradoną w składzie przegrało w Turynie z Juventusem 1:0, w domu Carmeli Cingueramy zadzwonił telefon. Przedwcześnie postarzała czterdziestosześcioletnia kobieta o prostackich rysach była jedną z bardziej znanych w Neapolu stręczycielek. Dostarczała prostytutki Mario Lo Russowi, jednemu z szefów camorry, mającemu pod swą opieką kilka najbardziej niebezpiecznych dzielnic miasta.

Cinguerama odebrała na pół rozespana, natomiast dzwoniący, mówiący z wyraźnym akcentem neapolitańskim, zmierzał wprost do sedna sprawy:

– Diego dał mi ten numer... Chodzi o dwie dziewczyny.

– Załatwione – odpowiedziała Cinguerama, natychmiast odzyskując profesjonalną przytomność.

– Ale żeby były naprawdę dobre. Będziemy na nie czekać na Via Manzoni, koło Airone. – Airone to bar koło rezydencji Maradony i hotelu Paradiso.

– Jest tam Diego? – spytała Cinguerama. – Chciałabym z nim porozmawiać.

Usłyszała, że go nie ma, ale telefon zadzwonił raz jeszcze. Była godzina 3.38. Tym razem głos bardzo przypominający Maradonę wypytywał się o dziewczyny obiecane przez stręczycielkę. Zamówienie zostało potwierdzone.

Mniej więcej dwa tygodnie później mąż Cingueramy, Mario Falcone, należący do neapolitańskiego półświatka, opowiadał przez telefon przyjacielowi: „Nie, oni nie przyszli w nocy, ale on tak. Chciał się podkreślić... Przyszedł Maradona po drągi i dziewczynę”.

Rozmowy zostały nagrane przez specjalny oddział policji neapolitańskiej, biorącej udział w tropieniu grupy przestępczej czerpiącej zyski z prostytucji i handlu kokainą, działającej w Ameryce Południowej, Włoszech i Francji. Operacja Chiny, którą kierował major Vittorio Tomasone, na początku koncentrowała się w Neapolu na Mario Lo Russo, Cingueramie, jej mężu oraz na Italo Jovinem, właścicielu kompleksu rozrywkowego Chalet Park, wkrótce jednak objęła też Maradonę i jego otoczenie. Zgodnie z informacjami policji, to szwagier Maradony, Gabriel Esposito, zapoznał go z Jovinem, kuzynem jednego z szefów camorry, mającym już za sobą wyrok za handel narkotykami. Jovine z kolei skontaktował piłkarza z Cingueramą. Innym ogniwem łączącym Maradonę ze światem prostytucji i narkotyków był działający w półświatku Felice Pizza, z którym Diego zaprzyjaźnił się i którego uczynił swym nieoficjalnym asystentem organizującym nocne eskapady, pozwalające uciec od spraw domowych i sportowych. „Geppino”, jak nazywano Pizzę, organizował kokainę i dziewczyny, które miały zabawiać Maradonę.

Nagrano ponad dziesięć tysięcy godzin rozmów, nazwisko Maradony i jego głos pojawiają się w nich jedenaście razy. I on, i Geppino zostali przesłuchani przez policję. Nie wykazano żadnych powiązań piłkarza z kręgiem Lo Russo, natomiast znaleziono podstawy, aby oskarżyć go o posiadanie i rozprowadzanie kokainy. Raport policji stwierdzał:

Słynny piłkarz Diego Maradona w kilku przypadkach prosił Cingueramę o „towar”, i to w sporych ilościach. Przez „towar” rozumiał kokainę.

Sformułowane przez policję zarzuty spowodowały prawdziwą lawinę informacji od prostytutek i modelek, twierdzących, że uczestniczyły w urządanych przez Maradonę w hotelach i prywatnych domach orgiach z seksem grupowym i narkotykami. Bardzo wyrazista była opowieść Brazylijki, Suzy, pracującej w Club 21, jednym z mniej wykwintnych barów w portowej dzielnicy czerwonych świateł. Twierdziła, że po zabraniu jej do hotelu Maradona płacił od sześciuset pięćdziesięciu do ośmiuset dolarów za noc ostrego seksu bez prezerwatywy. „Szczególnie lubił ssać mój duży palec u nogi”, wyznała Suzy. Podobno miewał też ochotę na mniej konwencjonalne akty seksualne, na co ona skłonna byłaby się zgodzić tylko wtedy, gdyby zapłacił jej milion lirów. Ponieważ nie chciał, ona też odmówiła. „Może sobie być artystą, wielkim, sławnym mistrzem świata, ale w łóżku jest traktowany przeze mnie jak wszyscy klienci”, dodała Suzy, która oznajmiła również, że Maradona brał przy niej kokainę, od której ona trzyma się z daleka.

W całym tym zalewie informacji prezentujących Maradonę jako osobę uzależnioną od seksu i narkotyków najgroźniejsze okazały się zeznania Piero Pugliesego. Piątego marca w towarzystwie prawnika, który wcześniej doradzał neofaszystom, Pugliese zjawił się bez zapowiedzi w miejskim Pałacu Sprawiedliwości i zażądał rozmowy z prokuratorem prowadzącym sprawę camorry. Pugliese pracował jako ochroniarz; dopiero później miało wyjść na jaw, że był także najemnym zabójcą na usługach mafii.

Gdzieś w 1989 roku na jakiś czas zawiesił swą jawną i niejawną działalność po tym, jak został przez przyjaciela przedstawiony Maradonie, który zatrudnił go jako szofera. „Pugliese należał do złego kręgu kibiców Napoli, który coraz ciśniej otaczał Diega”, wspominał jeden z bliskich przyjaciół piłkarza. W Buenos Aires Pugliese, który znalazł się w grupie zaproszonych na ślub neapolitańczyków, poznał i poślubił Alessandrę Bertero. Guillermo Coppola zatrudnił ją jako kurierkę, krążącą w interesach DIARMY między Argentyną a Włochami.

Według Pugliesego, Maradona i Coppola wdali się w 1989 roku w handel narkotykami, w czym on miał im pomagać. Na jego prośbę żona dostarczyła mu na lotnisko w Rzymie zabraną z Buenos Aires przesyłkę, którą on z kolei przekazał Coppoli w Neapolu. Bertero sądziła, że w paczce znajdują się czasopisma, w rzeczywistości jednak były w niej dwa kilogramy kokainy. Pugliese twierdził, że i piłkarz, i jego agent doskonale wiedzieli, co znajduje się w przesyłce, za której przewiezienie otrzymał dwadzieścia milionów lirów, przelanych na zlecenie Coppoli z neapolitańskiego konta



DIARMY, którym dysponować mogli on i Maradona. Jedna z nagranych przez prawnika rozmów potwierdzała udział Coppoli w transakcji, w innej Maradona zapraszał Pugliesego do siebie do domu.

Na podstawie tych informacji podjęto kolejne śledztwa przeciw Maradonie i jak to często we Włoszech bywa, przecieki z nich natychmiast zaczęły pojawiać się w prasie, w ślad za czym ruszyła kolejna lawina opowieści „z pierwszej ręki”, które potwierdzały uwikłanie piłkarza w transakcje narkotykowe. Zarówno Coppola, jak i Maradona przyznali, że byli obecni przy dostarczeniu przesyłki, natomiast zaprzeczyli temu, że zawierała kokainę. Dwadzieścia milionów lirów Coppola jakoby wypłacił Pugliesemu na budowę planowanej przez tego drugiego szkoły piłkarskiej pod Neapolem, co wydało się agentowi obiecującym pomysłem, dług zaś miał zostać uregulowany w ciągu trzydziestu dni. Maradona z kolei oznajmił, że on rok później, w przeddzień mistrzostw, udzielił Pugliesemu pożyczki, tym razem na zakup ziemi, a pieniądze miały zostać zwrócone z wygranej w zakładach.

Kobiety z zapalem opowiadające o orgiach z Maradoną zniknęły równie gwałtownie, jak się pojawiły. Dziennikarze tropiący te pikantne wątki zaczęli docierać do podejrzanych świadków, na przykład do fałszywej Suzy (prawdziwa wróciła do Brazylii, by próbować tam kariery modelki), żądającej pieniędzy za dalsze szczegóły. Znacznie trudniej było podważyć wiarygodność rewelacji ujawnianych przez Pugliesego. Ten przyznał się do pięciu zleconych zabójstw, a kiedy zgodził się udzielić informacji o camorze, nie tylko został otoczony ochroną jako świadek koronny, ale także uznany za bardziej wiarygodnego. We Włoszech świadectwa takich nawróconych bandytów, czy *pentiti*, jak ich się tu nazywa, stały się jednym z głównych narzędzi walki z przestępcami. Wygląda jednak na to, że zaczęto manipulować zeznaniami Pugliesego, który zmieniał je i rozbudowywał.

Bardzo szybko przypomniał sobie, że podejrzana paczka została przemycona do Włoch na pokładzie samolotu, którym przyleciała reprezentacja Argentyny z jej trenerem Carlosem Bilardo, a Maradona przez sześć lat pobytu w Neapolu był co miesiąc opłacany przez camorę. I Bilardo, i Maradona zdementowali te informacje. Pugliese oświadczył także, że w sezonie 1987/1988 Maradona na polecenie camorry rozmyślnie sabotował zdobycie przez FC Napoli tytułu mistrza kraju, organizacja chciała bowiem w ten sposób oszczędzić miliony lirów, które musiałaby inaczej wypłacić za zakłady bukmacherskie. W to nie uwierzyli nawet ci, którzy stracili na zakładach.

Tak czy owak, pojawiły się wątpliwości co do wiarygodności Coppoli, które pogłębiło podjęte rok później śledztwo, wiążące agenta Maradony z zabójstwem w nocnym klubie w Buenos Aires. We Włoszech natomiast obciążał go Massimo Crippa, pomocnik Parmy i reprezentant Włoch, który opowiedział przesłuchującym go policjantom, że był świadkiem, jak Coppola oferował Maradonie kokainę podczas imprezy wyprawionej w 1990 roku na jachcie zacumowanym w Zatoce Neapolitańskiej. Narkotyk, dostarczony przez kuriera motorówką, miał zostać wręczony bezpośrednio Coppoli, ten zaś, jak twierdził Crippa, głośno oznajmił: „Koka dojechała”. Pod koniec 1990 roku Coppola wrócił do Argentyny; chwilową rozłąkę z Maradoną – który, jak obwieścił zaraz po przyjeździe do kraju, „nie bierze ani nigdy nie brał żadnych narkotyków” – tłumaczył tęsknotą za dwiema córkami i starą matką.

Aby się bronić, Maradona wynajął jednego z najzdolniejszych neapolitańskich prawników, Vincenzo Sinischalskiego, który kiedyś reprezentował w sądzie członków Czerwonych Brygad. Politycznie przeciwny zinstytucjonalizowanej korupcji, która rozkwitła w powojennych Włoszech, podejrzliwy wobec Coppoli, Maradonę darzył jednak sympatią. Uważał go za szczerego, niewykształconego chłopaka z nizin, któremu się powiodło, a którego jedyną prawdziwą pasją w życiu był futbol. Sądził, że dwudziestodwuletni piłkarz zachował umysł piętnastolatka i to ta niedojrzałość nie pozwalała mu przeciwstawić się zewnętrznym naciskom ani bronić przed manipulacjami.

Sinischalski nigdy nie twierdził, że jego klient nie używał narkotyków, natomiast uważał to za znacznie mniejsze zło niż istniejący w Neapolu system zinstytucjonalizowanej korupcji. Zdecydowanie wrogi camorze, którą uważał za źródło i symptom podstawowego zła społecznego, nigdy nie trafił na jakikolwiek dowód aktywnego udziału Maradony w poczynaniach organizacji, aczkolwiek skłonny był przyznać, że jego klient mógł być nieświadomie wykorzystywany przez

gangsterów i ich pomocników. Uważał, że problemem Maradony nie były narkotyki, lecz system władzy.

Nie miał więc nic przeciw czynionym przez Maradonę aluzjom do spisku przeciw niemu. W jednym z publicznych wystąpień piłkarz oznajmił, że „ktoś chyba mści się na mnie za mecze, których nie powinienem być wygrać”, w ten bowiem sposób naruszył jakieś „piłkarskie interesy”. Nie chodziło mu przy tym o czarnorynkowe zakłady, całkowicie kontrolowane przez camorrę. Maradona zawsze stanowczo twierdził, że nigdy nie brał udziału w meczu, którego wynik za jego wiedzą by „ustawiono”, i nie ma dowodów na to, by było inaczej. Przeciwnie, wydaje się, że camorra od samego początku uznała, że Argentyńczyk jest zbyt charakterystycznym graczem, aby jakiegokolwiek udawanie nie rzuciło się w oczy.

Maradonie chodziło o spotkania, które wygrał dzięki samej sile woli i w dużej mierze na przekór okolicznościom, między innymi o zwycięstwo nad Włochami w mistrzostwach 1990 roku. Jeśli istotnie naruszył wtedy czyjeś interesy, to przegrane czy opuszczone przez niego mecze były dobrą okazją do tego, by posterować zbiorową niechęcią i rzucić niegdysiejszego Króla Neapolu na kolana.

W typowej dla Włoch sytuacji, gdy bez specjalnej obawy o proces można upowszechniać nieudowodnione zarzuty, a droga na wokandę sądową często okazuje się bardzo długa i mozolna, nagrania magnetofonowe, spontaniczne wyznania, a także zmieniające się i chętnie nagłaśniane zeznania takich osób jak Pugliese układały się w system wielkiej zbiorowej napaści. Od początku 1990 roku Maradona był przekonany, że nie pozostaje mu nic innego, jak opuścić Włochy, kazał więc swojemu nowemu menedżerowi, Marcosowi Franchiemu, zrobić wszystko, aby jak najszybciej rozwiązać kontrakt z FC Napoli. Powtarzała się sytuacja, która miała miejsce w Barcelonie.

Klub ze swej strony ani myślał rozkładać nad nim jak dawniej parasola ochronnego. Siedemnastego marca 1991 roku lekarze klubowi po meczu rozegranym na własnym stadionie z Bari niespodziewanie dwukrotnie poddali Maradonę kontroli antydopingowej. Pierwsze badanie przeprowadził lekarz drużyny, Arcangelo Pepe, drugie – grupa zewnętrznych medyków, zaaprobowana przez zarząd klubu i Maradonę. W obu przypadkach wyniki były pozytywne: w moczu znajdowały się ślady kokainy. Nie były wielkie, stanowiły pozostałości dawki wchłoniętej kilka dni wcześniej, wystarczało to jednak do formalnego oskarżenia zawodnika przez włoskie władze piłkarskie.

Natychmiast po przeprowadzonych badaniach Maradona złożył publiczną deklarację:

Oświadczam, że jako sportowiec nigdy nie złamałem zasad lojalności i rzetelności, a do swoich obowiązków podchodzę z pasją i zaangażowaniem.

Późniejsze, bardziej rozbudowane, wyjaśnienia Sinischalskiego są w jeszcze większym stopniu dwuznaczne i praktycznie sprowadzają się do stwierdzenia, że jego klient jako sportowiec jest niewinny, gdyż kokainę zażywał tylko dla przyjemności, a nie po to, aby poprawić swoje wyniki. Musiało upłynąć sześć lat, żeby Maradona wyznał, co naprawdę działo się w Neapolu. W wywiadzie dla gazety „Gente” powiedział: „Tam narkotyki były wszędzie, praktycznie podawano mi je na tacy”, i dodał, że chciał, aby badanie przyniosło wynik pozytywny, odruchowo bowiem rozglądał się za jakąś pomocą, która uchroni go od uzależnienia.

Wieczorem pierwszego kwietnia 1991 roku Maradona po raz ostatni przemknął między kordonem wścibskich obserwatorów, przez całą dobę otaczających jego neapolitański dom. Zmęczony i rozżalony, w towarzystwie Franchiego wszedł do samolotu i odleciał do Argentyny. Nazajutrz rozgniewani i rozżaleni koledzy z drużyny i tifosi zgromadzili się w milczeniu niczym podczas pogrzebu na stadionie San Paolo. Cóż za kontrast w zestawieniu z powitalną ceremonią sprzed sześciu lat! Maradona spadł, jak mówi włoskie powiedzenie, *dalle stelle alle stalle*, „z nieba do piekła”.

Koszmar jednak wcale się nie skończył. Cztery tygodnie później policja wkroczyła do mieszkania, które Maradona wynajął dla El Soldadito, kierowcy i przyjaciela, którego wyciągnął z nędzy w Esquinie. Po całym dniu picia i narkotyzowania się Maradona spał w jego łóżku z dwiema dziewczynami. Na stoliku obok znajdowało się kilka gramów kokainy. Policjant potrząsnął nim, a on,

półprzytomny, nieogolony, usiłował zorientować się w sytuacji. „Gdzie Claudia? – spytał, po czym wybełkotał: – Nie... Tak... Claudia jest w domu... A to nie jest mój dom”.

Po przylocie z Włoch Claudia i Franchi próbowali zapewnić mu profesjonalną pomoc, ale nie mieli już wpływu na rozwój zdarzeń. Diego wymknął się spod kontroli, zapadał się coraz bardziej w narkotykową czeluść, gdzie zawarł kilka nowych znajomości. Od chwili, gdy policjanci uprzedzili dziennikarzy o planowanym nalocie na mieszkanie El Soldadito, nie mógł też liczyć na pomoc Menema, który mając własne problemy rodzinne – jedna z bliskich mu osób wplątała się w handel narkotykami – mógł się tylko cieszyć, że powszechna uwaga skupiła się na piłkarzu. Jak powiadano w Buenos Aires, Menem z chęcią rzucił Maradonę na pożarcie, aby ratować własną skórę.

## 20

### WALKA Z KOKĄ

JEST KWIETNIOWY NIEDZIELNY WIECZÓR; w Argentynie zbliża się zima. W mieszkaniu w Buenos Aires – nie tym, które kilka godzin wcześniej policja przeszukała, próbując znaleźć narkotyki, lecz tym, które od powrotu z Włoch dzieli z Claudią i obiema córkami – dochodzi do spotkania, jakiego dotąd nie było. Obok Claudii biorą w nim udział rodzice Diega, Tota i Chitoro, jego rodzeństwo oraz menedżer, Marcos Franchi.

Diego ma na sobie piłkarskie spodenki i T-shirt, nogi są bose. Na pierwszy rzut oka normalny niedzielny wieczór, czas na odpoczynek po sportowych wysiłkach. Tyle że rodzina jest milcząca i poważna, a Diego musi odpowiadać na upokarzające pytania. Wynika to z obecności w pokoju osób, które nie należą do częstych gości w tym domu: dwóch znanych psychologów, których sąd wyznaczył, aby pomogli Maradonie wydobyć się ze szponów narkotyków. Nie ma wielkiego wyboru: musi przełknąć dumę, ponieważ aresztowany pod zarzutem posiadania i zażywania narkotyków, został wypuszczony za kaucją; odbył się proces i teraz Diego, zgodnie z argentyńskim prawem, albo podda się terapii, albo pójdzie do więzienia.

Jak daleko sięga pamięcią, zawsze zajmował w rodzinie uprzywilejowaną pozycję. Pierworodny syn, uwielbiany przez matkę, otaczany opieką przez ojca, podziwiany przez braci i siostry, stał się zbawcą rodziny, wydobył ją bowiem z nędzy i pozwolił uczestniczyć w sławie i owocach sukcesu. Dzisiejszego wieczoru Maradonowie są jednak świadkami tragedii, której nie potrafią do końca pojąć. W ich oczach mniej jest pretensji, a więcej żalu i rozczarowania. Twarde spojrzenia psychologów nie pozostawiają złudzeń co do tego, że Diego występuje w tym pokoju nie jako gwiazdor czy bohater, lecz jako pacjent. Instynkt narzuca mu postawę obronną; od początku sportowej kariery nieustannie otaczali go medycy, ale ufał tylko tym, którzy prezentowali nieortodoksyjne podejście.

Psychologowie są wychowankami akademii, w których programie futbol nie stanowi żadnego osobnego przedmiotu. Niewiele ich obchodzi to, czy mają przed sobą sławnego piłkarza, czy kramarza, liczy się to, że ktoś ma problem z narkotykami i trzeba go z tego wyciągnąć. Tam gdzie chodzi o uzależnienie, nie ma przywilejów. Już podczas pierwszego spotkania wzrok Maradony nie pozostawia u kierującego terapią doktora Rubena Navedo wątpliwości, że Maradona stanowczo nie chce oddać się w ręce lekarzy.

Zupełnie jakby mi mówił w tym momencie: „Nie wierzę żadnym łapiduchom, nie wierzę w cały ten cyrk”. Dlatego proszę go, aby bez namysłu powiedział, co czuje. „Nie wierzę w to”, odpowiada, na co ja: „W takim razie porozmawiajmy dlaczego”. I tak się zaczęło.

**ZAWODOWA KARIERA MARADONY ZOSTAŁA** gwałtownie zahamowana i ci, którzy zajmowali się jego interesami, rozumieli, że bez pomocy lekarskiej przyszłość rysuje się czarno. Menedżer Franchi jest nadal utrzymywany w niewiedzy co do skali problemu: Maradona zapewnia go, że bierze kokainę dopiero od kilku miesięcy. Jego i resztę Maradonów, a zwłaszcza Claudię, najbardziej niepokoi to, że Diego, jak się wydaje, stracił wszelką motywację, wszelką orientację co do celów życia. W pierwszej chwili piłkarskie spodenki i T-shirt mogą budzić jakieś sportowe skojarzenia, ale nieustannie przybiera na wadze i jest rozkojarzony; niewielki z niego pożytek jako piłkarza. Co więcej, po pozytywnych wynikach testów w Neapolu i aresztowaniu w Buenos Aires wartość rynkowa Maradony spada; jako pierwsze wycofują się z umów koncerty japońskie.

Nie tylko więc wyrok sądu sprawia, że nie ma alternatywy dla terapii. Pewne jej elementy poznał już Maradona w mniej dramatycznych momentach swej kariery: ścisła dieta oparta na owocach

i warzywach, dużej ilości wody i eliminacji jakiegokolwiek alkoholu, codzienne ćwiczenia w pobliskiej hali sportowej, bieg w parku Palermo. Inne elementy są nowe i znacznie trudniejsze do akceptacji. W porozumieniu z rodzicami, Franchi i psychologowie decydują, z kim Diego może, a z kim nie może się spotykać. Osobom podejrzanym o zły wpływ nie wolno się do niego zbliżać. Do tego grona zostaje zaliczony Guillermo Coppola; to on, mówią bliscy Maradony, wciągnął piłkarza w szaleństwo nocnego życia Neapolu i pozostawił samemu sobie, gdy tylko stosunki z zarządem klubu weszły w krytyczną fazę. Coppola uważa, że jest traktowany niesprawiedliwie, powtarza wszystkim dookoła, że właśnie we Włoszech, gdy opiekował się Maradoną, ten odnosił największe sukcesy. Także Coppola uważa się za ofiarę spisku.

Mogą kontaktować się z Maradoną jego pierwszy agent, Jorge Cyterszpiller, oraz dwaj trenerzy reprezentacji Argentyny, Carlos Bilardo i César Menotti. Zwłaszcza ten drugi nie zachowuje w pamięci żadnych uraz. Od czasów rozstania z Barceloną nie byli w dobrych stosunkach; doszło do publicznej kontrowersji między nimi w sprawach futbolu, przestali się widywać i kontaktować. Dowiedziawszy się jednak o kłopotach Maradony, Menotti sam do niego dzwoni. „Nie najlepiej układało się ostatnio między nami, ale jestem do dyspozycji, jeśli tylko będę mógł w czymś pomóc”. Tej wielkoduszności Diego nigdy mu nie zapomni.

Całej trójce wolno się widywać z Maradoną, ponieważ lekarze i Franchi oceniają, że pozytywny wpływ Cyterszpilera i obu trenerów polegał na tym, że pomagali rozwijać się talentowi Diega, wskazując mu cele do zdobycia, a zarazem szanowali go jako człowieka.

Sam Maradona, neurotyczny, węszący wszędzie spisek, nie potrafi odróżnić prawdziwych przyjaciół od ludzi, którzy chcą go tylko wykorzystać, instynktownie jednak lgnie do Adriana Domenecha, z którym zaprzyjaźnił się na długo przed tym, jak zyskał sławę. To z nim spędził wiele beztrudnych i szczęśliwych dni jako nastolatek. Gdy razem grali w Argentinos Juniors, mogli wieczorem wypuszczać się ze swymi dziewczynami do kina czy na pizzę, bez towarzystwa natrętnych paparazzich i ciężaru wielomilionowych kontraktów. Będąc już sławny i bogaty, Maradona chciał sfinansować ślub Domenecha i miodowy miesiąc młodej pary w Barcelonie, przyjaciel jednak odmówił. Małżeństwo było jego własną sprawą, a od Maradony chciał tylko przyjaźni, niczego więcej. Dziesięć lat później pewnego ranka twarz Diega, z którym nie widywał się od czasu jego wyjazdu do Włoch, spojrziała na niego z okładek gazet i ekranu telewizora, a oskarżenia o narkotyki nim wstrząsnęły.

W trakcie następujących tygodni robi wszystko, aby zmniejszyć w przyjacielu poczucie osaczenia.

Jest więzieniem we własnym domu, nie może już jak kiedyś przebrać się po treningu i iść do kina. Przy wejściu czekają dziennikarze, a zresztą cokolwiek chce zrobić, musi prosić o zgodę lekarzy.

Domenech cały swój czas poświęca Maradonie: je razem z nim, trenuje, chce mu pomóc w odzyskaniu poczucia własnej wartości. To jedna z tych osób, o których można powiedzieć, że Maradona miał szczęście, spotykając je na swej drodze.

Innym piłkarzem, który ma pomagać w terapii Diega, jest Sergio Batista, brodaty pomocnik, który także grywał za granicą. W reprezentacji Maradona najbardziej przyjaźnił się z nim i Valdano. Ten drugi interesuje się nie tylko grą; to lewicujący intelektualista, który w świecie futbolu tropi kapitalistyczny spisek i w roku 1986 inspiruje Maradonę do publicznych wystąpień przeciw FIFA. Kiedy teraz Diego zostaje aresztowany przez argentyńską policję, Valdano natychmiast oświadcza, że jest to część zaplanowanej akcji, która ma odwrócić uwagę opinii publicznej od politycznych kłopotów rządu i skompromitować piłkarskiego geniusza. Trudno się dziwić, że zostaje zaliczony do grona osób, z którymi Diego nie powinien się spotykać, skoro sam z wielką ochotą szuka usprawiedliwień w zewnętrznych knowaniach i spiskach. Inaczej rzecz ma się z Batistą, który od razu sam zgłasza się na ochotnika, aby tylko dotrzymać Maradonie towarzystwa. Wraca do wspólnych dobrych chwil, gdy potrafili się cieszyć i bawić samą grą; ze śmiechem wspominają, jak przed którymś z ważnych spotkań reprezentacji nagrali przed kamerą wywiad, którego głównym tematem

był seks. Batista powtarza Maradonie, jak ważną był postacią w drużynie, jak wiele znaczyła jego inspiracja, gdy zdobywali mistrzostwo świata.

**M**ARADONA NIGDY NIE ZAPOMNIAŁ o swych korzeniach; w towarzystwie przyjaciół często mówił o trudnych warunkach, w jakich żył w dzieciństwie, ale wspomnienia to dla niego przede wszystkim emocje, rzadko zastanawia się nad ich sensem. Nie troszczy się też o spójność własnych opinii na temat otaczającego świata. Dopiero teraz po raz pierwszy musi się zastanowić nad swoim życiem, aby sobie samemu i innym pomóc zrozumieć naturę „choroby”. Co więcej, musi podjąć samodzielne decyzje: grać dalej czy zrezygnować i odejść na „emeryturę”, samemu kształtować swój los czy zdać się na bieg zdarzeń?

Dotychczas problem narkotyków podejmował tylko w gronie najbliższych przyjaciół; nie rozmawiał o tym nawet z rodzicami. Od najmłodszych lat bardzo zależało mu na ich aprobacie, którą teraz obawiał się stracić. Podczas prywatnych sesji terapeutycznych zaczyna mówić o narkotykach z osobami, które nie chcą odurzać się wspólnie z nim, lecz usunąć ten element z jego życia.

Przypominają mu się sceny, gdy użycie narkotyków sprawiało ból jego bliskim lub wystawiało na niebezpieczeństwo karierę. Wszystko zaczęło się w Barcelonie, gdy zaczął sięgać po kokainę dla przyjemności, ale we Włoszech stała się już i przyczyną, i oznaką wewnętrznego rozpadu. Gdy w Barcelonie Claudia po raz pierwszy zobaczyła na imprezie, jak wciąga kokę, zrobiła mu z tego powodu awanturę. Narkotyk stał się zagrożeniem dla ich związku, kiedy nastał czas sekretnych nocnych eskapad, okropnych poranków i niekontrolowanych wybuchów emocji. Już na wyreżyserowanej na hollywoodzką modłę ceremonii ślubnej cieniem położyły się przypadki niewierności Diega.

Czujesz, że żyjesz – opowiada Maradona – ale tak naprawdę koka wcale nie pomaga, nie wzmacnia cię, wprost przeciwnie: osłabia, powoli zabija. – Urywa. Zastanawia się i ciągnie: – Najpierw to wielki wstrząs. Czujesz się tak, że mógłbyś rozwalić cały świat. Potem przychodzi straszna samotność i strach. A później opadają cię wątpliwości i wszystko zaczyna się walić...

Wspomina, jak obchodził cały dom, sprawdzał, czy drzwi są zamknięte, bo nie chciał, żeby córki przyłapały go na braniu. Ale bywało, że zapominał o tych detalach i pozwalał, by widziały go w takim stanie, że nie potrafił się z nimi porozumieć.

Stanowczo zaprzecza, że kiedykolwiek sięgał po narkotyki, aby pomogły mu w grze, nie zgadza się też z tym, że kokaina wpłynęła negatywnie na jego piłkarskie osiągnięcia, aczkolwiek to właśnie z powodu złego samopoczucia po narkotykach opuszczał treningi i mecze, to przez nie tracił koncentrację i pasję.

We wspomnieniach uparcie powraca wątek nędzy zaznanej w dzieciństwie, rodziców tak zapracowanych, że nie mieli kiedy rozmawiać z dziećmi o tym, co czują, ojca, który wracając z pracy, mógł rozmawiać tylko o niej, a te resztki czasu, które mu pozostawały, poświęcał na dopilnowanie, by syn trenował...

Jak wielu innych narkomanów, Maradona myśli o przeszłości ze smutkiem, żalem i... ulgą. Czuje wstyd i żal, że zawiódł rodzinę i przyjaciół, ulgę – bo nie musi już ukrywać swego uzależnienia. Zarazem nie daje się przygnieść poczuciu porażki. Szczególnie jeden obraz uparcie wraca podczas kolejnych sesji: kilkuletni chłopiec wpada do szamba, z którego ratuje go stryj Cirilo. To wspomnienie buduje w nim pewność, że można się podnieść nawet z najgłębszego upadku, że jak już bywało wcześniej, dzięki sile woli pokona osobiste słabości i powróci na drogę sukcesu.

Im dłużej jednak trwa terapia, tym bardziej Diego umacnia się w przekonaniu, że psychologowie są zdania, że jedynym lekarstwem jest radykalna zmiana sposobu życia. Odżywają w nim paranoiczne podejrzania: psychologowie traktują go jak obiekt naukowego eksperymentu. Pewnej nocy ma straszliwy sen. W willi w Moreno, na pampie, skacze do basenu, dotyka dna, ale kiedy odbija się i chce wypłynąć, zdaje sobie sprawę, że woda poczerniała i on niczego nie widzi. Wyciąga ręce, lecz i one nikną w czerni. Zaczyna tonąć i w tym momencie budzi się zlany potem.

Dziennie odbywają się dwie sesje terapeutyczne. Mężczyzna, który skończył tylko podstawówkę i tak naprawdę interesował się w życiu jedynie futbolem, leżąc na kozetce, musi opowiadać o dzieciństwie i wewnętrznych lękach dwóm uczniom Freuda i Junga. Wkrótce nie wie, o czym jeszcze mówić. Nienawidzi momentów ciszy, które zapadają, gdy nie potrafi sobie czegoś przypomnieć. Nienawidzi chwil, gdy nie może mieć piłki przy nogach, musi natomiast odpowiadać na pytania specjalistów, którzy pewnie w życiu nie byli na stadionie podczas meczu.

– O czym teraz myślisz? – pyta na początku popołudniowej sesji drugi z psychologów z wyraźnym peruwiańskim akcentem w głosie.

– A o czym, kurwa, mam myśleć? – nie wytrzymuje Maradona. – O to samo pytałeś dwie godziny temu.

Pojawia się Claudia, wezwana, aby uspokoić męża. Tym razem jest jednak po jego stronie.

– Nigdy nie brałam narkotyków, ale i ja nie wiedziałabym, jak odpowiadać na takie pytania.

**DIEGO MARADONA** NIE BARDZO WIE, jak radzić sobie z poczuciem porażki. Od chwili, gdy po raz pierwszy wystąpił przed kamerą telewizyjną, demonstrując swą żonglerkę piłką, miał zapisane głęboko w duszy, że jest najlepszy. Kiedy znalazł się we Włoszech, za sprawą mediów i kibiców jego obraz samego siebie rozdał się do rozmiarów rzadko chyba spotykanych u największych bohaterów sportu. Staje się świętym, mesjaszem, posłańcem Boga i wykonawcą jego woli. Futbol nasycy się elementem nadnaturalności. W Meksyku oszukańczy gol, określony jako „ręka Boga”, a po nim akcja wprawiająca widzów w stan zachwyty sugerują, że oto pojawił się gracz o umiejętnościach wykraczających poza zwykłe standardy. We Włoszech dochodzi do katastrofy, ale w swych oczach Maradona staje się męczennikiem, przeciw któremu wystąpili ci, którzy go wcześniej wielbili. Jest ofiarą nie swej słabości, lecz zdrady i spisku uknutego przez faryzeuszy. Musi podporządkować się sądom włoskim i argentyńskim, aby liczyć na ich łaskawość niczym gladiatorzy przed obliczem cesarza. Maradona winą za narkotyki obarcza nie siebie, lecz zewnętrzne naciski.

A przecież to właśnie te naciski mogą przywrócić mu zaufanie do siebie, zwłaszcza w Argentynie, gdzie ludzie tak bardzo identyfikują się z chłopakiem ze slumsów, który zdobył tytuł piłkarza wszech czasów. Kiedy kilka dni po powrocie z Włoch Maradona udaje się na mecz Boca Juniors, wieść o jego obecności roznosi się i kibice jak niegdyś wznoszą okrzyki: *Olé, olé, olé... Diego, Diego!*... Widzowie na trybunach powtarzają pieśń:

*Jest w Argentynie banda, banda złoczyńców, którzy kazali zapuszkować Maradonę. Ale my wiemy, że i Menem lubi wciągnąć.*

Z podobnymi wyrazami sympatii Maradona spotyka się kilka dni później, gdy opuszcza komisariat, zwolniony z aresztu. Kibice obrzucają wyzwiskami policję i wiwatują na cześć piłkarza. Dla większości świata obraz nieogolonego, wyraźnie wyniszczonego fizycznie Maradony, aresztowanego za narkotyki, jest końcem pewnej historii, tymczasem dla jego fanatycznych miłośników nawet ten widok ma w sobie coś nadprzyrodzonego: policjanci przywodzą na myśl rzymskich centurionów, a ludzie oplakują udręczonego zbawiciela, przekazując z ust do ust wieść o zdradzie i spisku. Naród argentyński nie potępia Maradony. Przeprowadzone na zlecenie największej w kraju gazety, „Clarín”, badanie opinii publicznej wykazuje, że siedemdziesiąt jeden procent pytanym wierzy w jego niewinność. Podobnie liczna grupa nadal uważa go za swego idola.

Maradona i rodacy nawzajem się potrzebują. Kiedy po aresztowaniu za posiadanie i zażywanie narkotyków staje przed sędzią Amelią Berrez de Vidal, która pyta go, od jak dawna jest związany z narkotykami, odpowiada z dumą przypominającą postawę Jezusa przed Piłatem: „Wysoki Sądzie, jeśli z czymś się związałem, to z piłką, w którą grałem dla mej ojczyzny. Mogę to poprzysiąc na życie córek”. Nie tylko odmawia odpowiedzi – nie czuje się za nic odpowiedzialny.

Po powrocie z Włoch Maradona przez chwilę rozmyśla nad tym, by na dobre rozstać się z piłką i bez reszty poświęcić uwagę żonie i córkom. Ale okrzyki *Olé, olé, Diego!* uzmysławiają mu, że byłaby to tak naprawdę rezygnacja z siebie. Całe swoje dotychczasowe życie związał z futbolem; teraz czuje, że nie uratuje go wylegiwanie się na kozetce i opowiadanie o przeszłości, a może uratować jedynie siła woli, której zawdzięczał dawne parcie do sukcesu. Opiekujący się nim lekarze i Franchi mają wątpliwości. Oni nie wierzą w żadne spiski – przyczyny kłopotów Maradony upatrują w jego słabości – ale spierają się, jakie rozwiązanie będzie najlepsze.

Trzy miesiące po rozpoczęciu terapii Maradona oświadcza, że ma już dość opowiadania o dzieciństwie, i w tajemnicy kończy sesje terapeutyczne, z własnej inicjatywy powracając do tego, co najlepiej w życiu poznał. Po pozytywnych wynikach testów w Neapolu nałożono na niego piętnastomiesięczną dyskwalifikację, ale obejmuje ona tylko występy profesjonalne. W rozgrywanym w hali turnieju amatorów strzela dwie bramki, wkrótce potem występuje w meczu zorganizowanym na cele charytatywne, wcześniej trochę potrenowawszy na stadionie Boca Juniors.

Wśród tych, którzy uważnie obserwują „odrodzenie” Maradony, jest Carlos Bilardo, jeden z niewielu trenerów, którym udało się pozytywnie go motywować dzięki umiejętnemu spleceniowi wyrozumiałości i dyscypliny. To pod jego kierownictwem Diego wspiął się na najwyższy jak dotąd szczyt profesjonalizmu, jaki osiągnął na mistrzostwach świata w Meksyku w roku 1986. Bilardo nie trenuje już reprezentacji; zrezygnował z tego po nieudanym turnieju we Włoszech w 1990 roku, ale ma pod swoją opieką hiszpański klub FC Sevilla i chce wziąć Maradonę do drużyny, gdy upłynie okres dyskwalifikacji. Sytuacja Sevilli przypomina położenie Napoli, gdy klub w 1984 ściągał do siebie Maradonę. FC Sevilla nigdy nie mogła rywalizować z możliwymi rywalami, z Realem Madryt i FC Barceloną, ale stara się utrzymać w pierwszej lidze. Bilardo nie kryje przed Maradoną, że w następnym sezonie będzie walczył o zajęcie miejsca między piątym a ósmym. „Trzeba się pogodzić z tym, że mistrzostwo zdobędą Real lub Barça”, mówi.

W klubie nie wszyscy są zachwyceni perspektywą przyjazdu Maradony. Przeciwnicy tego pomysłu nie tylko wątpią, czy uda się nad nim zapanować, ale także nie wierzą, by skórka warta była wyprawki. Niemniej Bilardo ma po swojej stronie prezesa klubu, Luisa Cuervasa, i wiceprezesa, José Marię del Nido. Dzięki niedawnym targom Expo Sewilla znalazła się w centrum międzynarodowej uwagi i nie można już jej traktować jako zacofanej prowincjonalnej miejsciny. Zyskała lotnisko międzynarodowe, sieć połączeń autostradowych, superszybką linię kolejową do Madrytu. Szefowie klubu liczą na to, że pozyskanie Maradony zaowocuje lukratywnymi kontraktami z telewizją i reklamodawcami.

Propozycja Carlosa Bilardo podoba się Marcosowi Franchiemu i Rubenowi Navedo, temu z dwóch psychologów, który pozostał przy Maradonie jako doraźny konsultant. Cała trójka przekonuje Diega, że FC Sevilla daje mu możliwość powrotu do najprawdziwszego zawodowego futbolu, a zarazem sytuacja nie będzie tam pełna dawnych napięć. Jest problem z Napoli, klub bowiem dalej uważa się za właściciela Maradony, który jest związany kontraktem podpisanym w roku 1987. Władze klubu oznajmiają, że Maradona nie jest na sprzedaż, i odrzucają dwa i pół miliona funtów, które Sevilla proponuje jako odstępne, chociaż Cuervas zdążył już obwieścić, że Diego będzie grał w jego klubie. Maradona czuje, że powrót do Włoch byłby tym samym co samobójstwo. Nie tylko czekają go tam sprawy sądowe – jedna w związku z narkotykami, druga o uznanie ojcostwa – ale co więcej, jest przekonany, że uknuto tam spisek, którego jedynym celem jest unicestwienie go. Przez menedżera Franchiego i prawnika Bolotnicofa stawia warunki, których, jak wie, klub nie będzie mógł spełnić: willa na Capri, co sześć tygodni urlop, umorzenie długu w wysokości dwóch milionów funtów. Od czasu jego wyjazdu Napoli popadło w kłopoty finansowe, ma trudności z uzyskaniem kredytów bankowych; nie może sobie pozwolić na taki wydatek. Sevilla oficjalnie oznajmia, że jest w stanie spełnić żądania Maradony.

W tej patowej sytuacji na scenie pojawia się sekretarz generalny FIFA, Joseph Blatter. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że trudno od FIFA oczekiwać pomocy. Maradona złamał przepisy, był niesubordynowany, krytykował federację jako organizację autokratyczną i niedbającą o piłkarzy. Blatter uważa jednak, że sporo może zyskać, jeśli wystąpi jako orędownik Maradony, dzięki któremu



piłkarz będzie mógł powrócić do gry. Cokolwiek się wydarzyło, jest on nadal jedną z najbardziej znanych postaci w świecie futbolu. Blatter i Havelange myślą już o mających się odbyć w 1994 mistrzostwach świata; występ Maradony mógłby przyczynić się do ich finansowego sukcesu. Kto wie, czy nie ułatwi powstania w Stanach Zjednoczonych ligi piłkarskiej z prawdziwego zdarzenia. Jeden z działaczy FIFA opowiada:

Nasi szefowie bardzo lubią pokazywać, że robią wszystko, co może dopomóc piłce, a sprawa Maradony była dobrą ku temu okazją. Sevilla podjęła emocjonalną decyzję, że chce go mieć u siebie, Napoli – racjonalną, że woli się go pozbyć. A FIFA mogła na tym tylko skorzystać.

Blatter jest tak o tym przekonany, że z błogosławieństwem Havelange'a decyduje się wystąpić jako negocjator. Mniejsza z tym, że zgodnie ze statutem FIFA powinna się tego podjąć Komisja Statusu Graczy. Przy autorytarnym stylu zarządzania organizacją przez tandem Havelange/Blatter ważne decyzje bardzo często są podejmowane na samej górze.

Pięciogodzinne spotkanie Blattera z przedstawicielami obu klubów, do którego dochodzi w siedzibie FIFA w Zurychu, kończy toczące się od kilku miesięcy negocjacje. W rozmowie, którą Blatter przeprowadził ze mną w roku 1996, oświadczył, że dumny jest z tego, co udało się uzyskać tego wrześniowego wieczoru w 1992 roku. Niewykluczone, że czas, jaki od tego momentu upłynął, a także chęć sprzeciwienia się zarzutom, że pod rządami Havelange'a panowała w organizacji atmosfera bezwzględного merkantylizmu, dodał nieco barwy jego słowom:

Powiedziałem, że Maradona jest członkiem naszej rodziny, którą zawiódł i został za to ukarany. Wycierpiał jednak swoje i teraz rodzina musi zrobić wszystko, aby pomóc mu powrócić na swoje łono.

Cokolwiek jednak opowiadałoby się o etycznych racjach, które stały za porozumieniem, czynnik finansowy odegrał w nim niebłahą rolę, a za kulisami ścierały się bardzo różne interesy. Ostatecznie Ferlaino przystał na cztery i pół miliona funtów za transfer Maradony, ale jeden z punktów umowy mówił o odstąpieniu praw telewizyjnych konsorcjum Telecinco, którego współwłaścicielem był Silvio Berlusconi, prezes AC Milan.

Na zewnątrz sprawa wygląda tak, jakby dzięki Maradonie nagle w wielkiej futbolowej rodzinie zapanowała powszechna harmonia. Po podpisaniu umowy Blatter oznajmił światowej prasie, że FIFA oczekuje teraz od Maradony powstrzymania się w przyszłości od obraźliwych uwag pod adresem działaczy klubowych, krajowych i międzynarodowych.

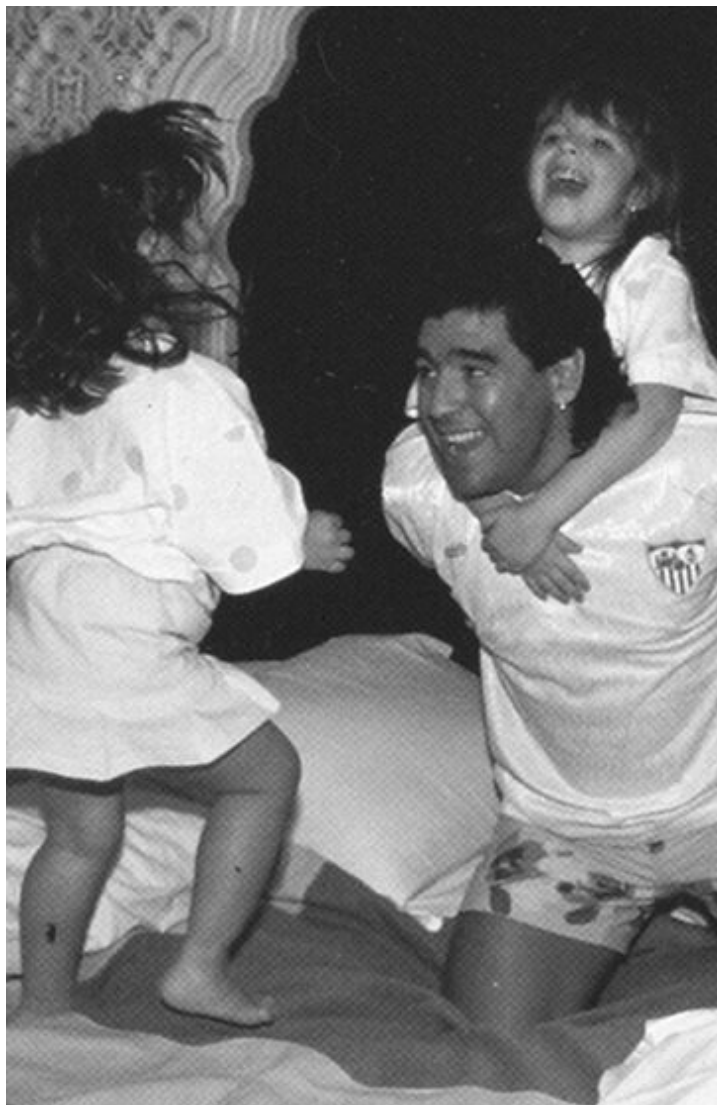
Tak trzymać, Joseph!

SEWILLA, MIASTO DON JUANA i Carmen, jest, mówiąc słowami hiszpańskiego pisarza Camilo José Celi, „błękitna jak niebo i zielona jak drzewo oliwkowe”; nieustannie zmienna, potrafi inspirować nawet największych ponuraków. Nie ma w sobie nic z ekskluzywnego wyrafinowania Barcelony czy niektórych dzielnic Buenos Aires; sporo jest tu świątyn i krucyfiksów, nigdy jednak nie traktuje nazbyt poważnie ani siebie, ani nikogo innego... To cygańskie miasto, w którym mecze piłkarskie, podobnie jak walki byków, ogląda się w atmosferze fiesty.

Tutejsi kibice lubią meksykańską falę. Jeśli mecz jest nudny, ożywiają go rytmicznymi oklaskami w rytmie flamenco lub zabawnymi tekstami śpiewanymi na melodię *Guantanamera* lub *Marsylianki*. Aby dobrze się poczuć w Sewilli, trzeba mieć dwie rzeczy: poczucie humoru i to, co Cyganie nazywają *duende*, czyli duszę. Od niepamiętnych czasów dobrze jest tu rozgrywać mecze międzypaństwowe, gdyż Baskowie, Katalończycy czy Kastylijczycy wiedzą, że w atmosferze andaluzyjskiej radości mogą odłożyć na bok regionalną lojalność i grać dla całej Hiszpanii. Czy jest jeszcze gdzieś na świecie klub, który na zewnętrznym murze stadionu umieściłby emblematy wszystkich krajowych drużyn?

To dzięki temu stadionowi FC Sevilla zyskuje tysiące nowych członków, na co zawistnie spogląda lokalny rywal, Betis, klub, który uważa siebie za robotniczy i który nigdy nie rozporządzał wielkimi funduszami. Tymczasem w ciągu czterech dni od przyjazdu Maradony przychody ze sprzedaży

biletów wzrosły o 2,2 miliona funtów. W spokojnej willowej dzielnicy Maradona wynajmuje luksusowy apartament od zaprzyjaźnionego toreadora o imieniu Espartaco. Uczy się flamenco i marzy o walce z bykami. Śni mu się, jak przybywa do Sewilli jako toreador odziany w zielono-złoty strój – to ulubione kolory Maradony. Na boisku piłkarskim czasami udaje mu się wykrzesać z siebie dawną magię; mając za partnera Diega Simeone, rozgrywa dwa wspaniałe spotkania: jedno z Realem Madryt, drugie ze Sportingiem Gijón. Tylko że oprócz tego występuje jeszcze w dwudziestu czterech meczach.



*Ojciec rodziny, Sewilla, 1992 r.*

Dzisiaj trudno o kibica, który pamiętałby jego udział w tych grach. Miał nadwagę, nie potrafił podporządkować się dyscyplinie treningowej. W FC Sevilla nie skutkuje opracowana przez Carlosa Bilardo mieszanka wyrozumiałości i stanowczości, czy raczej należałoby powiedzieć: tym razem pierwszej jest za dużo, drugiej – za mało. Próbowano kierownictwa klubu, aby wymusić na zawodniku grę, która w jakiejś przynajmniej mierze odpowiadałaby wyłożonym na niego pieniądзом, nie sprzyjają żądania nowego trenera argentyńskiej reprezentacji, Alfio Basile, którego filozofia futbolu sytuuje się gdzieś pomiędzy „poetyckim” podejściem Menottiego, a pragmatycznym Carlosa Bilardo. Basile powołuje Maradonę na kilka spotkań; działacze Sevilli, poirytowani licznymi absencjami Argentyńczyka, protestują, ale on i tak wyjeżdża. Przez całe profesjonalne życie najostrej reagował

na wszelkie próby ograniczenia jego posunięć, nawet jeśli oznaczało to naruszenie postanowień kontraktu; teraz też ani myślał ulegać zachciankom prawicowca w rodzaju Cuervasa, prezesa FC Sevilla, który coraz bardziej upodabniał się do Núñeza i Ferlaina.

Nie obywa się bez skandali. Którejś nocy Maradona zostaje zatrzymany przez policję, gdy swoim porsche gna dwieście kilometrów na godzinę jedną z głównych ulic miasta; kiedy indziej bierze udział w pijackiej bójce w dyskotekę, do której dochodzi po tym, jak bramkarz nie chce go wpuścić, gdyż ma na sobie sportowe obuwie. „Wiesz, do kogo mówisz? – oburza się Maradona. – Ludzie daliby się zabić, żeby tylko ucałować te buty”.

Jego eskapady stają się tak głośne, że życzliwa mu na początku lokalna prasa nie zamierza ich już ukrywać. Sewilla to nieduże miasto, gdzie plotki rozchodzą się szybko. Dziennikarze wypytyują sąsiadów o to, co dzieje się w domu Maradony. Bardzo często odwiedza miejscowy burdel o nazwie La Casita, zabiera tam też kolegów z boiska. Jedna z gazet publikuje reportaż o rozpustnej wyprawie całej niemal drużyny.

Hiszpania nie jest purytańska, ale nawet w Andaluzji ludzie potężni i bogaci, skłonni skądinąd na wiele rzeczy przymknąć oko, zaczynają reagować, jeśli dostrzegają zapowiedzi anarchii. Maradona wystawia tolerancję mieszkańców Sewilli na ciężką próbę, a na dodatek szefowie klubu nie należą do najbardziej popularnych osób w mieście, ponieważ wykorzystali dość umiarkowane zasoby dla własnej korzyści, mniej troszcząc się o stadion i bazę materialną klubu. Nie mogą teraz pozwolić sobie na to, aby Maradona ich kompromitował. Cuervas wynajmuje prywatnych detektywów, którzy starannie dokumentują wszystkie swawole piłkarza. Zebrawszy odpowiednio bogate materiały, prezes pokazuje je zawodnikowi i domaga się, aby zajął się wreszcie piłką nożną, bo jeśli nie, uzna, że umowa została niedotrzymana. Tyle że ta umowa przestała się już podobać Maradonie i najchętniej by ją rozwiązał.

Przełomowy okazuje się mecz Sevilli z Burgos, rozgrywany w czerwcu 1993 roku. Pół godziny przed końcem, kiedy Sevilla prowadzi jednym golem, Bilardo każe Maradonie zejść z boiska. Gracz jest bez formy, zawałał treningi, teraz słabnie z każdą chwilą. Maradona czuje się zdradzony przez trenera, któremu tak ufał. Podbiega do niego, na głos wyzywa od skurwysynów i popycha. „Muszę to z nim załatwić po męsku! – krzyczy do dziennikarzy. – Jeśli jest w nim trochę mężczyzny, to...” Awantura trwa po meczu w szatni, dochodzi do przepychanki między piłkarzem i trenerem. Bilardo niechętnie powraca do tamtego zdarzenia, opowiada o nim z ociąganiem.

Podczas spotkania wiedziałem, że Diego gra kiepsko... Podskoczył do mnie i mnie obraził... Po meczu odwiedziłem go w domu, ale powiedzieli mi, że go nie ma, pojechał do Madrytu. Później jednak zastałem go i ucieliśmy sobie rozmowę. Wyrzuciliśmy z siebie, co każdy miał na sercu, i uznaliśmy, że sprawa jest skończona.

„Doszło do niezłej kłótni”, tak zapamiętał to Maradona.

Jakkolwiek wyglądała ta rozmowa, Bilardo wie jedno: Maradona podjął już decyzję, od której nie ma odwrotu; jego czas w Sevilli się skończył, a mecz z Burgos był ostatnim.

Odczodzę, bo mnie tutaj nie kochają – oznajmia. – A jeśli chodzi o mnie, to najbardziej lubię przestawać z Cyganami. Tutaj, w Sevilli, interesuje mnie tylko jedna Madonna: cygańska.

FC Sevilla powinna była stać się punktem zwrotnym w jego życiu. Powinien był rozstać się z futbolem: raz na zawsze. Przez chwilę nawet się nad tym zastanawia, chociaż myśli, że miałyby nie zagrać już nigdy, zostawić za sobą to, co stanowiło całe jego dotychczasowe życie, napelnia go przerażeniem. Dzieli się swoimi wątpliwościami z tymi, którzy tolerowali skoki jego nastrojów we Włoszech i później: z menedżerem Franchim i osobistym trenerem Signorinim. W Sevilli odwiedza go psycholog. Cała trójka dochodzi wspólnie do wniosku, że uzależnienia nie sposób wyleczyć, że można je co najwyżej limitować i nim sterować, więc jeśli Maradona ma przeżyć, musi balansować na krawędzi pomiędzy statusem półboga a ludzkimi słabościami, które w przeszłości powodowały jego upadki.

Jest w Maradonie coś, co nie chce się pogodzić z porażką. Jeśli sprawy nie ułożyły się tak, jak powinny, tłumaczy sobie, że to nie dlatego, że nie potrafi dobrze grać, lecz dlatego, że Sevilla nie

stanowiła odpowiedniego wyzwania. Natomiast takim wyzwaniem jest wysuwane przez jego rodaków żądanie, aby poprowadził narodową reprezentację do kolejnego zwycięstwa w mistrzostwach świata, które odbędą się w USA. Zarazem jest też w Maradonie taka część, która się buntuje przeciw wszystkim zewnętrznym naciskom, która chce, aby zostawiono go w spokoju i pozwolono bez reszty oddać się osobom przez niego kochanym i darzonym zaufaniem. Dawniej sama siła woli potrafiła rozwiązać tę sprzeczność. Jednak po Sevilli nie może już oprzeć się tylko na sobie. Potrzebuje zachęty i pochwały innych, aby na nowo zacząć wierzyć w siebie. I w swoją sprawność.

Tymczasem dawno już jego forma na boisku i poza nim nie była tak marna. Na dodatek czeka go drugie upokorzenie. Nie zostaje powołany do drużyny na decydujące mecze kwalifikacyjne, ponieważ Basile nie widzi dla niego miejsca. W 1978 roku Menotti pominął go, bo uważał, że brak mu doświadczenia. Teraz Basile uznaje, że Maradona jest za stary i nie da rady podnieść się z psychicznego i fizycznego upadku. „Nie będę grał u Basile, nawet gdyby mnie prosił na klęczkach”, oświadcza oburzony Diego.

Otoczający go ludzie niewiele mogą na to poradzić, że co jakiś czas nie może się oprzeć pragnieniu sięgnięcia po narkotyki, choć wie, jak łatwo zbłądzić na takie drogi, z których bardzo trudno wrócić. Zdarza się taka noc, kiedy traci kontrolę nad sobą. Jak zawsze, gdy decyduje się zażyć kokainę w domu, idzie do łazienki, po omacku, starając się nie zbudzić Claudii i córek. Jest czwarta nad ranem; układa jedną obok drugiej białe kreski, gdy nagle słyszy delikatne pukanie do drzwi. „Tato, jesteś tam?”, pyta dziecięcy głos. To starsza córka, Dalma. Zaskoczony Diego nie może wykrztusić ani słowa, wrzuca kokainę do ubikacji. Otwiera drzwi, Dalma wchodzi i siada na sedesie. „Co się dzieje, tato? Czemu tak dziwnie wyglądasz i nie śpisz?” Maradona drży. „Widzisz, kochanie, nie mogę zasnąć”. I nagle nie może już wytrzymać, zaczyna mówić i mówić, nie wiedząc nawet, co mówi i o czym. „Okropne uczucie”, powie potem, naprawdę okropne.

**Po nieudanej przygodzie z Sevillą i upokorzeniu ze strony Basile, Maradona znowu ratuje się przed kompletnym załamaniem, szukając oparcia w rodzicach i powracając do korzeni. Razem z matką i ojcem jedzie do Esquiny. I znowu, nie mając dookoła fotoreporterów, kopie piłkę, kiedy ma na to ochotę, a kiedy chce, idzie na ryby. Zaczyna dochodzić do ładu z samym sobą, chociaż w duszy pozostaje jakiś niepokój. Franchi wie, że Maradona powinien grać w jakiejś drużynie, kłopot polega na znalezieniu klubu, który odpowiadałby chwiejnej sytuacji, w jakiej piłkarz się znalazł. Trudno teraz liczyć na jakiś lukratywny kontrakt; poza Argentyną panuje przekonanie, że Maradona się skończył.**

**PAŹDZIERNIK 1993 ROKU:** Los jakby po raz kolejny rzucił linę ratunkową. Pojawia się klub, który wydaje się odpowiedni. Chodzi o Newell's Old Boys, żywą pamiątkę angielskich początków argentyńskiej piłki nożnej. W roku 1903 założyli go w prowincjonalnym Rosario dawni uczniowie miejscowej anglo-argentyńskiej szkoły handlowej. Klub pęta się zwykle w dolnych regionach pierwszej ligi, na dodatek jest mniej znany od miejscowego rywala, nazywającego się tak jak miasto. Legenda powiada, że do zagorzałych kibiców niebiesko-żółtych – w takich kolorach występują zawodnicy FC Rosario – należał sam Ernesto „Che” Guevara, który się tu urodził. Mniejsza z tym, że bardzo wcześniej wyjechał z Argentyny, a potem poświęcił swe siły rozszerzaniu na inne kraje kubańskiej rewolucji. Jego duch do tego stopnia jest obecny na trybunach Rosario, że niektórzy z lewicowych argentyńskich intelektualistów, jak chociażby Osvaldo Bayer, apelują do Maradony, aby go nie zdradzał. Dlaczego więc Diego, który nigdy nie żywił szczególnej sympatii do Anglików, a czuł się na publiczny aplauz, decyduje się na Newell's?

Uzasadnia to przemyśleniami, jakie nawiedziły go w Esquinie i w ogóle na argentyńskiej prowincji.

Może zabrzmiało to banalnie – mówił – ale miałem w tym roku szczęście pojeździć po Argentynie, przyjrzeć jej się z bliska i zobaczyć, jak wiele jest regionów zaniedbanych. Trzeba zdecentralizować futbol. To nie w porządku, że dwadzieścia najlepszych klubów stoczyło się na powierzchni dwudziestu kilometrów kwadratowych.

Prawdziwe wyjaśnienie jest jednak prostsze. Waltherowi Cattaneo, prezesowi Newell's, udaje się przekonać Maradonę i Franchiego, że przy pomocy miejscowych biznesmenów uda mu się zebrać pieniądze na to, aby nie tylko zapłacić Sevilli cztery miliony dolarów, ale też płacić Maradonie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów miesięcznie. W obecnej sytuacji byłoby głupotą, gdyby Diego odrzucił taką propozycję.

Kiedy po podpisaniu kontraktu, dokonując ostatniego w swym życiu wielkiego powrotu z niebytu, Maradona zjawia się na stadionie przed wiwatującą publicznością, otrzymuje pamiątkowy medal z Madonną z Rosario z napisem:

Niechaj nasza Matka Boska z Rosario ma cię w swojej opiece! Niechaj twój powrót okaże się aktem wiary, nadziei i łaski. Witaj z powrotem w życiu.

Maradona rozgrywa w Newell's Old Boys raptem kilka meczów, i to bez szczególnej pasji. Niewielka stawka spotkań, bynajmniej nie mistrzostwo, tylko walka o odrobinę lepszą pozycję, tymczasem wszędzie wyczuwa oczekiwanie, że Diego znowu wykaże swą znakomitość. Aby zrzucić nadwagę, poddaje się rygorystycznej diecie, a także bierze okazałe dawki leków, jakby niepomyślnych możliwych zgubnych konsekwencji. Ani działacze, ani dziennikarze, ani nikt z tych, którzy traktują piłkę nożną jak lukratywny biznes, nie zwraca uwagi na to, że w każdym meczu po dynamicznym początku Maradona traci siły na długo przed końcem, na konferencjach prasowych z trudem łapie oddech, a twarz ma nienaturalnie zapadniętą. Zaczyna się nim interesować Basile, którego jakby opuszczało szczęście. Po kilku meczach bez porażki przychodzi dotkliwa klęska: 5:0 w spotkaniu z Kolumbią, mającą w składzie Freddy'ego Rincóna i Faustina Asprillę. To prawdziwe upokorzenie dla Argentyńczyków, którzy do Kolumbijczyków odnoszą się z wyższością i lekceważeniem. „El Gráfico” traktuje tę porażkę jako narodową klęskę; okładka jest cała w czerni.

Po trybunach stadionu River Plate, gdzie Kolumbijczycy odnoszą sukces, przetacza się dawny okrzyk: „Maradooooona... Maradooooona... Maradooooona...!”. Mija niewiele czasu i jedyne pytanie, jakie Basile i inni chcą zadać Maradonie, nie brzmi: czy chce zagrać w najbliższych mistrzostwach świata, lecz: kiedy będzie gotów dołączyć do drużyny? „On musi grać”, powtarza na wszystkie strony Basile. Nie wszyscy jednak z entuzjazmem myślą o powrocie Maradony. Do tych niechętnych należy Julio Grondona, od wielu lat przewodniczący Argentyńskiego Związku Piłki Nożnej. Konserwatywnemu, surowemu, obdarzonemu talentem do zakulisowej dyplomacji Grondonie udało się utrzymać na stanowisku mimo wielu zawieruch politycznych. Kolejni prezydenci, czy to ustanowieni przez juntę, czy demokratycznie wybrani, obdarzają go zaufaniem. Niewykluczone, że za niechęcią Grondony do Maradony kryją się pewne uprzedzenia narodowościowe (pierwszy ma w sobie krew hiszpańską, drugi – włoską), ale przede wszystkim Grondona uważa piłkarza za nieobliczalnego błazna, który gotów jest łamać wszelkie reguły. Wiele lat poświęcił na to, aby zapewnić Argentynie poważanie w futbolowym świecie, i za nic nie chciałby, żeby wysoki Maradony i skandale z nim związane zepsuły ten wizerunek. Obawia się, że uczestnictwo Maradony w mistrzostwach świata może okazać się katastrofalne.

Zarazem wie, jak wyczerpujące i ryzykowne jest płynięcie pod prąd, i pod koniec 1993 roku wyczuwa, że przeciwstawianie się ze wszystkich sił występowi Maradony może go kosztować stanowisko. Telewizja, koncerty reklamowe, kluby widzą swój interes w tym, aby to Maradona poprowadził drużynę, najlepiej do finałowego zwycięstwa. Grondona nie sprzeciwia się więc publicznie, gdy Basile, także z mieszanymi uczuciami, powołuje Maradonę do reprezentacji, która musi zwyciężyć w dwumeczu z Australią, aby wystąpić w USA. I zwycięża, dzięki Maradonie. Po raz kolejny Diego staje się narodowym zbawcą.

Znowu rośnie napór powszechnych oczekiwań: ma pokazać, że jest najlepszy na świecie. On sam jednak dobrze wie, że po wstępnej euforii jego występy w Newell's były rozczarowujące. Nadzieje i wątpliwości nie sprzyjają równowadze ducha.

W LUTYM 1994 ROKU DOCHODZI do wybuchu. W Argentynie jest koniec lata; w wiejskiej posiadłości w Moreno Maradona wypoczywa w towarzystwie ojca, ukochanego stryja Cirilo i kilku kolegów z Newell's. Za bramą koczują dziennikarze, którzy chcieliby zdobyć jakąś wypowiedź piłkarza na temat prawdopodobnego odejścia z Newell's i planów na przyszłość. Maradona prosi, żeby odeszli, dali spokój jemu i jego dzieciom; oni domagają się czegoś, co mogliby zacytować. Maradona zaczyna ich wyzywać, jeden z przyjaciół chwyta za szlauch i oblewa reporterów wodą, inny, naigrawając się z nich, udaje, że się masturbuje. Maradona chwyta wiatrówkę i opierając lufę na dachu jednego z samochodów, strzela. Rani czterech dziennikarzy.

Pokrzywdzeni informują policję; pod naciskiem ludzi związanych z Maradoną dwóch z nich wycofuje skargę, ale pozostała dwójka nie zamierza tego robić: chodzi o zasady, nikt nie powinien być ponad prawem, mówią. Prokurator na początku chce się wykazać niezależnością i doprowadzić do przykładowego ukarania Maradony, szybko jednak orientuje się, jak potężne interesy są uwikłane w tę sprawę. Z jednej strony prezydent Menem dyskretnie naciska, aby prokurator nie był przesadnie gorliwy, z drugiej – Grondona daje upust swej niechęci do Maradony. Uważa, że piłkarz powinien być osądzony jak każdy inny obywatel, a jeśli sąd uzna go za winnego, będzie musiał odpokutować za przestępstwo. Najważniejszy działacz argentyńskiej piłki nożnej jest oburzony, że ponownie została ona wciągnięta w publiczny skandal.

Opinia publiczna raczej bierze stronę Maradony. Ci, którzy uważają, że należy go potraktować jak każdego innego chuligana, znajdują się w mniejszości, przynajmniej jeśli chodzi o wypowiedzi przytaczane w mediach. Widać wyraźnie, że Maradona nadal jest w gronie narodowych herosów sportu, których ekscentryczności – niezależnie od ich charakteru – należy tolerować dla dobra ojczyzny. Należą do nich także Carlos Monzón, któremu wybaczone zabicie żony, czy „Ringo” Bonavena, którego sławy nie umniejszyło to, że zginął w strzelaninie w burdelu w Las Vegas.

Menem, dawni koledzy Maradony z Boca Juniors i Marcos Franchi należą do tych, którzy twierdzą, że trzeba Maradonę zostawić w spokoju, a nie ciągać go po sądach. Dla wielu fanów zachował się, jak przystało na króla: pokazał tym natrętom z prasy, gdzie ich miejsce.

Przychodzi chwila, która pokazuje, jaką władzę ma Maradona nad uczuciami Argentyńczyków. Podczas gdy toczy się postępowanie prokuratorskie, a postrzeleni dziennikarze leczą się jeszcze z ran, on publicznie oznajmia, że może i chce stanąć na czele drużyny, która będzie walczyć o Puchar Świata. Deklaracja wywołuje powszechną euforię, jakiej zresztą można się było spodziewać po oszałamym na punkcie futbolu narodzie, który zna tylko jednego kapłana.

## 21

### WYNIK POZYTYWNY

JEST PÓŹNE POPOŁUDNIE TRZYDZIESTEGO czerwca 1994 roku; przewodniczący Argentyńskiego Związku Piłki Nożnej, Julio Grondona, który opuszcza właśnie stadion Cotton Bowl w Dallas, gdzie oglądał trening reprezentacji przed meczem z Bułgarią, w odruchu wściekłości omal nie ciska o ziemię telefonem komórkowym. Kilka chwil wcześniej rzecznika prasowego FIFA osaczyła grupa głównie argentyńskich dziennikarzy, którzy domagają się, aby wyjaśnił zamieszanie, jakie od dwudziestu czterech godzin zapanowało pośród niektórych działaczy i lekarzy. Krótkie *No comments* w biurokratycznym języku FIFA mówi bardzo wiele: coś się dzieje. Niemożność udzielenia żadnej konkretnej odpowiedzi oznacza, że należy podjąć własne śledztwo.

W bezpośredniej rozmowie z radiostacją w Buenos Aires Grondona potwierdził informację, którą dwóch dziennikarzy zdobyło kilka godzin wcześniej, ale którą na razie bało się rozpowszechniać. Test antydopingowy Diego Maradony, bohatera narodowego, piłkarskiego czarodzieja, futbolowego geniusza o międzynarodowej sławie, dał wynik pozytywny.

Maradonie informację tę przekazał osobisty trener, Fernando Signorini, gdy piłkarz drzemał w pokoju Babson College w Bostonie, gdzie reprezentacja Argentyny rozgrywała swoje pierwsze mecze na mistrzostwach świata. Delikatne, lecz stanowcze budzenie Diega na mecz czy trening było jednym z obowiązków Signoriniego od roku 1983, gdy Maradona w Barcelonie zatrudnił go w funkcji trenera. Teraz Signorini potrząsa go za ramię. „Diego... Obudź się... Wstawaj...” Dopiero słowa: „Już po wszystkim” wywołują pierwszą reakcję. Z ciągle przymkniętymi oczami piłkarz zaczyna sobie uzmysławiać, kim i gdzie jest.

Przez ostatni tydzień był w świetnym nastroju; zmora poprzednich mistrzostw odchodziła w cień. Argentyńscy i nieargentyńscy dziennikarze ciepło pisali o wolnym od nadwagi, uśmiechniętym Maradonie, z ochotą przekomarzającym się z kibicami. Poprowadził drużynę do przekonującego zwycięstwa 4:0 nad Grecją i wymęczonego sukcesu 2:1 nad Nigerią. Po tym meczu schodzi z boiska w towarzystwie pielęgniarki, dowiedział się bowiem, że wraz z dwoma innymi graczami z zespołu jest wybrany do kontroli antydopingowej. „Nie martwcie się, pokażę im, że jestem więcej wart, niż sądzą”, powiedział kolegom, przekonany, że nie ma się czym niepokoić. Początek turnieju układał się jak najlepiej: dwie wygrane, na stadionie w Bostonie żadnych gwizdów, Maradona był jednym z nielicznych graczy, o których Amerykanie wcześniej słyszeli.

Wszystkie te obrazy przemykają Maradonie przez głowę, gdy usiłuje skupić wzrok na twarzy Signoriniego. „Co się stało, Fernando?” „Zabili nas. Wynik jest pozytywny; zostałeś zawieszony”. Maradona czuje, jakby rozwierała się przed nim przepaść. Zataczając się, idzie do łazienki. „Umierałem na treningach! Zabijałem się! A oni teraz robią mi coś takiego!”, woła, a potem wybucha niepowstrzymanym szlochem. Signoriniego mało co mogło zdziwić w jego zachowaniu, ale ta scena miała mu na dobre wryć się w pamięć.

Wydawało się, że w jednej chwili rozpadł mu się cały świat – będzie później opowiadał. – Płakał z całego serca, z całej duszy, nie mógł nad sobą zapanować.

**OD CZASU ZAMACHU NA JOHNA F. Kennedy’ego** żadna wiadomość z Dallas nie poruszyła tak całego świata jak informacja, że wynik badania antydopingowego Maradony jest pozytywny. Sporo brytyjskich dziennikarzy, których początek mistrzostw zmusił do przewyciężenia niechęci do piłkarza, teraz ochoczo powracało do dawnych opinii, nazywając go oszustem i człowiekiem, który hańbi piłkę

nożną. Niektórzy okazywali mu więcej sympatii, jak Ian Ridley z „Independent on Sunday”, który stwierdziwszy, że ze strony Maradony był to akt czystego szaleństwa, pisał:

*Ci jednak, których pasja oglądania piłki daje się porównać z pasją Maradony do gry, będą pamiętali tę chwilę, gdy skwierząc w upale teksańskiego miasta, nagle poczuli lodowaty chłód, kiedy dotarła do nich wiadomość. Powiedz, że to nieprawda, Diego.*

Podobne głosy pojawiały się w różnych innych miejscach świata, gdzie zdążono już zrobić z Diega półboga. W Dhace, stolicy Bangladeszu, ponad dwadzieścia tysięcy ludzi wyszło na ulice, krzycząc: „Spalimy Dhakę, jeśli nie dadzą grać Maradonie!”. Najbardziej zaszokowana była, rzecz jasna, Argentyna. To właśnie powszechny entuzjazm skłonił Maradonę, aby raz jeszcze wyjść na środek sceny i zagrać w USA. „W tej chwili mam tylko jedną ambicję: grać w drużynie narodowej”, powtarzał. Tysiące Argentyńczyków poleciało do Bostonu, miliony zgromadziły się przed telewizorami, aby oglądać mecze wstępnej rundy. Od roku 1986, gdy Maradona poprowadził reprezentację przeciw Anglii, nic tak nie rozplomieniło dusz Argentyńczyków jak teraz pragnienie, by zdobyć tytuł piłkarskiego mistrza świata w Stanach Zjednoczonych, kraju jednocześnie kochanym i nienawidzonym.

Kiedy podczas pierwszego spotkania z Grekami Maradona po całej serii błyskawicznych podań strzelił trzeciego gola, najpopularniejszy spiker radiowy zaczął krzyczeć: „Gardel żyje! Gardel żyje!”, przywołując zmarłego w latach trzydziestych legendarnego wykonawcę tang.



*Maradona faulowany przez greckiego zawodnika, Panagiotisa Isalouchidisa, mistrzostwa świata w USA, 1994 r.*

Gdy potwierdziła się wiadomość o pozytywnym wyniku badań antydopingowych, zapanowała atmosfera podobna do tej z czerwca 1935 roku, kiedy słysząc o śmierci Gardela, ludzie poczuli się



osieroceni i otwarcie szlochali. Dopiero powoli, podobnie jak po klęsce w wojnie falklandzkiej, miejsce bólu zaczęło zajmować oburzenie na rzekomy spisek. Ci, którzy za całe zdarzenie odpowiedzialnością obarczali Maradonę, byli w mniejszości. Należał do nich telewizyjny komentator, Bernardo Neudstadt, który ugruntował swą popularność, zajmując stanowisko opozycyjne w stosunku do rozmówcy i zaciekle go atakując. Teraz bezlitośnie skrytykował Maradonę, nazywając go nieodpowiedzialnym narkomanem i zakałą narodu. W większości jednak publiczna sympatia była po stronie Maradony. Nie chodziło o to jedynie, że naród emocjonalnie się z nim identyfikował; od jego losów zależały pieniądze, pozycja i wpływy wielu ludzi, bo wraz z jego zmartwychwstaniem odrodziłyby się także cały argentyński futbol. Być może dokonałoby się zbiorowe katharsis, gdyby Maradona publicznie przeprosił za to, co się stało, on jednak wolał odgrywać rolę geniusza, który po raz kolejny padł ofiarą spisku.

Odcięto mi nogi – oświadczył na konferencji prasowej po oficjalnym potwierdzeniu wyników badań, a potem zasugerował, że to akt zemsty ze strony prezesa FIFA, João Havelange'a, i sekretarza generalnego federacji, Josepha Blattera. – To po prostu brudna sprawa. Chciałem, naprawdę chciałem wierzyć w czyste intencje Havelange'a i Blattera, ale po tym wszystkim... Nie wiem, co powiedzieć.



*Gra skończona, Dallas, 30 czerwca 1994 r.*

FIFA, wrażliwa na popularność Maradony w wielu krajach członkowskich, zdecydowanie odrzucała to oskarżenie. W marcu 1996 roku, gdy kończyłem przygotowania do książki, przeprowadziłem wywiad z Josephem Blatterem, który powiedział między innymi:

Zawsze uważałem Diego Maradonę za cudownego piłkarza, a dzień, gdy definitywnie dowiedziałem się, że wyniki badań antydopingowych wypadły dla niego niekorzystnie, należał do najczarniejszych w moim życiu. Było to ogromne rozczarowanie po wszystkim, co dla niego zrobiliśmy.

Niemniej jednak rzucona przez Maradonę sugestia znalazła w Argentynie zwolenników. Jednym z najbardziej zapalczych był Fernando Niembro, ten, który nakłonił prezydenta Menema, aby przed mistrzostwami we Włoszech mianował Maradonę „sportowym ambasadorem” Argentyny. Za przyzwoleniem Maradony i we współpracy z jeszcze jednym autorem Niembro napisał książkę *Inocente* (Niewinny), w której prawda i fałsz zostają tak wymieszane, aby łatwowiernego czytelnika przekonać, że wszystko jest nie tylko możliwe, ale też prawdopodobne. Niembro, który na własne oczy oglądał mistrzostwa, rozsnuwa wokół nich opowieść, w której Maradona pada ofiarą spisku uknutego przez CIA, ponieważ agencja chciała zapewnić ład i spokój podczas turnieju. W jednej ze scen agent przebrany za księdza podaje Maradonie hostię nafaszerowaną narkotykami.

Tymczasem osobą, która przed meczem z Nigerią podała Maradonie niedozwolone środki, nie był agent CIA, lecz Daniel Cerrini, należący do zmieniającego się kręgu przyjaciół i doradców piłkarza. Maradona poznał go w 1993 roku, zaraz po tym, jak latem rozstawszy się z Sevillą, powrócił do Argentyny. Był wtedy otyły, bez formy, przygnębiony nieudanym sezonem. Cerrini natomiast miał wygląd Adonisa: swobodny, pewny siebie, przystojny, muskularny, zawsze pięknie opalony. Zajmował się kulturystyką; osiem lat wcześniej wygrał konkurs na Młodzieżowego Mister Universum Ameryki Południowej, legitymował się też dyplomami fizjoterapeuty i dietetyka pochodzącymi z dość podejrzanych źródeł.

Zdaje się, że Maradona od pierwszego spotkania uznał Cerriniego za fizyczny ideał, tym łatwiej więc dał się przekonać do szybkiej i bezpiecznej metody odzyskania dobrego samopoczucia fizycznego i psychicznego. Na metodę Cerriniego składały się: intensywny trening, drastyczna dieta, zapewniająca jednak odpowiednie ilości witamin i minerałów, a także podawane przez pewien okres lekarstwa zapewniające spadek wagi, a przyrost energii. Pragnąc rozpocząć sezon w Newell's Old Boys w jak najlepszej formie, Maradona z ochotą poddał się terapii. Pozornie Cerriniemu udało się dokonać cudu: tłuszcz zniknął, mięśnie napęczniały, pulchna podczas ostatnich dni w Sewilli twarz się wyciągnęła.

Maradona rozegrał tylko siedem meczów dla Newell's, potem zaczęły się kłótnie w związku z kontraktem, to jednak wystarczyło, by nabrał pewności, że uda mu się przygotować do mistrzostw, ale zażądał, aby z Signorinim stale teraz współpracował Cerrini. Kilka tygodni przed serią międzynarodowych meczów kontrolnych przed turniejem w USA wszyscy trzej przenieśli się na farmę pośrodku pampy. Signoriniemu pomysł ten podszeptała dokładna obserwacja uprzednich wzlotów i upadków Maradony.

Wybrałem to miejsce ze względu na spartańskie warunki – opowiadał. – Zdezelowany telewizor, brak ciepłej wody, sprawnie działało tylko małe radio, z którego słuchaliśmy muzyki i transmisji z meczów. Jak tylko przyjechaliśmy na miejsce, powiedziałem: „Posłuchaj, Diego, jeśli chcesz znowu znaleźć się na szczycie, musisz zacząć od samego początku. Wyobraź sobie, że to jest Villa Fiorito. Poczuj głód sukcesu”. Już następnego dnia golili się na świeżym powietrzu, tak jak to kiedyś robił jego ojciec.

Najbardziej niepokoiła Signoriniego obecność Cerriniego. Im więcej się o nim dowiadywał, tym mniej mu ufał. Na jego polecenie zaczął o nim zbierać informacje doktor Nestor Lentini, szef Ogólnoargentyńskiej Kliniki Sportowej. Nie tylko stwierdził brak dokumentów poświadczających kwalifikacje medyczne, ale też ustalił, że przyjaciółka Cerriniego została w 1989 roku zdyskwalifikowana podczas turnieju kulturystycznego za używanie sterydów anabolicznych. Jednak ani Signorini, ani Lentini nie nakłaniali Maradony, aby pozbył się Cerriniego. Była to niepisana reguła w najbliższym otoczeniu piłkarza, że krytykuje się osobę do niego należącą dopiero wtedy, kiedy sam gwiazdor straci do niej zaufanie. Nikt nie chciał burzyć jego dobrego samopoczucia.

W czasie tygodni poprzedzających rozpoczęcie mistrzostw w medycznej ekipie Maradony rosło napięcie. Przed poprzednimi mistrzostwami świata panował w drużynie Argentyny bardzo luźny rygor antydopingowy, wiadano bowiem, że doraźne kontrole pojawiają się dopiero w końcowej fazie turnieju. Tymczasem FIFA nieoczekiwanie zapowiedziała, że testy będą przeprowadzane także w fazie eliminacji grupowych. Lentini do tego stopnia nie ufał Cerriniemu, że zaczął regularnie badać mocz Maradony, aby być pewnym, że piłkarz nie przyjmuje żadnych niedozwolonych środków. Decyzję tę

popierał oficjalny lekarz reprezentacji, Ernesto Ubalde, niezadowolony z przywilejów, którymi cieszył się Cerrini.

Pomiędzy Cerrinim a Signorinim toczył się nieustanny spór, jaka powinna być optymalna waga Maradony. Signorini podejrzewał, że dieta Cerriniego nie była wcale przeznaczona dla piłkarza, który ma przed sobą może nawet kilkanaście lat kariery, lecz dla sportowca, który chce szybko zbudować formę przed trwającymi dość krótko zawodami. Okazało się, że trenowani przez Cerriniego kulturyści po osiągnięciu szczytu bardzo szybko tracili energię i przybierali na wadze, Signorini nie bez podstaw zatem obawiał się efektów ułożonej przez niego terapii podczas tak wyczerpującego turnieju jak piłkarskie mistrzostwa świata.

Byłem pewien, że Cerrini zawsze oceniał swój sukces na podstawie tego, jak on i jego pacjenci wyglądali na fotografiach, natomiast bardzo wątpiłem, czy Diego będzie lepiej grał w piłkę – opowiadał mi Signorini.

Po powrocie z Sewilli Maradona ważył dziewięćdziesiąt dwa kilogramy. Wystarczył jeden miesiąc z okładem przygotowań do gry w Newell's Old Boys, a stracił ponad dwadzieścia. Cerrini chciał, by na mistrzostwach Diego ważył około siedemdziesięciu kilogramów, Signorini obstawał za siedemdziesięcioma siedmioma. Nie mogli się zgodzić co do tego, kiedy bez niebezpieczeństwa odwodnienia uzyska się największą szybkość, zwrotność i siłę. Dawno już minęły czasy meksykańskich mistrzostw, kiedy Maradona mógł jeść, co chciał i kiedy chciał. Zewnętrzny świat nic nie wiedział o tym, jak przed turniejem o Puchar Świata niemal codziennie dochodziło na temat wagi ciała Maradony do kłótni, przy której on sam wydawał się zagubiony i zdezorientowany.

Podczas pierwszego meczu z Grecją ważył siedemdziesiąt sześć i osiem dziesiątych kilograma i jak powiedział Signorinemu i Cerrinemu, nigdy dotąd nie czuł się tak dobrze. Z argentyńskiego obozu rozeszła się wieść, że Maradona jest w świetnej formie i znakomicie zaprezentuje się podczas turnieju. Lecz osoba, która śledziła jego karierę od samego początku, była zaniepokojona tym, co zobaczyła podczas przedmeczowych treningów w Bostonie. Horacio Pagani, od dawna piszący o piłce dla wydawanej w Buenos Aires gazety „Clarín”, wspomina:

Ledwie znalazłem się w Stanach, wszyscy dookoła opowiadali mi, w jakiej wspaniałej formie jest Diego, ale kiedy zobaczyłem go na treningu, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Po dziesięciu minutach dostawał zadyszki. Rozmawiałem z nim chwilę po tym, jak oddał próbkę moczu do badań antydopingowych, ale opowiadał, jaki jest szczęśliwy, że to najpiękniejsze chwile w jego życiu. Albo rzeczywiście kompletnie nie wiedział, co bierze, albo jest igrzem absolutnym.

Dwa dni przed meczem z Nigerią w hotelu w Dallas Maradonę odwiedził jeden z tych dziennikarzy, z którymi nie czuł skrupowania, José Manuel García z hiszpańskiej „MARCA”. García nie rozmawiał z nim twarzą w twarz od czasu krótkiego pobytu w Sewilli na przełomie 1992 i 1993 roku. Był pod wrażeniem świetnego wyglądu fizycznego i znakomitego samopoczucia Diega. Doskwierało mu tylko przeziębienie, którego się nabawił – jak powiedział – na skutek różnicy między rozgrzanym powietrzem Teksasu a chłodem klimatyzowanych wewnątrz hotelowych. Mówił przez wyraźnie zatłkany nos. García zakończył rozmowę typowo andaluzyjskim żartem: „Coś nie najlepiej z twoim nosem. Będę się już zmywał, żebyś później nie powiedział, że to ode mnie się zaraziłeś”. Maradona wstał z kanapy z uśmiechem, mówiąc: „Nie martw się o mnie, José. Zaraz pójde do Profka, da mi coś na nos i będę spał jak niemowlę”.

Profek był przydomkiem Signoriniego. Przed meczem z Nigerią środek zmniejszający przekrwienie był jednym z leków, które zaleciła Maradonie jego ekipa medyczna. Należał do nich również specyfik odchudzający, nabyty przez Cerriniego po przyjeździe do USA w zastępstwie produktu, którego Maradona używał w Argentynie. Specyfik ten kupowało się bez żadnych kłopotów, był powszechnie stosowany w amatorskim sporcie, zawierał jednak składnik, który znalazł się w sporządzanym przez FIFA wykazie zabronionych substancji dopingujących. Cerrini będzie później twierdził, że po prostu przeoczył ten fakt; Maradona będzie się bronił, że nie złamał przepisów FIFA, nie przyjął bowiem żadnej substancji z zamysłem poprawienia swej sprawności fizycznej.

**P**IERWSZEGO LIPCA 1994 ROKU KOMITET organizacyjny mistrzostw świata opublikował komunikat z wynikami dwóch niezależnych analiz próbek moczu, które zostały pobrane od Maradony pięć dni wcześniej. W rubryce *Próbka numer FIFA 220, pobrana w Bostonie 25 czerwca 1994 roku, mecz numer 23, zawodnik D.A. Maradona. Argentyna, numer identyfikacyjny UCLA CWA 04* wyliczono substancje, które przyjął Maradona:

Próbki A i B zawierały następujące składniki, które jako substancje zakazane znajdują się na przygotowanej przez Komitet Medycyny Sportowej FIFA liście: Postanowienia Kontroli Antydopingowej, rozdział 3.5.A (stymulatory): efedryna, metefedryna, fenylpropanolamina = norefedryna (substancje jednoznacznie zabronione); pseudoefedryna, norpseudoefedryna (substancje wprawdzie niezabronione, ponieważ jednak ich skład chemiczny i efekty biologiczne są podobne do efedryny i norefedryny, trzeba je uznać za metabolity).

Komunikat ten był efektem systemu kontroli znacznie udoskonalonego przez FIFA w przededniu mistrzostw świata. Wymagał on od lekarza naczelnego ekipy – w przypadku Argentyny doktora Ubalde – podania na oficjalnym formularzu wszystkich leków zażywanych przez graczy i dawek, a także szczegółów każdej ingerencji medycznej przeprowadzonej w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin przed rozpoczęciem meczu. Na wręczonym FIFA formularzu nie pojawiała się żadna z zakazanych substancji, ale, jak podkreśla Ubalde, raport sporządził zgodnie ze wszystkimi dostarczonymi mu informacjami. W połowie meczu Argentyna–Nigeria wypisany na plastikowym krążku numer Maradony 10 został wraz z dwoma innymi wyciągnięty z płóciennego woreczka przez przedstawiciela Komitetu Medycyny Sportowej w obecności przedstawicieli kierownictwa FIFA oraz obu drużyn.

Po meczu Maradona musiał, znowu pod nadzorem działaczy, oddać próbkę moczu, która rozdzielona potem do dwóch fiolek, została opieczetowana i przesłana do laboratorium FIFA w Los Angeles. Kiedy pierwsza analiza dała wynik pozytywny, zgodnie z przepisami argentyńska delegacja miała prawo nadzorować test, któremu poddano zawartość drugiej fiołki. W skład delegacji, która jednogłośnie potwierdziła pierwszy wynik i nie zgłosiła żadnych zastrzeżeń co do rzetelności procedury, wszedł prywatny prawnik Maradony, Daniel Bolotnicof.

Minęło pięć dni od chwili, gdy Maradona po zejściu z boiska poszedł oddać próbkę moczu, do oficjalnego oświadczenia FIFA, które złożono na konferencji prasowej w hotelu Four Seasons w Dallas, że w związku z pozytywnym wynikiem regulaminowych badań antydopingowych Maradona zostaje zawieszony w prawach zawodnika. W trakcie tych pięciu dni, gdy stopniowo coraz bardziej stawało się pewne, że Maradona wpadł, doszło do niesłychanie ożywionych zakulisowych dyskusji w najwyższych kręgach FIFA. W całych dziejach tego jednego z najpotężniejszych związków sportowych chyba żaden inny zawodnik nie absorbował uwagi działaczy tak jak Maradona. Niezdyscyplinowanie na boisku i poza nim, a także ataki na władze stanowiły czynnik zdecydowanie anarchiczny w ramach systemu, który powinien być podporządkowany uniwersalnym regułom i normom. Zarazem jednak Maradona był uosobieniem tego, jak bardzo piłkarz może stać się maszynką do zarabiania pieniędzy. Okazało się, że w sposób zupełnie naturalny przyciąga tłumy, jest bohaterem telewizji, a chociaż dyplomatą uczyniono go tylko tytułarnym, to przynajmniej w wielkiej części Trzeciego Świata był najbardziej znanym i najbardziej kochanym piłkarzem.

Dla FIFA Maradona był graczem, który pozwalał zarabiać miliony. Przyjechał do USA, mając skupić się tylko i wyłącznie na grze. On i reszta zawodników musieli grać w godzinach największych upałów, tego bowiem domagały się podpisane przez FIFA umowy z telewizją, w przeciwieństwie jednak do roku 1986, Maradona nie komentował tego publicznie. W FIFA usłyszano coś w rodzaju dzwonka ostrzegawczego podczas pierwszego meczu z Grecją. Strzelivszy gola, Maradona podbiegł do telewizyjnej kamery, wrzeszcząc w obiektyw. Być może chciał po prostu obwieścić całemu światu swój triumfalny powrót, niemniej jednak obraz wykrzywionej, pełnej emocji twarzy nie zgadzał się jakoś z oficjalnym obrazem mistrzostw, które miały stać się świętem czystej radości, a nie wyrównywania rachunków. Nawet gdyby badania antydopingowe nie były przewidziane przepisami, FIFA mogłaby argumentować, że zaniepokoił ją ten wyskok Maradony oraz jego podniecenie rzucające się w oczy od chwili przylotu do USA. Nie ma jednak żadnych wiarygodnych dowodów na to, że testy stanowiły część szeroko zakrojonej akcji, jak będzie utrzymywał Maradona.

Dopiero kiedy pozytywny wynik został ostatecznie potwierdzony, doszły do głosu wszystkie urazy, jakie FIFA żywiła do argentyńskiego piłkarza. W jednej chwili stał się uosobieniem tych cech, których nie można tolerować w światowym futbolu. W sytuacji gdy federacja chciała do tego sportu zjednać miliony Amerykanów, trzeba było pokazać, że nie ma w nim miejsca dla awanturników, a cóż dopiero mówić o nieuleczalnych narkomanach. Nikt nie zamierzał bronić Maradony.

Chociaż niektórzy z obserwatorów sądzą, że Julio Grondona może starać się zatuszować incydent, ten natychmiast po potwierdzeniu wyników badań zapewnił w prywatnej rozmowie kolegów z FIFA, że mogą liczyć na jego całkowitą współpracę, jeśli chodzi o realizację wymierzonej kary.

Najbardziej zaciekle wystąpili przeciw Maradonie przewodniczący UEFA, Lennart Johansson, oraz przewodniczący Włoskiego Związku Piłki Nożnej, Antonio Matarrese. Obaj uważnie przypatrywali się niesformemu życiu, jakie Maradona prowadził w Europie, i byli przekonani, że bardzo źle się stało, iż zyskał sobie taką sławę. W europejskich klubach widzieli wielu nie mniej utalentowanych zawodników, wokół których jednak nie robiono tyle szumu. Matarrese najwyraźniej nie zapomniał Maradonie tego, jak przed półfinałowym meczem mistrzostw 1990 roku usiłował posiąć niezgodę pośród włoskich kibiców.

Ostatecznie to Joseph Blatter i João Havelange mieli zdecydować, jaka kara dla Maradony będzie najbardziej odpowiadać wizerunkowi FIFA, który chcieli umacniać. Za wielką zasługę Havelange'a uważano to, że udało mu się odgrodzić rozgrywki o Puchar Świata od wszelkich waśni religijnych, politycznych i etnicznych, co bardzo wysoko ceniły sobie działające na światowym rynku wielkie korporacje w rodzaju Adidasa czy Coca-Coli. To właśnie te ponadnarodowe potęgi decydowały o finansowych losach FIFA.

Havelange dobrze wiedział, jaką popularnością cieszy się Maradona w Trzecim Świecie, bardzo mu też zależało na udziale w rozgrywkach o mistrzostwo świata drużyn z Ameryki Łacińskiej i Afryki, w czym sporo też było troski o własne sprawy, ponieważ swoje długoletnie przewodniczenie federacji zawdzięczał taktycznym sojuszom z działaczami z Trzeciego Świata. Dlatego wraz z Blatterem stanowczo sprzeciwił się sugestiom niektórych związków piłkarskich, aby z mistrzostw wykluczyć całą drużynę argentyńską. Maradona, zawieszony w prawach zawodnika, nie mógł grać, aby jednak ewentualne kontrowersje nie zaciążyły na dalszym przebiegu turnieju, decyzję w sprawie ostatecznych sankcji postanowiono odłożyć do czasu zakończenia trzech niezależnych dochodzeń: Julio Grondony oraz dwóch członków Komisji Medycyny Sportowej FIFA: Chilijczyka, doktora Antonio Losady, oraz szwajcarskiego profesora, Jiří Dvořáka. Ten czas zawieszenia Maradona wykorzystał, aby podpisać z argentyńską telewizją lukratywny kontrakt na komentowanie dalszych meczów jego drużyny.

**KOMITET ORGANIZACYJNY MISTRZOSTW ŚWIATA**, który miał ostatecznie rozstrzygnąć sprawę Maradony, zebrał się w Zurychu dwudziestego czwartego sierpnia 1994 roku, niemal dokładnie dwa miesiące po meczu z Nigerią. Uznano, że Maradona nie zażywał niedozwolonych środków z rozmyślnym celem poprawienia wyników ani też nie wiedział dokładnie, jaki jest skład podawanych mu lekarstw, niemniej jednak złamał postanowienia komisji antydopingowej. Za odpowiedzialnego za podanie mu niedozwolonych substancji uznano Cerriniego. Obu na piętnaście miesięcy zakazano jakiegokolwiek futbolowej aktywności, a także na każdego z nich nałożono grzywnę w wysokości dwudziestu tysięcy franków szwajcarskich. Nie ograniczając się do ukarania Cerriniego, FIFA zajęła surowszą postawę niż w 1986 roku, gdy po pozytywnym wyniku badania antydopingowego w przypadku jednego z hiszpańskich graczy uniewinniono go, działaczom udało się bowiem sprytnie całą winę zrzucić na lekarza. Podejmując taki krok, FIFA wzięła pod uwagę wcześniejsze złapanie Maradony na zażywaniu niedozwolonych substancji, co z kolei przypominało sytuację szkockiego skrzydłowego Williego Johnstona, którego w 1978 roku wykluczono z mistrzostw świata, ponieważ i on wcześniej naruszył przepisy antydopingowe. Zakaz gry był w jego przypadku krótszy o trzy miesiące, ale FIFA dodatkowo zakazała mu jakichkolwiek dalszych występów w reprezentacji kraju, o co nawet nie śmiało apelować żaden z argentyńskich działaczy.

Tymczasem kilka dni po ogłoszeniu decyzji Havelange otrzymał list od prezydenta Menema, który zwracał się do niego z bezprecedensową prośbą. Występując w imieniu kibiców nie tylko argentyńskich, ale też z całego świata, Menem prosił przewodniczącego FIFA o wyrozumiałość. List ten właściwie równie wiele mówi o politycznych ambicjach prezydenta Argentyny co o statusie Maradony jako narodowego symbolu. Menem sugerował wprost, że przypadek Maradony trzeba traktować jako wyjątkowy i pomimo złamania reguł nie jeden raz, lecz wielokrotnie, należy pozwolić mu grać.

Bardzo zasmuciły mnie słowa Maradony [wypowiedziane po oficjalnym potwierdzeniu wyników badań]: „To tak, jakby mnie zabili” – pisał Menem. – Dlatego sugerowałbym, by zastanowić się, jaki wpływ może mieć długi okres bezczynności na gracza o takim charakterze jak Maradona... Jako prezydent Argentyny mogę z pełną odpowiedzialnością stwierdzić, że to w imieniu wszystkich jej obywateli występuję z postulatem, by mógł kończyć swą sportową karierę nie jako gracz wyklęty przez FIFA, lecz na boisku, czarowną grą dając radość wszystkim swym kibicom na świecie.

Menem dobrze wiedział, że Havelange kierował FIFA tak, jak on Argentyną – niczym średniowieczny magnat, obdarzając łaską lub karząc niełaską i tłumiąc wszelką opozycję – dlatego też sądził, że zwrócenie się bezpośrednio do niego jest najlepszym posunięciem. Miał sporo racji, dla Havelange’a nie bez znaczenia była popularność, jaką ciągle cieszył się Menem w swoim kraju, z drugiej jednak strony, gdyby przewodniczący FIFA chciał przeciwstawić się kolektywnej decyzji, ryzykowałby bardzo wiele, włącznie z głębokim kryzysem we władzach federacji. Ogłaszając przed członkami Komisji Medycyny Sportowej ostateczny werdykt, Joseph Blatter, mający u swego boku João Havelange’a, nie wahał się nazwać sprawy Maradony „najpoważniejszym incydentem” podczas turnieju mistrzowskiego. Dziękując profesorowi Dvořákowi za kompetentną ekspertyzę, Blatter powiedział, że „wstępna decyzja okazała się słuszna”. Po sekretarzu generalnym głos zabrał przewodniczący Komisji Medycyny Sportowej, Belg Michel D’Hooghe, który stwierdził, że należy wyciągnąć wnioski z tego, co się stało, i zaostrzyć przepisy. „Sprawa Maradony rzuciła cień na całe rozgrywki o mistrzostwo świata”, oświadczył i dodał, że trzeba polepszyć system informacji o lekarstwach przepisywanych zawodnikom, ale także stosowanych przez nich bez zaleceń lekarskich, aby w ten sposób zapobiegać nadużyciom oraz ułatwiać ich wykrycie. Komisja wystąpiła do komitetu wykonawczego z sugestią, by w przyszłości każdy gracz podlegał bezpośrednio krajowemu związkowi, a opiekę medyczną nad zawodnikami sprawował oficjalny lekarz reprezentacji.

Odpowiedzialność spadała na krajowe związki i ich sztaby medyczne. FIFA uznała, że w walce z dopingiem ona sama nie może zrobić nic poza przeprowadzaniem kontroli przy okazji meczów kwalifikacyjnych i rozgrywek o mistrzostwo świata. Podczas narady odbytej zaraz po zakończeniu turnieju w USA najwyżsi działacze federacji po raz kolejny sprzeciwili się pomysłowi, że mogłaby ona przeprowadzać kontrole w klubach także podczas treningów i zajęć przygotowawczych, aczkolwiek w prywatnych rozmowach lekarze FIFA przyznawali, że to byłby najradzykalniejszy środek przeciw sięgającym po doping piłkarzom, którzy bardzo często mogą liczyć na pomoc ze strony doradców medycznych i wyrozumiałość działaczy. Na zakończenie narady Blatter powiedział, że kontrola antydopingowa na szczeblu klubów jest nie do przeprowadzenia.

Federacja nie była jednak szczerą wobec opinii publicznej w swej ocenie sprawy Maradony i w konsekwencjach, jakie wyciągnęła. Są liczne świadectwa, że odpowiedzialność można było rozciągnąć na znacznie większą liczbę osób niż wskazana dwójka. Wywiady przeprowadzone z wieloma zainteresowanymi osobami ujawniają wielki chaos kompetencyjny w argentyńskiej drużynie, włącznie z całkowitym brakiem kontroli nad Maradoną. System nadzoru, jaki usiłowano zaprowadzić w tygodniach poprzedzających mistrzostwa, okazał się nieefektywny, a zresztą i tak rozpadł się w chwili przylotu do USA. Stosunki między dietetykiem Maradony, Cerrinim, a lekarzem ekipy, doktorem Ernesto Ubalde, były tak złe, a stopień ich nieufności do siebie tak wielki, że obaj w ogóle nie informowali się o swoich poczynaniach. Co więcej, Cerrini najwyraźniej zyskiwał sobie większy wpływ na Maradonę niż Ubalde i Signorini, którzy w miarę zbliżania się dnia pierwszego meczu coraz bardziej tracili kontrolę nad zachowaniami kapitana drużyny.

Tymczasem Maradona, szukający pomocy u Cerriniego, nie był tym Maradoną, którego dziennikarze i miliony widzów widzieli w trakcie przygotowań do mistrzostw. Publiczna maska

pewności siebie skrywała uporczywy lęk przed spiskiem i brak wiary w siebie. Piłkarz z jednej strony czuł ciężar swego wieku i lat chaotycznego życia, z drugiej – dobrze wiedział, w jak wielkim stopniu los reprezentacji zależy od niego i jak ogromna odpowiedzialność spoczywa na jego barkach. Długoletnia nieufność do ortodoksyjnej medycyny zaczynała przybierać postać obsesji. W oczach innych lekarzy Cerrini mógł uchodzić za szarlatana, ale Maradona upatrywał w nim tego, który potrafi czynić cuda.

Jeden z członków najbliższego otoczenia Maradony podczas mistrzostw w USA powiedział mi:

Po przybyciu do Stanów Diego demonstracyjnie wręcz odżegnywał się od konwencjonalnej medycyny. Był przekonany, że psychicznie i emocjonalnie tak różni się od innych zawodników, że musi być specjalnie leczony i traktowany na szczególnych zasadach. Rozpaczliwie pragnął sukcesu w mistrzostwach, a wyrobił sobie przekonanie, że tylko Cerrini może mu go zapewnić. Był w błędzie, ale taka postawa odpowiadała jego neurotycznemu charakterowi.

Zgodnie z ustaloną procedurą, dokonując na bieżąco korekt w zestawie podawanych Maradonie leków, Cerrini powinien był bezzwłocznie powiadomić o tym doktora Ubalde, który konsekwentnie utrzymywał potem, że on, Signorini i kardiolog drużyny, doktor Roberto Peydro, żadnych takich informacji nie otrzymali. Trudno jednak uwierzyć w szczerść raportu – przedstawionego FIFA przez Julio Grondonę – w którym jako jedyny winny wskazany został Cerrini. Jak sam Maradona zasugerował wkrótce po wyroku wydanym przez FIFA, jego dietetyk stał się wygodnym kozłem ofiarnym, pomagającym ukryć uwikłanie w całą sprawę argentyńskich działaczy i lekarzy, a także samej federacji.

To pewne, że zachowujący się prowokacyjnie intruz dobrze nadawał się do roli podstępnego nikczemnika, rzecz jednak w tym, że mógł robić, co mu się żywnie podobało, gdyż żaden z argentyńskich działaczy nie chciał mu w tym przeszkadzać. Dopóki ufał mu Maradona, nikt nie miał ochoty się mieszać. Ważne było tylko to, by Diego grał w mistrzostwach, wszystko inne się nie liczyło. I w istocie taką samą postawę zajmowała FIFA.

Obwiniając Maradonę i nie chcąc poszerzać kręgu odpowiedzialnych, miała na oku własne interesy finansowe. W ten sposób można było zasugerować opinii publicznej, że owszem, zdarzają się pozałowania godne incydenty, za które odpowiedzialne są pojedyncze osoby, ale nie system, a mistrzostwa w całości były prowadzone w duchu fair play i poszanowania czystości sportu. Oto co chcieli słyszeć sponsorzy.

A jak duża była osobista odpowiedzialność Maradony? Nie leżało z pewnością w jego naturze zbyt wnikliwie wypytywać Cerriniego lub korzystać z niezależnych badań kontrolnych, nawet jeśli je oferowano. Oto co usłyszałem od jednego z działaczy FIFA, który poznał z bliska całą sprawę:

Maradona nie pytał, co dostaje do jedzenia czy picia. Kiedy już komuś raz zaufał – a tak było z Cerrinim – to bezwarunkowo. Nawet jeśli miał przez chwilę wątpliwości, gdy podawano mu jakiś nowy specyfik, to nie zamierzał się w to zagłębiać. Po prostu chciał grać: za wszelką cenę.

Stanowisko ostatecznie przyjęte przez FIFA sprowadzało się do tego, że nawet w przypadku zawodnika, którego już wcześniej przyłapano na zażywaniu niedozwolonych środków, wszystkie wątpliwości należy wyjaśniać na jego korzyść, a nie oskarżać go o świadome wspomaganie swych wyników, jak Międzynarodowy Komitet Olimpijski postąpił z Benem Johnsonem. Aczkolwiek FIFA nigdy nie uznała, że niewiedzę, na którą będzie się powoływał zawodnik, można potraktować jako istotny argument. Tolerancja wykazana w odniesieniu do Maradony była niezgodna z oficjalnymi enuncjacjami i deklaracjami, lecz tego rodzaju wyrozumiałość stale towarzyszyła Maradonie od pierwszych dni jego kariery. Kiedy nagle mu jej nie okazano albo okazano nie w takim stopniu, jak oczekiwał, zaczął węszyć spisek.

## ŁOWY NA MARADONĘ

KIEDY OFICJALNIE OGŁOSZONO, ŻE wyniki badań antydopingowych dały w przypadku Maradony wynik pozytywny, nad stadionem w Bostonie przeleciał prywatny samolot, ciągnąc za sobą napis MARADONA – PRIMADONNA. Wyglądało to jak nekrolog i wiele osób uznało, że to już ostateczny upadek Diega jako piłkarza. Wcześniej wielokrotnie zachwycono się jego umiejętnością przetrzymania złych momentów, powrotu na boisko z energią i radością, aby dać „mistrzowskie świadectwo dawnych talentów”, jak to przy jednej z okazji ujął Ken Jones z „Independent”. Teraz ci sami dziennikarze wzięli się do pisania nekrologów, żałobnych opowieści o kalekim geniuszu, który dotarł do ostatniej granicy.

Maradona jednak, wróciwszy do Argentyny, nie zamierza – nie może – się poddać. Nie wolno mu grać, to prawda, próbuje jednak sił jako trener, najpierw w małym prowincjonalnym klubie Deportivo Mandiyu, potem w pierwszoligowym Racingu. Nie dalej niż rok wcześniej zaklinał się w jednym z wywiadów, że nie widzi siebie w roli trenera. „Nie mogę nikogo nauczyć rzeczy, które tylko ja potrafię wykonać”, oznajmił argentyńskiej pisarce Alicii Ortiz. Ale rok to bardzo długi okres w życiu Diego Maradony. Tymczasem próba kończy się rychłą porażką, nie dlatego, że zawodnikom brak wrodzonych uzdolnień nauczyciela, lecz dlatego, że on nie potrafi w pełni wykorzystać ich umiejętności. Bardziej szkodzi, niż inspiruje. Na filmie z meczu Mandiyu utrwalono, jak Maradona krzyczy na sędziego, że jest „złodziejem i oszustem” oraz „tchórzem bez jaj”. Także pobyt w klubie Racing nie trwa długo. Zdarza się w tym czasie, że Maradona znika na kilka dni z domu, oddając się pijatyce i ćpaniu, i zostaje odnaleziony, gdy Claudia zwraca się do kierownictwa klubu z prośbą o pomoc w poszukiwaniach. To, że nie jest to ostateczny upadek, w dużej mierze zawdzięcza Maradona ponownemu pojawieniu się w jego życiu Guillermo Coppola. Coppola powoli, lecz konsekwentnie odbudowuje dawne przyjacielskie więzy. Nie cieszy się w Argentynie wielką popularnością; niektórzy z przyjaciół Maradony oskarżają go, że to on w Neapolu wciągnął piłkarza w narkotyki, i musi zeznawać przed policją w sprawie zabójstwa właściciela nocnego klubu w Buenos Aires. Coppola jest jednak przekonany, że wie, jak traktować Maradonę: potrzebna jest wyrozumiałość i kompetentna porada. A on ma talent do załatwiania różnych spraw...

Do Neapolu Maradona wezwał go, aby zaprowadził porządek w jego interesach. Także i teraz, po ośmiu latach, prosi, aby mu pomógł wydobyć się z tarapatów. Coppola najpierw doprowadza do umowy z dużą argentyńską stacją telewizyjną America 2, na której mocy ta sfinansuje powrót Maradony do Boca Juniors, w zamian otrzymując wyłączne prawo do transmitowania cyklu meczów. Jest to spore osiągnięcie, jeśli zważyć, że po mistrzostwach rynkowa wartość Maradony, jak mogło się wydawać, spadła bardzo nisko. Coppola wykonuje jeszcze kilka posunięć, które poprawiają publiczny wizerunek Diega, a nie wymagają nawet jednego kopnięcia piłki.

W sierpniu 1995 roku przedstawiciele prasy światowej otrzymują faks od Maradony, w którym zaprasza on do Paryża na otwarcie nowego międzynarodowego związku piłkarskiego. Moment jest bardzo dobrze dobrany, zbiega się bowiem z wydanym przez Carla Otto Lenza wyrokiem Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, który przyznaje piłkarzom znacznie większy wpływ na przechodzenie z klubu do klubu.

W pięciogwiazdkowym paryskim hotelu Le Méridien Etoile Maradona zjawia się w czarnym swetrze; w uchu ma kolczyk zrobiony z mlecznych zębów córek. Wygląda na zmęczonego po nocnym locie z Buenos Aires, jest także chudszy, niż należałoby oczekiwać po miesiącu ćwiczeń w Urugwaju z Danielem Cerrinim, którego jako dietetyka zabrał na mistrzostwa do USA. Nie ma do niego



pretensji, uznał bowiem, że cała historia była efektem wielkiego spisku uknutego przeciw niemu przez FIFA, dalej więc korzysta z usług Cerriniego, chociaż wydane po mistrzostwach w 1994 roku przepisy FIFA mówią wyraźnie, że każdy zawodnik powinien poddawać się opiece tylko lekarzy opiekujących się ich drużynami.

Maradona przemyka obok zebranych w hotelowym holu dziennikarzy (także i ja się tam znajduję), którym podążyć za nim nie pozwalają barczyści ochroniarze, i udaje się do swego pokoju. Kiedy portier łąduje do windy walizki, ktoś ze świty Maradony woła: „Uwaga na tę walizkę! Tam są lekarstwa!”. Nic nowego pod słońcem, myślę. Podczas gdy Maradonę zajmuje się masażysta, dziennikarz z telewizji francuskiej Station 2 i przyjaciel Erica Cantony, Didier Roustan, odchodzi w kąk z prawnikami Maradony, Bolotnicofem z Buenos Aires i Sinischalscim z Neapolu. Z daleka można by ich wziąć za bohaterów filmu policyjnego, oni tymczasem rozmawiają o pieniądzach. Chodzi mianowicie o to – nie doszło zresztą do zgody w tej kwestii – czy zakładający nowy związek gwiazdorzy piłkarscy, niekiedy milionerzy, powinni wnieść składkę w wysokości siedmiu tysięcy dolarów na znak zgodnej troski o dobro futbolu. Roustan, który jest zarówno dziennikarzem, jak i organizatorem różnych wydarzeń, bardzo serio podchodzi do tego pomysłu, ponieważ jednak dla Bolotnicofa i Sinischalskiego jest to tylko okazja do promowania klienta, nie bardzo chcą podawać konkretne sumy.

Kiedy Maradona wraca odświeżony, ale wyglądający starzej, niż można by oczekiwać po trzydziestoczterolatku, na sali jest już pełna jedenastka znanych piłkarzy; przewodzą ci, którzy podobnie jak Maradona popadli w konflikt z władzami piłkarskimi: niechący grać w reprezentacji kraju Gianlucca Vialli; George Weah, który przenosi się z Paris Saint-Germain do AC Milan w atmosferze pomówień i oskarżeń; Eric Cantona, którego zawieszono za demonstrowanie talentów kung-fu na mającym do niego pretensje kibicu.

Maradona czuje wielką ulgę. Przed wylotem z Buenos Aires obawiał się, że kompletnie stracił wiarygodność wśród kolegów, a impreza w Paryżu skończy się upokorzeniem gorszym nawet niż w Bostonie. Zarazem czuje głęboką niechęć do tych, którzy się nie zjawili, a przede wszystkim do Pelé, Platiniego i Franza Beckenbauera, i w związku z tym uważa ich za „aparaczyków” FIFA. Pretensje ma również do dawnych kolegów argentyńskich i hiszpańskich, z których żaden się nie stawił, chociaż Valdano czy Redondo nie mieliby daleko.

Niezależnie jednak od absencji tych piłkarzy, całe to wydarzenie ma usunąć w cień wszelkie podejrzenia i wątpliwości co do Maradony, który znowu jest aktywnie obecny w piłkarskim świecie. Mówi dziennikarzom, że z poparciem telefonowali Ruud Gullit i Christo Stoiczkow, a Gascoigne i Platt zjawiliby się, gdyby nie zatrzymały ich inne obowiązki. Potem podczas zatłoczonej konferencji prasowej Maradona i Cantona obejmują się, wspominając o argentyńskiej niepodległości i jej bohaterze, generale San Martínie, którego upamiętniono statua na pobliskiej stacji metra Argentiny. W mieście znanym z rewolucyjnych buntów – a także miejscu, gdzie w 1904 roku założono FIFA – dwaj bogaci rebelianci ogłaszają, że oto rozpoczyna się nowa epoka w walce o prawa piłkarzy. Cantona mówi, że trzeba ich traktować z należnym szacunkiem, skoro ich gra daje radość milionom ludzi. Kiedy Maradona rozwija ten wątek, okazuje się, że ów szacunek powinien przejawiać się także w większej życzliwości wobec zawodników poddanych „nierzetelnej” kontroli antydopingowej i ukaranych w sposób nieproporcjonalny do wykroczenia.

Zarazem widać, że za sprawą rozbudowanego ego obu piłkarzy czują się nie do końca dobrze w swojej obecności, niczym dwie supermodelki na wąskim wybiegu. W pewnej chwili Maradona, poirytowany przedłużającymi się wywodami Cantony, wpada mu w słowo: „A co to, Eric, chcesz dla siebie zająć cały wieczór?”.

Jednak mimo pewnych napięć i delikatnych animozji Cantona nie ukrywa, że Maradona jest dla niego jedną z największych postaci w piłce nożnej. „Z czasem okaże się, że był dla futbolu tym, kim Rimbaud dla poezji, a Mozart dla muzyki”, powiedział w wywiadzie udzielonym w 1995 roku. W styczniu obaj spotkali się w Paryżu, aby omówić powstanie związku. Francuz był zdania, że liczy się talent Maradony i jego popularność przede wszystkim w Trzecim Świecie, a nie życie prywatne. Sądził, że geniuszom trzeba wybaczać ich ludzkie słabości. Maradona odbierał wtedy w Paryżu

nagrodę co roku przyznaną najlepszemu piłkarzowi przez „France Futbol”, a Coppola zadbał już o to, aby nie ominęli żadnego z liczących się nocnych klubów, w tym Queen’s, ulubionego klubu dla nadzianych paryskich gejów.

Kiedy obwieszczono już, że powstaje nowy związek piłkarski, wszyscy piłkarze, włącznie z Cantoną, znikali jeden po drugim, a na scenie został tylko Maradona, aby dowieść, że nie opuścił go dawne talenty medialne. Odpowiadając na pytanie brytyjskiego dziennikarza, bardzo wysoko ocenił talenty trenerskie Glenna Hoddle’a i Kevina Keegana.

Angielski futbol był dawniej bardzo statyczny, zawodnicy czekali na piłkę, jak gdyby miał im ją dostarczyć bombowiec. Teraz wszyscy poruszają się po całym boisku. Hoddle i Keegan zmienili obraz gry, a ja z Buenos Aires z wielką chęcią oglądam mecze Anglików. Gratulacje.

Potem w otoczeniu głównie argentyńskich dziennikarzy, ucieszony liczebnością przedstawicieli mediów, Maradona daje wyraz swemu entuzjazmowi z powodu powstania związku, który stanie się użyteczną bronią w rękach wszystkich piłkarzy – nie tylko najbogatszych – którzy uważają, że władze klubów, narodowych związków i światowej federacji trzeba kontrolować. Swobodną pogawędkę przerywa dopiero wtedy, gdy dziennikarz ze szwajcarskim akcentem zadaje pytanie, czy prawdziwą intencją nie jest pozbawienie FIFA jej największych atutów. Maradona podejrzewa, że to prowokator albo nawet gorzej: szpieg na usługach panów Blattera i Havelange’a. To zresztą prawda, że kierownictwo federacji wpadło w lekką panikę, ponieważ dżentelmeni z Zurychu bardzo lękają się rewolucji. Uspokajają się po otrzymaniu dokładniejszych informacji z Paryża, pokazujących, że więcej w całym przedsięwzięciu jest słów i hałasu niż konsekwentnych poczynań.

Podczas publicznych wystąpień w Paryżu Maradona wydaje się arogancki, wykrętny, podejrzliwy i dopiero w małym kółku zaufanych osób ujawnia inną stronę swej osobowości. Kiedy rozchodzi się większość dziennikarzy, Diego swobodnie rozsiada się w jednym z hotelowych foteli i mówi o dwóch rzeczach, które go najbardziej trapią w tej chwili: musi kupić córkom lalki i zjeść solidną kanapkę. Pierwszeństwo zyskuje operacja Lalki, jak ją nazywa Maradona, Coppola dzwoni więc z mojej komórki do sklepu z zabawkami, a potem ochotnicze z zaufanego grona wręcza plik dolarów, aby dokonała zakupu. To załatwiwszy, Maradona masuje się po brzuchu: „No to teraz coś do zjedzenia. Umieram z głodu! Rozejrzyjmy się”. Jeden z kolegów, znający go lepiej ode mnie, mówi: „Kiedy Diego jest w dobrym humorze, można zacząć myśleć, że to zupełnie normalny facet”.

Dopiero potem okazuje się, że podczas kiedy Maradona informował światową prasę o powstaniu nowego związku piłkarzy, Coppola, koneser paryskiego nocnego życia, załatwił rezerwację w Queen’s, a także zatroszczył się o następne punkty na liście zakupów swego klienta: koszule i krawaty od Versace na Faubourg St-Honoré. Operacja Kanapka okazuje się nieco trudniejsza do przeprowadzenia. Maradona natychmiast zostaje rozpoznany przez fotografów czatujących przed hotelem, bardzo szybko rośnie tłumek gapiów, chcących otrzymać autograf lub chociażby otrzeć się o wielkiego piłkarza. Maradona nakłada parę ciemnych okularów w złotych oprawkach i najwyraźniej rad z wyrazów popularności, rusza boulevard St-Cyr. W pewnej chwili przepycha się do niego jakiś ulicznik, który chciałby sobie zrobić zdjęcie z gwiazdorem, ten jednak krzywi się i odpycha go gwałtownie na bok. Chwilę później stara się znowu wyglądać na rozluźnionego, ale widać, że jest to wymuszone, bo tak naprawdę lubi mieć wokół siebie tylko kilka zaufanych osób, a w innych sytuacjach potrafi reagować kapryśnie i nieobliczalnie.

Nagle Coppola wyskakuje na jezdnię i zatrzymuje rolls-royce’a w wersji convertible. Szofer i pasażer, siwowłosa biznesmen, najwyraźniej są zaskoczeni widokiem opalonego mężczyzny w garniturze od Versace. „Stop, stop! – krzyczy Coppola. – To Maradona! Możecie nas podrzucić?” Nie trzyma wprawdzie w dłoni pistoletu, ale jego ton niedwuznacznie daje wyraz przekonaniu, że tam, gdzie chodzi o Maradonę, przestają obowiązywać jakiegokolwiek normy. Nie czekając na odpowiedź, Coppola, Maradona oraz jeden z jego przyjaciół pakują się na tylne siedzenie, histerycznie się zaśmiewając. Siwowłosa mężczyzna patrzy w osłupieniu, ale potem daje znak kierowcy, żeby ruszał. W pierwszej chwili myślę, że to Hollywood, a oni odjeżdżają w stronę zachodzącego słońca, ale potem przypominam sobie, że chodzi o Paryż i Maradonę.

Budzę się następnego ranka i łapię pociąg do Londynu. Koleżanka, która od kilku miesięcy usiłuje zrobić wywiad z Maradoną, postanawia spróbować jeszcze raz w hotelu. Diego ma przed południem lecieć do Stambułu, aby wystąpić w meczu, z którego dochód przeznaczony jest na pomoc dzieciom z Bośni. Tylko że po zorganizowanej przez Coppolę nocy gwiazdor śpi, niedostępny dla świata. Coppola i Bolotnicof, także skacowani, wiedzą, że najgorszą rzeczą, jaką mogliby zrobić, byłaby próba budzenia.

Moja koleżanka nie jest żółtodziobem, widziała już niejedno, ale nawet ona jest zaszokowana, gdy zostaje zawołana do pokoju Coppoli. Mężczyzna przedstawiający się jako przyjaciel i doradca „pierwszego piłkarza świata” leży nagi na łóżku i ze śmiechem drapie się po genitaliach. Przedmiotem dowcipów jest Bayarm Tutumlu, Turek, który własnym sumptem zorganizował charytatywny mecz w Stambule, a teraz biega po korytarzach Le Méridien Etoile i rwie sobie włosy z głowy. Maradona pojawia się ostatecznie o trzeciej po południu i cała grupa odlatuje do Stambułu.

Stąd leci do Seulu, gdzie z jednodniowym opóźnieniem dołącza do Boca Juniors. Sprawa jego gry staje się przedmiotem ożywionych zakulisowych debat; zdecydowanie protestuje kilku przedstawicieli rządu południowokoreańskiego, którzy zabiegają o przyznanie ich krajowi organizacji mistrzostw świata w roku 2002. Jeden z nich tak opowiadał mi potem:

Obawialiśmy się, że Maradona jest nieprzewidywalny. Ciągnęły się za nim historie z narkotykami, dopingiem, oszustwami. Istniało niebezpieczeństwo, że jego wizyta tylko nam zaszkodzi i pogorszy nasze szanse.

Były jednak także naciski z drugiej strony. Nie obyło się bez interwencji Menema, którego Coppola (przyjaciel jego syna i jednego z najważniejszych członków rządu), a także inne osoby związane z argentyńskim futbolem przekonywały, że Maradona zapewni ekonomiczny i polityczny sukces zbliżającej się wizycie prezydenta Argentyny w Korei Południowej. Ostatecznie wśród decydentów Korei Południowej górę bierze przekonanie, że Maradona i Boca Juniors polepszą wizerunek południowokoreańskiej piłki nożnej, a także zapewnią Seulowi poparcie Argentyny w staraniach o przyznanie mistrzostw świata. (W istocie przedstawiciel Argentyny w FIFA popierał Japończyków; w końcu postanowiono rozegrać turniej o Puchar Świata w obu krajach).

Przyjazd Maradony stał się kwestią polityczną. „To było uzgadnianie na szczeblu rządowym”, powiedział mi wysoko postawiony polityk z Korei Południowej, który potem żałował tej decyzji. Maradona nigdy nie był i nie będzie dobrym dyplomatą, na to bowiem jest zbyt popędliwy i egocentryczny. Kłócił się z personelem hotelu, nie stawiał się na spotkanie, gdzie miał być sfilmowany, jak udziela dzieciom krótkiej lekcji futbolu.

To się jednak nie liczyło z argentyńskiego punktu widzenia; w przesyłanych do kraju relacjach nie wspomniano o żadnych nieprzyjemnych incydentach, natomiast wyłaniał się z nich obraz Diega jako zmartwychwstałego geniusza. Do Seulu przyleciała z Maradoną imponująca grupa przyjaciół, znajomych, krewnych, menedżerów dawnych i obecnych, działaczy piłkarskich, pośredników, baronów telewizyjnych, dziennikarzy. Wszyscy oni byli podnieceni perspektywą wielkiego powrotu Diega. Tak oto gęsta sieć różnorodnych interesów znowu wciągnęła w świat upadłego boga.

**PAŹDZIERNIK 1995 ROKU. PRZYLATUJĘ** do Argentyny, żeby zbierać materiały do książki, i w ciągu pięciu tygodni zajmowania się Maradoną wzbudzam większe zainteresowanie miejscowych mediów niż w trakcie pięciu i pół roku, gdy jako korespondent w Buenos Aires pisałem o wojnach, puczach rządowych i kryzysach finansowych. Koledzy dziennikarze śledzą każdy mój krok, od stadionu La Bombonera po nadrzeczną wioskę w Corrientes, gdzie urodził się ojciec Diega, i dopraszają się o wywiad. Gdybym nie wiedział, że Maradona jest centralną postacią w zbiorowej duszy Argentyny, powiedziałyby mi o tym już samo to zainteresowanie.

Kiedy wracam do Buenos Aires, zostaję zaproszony – po raz pierwszy! – do najpopularniejszego w Argentynie programu talk-show, *Hola Susanna*, który w całości poświęcony jest Maradonie. Gospodyni programu, Susanna Giménez, jest uosobieniem starej i nowej Argentyny. Będąc młodą

aktorką, zagościła na kolumnach towarzyskich jako kochanka mistrza bokserkiego Carlosa Monzóna. Szczęśliwie wyszła z tego romansu z życiem, Monzón miewał bowiem trudności z odróżnieniem swych dziewczyn od sparingpartnerów, w efekcie czego następczyni Giménez wyleciała w trakcie sprzeczki przez balkon.

Monzón zginął w wypadku samochodowym, gdy był na warunkowym zwolnieniu z więzienia; Susanna robiła coraz większą karierę. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, miała oficjalnie pięćdziesiąt lat i była najbardziej lubianą w Argentynie osobą: symbol seksu i dyrygentka rozmów przed kamerami. Ekspresyjna ciemna blondynka, wygląda jak młodsza wersja Zsa Zsy Gabor. Jak sama mówi, jest żywym dowodem cudów chirurgii plastycznej: „Awangardowa babcia z plastikowymi piersiami i w dżinsach”. Podobnie jak wiele osób z otoczenia Maradony, stanowi komponent Nowej Argentyny prezydenta Menema, w której wizyta u lekarza, aby usunąć zmarszczki, jest symbolem statusu, podobnie jak na przykład koszule od Versace. Susanna nie jest jednak trzpiotką, tak jak Maradona nie jest durniem. Jej kariera w telewizji, podobnie jak jego na boiskach piłkarskich, stała się możliwa dzięki instynktownemu wyczuciu, co większość Argentyńczyków kocha i czym się pasjonuje.

U wejścia do studia leżą stosy listów: efekt tygodniowej poczty. Wyrazy sympatii od fanów są związane z tym, że Susanna jeden ze swoich programów poświęciła Maradonie. Zrobiła to po pierwsze dlatego, że podobnie jak niegdyś Monzóna, podziwia go za to, że mówi, co czuje, i działa za podszeptem emocji; po drugie – ponieważ ma wysokie notowania, jeśli chodzi o popularność. Widziałem wideoklip z jednego z jej wcześniejszych programów: w mundurze majora przechodzi na czele oddziału Granaderos, prezydenckiej gwardii honorowej, przed stojącym w towarzystwie żony i córek Maradoną. Teraz mamy unikać jakichkolwiek kontrowersji. „Nie powiem na niego żadnego złego słowa – mówi filuternie Susanna – bo chcę, żeby Diego wziął udział w następnym programie”.

Za tydzień są jego urodziny, co Susanna chce uczcić specjalnym programem. Obok mnie mają w nim wystąpić Coppola, argentyński dziennikarz Fernando Niembro, dawny trener reprezentacji Argentyny, Carlos Bilardo, sprawozdawca telewizyjny Mariano Grondona oraz Esteban Hubner, który zrobił doktorat w Oksfordzie. To od tego ostatniego ma zacząć się program, dał bowiem do niego okazję: zaprosił Maradonę na wykład do Oksfordu, co Susanna Giménez niesłusznie uznaje za „największy zaszczyt akademicki, jaki kiedykolwiek spotkał znanego sportowca”. Hubner opowiada, jak kiedyś pracował jako boy w hotelu, w którym zatrzymał się Maradona, jak natychmiast zachwyił się piłkarzem i jak to uwielbienie z biegiem czasu nieustannie się pogłębiało. Znalazłszy się w Oksfordzie, bez przerwy rozmyślał nad tym, jak by sprowadzić swego bohatera do Wielkiej Brytanii.

Podejmując ten temat, Grondona zauważył, że Maradona jest jedynym Argentyńczykiem, którego zapraszają obcokrajowcy, więc to całkiem słuszne, że znalazł się w twierdzy nauki akademickiej. Rodacy uważają Grondonę, byłego uniwersyteckiego wykładowcę, który chciałby „zintelektualizować” telewizję, za jednego z najgłębszych myślicieli. On nie omieszka delikatnie podkreślić związanych z Maradoną mistycznych aspektów; „Warto zauważyć, że urodził się w stajence” (co jest kolejną nieprawdziwą informacją, Diego bowiem urodził się w szpitalu imienia Evy Perón).

Niembro wydał wcześniej książkę przedstawiającą fikcyjną wersję zdarzeń na mistrzostwach świata w USA, w której Maradona staje się ofiarą spisku CIA. Niembro broni swej zasadniczej tezy, że piłkarz jest niewinną ofiarą knozań FIFA. Sam przyznaje, że nie ma na to żadnych dowodów, z drugiej jednak strony wie, że taka teza miła jest sercom wielu Argentyńczyków i dobrze wpływa na sprzedaż książki. Fakt, że w ponad rok po mistrzostwach świata śmiało rozwija swą teorię przed publicznością w studiu i przed milionami widzów, pokazuje, w jakim stopniu Argentyńczycy skłonni są ludzić się co do Maradony.

Bilardo opowiada o piłkarskich talentach Maradony, Coppola w imieniu swego klienta mówi, że będzie on niezmiernie szczęśliwy, kiedy już jako pełnoprawny zawodnik będzie mógł znowu wystąpić w Boca Juniors. Co do mnie, ostrzegam, że Maradona może się spotkać w Anglii z niechęcią. „Będą

go pytać o narkotyki, a także o „rękę Boga”, aczkolwiek wszyscy pamiętają też drugą bramkę strzeloną przez niego w tym meczu”.



*Maradona – „inspirator marzeń”, 6 listopada 1995 r.*

I istotnie pamiętali podczas debaty Oxford Union, która podsumowała Maradonę tak, że uczestnikom programu Susanny trudno byłoby to zaakceptować. Coppola bardzo starał się stworzyć obraz Diega, który po latach niezetelnego traktowania przez media i różne instytucje zyskuje sobie powszechne uznanie. Nie liczy się to, że chociaż Maradona wystąpił w birecie i toższe, mówienie o „doktoracie w Oksfordzie” jest szalbierstwem; organizacja ortodoksyjnych Żydów, która zorganizowała imprezę, nie ma prawa nadawać żadnych tytułów akademickich, liczy się natomiast to, że Maradona stał się „Mistrzowskim Inspiratorem Oksfordzkich Marzeń”, a sens tych marzeń najlepiej wyraża się w prośbie, aby przerzucił piłkę z jednej nogi na drugą, a potem na głowę. Prośba pochodzi od studenta, który widział, jak Diego robił to podczas treningów do mistrzostw świata w USA.

Pytania o narkotyki, doping i „rękę Boga” zbyte są w sposób dość wykrętny.

Nie, to nie żadne szkodliwe środki przerwały moją grę. Popelnilem błąd i przyznaję się do tego. Rzecz jednak w tym, że w futbolu jest wielu potężnych ludzi. Usiłowali mnie zabić, zniszczyć, ale to im się nie udało. Próbuja mnie zniszczyć, bo jestem jednym z tych niewielu piłkarzy mówiących rzeczy, których oni nie lubia.

A co z „ręką Boga”, Diego? Jakież przeprosiny, wyrazy skruchy? Unosząc podarowane mu plastikowe ramię, Maradona mówi z anielskim uśmiechem: „Ona uleczy wszystko”. Ani słowa więcej.

Wykład wygłasza monotonnym głosem, jakby odczytywał referat, z którym nie miał czasu się zapoznać. Tekst napisali Coppola i Bolotnicof, słownictwo, styl, spójność zdradzają, że nie mógł wyjść spod ręki Maradony, którego życie zostaje tam przedstawione w sposób wybiórczy, jeśli nie po prostu kłamliwy.

Kiedy byłem chłopcem, futbol sprawiał mi mnóstwo radości, nigdy jednak nie mogłem pojąć, jak osoby, które dają tę radość innym, można uważać za płytkie czy ograniczone. Moim przeznaczeniem było pozwalać ludziom się cieszyć... Zawsze interesowały mnie tylko gra, wrzawa na trybunach, ten niedający się zdefiniować stan ducha. Wielki biznes nigdy mnie nie interesował, ale skoro stanowi część futbolu, nie mogłem całkowicie się od niego odgradzić.

Wykład kończy się zamaskowaną krytyką FIFA, a także ludzi, którzy w pogoni za pieniędzmi odebrali piłce jej czystość, w ostatnich zaś słowach mówca wyjawia publiczności, jakie są cztery najwyższe wartości Diego Maradony: „Rodzina, przyjaźń, solidarność, sprawiedliwość”. Czegóż więcej oczekiwać od boga?

## MARADONA ODRODZONY

**Buenos Aires, styczeń 2010**, początek roku, w którym odbędą się mistrzostwa świata w futbolu. Na pozór Maradona jest odmienionym człowiekiem; wprawdzie jego najnowsze nieodpowiedzialne wybryki – wulgarny słowny atak na dziennikarzy – doprowadziły do spadku w rankingach popularności, ale to jedynie drobne zawirowania na drodze do odkupienia w roli selekcjonera narodowej kadry. Dawne zdrady poszły w zapomnienie i Diego otwarcie mieszka ze swoją najnowszą partnerką, podczas gdy była żona zajmuje się jego finansami. Pojednał się z córkami i jest kochającym dziadkiem dla dziecka jednej z nich, żony piłkarza, oraz chętnie wspiera drugą, obiecującą młodą aktorkę. Wyraźnie schudł i od pewnego czasu nie dręczą go problemy zdrowotne, a uzależnienie od kokainy najwyraźniej pozostawił za sobą.

Taki jest jego wizerunek publiczny. Ale pod powierzchnią Maradona pozostaje tym samym nieprzewidywalnym, chaotycznym geniuszem, którego odkryłem, gdy piętnaście lat temu zbierałem materiały do tej książki. Za przydarzające mu się akty przemocy – w słowie lub czynie – odpowiadają zarówno wpływ środowiska, jak i jego wewnętrzne demony: wychowanie w bezprawiu slumsów, długoletnie zażywanie narkotyków, a także obecność w jego życiu licznych pieczeniarzy i oportunistów, którzy nałogowo go wykorzystują.

Argentyna jest krajem niespełnionych nadziei, który wciąż nie potrafi wykorzystać swojego ogromnego potencjału gospodarczego. Słynie z korupcji wśród polityków i biznesmenów, a jej światem piłkarskim na wszystkich szczeblach rządzą kombinatorzy. Maradona z łatwością lawiruje w tym środowisku, a ludzie, którzy mają w tym interes, dbają, by mimo swoich przywar i przebrzmiałego geniuszu wciąż mógł dawać z siebie jak najwięcej. Chociaż publicznie sprzeciwia się establishmentowi, przez większość dorosłego życia jest rozpieszczany, zarówno przez grube ryby, jak i fanatycznych kibiców, którzy czczą go od Buenos Aires po Bagdad. Arogancja i wrodzona mściwość nadszarpnęły jego popularność, ale lojalni fani pamiętają magiczne chwile na boisku i wrodzony talent zawodnika, który nauczył się panować nad piłką na piaszczystych boiskach slumsów, zanim doszedł do bogactwa.

W południowej dzielnicy La Boca mit Maradony jako idola ludu przetrwał najdłużej. Diego utrzymywał, że drużyna Boca Juniors zawsze pozostawała najbliższa jego sercu. Boca lubi postrzegać siebie jako dom dla ludzi wyrzuconych na margines i chętnie przygarnia do swej piersi ciemnoskórych naśladowców Maradony. Graffiti i rzeźby unieśmiertelniły wizerunek Diega w okolicach La Bombonery, stadionu, na którym bywał jako zawodnik i fanatyczny kibic. Chociaż stadionowe muzeum jest poświęcone wielu ekscentrycznym legendom, od „Szczyra” Rattina po „Szaleńca” Gattiego, Maradona pozostaje najwybitniejszym z nich i niekwestionowaną chlubą tego miejsca.

Pewnego wrześniowego wieczoru w 1996 roku Diego Maradona siedział naprzeciwko mnie we włoskiej restauracji w Londynie i przeglądał wręczone przeze mnie pierwsze wydanie tej książki. Po miesiącach pogoni za nim po całym świecie miałem nadzieję, że wreszcie się dowiem, czy jest gotów stawić czoło prawdzie o sobie. Ale to nie miał być wieczór objawień. Maradonie towarzyszyli jego ówczesny agent, Guillermo Coppola, oraz Gianluca Vialli. Obaj zachowywali się jak uczestnicy zagrożonego spisku, chociaż mogłem tylko zgadywać, czego dotyczyła rozmowa, którą przerwałem. Podejrzywałem, że może mieć coś wspólnego z plotkami, że Maradona chce grać w Chelsea. O cokolwiek chodziło, nie zamierzał o tym rozmawiać i wkrótce oddalił się od stolika, wyszedł w londyńską noc i skierował się w stronę jednego z najmodniejszych klubów nocnych stolicy Wielkiej Brytanii.

Skomentował moją książkę dopiero kilka dni później, kiedy odwiedził hiszpański kurort Alicante, gdzie przebywał „w celach zdrowotnych”. Po raz kolejny opowiedział o swoim uzależnieniu od narkotyków, a następnie zaatakował wszystkich, którzy mi pomagali, oskarżając ich o zdradę. „Burns na mnie naszczał”, oznajmił na antenie hiszpańskiej stacji radiowej.

W Alicante Maradona mocno sobie popofolgował. Wrócił do hotelu nad ranem w stanie, który świadkowie opisali jako „dziwnie pobudzony”. Potem przez awarię prądu utknął w windzie i kopął w drzwi, aż rozkrwawił sobie stopę. Kiedy w końcu strażacy wyciągnęli go z potrzasku, zaczął wywracać stoły i krzesła i wydzierał się aż do rana, gdy dyrekcja hotelu wystawiła mu rachunek za zniszczenia. Zbliżał się wtedy do trzydziestych siódmych urodzin i jako zawodnik nie mógł liczyć na zainteresowanie. Stał nad przepaścią i wydawało się, że może to być początek ostatniego rozdziału w jego burzliwym życiu. Ale już wcześniej spadał z nieba do rynsztoka i udawało mu się stanąć na nogi. Okazało się, że to jeszcze nie ostatni zwrot akcji w tej chaotycznej opowieści.

Kilka tygodni później, po zmarnowaniu pięciu rzutów karnych podczas kluczowego meczu o mistrzostwo lokalnej ligi, Maradona ogłosił, że odchodzi z Boca Juniors. Człowiek, który twierdził, że to łaskawy Bóg pomógł mu zdobyć nieuczciwą bramkę przeciwko Anglii podczas mistrzostw świata w Meksyku, teraz utrzymywał, że „wiedźmy” rzuciły na niego zły urok. Wciąż zmagał się z uzależnieniem od narkotyków, które skłoniło go do szukania pomocy u wielu lekarzy. Działacze Boca Juniors obawiali się, że może przewrócić się i umrzeć w połowie meczu, bo jego serce nie wytrzyma obciążenia. Podczas jednego z charakterystycznych dla siebie spontanicznych wybuchów przed kamerami państwowej telewizji ogłosił: „Maradona jako zawodnik nie żyje”. Grał dla Boca Juniors do października 1997 roku, lecz nawet wtedy doniesienia o tym, że wreszcie zawiesił buty na kołku i z godnością wycofał się z nagłówków sportowych gazet, okazały się przedwczesne.

**W** STYCZNIU 2000 ROKU **M**MARADONA spojrział śmierci w oczy. Zmagając się z potężną nadwagą i chorobą serca, którą odziedziczył po ojcu, stracił przytomność podczas wakacji w urugwajskim kurorcie Punta del Este. Został przewieziony do szpitala, gdzie zdiagnozowano nadciśnienie i zaburzenia pracy serca. Coppola natychmiast poinformował media, że zapaść nie miała nic wspólnego z narkotykami, a przyjaciel Maradony, prezydent Argentyny Carlos Menem, zrzucił wszystko na karb „stresu”. Później urugwajska policja ujawniła, że badanie próbek krwi i moczu Maradony wykazało „duże stężenie kokainy”.

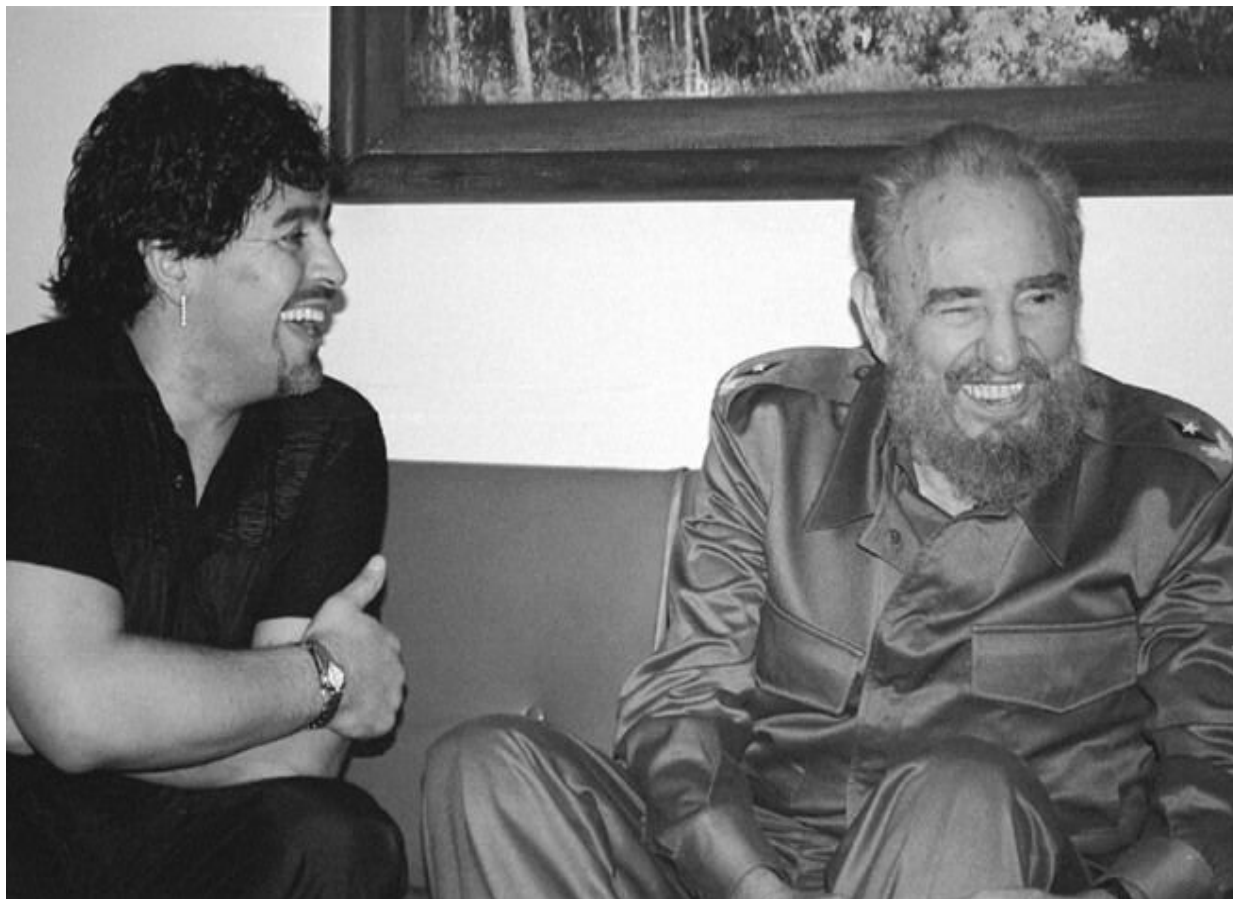
Ujęcia ze szpitala, które Coppola sprzedał na wyłączność telewizji, pokazywały, że Diego wraca do zdrowia. Tyle że od czasu zakończenia kariery piłkarskiej, trzy lata wcześniej, przytył dwanaście kilogramów, był obrzmiały, miał opuchnięte oczy i ledwo trzymał się na nogach. Inny człowiek na jego miejscu pożegnałby się z życiem, lecz jego wytrzymałość i szczęście zawsze zadziwiały lekarzy. Wiadomość telefoniczną, że Maradona jednak powita nowe tysiąclecie wśród żywych, otrzymałem, gdy właśnie rozmawiałem przez internet z jego kibicami. Micky z Liverpoolu stwierdził, że Diego był bardziej rozchwytywany przez piłkarskie kluby, niż kiedykolwiek będzie Michael Owen. Charly z San Jose w Kalifornii utrzymywał, że Maradona był wybitniejszym graczem niż Pelé. Ktoś z Katmandu dowodził, że Maradona jest królem futbolu, natomiast pewien argentyński lekarz wspominał, jak członkowie afgańskiego plemienia, którzy grozili mu bronią, puścili go wolno, gdy wykrzyknął nazwisko Maradony. Diego wciąż był uwielbiany przez kibiców na całym świecie ze względu na to, jakim kiedyś był graczem.

Mniej więcej w tamtym czasie Jon Smith, międzynarodowy agent piłkarski, który reprezentował Maradonę od 1987 do 1993 roku, doszedł do wniosku, że piłkarza już nie da się sprzedać na rynku zagranicznym. Wyznał mi, że pod koniec lat dziewięćdziesiątych proponował trzem klubom z angielskiej Premiership kandydaturę Maradony jako trenera, ale kazali mu spadać na drzewo.

W przypadku Maradony nic jednak nie jest przewidywalne, więc już kilka dni po zapaści w Urugwaju rozpoczął rekonwalescencję w Hawanie, dokąd zaprosił go jego przyjaciel Fidel Castro. Kubański przywódca uruchomił hojne wsparcie finansowe, a agent Maradony mógł przekazywać nienasyconym światowym mediom kolejne wywiady i zdjęcia. Diego opowiadał o sobie w trzeciej



osobie, kpiąc z zaślepienia tych, którzy wieszczili jego rychły upadek. „Diego Maradona wstąpi do nieba dopiero wtedy, gdy będą tam na niego czekali wszyscy czterej Beatlesi”, zadeklarował. Przebywający w Hawanie brytyjski dziennikarz, David Jones, stwierdził, że człowiek, którego fani w ankiecie FIFA uznali za najwybitniejszego piłkarza dwudziestego wieku, „nie tylko cierpi na manię wielkości, ale też postradał zmysły”.



*Spotkanie Maradony z Fidelm Castro.*

Ostatni pobyt Maradony w kurorcie La Pradera przypominał farsę. Diego spał do późna, a potem zjadał śniadanie złożone z owoców i soku, dostarczane na srebrnej tacy przez dwóch kucharzy w białych czapkach. Od czasu do czasu odwiedzał niewielką siłownię, gdzie po czterech seriach pompek, czterech seriach wymachów nóg i kilku niemrawych wymachach ramion „dyszał jak mors z astmą”. Z włosami ufarbowanymi na pomarańczowo, tatuażem z Che Guevarą na obwisłym ramieniu i pulsometrem na opasłym brzuchu wyglądał jak błazen, rozdęty Harpo Marx. To wszystko najwyraźniej nie przeszkadzało Fidelowi Castro, który znalazł sposób na wykorzystanie obecności Maradony na wyspie do własnych celów. Lokalne media przedstawiły go jako dobrego przywódcę kraju, jakże odmiennego od Goliata Północy (Stanów Zjednoczonych), który odmówił przyznania Maradonie wizy po skandalu dopingowym podczas mistrzostw świata w 1994 roku. „Dzięki takim spotkaniom, jakie właśnie odbyłem z Fidelm, moje serce przetrwa i Diego jeszcze trochę pożyje”, oznajmił Maradona po rozmowie z kubańskim przywódcą, z którym łączyła go aura pozornej nieśmiertelności.

Niecały rok później, w 2001, Maradona nie po raz pierwszy w życiu publicznie ronił łzy. Płakał ze wzruszenia, ponieważ Argentyńczycy szanowali go tak bardzo, że nie chcieli słyszeć o tym, by ktokolwiek inny grał z numerem 10 na plecach, mimo że Diego właśnie ponownie żegnał się z piłką.

Jego koszulka, podpisana przez członków argentyńskiej drużyny z 2001 roku – takich zawodników jak Javier Saviola, Gabriel Batistuta, Javier Zanetti, Hernán Crespo, Juan Román Riquelme, Andrés D'Alessandro, Marcelo Gallardo, Pablo Aimar i Juan Sebastián Verón – trafiła w ręce Diega podczas uroczystego meczu pomiędzy dowodzoną przez niego jedenastką Argentyny a jedenastką reszty świata, czyli galerią niegrzecznych chłopców, utalentowanych zawodników i dawnych legend – takich jak Carlos Valderrama, Christo Stoiczkow, Eric Cantona czy René Higuita.

W Buenos Aires był listopad, ciepły, słoneczny i pachnący wyblakłymi jakarandami. Przed meczem Maradona, w turbanie na głowie, odwiedził przyjaciela, byłego już prezydenta Menema, który przebywał w areszcie domowym w związku z oskarżeniami o korupcję. Później doniesiono, że w hotelu Hilton w Buenos Aires, gdzie Diego zamieszkał ze swoją żoną, widziano go, jak przemierza korytarze w masce Osamy bin Ladena, którą kupił po zamachach jedenastego września i nosił podczas eleganckich balów kostiumowych w Hawanie.

W dniu meczu Maradona założył swoją koszulkę z numerem 10 i zaczął czekać, aż lokalny zespół rockowy, The Paranoid Rats, skończy śpiewać refren *Chcę, by Diego grał już zawsze*. Następnie, jak robił to mnóstwo razy przedtem, wyszedł na murawę La Bombonery, swojego ukochanego koloseum, witany przez ryk sześćdziesięciu tysięcy fanatycznych kibiców – gladiator ludu, z dwiema małymi córkami przy boku. Stadion przystrojono niebieskimi i żółtymi barwami klubu Boca, a także błękitem i bielą – kolorami Argentyny. Trybuny wypełniali *barras bravas*. Podskakiwali radośnie, skandując: „Dziękujemy, Diego!”. W ten sposób okazywali wdzięczność za jego geniusz. Fakt, że sprzedano wszystkie bilety na ostateczne pożegnanie Maradony z piłką, mimo że Argentyna była pogrążona w najgorszym od lat kryzysie politycznym i gospodarczym, stanowił osiągnięcie porównywalne do zorganizowania pojedynku Ali–Foreman w Zairze pod rządami Mobutu. To była impreza światowego formatu w wydaniu Maradony.

Tym razem stawką meczu na La Bombonery nie był mistrzowski tytuł. Maradona nie miał wątpliwości, że jest najwybitniejszym zawodnikiem, jaki kiedykolwiek zaszczycił swoją grą tę murawę. Okazało się jednak, że czterdziestoletnia legenda wniosła na boisko osiemdziesiąt cztery kilogramy, czyli sporą nadwagę.

Maradonę dręczyła rozpaczliwa, niezaspokojona potrzeba znalezienia sensu życia, odzyskania poczucia celu, zaprzęgnięcia do pracy swojego piłkarskiego talentu i geniuszu. W 1997 roku, tuż przed ponownym wpadnięciem w bagno narkotyków, obżarstwa i alkoholu, obiecał, że nie tylko pomoże drużynie Boca odzyskać dawną świetność, ale także zapewni Argentynie awans do przyszłorocznych mistrzostw świata we Francji, osobiście grając w reprezentacji. Nic z tego nie wyszło. Spełnienie tego marzenia musiało poczekać, chociaż Maradona chętnie usprawiedliwiał wszelkie niepowodzenia.

W wydanej w 2000 roku autobiografii *Yo Diego* opowiada o swoim wrodzonym talencie: umiejętność swobodnego skręcania kostek była jednym z czynników, które pozwalały mu posługiwać się lewą stopą sprawniej, niż większość z nas posługuje się prawą dłonią. Ekstremalnej ruchliwości stopy towarzyszyło panoramiczne pole widzenia na boisku, a także zdolność przewidywania skutków wykonywanego ruchu. Jorge Valdano lubił opowiadać historię o tym, jak po drugiej bramce przeciwko Anglii w Meksyku w 1986 roku Maradona powiedział mu: „Widziałem, że biegniesz, ale ci nie podałem, bo uznałem, że sam dam sobie radę”. „Ten sukinsyn nie tylko grał, jak chciał, ale jeszcze widział, co ja robię!”, dodawał Valdano.

Tylko Maradona mógł jednak opisać drugą bramkę jako strzał, o jakim marzy się w dzieciństwie. Pobiegnął prawą stroną boiska, minął Beardsleya, Reida i Butchera, zobaczył niepilnowanego Valdano po lewej, ale postanowił zaszarżować samotnie; wyciągnął Shiltona z jego pozycji, a następnie umieścił piłkę w bramce, zanim Butcher zdążył się cofnąć.

Za każdym razem, gdy to oglądam, wydaje mi się, że nie mogłem tego osiągnąć – wspominał. – To niemal jak sen... ale zdobyłem najlepszego gola w swoim życiu.

Według Maradony jego występ oraz triumf Argentyny w 1986 roku były policzkiem wymierzonym każdemu, kto w tygodniach poprzedzających turniej krytykował drużynę prowadzoną przez Carlosa

## Bilardo.

Kiedy już mieliśmy puchar w dłoniach, wróciliśmy do szatni i zaczęliśmy wyśpiewywać z balkonów najbardziej obraźliwe przyspiewki – wspominał. – Kierowaliśmy je pod adresem każdego... Staliśmy na lawkach i wrzeszczyliśmy jak szaleńcy: „To dla was, skurwiele!”.

Chociaż Maradona przyznawał się do uzależnienia od narkotyków, co najmniej dwa pozytywne wyniki testów dopingowych uznał za rezultat spisku i zaprzeczył, by kiedykolwiek wspomagał się niedozwolonymi substancjami na boisku. Co do meczu z Anglią na stadionie Azteca, przyznał się, że zdobył pierwszą bramkę ręką, ale tego nie żałował ani nie miał zamiaru przeproszać. Stwierdził, że bramka była słodką zemstą za wszystkich argentyńskich *chicos*, którzy ginęli jak „ptaszki” podczas wojny o Falklandy. Upodabniało go to do argentyńskiej wersji kieszonkowca z *Olivera Twista*, który kradnie portfel Anglikowi.

Maradona krytykował sędziów, organizację FIFA, chciwych piłkarzy i skorumpowanych polityków, a siebie, rzecz jasna, stawiał po stronie prawdziwych kibiców.

Jestem głosem tych, którzy nie mają głosu, głosem tych, którzy czują, że przemawiam w ich imieniu, ponieważ ciągle mam przed sobą mikrofon, podczas gdy oni nie dostają takiej szansy przez całe swoje przekłete życie.

Nie czuł potrzeby usprawiedliwiania swojego dziwnego milczenia w ostatnich dniach wojskowego reżimu, który w latach 1976–1983 pozbawił życia od dziewięciu do trzydziestu tysięcy osób. Po rozegraniu meczu niedaleko „pół śmierci” (jego ówczesne mieszkanie dzieliła tylko jedna ulica od jednego z niesławnych obozów junty), chętnie fotografował się z członkami camorry w Neapolu, nie dlatego, że był przez nich opłacany, ale dlatego, że uznawał to za dobrą rozrywkę. Na końcu autobiografii przekonywał, że w wieku czterdziestu lat może śmiało stwierdzić, że nie skrzywdził nikogo poza sobą i nie zawdzięcza niczego nikomu poza rodziną.

W 2001 roku, gdy wrócił na La Bombonere, by wziąć udział w uroczystym meczu, miał za sobą kolejną morderczą walkę o powrót do sprawności, gdyż poddał się operacji kolana w klinice w Kolumbii. Jego najbardziej fanatyczni kibice najwyraźniej nie dostrzegali, jak przewrotny był pomysł powrotu do formy w ojczyźnie białego proszku. Dopiero gdy zabrzmiał pierwszy gwizdek, Diego uświadomił sobie, że został złożony w ofierze na ołtarzu zbiorowego urojenia. Od początku stało się jasne, że będzie mógł rozegrać na przyzwoitym poziomie tylko niewielką część meczu. Dlatego przebieg spotkania dostosowano do jego formy. Inni piłkarze zwalniali tempo, cofali nogę podczas wślizgów i jak najczęściej podawali piłkę Maradonie, który był tak ociężały, zarówno fizycznie, jak i umysłowo, że prawie nie dryblował i przepuszczał podania. Było coś niezwykle smutnego w tym, że inni zawodnicy musieli litować się nad najlepszym piłkarzem w historii. Ale nie można nazwać tego występu farsą, ponieważ towarzyszyły mu szczerze emocje zawodników, którzy starali się bronić honoru Maradony.

**Z**E WZGLĘDU NA JEGO SŁABĄ FORMĘ WSZYSCY wiedzieli, że nie zdoła samodzielnie strzelić bramki. Dlatego gdy jedenastka Argentyny prowadziła – dzięki golom innych zawodników – sprokurowano rzut karny, umożliwiając Maradonie jego wykonanie. Diego podszedł do piłki z wypiętą pierśią i nogami ciężkimi jak kłody drewna i umieścił ją w siatce, a bramkarz, Higuita, praktycznie nie próbował go powstrzymać. Później, gdy Maradona stanął przed kolejną szansą na podwyższenie wyniku, spróbował przelobować kolumbijskiego bramkarza z trzydziestu metrów. Tym razem Higuita wykorzystał powoli opadającą piłkę jako okazję do efektownej parady i odbił ją kopnięciem skorpiona, podobnym do tego, jakie wykonał w meczu przeciwko Anglii na Wembley. Minęła już spora część drugiej połowy meczu i Maradona ledwo chodził. Mocno utykał i zalewał się potem. Trudno było nie współczuć człowiekowi, który był tylko tłem w meczu zorganizowanym na jego cześć i zmuszał wszystkich do gry na pół gwizdka. Ale Diego już wcześniej musiał godzić miłość do piłki ze swoim zrujnowanym zdrowiem i zawsze wychodził z tego obronną ręką. Niebezpiecznie zdyszany, wylał sobie na głowę całą butelkę wody – w rytualnym akcie chrztu – kiedy mecz już

wyraźnie stracił tempo. Chwilowo orzeźwiony, wykonał gest w stronę tłumu, zrywając koszulkę argentyńskiej reprezentacji, pod którą miał koszulkę Boca Juniors. Można było odnieść wrażenie, że całe życie przemknęło mu przed oczami – nie powstrzymując łez, pokazał obraźliwy gest w stronę celebrytów, polityków i działaczy, którzy zasiadali w łóżach dla VIP-ów, a pozdrowił trybuny zajmowane przez bezrobotnych, bandziorów i złodziei.

W tej samej chwili najbardziej lojalni kibice – dzicy, samowolni i półnaczy – którzy zajmowali miejsca stojące na trybunie zwanej *la doce* („dwanaście”, ponieważ ich pasja wspomagała drużynę jak dwunasty zawodnik), tańcząc plemienne tańce, aż trzęsła się La Bombonera, wystrzelili niczym artyleryjską salwę strumień fajerwerków, które wypełniły cały stadion hukiem i wonią prochu. Kakofonia ich śpiewów za pośrednictwem transmisji telewizyjnych wstrząsnęła Argentyną oraz całym światem, a komentatorzy we wszystkich krajach oniemieli i byli w stanie tylko powtarzać: „To niesamowite”. Koledzy z drużyny ponieśli Maradonę z oczami zwróconymi ku niebu i błagalnie rozpostartymi rękami, płaczącego jak nigdy w życiu nad swoimi porażkami i zwycięstwami, nad minionymi czasami i hipnotyzującą, uwodzicielską wizją nieśmiertelności.

**POZA STADIONEM ARGENTYNA** pod rządami prezydenta Fernanda de la Rúa pogrążyła się w najgłębszym kryzysie, jaki pamiętali obywatele. Kryzys wiary w zdolność rządu do poradzenia sobie z błyskawicznie rosnącym deficytem w sektorze państwowym oraz wysokie bezrobocie skłoniły ludzi do masowego wypłacania oszczędności, co z kolei doprowadziło władze do bardzo niepopularnej decyzji o wprowadzeniu *corralito*, oficjalnego zakazu wycofywania depozytów bankowych. W Buenos Aires i innych częściach kraju wybuchły zamieszki. W stolicy okradano sklepy i banki, podpalono budynek kongresu. Bilans starć protestujących z policją – dwudziestu siedmiu zabitych i setki rannych cywili – uczynił z tych zamieszek największy wybuch politycznej przemocy od czasu zakończenia wojny o Falklandy, niemal dwadzieścia lat wcześniej.

Kadra narodowa Argentyny przygotowywała się do finałów mistrzostw świata w Korei Południowej i Japonii w 2002 roku i liczono na to, że wygrana podbuduje narodowe morale, podobnie jak stało się w 1978 roku. W atmosferze politycznego rozpadu przebąkiwano, że Maradona stanie do walki o stanowisko wiceprezydenta wspólnie ze swoim przyjacielem, byłym prezydentem peronistą, Carlosem Menemem, który niedawno uniknął kary więzienia.

Kiedy de la Rúa został zmuszony do rezygnacji, Argentyna wkroczyła w okres politycznego zawieszenia, gdy kolejni tymczasowi prezydenci z trudem usiłowali utrzymać kontrolę nad krajem. Protestujący i niektóre media otwarcie obwiniali klasę polityczną, używając sloganu *Que se vayan todos* („Precz z nimi wszystkimi”). W styczniu 2002 roku nowy tymczasowy prezydent, Eduardo Duhalde, peronista i były gubernator Buenos Aires, uwolnił kurs wymiany walut, przez co argentyńskie peso straciło niemal dwie trzecie wartości, a połowa obywateli kraju popadła w ubóstwo. W kolejnym roku odbyły się nowe wybory, a dwudziestego piątego maja kolejny peronista, Néstor Kirchner, został zaprzysiężony na prezydenta. Argentyna, która niegdyś wyprzedzała Europę pod względem dobrobytu i miała być samowystarczalna w zakresie produkcji żywności i ropy naftowej, teraz straciła niemal całą klasę średnią, a duża część populacji cierpiała głód.

Używając języka, który odwoływał się do populizmu generała Juana Peróna i jego żony Evity, Kirchner obiecał, że rozwiąże społeczne problemy kraju. Podjął się drastycznych renegotjacji potężnego państwowego długu, a także ogłosił, że w polityce zagranicznej już nie będzie skupiał się na Stanach Zjednoczonych, lecz na współpracy z nowymi nacjonalistycznymi przywódcami w Ameryce Południowej, takimi jak Hugo Chávez w Wenezueli i Evo Morales w Boliwii. Mimo że szybko reagował na szokujące przypadki łamania praw człowieka przez wojsko i rozprawił się ze skorumpowanym wymiarem sprawiedliwości, styl prowadzonej przez niego polityki nie zmienił się od czasów, gdy był gubernatorem bogatej w ropę prowincji Santa Cruz. Zaczął rządzić Argentyną jak swoim osobistym lennem; przyznawał lukratywne kontrakty biznesowe przyjaciołom i budował polityczne sojusze poza kongresem, pośród lokalnych władz, związków zawodowych czy przedstawicieli marginesu społecznego.

Maradona odnalazł się w nowej politycznej rzeczywistości, ponieważ sprzyjała ona jego osobistym interesom. W 2004 roku rozwiódł się ze swoją młodzieńczą miłością i wieloletnią żoną Claudią Villafañe, przyznawszy się do nieślubnego dziecka, włoskiego chłopca Diego Sinagry, który urodził się, gdy Maradona grał w Neapolu. W końcu przeprowadził się do nowego domu w luksusowej dzielnicy Ezeiza, niedaleko rozległych terenów będących własnością Argentyńskiego Związku Piłki Nożnej, na których znajdował się imponujący ośrodek treningowy kadry narodowej. W 2004 roku obszar ten był pod kontrolą peronistów, którzy ściśle współpracowali z władzami. Plotkowano, że w kupnie domu Maradony pośredniczył burmistrz Alejandro Granados, którego syn był właścicielem lokalnej – szczerze finansowanej – drużyny piłkarskiej oraz różnych podejrzanych interesów. Dopiero później wyszło na jaw, że Maradona po przeprowadzce do swojej kosztownej posiadłości wszedł w konszachty z Granadosem, jego przyjaciółmi, ludźmi prezydenta Kirchnera oraz partią peronistów, która dominowała na argentyńskiej scenie politycznej od czasu, gdy w 1945 roku doszedł do władzy generał Perón. W kwietniu 2008 roku Granados ogłosił, że Maradona wstąpił do partii peronistów, w której zarejestrował się pod legendarnym numerem 10. W sierpniu 2009 roku entuzjastycznie wspierał rząd w staraniach o odzyskanie państwowej kontroli nad lukratywnymi prawami do telewizyjnych transmisji z meczów piłkarskich.

Cztery lata przed oficjalnym zapisaniem się do partii, osiemnastego kwietnia 2004 roku, Maradona trafił na oddział intensywnej terapii w szpitalu w Buenos Aires z podejrzeniem ataku serca po przedawkowaniu kokainy – po raz kolejny otarł się o śmierć. Lecz doniesienia o jego zgonie znów okazały się przedwczesne. Rok później, otyły i w słabej formie, zgodził się na zabieg zmniejszenia żołądka, co miało ograniczyć jego apetyt. Po operacji przeszedł na dietę opartą na lekkostrawnych przecierach i wolną od alkoholu. Krążyły opowieści o tym, że podczas jednego z napadów niekontrolowanego obżarstwa pochłonął siedem pizz i kilka tortów, obficie podlewając to wszystko szampanem. Kilka tygodni po tym, jak kolumbijski lekarz zoperował mu żołądek, Maradona, znacznie odchudzony, rozpoczął krótką, ale dobrze płatną karierę prezentera telewizyjnego.

W ramach złożonego z trzydziestu odcinków programu *La Noche del 10* (Noc numeru 10), Diego rozmawiał z całą gamą międzynarodowych gwiazd – od Pelé po Mike’a Tysona, od Robbiego Williamsa po Julio Iglesiasa, a także ze swoim ulubionym politykiem Fidelem Castro – a z niektórymi z nich grał w piłkę przed kamerami. W pierwszym odcinku Maradona i Pelé wymienili się podpisanymi koszulkami, przez niespełną minutę kopali do siebie piłkę, po czym wspólnie zaprezentowali piosenkę w rytmie tanga – Pelé grał na gitarze, a Maradona śpiewał. Pelé wychwalał Diega, dając go za przykład walki z uzależnieniem, który zainspirował jego własnego syna, niegdyś aresztowanego za przestępstwa narkotykowe. Maradona rozplakał się na wizji, publicznie dziękując rodzinie i przyjaciołom za pomoc w odbudowaniu życia po serii upadków. Chociaż ten występ uczynił jego program hitem, nie każdy uwierzył w szczerść Diega. Kilka dni później na YouTube pojawiła się parodia programu, w której pacyнка naśladowująca Maradonę składa nieprzyzwoite propozycje dziewczynom w angielskim pubie, a na koniec, w stanie całkowitego rozpasania, wciąga olbrzymie ilości kokainy z salaterki.

Kiedy w programie pojawił się Robbie Williams, widownia miała okazję obejrzeć kolejny popis kółka wzajemnej adoracji. Obaj panowie zgodzili się, że argentyńskie kobiety są najseksowniejsze na świecie, a George W. Bush jest „idiotą i mordercą”. Tematy polityczne powróciły, gdy Maradona rozmawiał z Castro. Oznajmił widzom, że wywiad z przywódcą Kuby był jego marzeniem, chociaż tak naprawdę obaj już wielokrotnie się spotykali. Sojusz z Fidelem Castro wynikał z wewnętrznego buntu, jaki Diego nosił w sobie od dzieciństwa, gdy musiał przetrwać w slumsach Villa Fiorito. „Dla mnie on jest bogiem”, wyznał, zanim odwiedził komunistycznego przywódcę w Hawanie z ekipą filmową. Podczas wcześniej zarejestrowanej pięciogodzinnej rozmowy (którą mocno okrojono do potrzeb programu) Castro wychwalał Maradonę za solidarne wsparcie dla latynoamerykańskiej kampanii przeciwko imperializmowi USA. „Od lat walczymy ze Stanami Zjednoczonymi”, oświadczył kubański przywódca, najwyraźniej zadowolony z możliwości pokazania całemu światu, że wbrew plotkom ani on, ani Maradona nie stoją jeszcze nad grobem.

Oglądalność ostatniego odcinka *La Noche del 10* była niższa niż pierwszego, co wskazywało na to, że Diego zawdzięczał swoją popularność piłce nożnej, a nie polityce. Widzów znudził program, który polegał na bezwstydnym autopromocji, a w żaden sposób nie przybliżał piłkarza do kolejnego powrotu na boisko. W następnych dniach Maradona wkroczył jednak na zupełnie nową arenę, gdy zaprotestował przeciwko obecności George'a W. Busha na IV Szczycie Obu Ameryk, który odbywał się w 2005 roku w Argentynie. Przed kamerą zwracał uwagę świata na skądinąd nudną i politycznie jałową konferencję gadających głów przybyłych z obu brzegów Rio Grande. Maradona na czele barwnej grupy demonstrantów wyruszył pociągiem do Mar del Plata, gdzie dołączył do tysięcy, które zgromadziły się w tym nabrzeżnym miasteczku, by „powiedzieć NIE Bushowi”. Pociąg tymczasowo przemianowano na Alba Express, na cześć Boliwariańskiej Alternatywy dla Ameryki (Alba to regionalny pakt handlowy, który promowali Castro i wenezuelski prezydent Chávez). Kiedy Chávez stanął na podium podczas demonstracji przeciwko globalizacji i Bushowi, która zgromadziła ponad czterdzieści tysięcy ludzi na pobliskim stadionie, Maradona mu towarzyszył. Nie wszyscy byli tym zachwyceni. Meksykański prezydent, Vicente Fox, bliski sojusznik Waszyngtonu, uznał Maradonę za ideologicznie zagubionego. „Dobrze kopie piłkę, ale ma za mało rozumu, by się wypowiadać”, powiedział dziennikarzom. Diego ponownie znalazł się w świetle reflektorów.

Nadal pracując nad swoim programem, wrócił do dawnego klubu Boca Juniors jako wiceprezes. Jego decyzja, by zatrudnić nowego trenera, Alfio Basile, a także bliskie relacje, które łączyły go z zawodnikami, wpłynęły na wyraźną poprawę wyników pierwszej drużyny po rozczarującym sezonie. Boca zdobyła puchar argentyńskiej ligi, a także Copa i Recopa Sudamericana. Ten sukces stanowił pierwszy krok w kampanii, która miała doprowadzić Maradonę do spełnienia marzeń o prowadzeniu narodowej reprezentacji.

Zanim jednak do tego doszło, marka Maradony znów zyskała na popularności, gdy stacja BBC namówiła go do udzielenia wywiadu Gary'emu Linekerowi. Jeżeli ktoś nie dysponował pokaźną sumką, przeprowadzenie wywiadu z Maradoną po zakończeniu przez niego kariery stanowiło nie lada wyzwanie. Lineker także musiał przełknąć gorzką pigułkę, gdy w 1997 roku przyjechał do Argentyny, by nakręcić film dokumentalny dla telewizji, a argentyńska gwiazda się nie pojawiła. Tym razem ludzie w BBC uznali, że mają do czynienia z bardziej przewidywalną sytuacją, skoro Maradona poradził sobie z problemami z nadwagą i uzależnieniem, a także dzięki swojemu programowi telewizyjnemu oraz powrotowi do Boca Juniors znalazł nową motywację do życia. Projekt zbiegł się w czasie ze zbliżającymi się mistrzostwami świata, imprezą, której Maradona był uosobieniem od 1986 roku, gdy pokazał najlepsze oblicze futbolu.

Ekipa produkcyjna dowiedziona przez dyrektora sportowego BBC, Jasona Bernarda, przyleciała do Buenos Aires szóstego marca, gdy kończyło się tam upalne lato. Od razu spotkali się z Claudią Villafañe, była żoną, a obecnie menedżerką Maradony, którą przede wszystkim interesowało, czy przedstawiciele BBC zgodnie z obietnicą przywieźli jej katalog torebek z Londynu. Lineker przyleciał dwa dni po tym, jak Bernard zjadł kolację z Maradoną.

Lineker, jak donosił autor Jim White:

...wyglądał jak okaz zdrowia: szczupły, elegancki, ubrany w drogą różową koszulę i czarny garnitur, czym odróżniał się od swojego rozmówcy, który przez ostatnie dziesięć lat uciekał przed demonami, którym zaprzedał duszę w zamian za mistrzostwo świata.

Kiedy White ostatnio oglądał Diega na ekranie telewizora, ten sprawiał wrażenie wyniszczonego przez alkohol, narkotyki i niezdrowe jedzenie:

...zupełnie jakby podjął wyzwanie w stylu Davida Blaine'a i postanowił sprawdzić, jak długo zdoła przeżyć w takim stanie; piłkarski geniusz sylwetką przypominał niemal idealnie kulisty sterowiec.

Ale tym razem White'a przyjemnie zaskoczył zdrowy wygląd Maradony. Spotkanie, które w innych czasach mogłoby się okazać publicznym upokorzeniem, stało się porywającym przykładem sportowego dziennikarstwa. Dobrze wychowany Lineker gawędził po hiszpańsku z wyraźnym odprężonym, zadowolonym i pogodnym Maradoną, który mimo rozvodu mógł liczyć na wsparcie

rodziny, a wybuchy emocji zdarzały mu się tylko podczas kibicowania drużynie Boca Juniors, gdy ta zdobywała bramki, a zwłaszcza gdy, o ironio, sędzia nie dostrzegł zagrania ręką u któregoś z rywali.

Brytyjscy widzowie mogli liczyć na dodatkowe atrakcje – między innymi ciekawą, choć prowokacyjną relację ze zdobycia obu bramek na stadionie Azteca w 1986 roku.

Koledzy z drużyny niechętnie okazywali radość – komentował Diego, oglądając archiwalne nagranie, na którym biegł w stronę narożnika boiska po zdobyciu gola ręką. – Mówiłem im: „Dajcie spokój, chłopcy, zróbmy to jak trzeba, idźmy na całość”.

Kilka miesięcy później argentyńskie nadzieje powtórzenia sukcesów z 1976 i 1986 roku zostały pogrzebane, gdy kadra narodowa przegrała 2:4 z Niemcami podczas pełnego napięcia ćwierćfinału w Berlinie. Mecz przywołał wspomnienia z finału w Rzymie w 1990 roku, gdy obrońcy tytułu ulegli Niemcom 0:1 po kontrowersyjnym rzucie karnym, a zawodnicy i działacze obu drużyn wdali się w bójkę na murawie. Argentyna odzyskała honor, gdy jej piłkarze sięgnęli po złoto olimpijskie w Pekinie w 2008 roku. Droga do zwycięstwa była godna uwagi z dwóch powodów: potwierdził się niezwykle talent młodego zawodnika Barcelony, Lionela Messiego, a widzowie wyraźnie odczuli obecność Maradony.

Kiedy rozlegał się pierwszy gwizdek olimpijskiego turnieju piłkarskiego, zdecydowana większość miejscowych kibicowała reprezentacji Chin. Ale, jak zauważył jeden z komentatorów, „sytuacja uległa zmianie, gdy na dużych ekranach pojawiła się sylwetka odprężonego Diego Maradony. Widok Maradony, w budce komentatorów lub na trybunie, dawał poczucie obcowania z legendą i okrzyki wspierające Chiny wkrótce ustąpiły przed wiwatami na cześć Argentyny. Trudno wskazać dokładną przyczynę. Czy zaważyło wspomnienie o Maradonie jako zawodniku, czy jego wsparcie dla Fidela Castro i innych rewolucjonistów? W każdym razie popularność argentyńskiej drużyny została dostrzeżona przez sponsorów, firmy zajmujące się kreowaniem wizerunku oraz agentów handlujących prawami telewizyjnymi; ten piękny sport był dla nich synonimem wielkich pieniędzy.

W czasie igrzysk olimpijskich Maradona uczynił kolejny krok na drodze do spełnienia swoich marzeń o prowadzeniu narodowej kadry. Kiedy Argentyna zdobyła złoto, zbiegł do szatni i przyłączył się do świętujących zawodników, jakby był ich trenerem, mimo że prawdziwym bohaterem był Sergio Batista, selekcjoner reprezentacji. Ale Batista, weteran mistrzostw z 1986 roku, który od niedawna zajmował się argentyńskimi ligami młodzieżowymi, był dla Maradony nie rywalem, lecz potencjalnym sojusznikiem i wywiadowcą. Po igrzyskach, gdy Batista usunął się w cień, Maradona utrzymał kontakt z kilkoma zawodnikami złotej drużyny, dzięki znajomości z Gabrielem Heinzem oraz osobistym powiązaniom z Sergio „Kunem” Aguerem, partnerem najmłodszej córki, Gianniny, i ojcem jej dziecka. Okazja do wykonania kolejnego kroku nadarzyła się w dalszej części lata, gdy w związku z problemami Argentyny z awansem do mistrzostw świata wzrosła presja na selekcjonera Alfio Basile, który objął to stanowisko niecały rok wcześniej. Basile został zwolniony w październiku 2008 roku po tym, jak odniósł zaledwie cztery zwycięstwa w dziewięciu meczach, a przeważała porażka 1:0 z reprezentacją sąsiadującego z Argentyną Chile, pierwsza od trzydziestu pięciu lat.

Po meczu uruchomiono rozległą sieć kontaktów i zaczęto lobbować na rzecz kandydatury Maradony na stanowisko selekcjonera kadry, mimo obaw, że jego osobowość nie pasuje do wyzwań związanych z tą pracą. Mówiło się, że w ramach tej kampanii do prezesa Argentyńskiego Związku Piłki Nożnej, Julio Grondony, zadzwonili trzej prezydenci – Chávez z Wenezueli, Morales z Boliwii oraz sam przywódca Argentyny, Néstor Kirchner – którzy sprzymierzyli się politycznie z Maradoną podczas ostatnich antyamerykańskich wystąpień. Grondona i inni działacze dowiedzieli się także, jak bardzo wzrośnie komercyjna wartość reprezentacji, gdy na jej czele stanie Maradona. Na przykład Renova Group, której właścicielem był rosyjski miliarder Wiktor Wekselberg, a która w 2006 roku za osiemnaście milionów dolarów zakupiła prawa do transmitowania dwudziestu czterech meczów pokazowych Argentyny, przewidywała podwojenie zysków w przypadku powrotu Maradony. W piłkarskim świecie Heinze i Agüero, przygotowując coś w rodzaju „przewrotu pałacowego”, podburzali szatnię przeciwko Basile i przekonywali innych zawodników, by poparli kandydaturę Maradony.

Chociaż do wielu z tych manewrów dochodziło za kulisami, były aż nazbyt oczywiste dla Riquelme, kluczowego zawodnika drużyny narodowej i jedyne kadrowicza, który publicznie przeciwstawił się Maradonie. Prawdę mówiąc, kierowały nim nie tylko twarde zasady, ale także rozbuchane ego. Obawiał się, że pod skrzydłami Maradony straci swój wpływ na drużynę, choć zarazem szczerze sprzeciwiał się podstępemu pozbyciu się dotychczasowego selekcjonera. Riquelme odszedł z drużyny, tak komentując postępowanie Maradony:

*Myślimy w odmienny sposób. Mamy różne zasady etyczne. Dopóki będzie selekcjonerem kadry, nie możemy razem pracować.*

Riquelme podziwiano za elegancki, nieśpieszny styl oraz umiejętność rozmontowywania obrony przeciwnika za pomocą błyskotliwych podań i precyzyjnych rzutów wolnych. Odkąd wrócił do Boca Juniors po długim pobycie w Europie, był kimś w rodzaju lokalnego bohatera. Ale krytycy, często wywodzący się ze środowisk bliskich Maradonie, utrzymywali, że silna osobowość Riquelme na boisku częściej bywa przekleństwem niż błogosławieństwem. Każdy jego słabszy występ pognebiał cały zespół i utrudniał zmianę systemu gry. Rozgrywający Boca Juniors, który ponad pięćdziesiąt razy wystąpił w narodowych barwach i zdobył siedemnaście bramek, oficjalnie opuścił pierwsze dwa mecze kadry pod wodzą Maradony ze względu na zobowiązania klubowe. Ale jego decyzja o odejściu nastąpiła po publicznej sugestii selekcjonera, że bez niego drużyna może pracować lepiej. Maradona powiedział w jednym z wywiadów, że każdego dnia wstaje o czwartej i rozmyśla o składzie kadry, a wiele z tych rozważań dotyczy sposobu na wprowadzenie Riquelme do drużyny bez jej rozregulowania.

Bez Riquelme i z Maradoną jako selekcjonerem dotychczas przeciętna argentyńska drużyna zaczęła nieźle grać i kolejno pokonała w meczach towarzyskich Szkocję i Francję, a następnie Wenezuelę w ramach spotkań kwalifikacyjnych do mistrzostw świata. Ale kontrowersje, które zawsze towarzyszyły Maradonie, znów doszły do głosu, gdy Argentyna potknęła się w kolejnych meczach, zaczynając od upokarzającej porażki wyjazdowej 6:1 z Boliwią. Boliwijscy kibice świętowali ten wynik na YouTube, traktując go jako zemstę za rasową dyskryminację, jakiej doświadczali ich krewni i przyjaciele, którzy wyemigrowali do Argentyny. Reprezentacja przegrała czterokrotnie w kolejnych pięciu spotkaniach i musiała grać o awans w meczach barażowych. Reputacja kadry i Maradony została uratowana, gdy dramatyczne trafienie weterana Boca Juniors, Martina Palermo, w dziewięćdziesiątej trzeciej minucie dało drużynie zwycięstwo 2:1 nad Peru. Oszalały ze szczęścia Maradona przejechał na brzuchu po mokrej murawie. Utrzymywał, że zwycięska bramka była kolejnym cudem z San Palermo.

Kilka dni później Argentyna zmierzyła się z Urugwajem w meczu, który musiała wygrać, by awansować do mistrzostw świata. Nierówną formę kadry w eliminacjach uważano za wynik ekscentrycznego zachowania selekcjonera. Dążenia Maradony do kontrolowania reprezentacji narodowej doprowadziły do szeroko opisywanej kłótni z menedżerem Carlosem Bilardo oraz sporu z Argentyńskim Związkiem Piłki Nożnej w kwestii zatrudnienia kolejnych asystentów. Podczas pierwszego roku u steru Maradona powołał ponad siedemdziesięciu zawodników, eksperymentował z czterema graczami w obronie, sześcioma w środku pola lub czterema na szpicie oraz dostosowywał pory treningów do swojego zwyczaju późnego wstawania. Ten reżim treningowy – jeśli można go tak nazwać – zaskakiwał gwiazdorów takich jak Lionel Messi, Gonzalo Higuain czy Carlos Tévez, których ukształtowała dyscyplina znana z europejskich klubów. Zaledwie kilka tygodni przed przejściem reprezentacji przez Maradonę Messi – obwołany jego następcą – został wezwany na dywanik przez nowego trenera Barcelony, Pepa Guardiolo, który dowiedział się o jego nocnych wypadach u boku Ronaldinho. Trener ostrzegł, że Leo zostanie wyrzucony z drużyny, jeśli nadal będzie pojawiał się na treningach zmęczony.

– O czym marzysz? – spytał Guardiola Messiego podczas spotkania kryzysowego.

– No cóż, chciałbym pewnego dnia zostać najlepszym piłkarzem na świecie, jak Diego – odpowiedział młody zawodnik.



– W takim razie masz dwa wyjścia: możesz dalej imprezować, a wtedy wylecisz stąd w ciągu kilku dni. Albo możesz zacząć wcześniej się kłaść i punktualnie przychodzić na treningi, a wtedy być może zostaniesz najlepszy na świecie.

Kilka dni później Ronaldinho został wyrzucony z Barcelony, a Messi dostosował się do zasad Guardioli, które w wielu przypadkach były przeciwieństwem metod pracy Maradony. W kolejnych miesiącach Messi, podobnie jak Tévez, był nieustannie krytykowany przez argentyńskich kibiców, którzy oskarżali go o grę poniżej oczekiwań. Ale zawodnicy mieli trudności z dostosowaniem się do stylu zarządzania Maradony, który bezustannie zmieniał skład i strategię. Powołał siedemdziesięciu ośmiu zawodników, a nawet najbardziej doświadczeni eksperci piłkarscy nie potrafili dostrzec metody w tym szaleństwie. Martin Samuel z „Mail on Sunday” zauważył, że Maradona podchodził do pracy selekcjonera *jak dzieciak, który dostał nową odsłonę gry FIFA na PlayStation i wiadro niebieskich cukierków*.

W kluczowym meczu eliminacyjnym Argentyna pokonała Urugwaj 1:0. Zwycięstwo zostało przyćmione przez wulgarny, seksualnie nacechowany atak słowny Maradony na coraz liczniejszych krytyków.

Niektórzy nie wierzyli w tę drużynę i traktowali mnie, jakbym był nikim – przekonywał Maradona, wodząc wokół dzikim wzrokiem i trzymając się za krocze. – Dzisiaj awansowaliśmy do finałów mistrzostw świata, chociaż mogliśmy liczyć tylko na swój honor. Wszyscy, którzy w nas nie wierzyli... bardzo przepraszam obecne tu kobiety... mogą mi teraz obciągnąć. Jestem czarny albo biały. Nigdy w życiu nie będę szary. Wsadźcie sobie swoją krytykę w dupę.

Ofiara, rycerz, buntownik, wulgarny agresor – tylko Diego Maradona mógł wcielić się we wszystkie te cztery role w jednej wypowiedzi i liczyć, że ujdzie mu to na sucho. Dwa miesiące później, gdy Maradonie skończyła się kara nałożona przez FIFA, od razu poleciał do Pretorii, żeby obejrzeć obiekty treningowe kadry, wcześniej umówiwszy się na kilka lukratywnych wywiadów w okresie poprzedzającym mistrzostwa. Pomimo przeciętnych eliminacji Argentyna przystępowała do turnieju z nadzieją, że „ręka Boga” przyjdzie im z pomocą i zapewni sukces. W kadrze z pewnością nie brakowało gwiazd – należeli do nich między innymi Messi, Higuain, Téves, Sergio Agüero, Nicolas Burdisso, Javier Mascherano czy Diego Milito. Pytanie brzmiało, czy Maradona zdoła zbudować z nich zgrany zespół o jasno postawionych celach, który będzie w stanie pokonać przeciwników, a także czy nie zabraknie mu szczęścia. Olbrzymia odpowiedzialność – jak również spora część obowiązków marketingowych – spadła na ramiona Messiego, zawodnika roku według FIFA i jednego z najwybitniejszych graczy klubowych świata. W Barcelonie naturalny talent Messiego był wspierany przez niezwykle zmotywowaną i zgraną drużynę, która pozwalała mu rozwinąć skrzydła. Jego nieskuteczne występy w kilku meczach kwalifikacyjnych przynajmniej częściowo można złożyć na karb systemu gry, w którym przesadnie polegano na nim jako na rozgrywającym i zawodniku kierującym grą. Mimo wszystko Maradona bardzo liczył na zbudowanie przyszłego stylu reprezentacji w oparciu o jej występ przeciwko Urugwajowi, na którym Messi skutecznie współpracował z Verónelem. Z Maradoną u steru i Republiką Południowej Afryki w roli gospodarza, mistrzostwa świata w 2010 roku zapowiadały się niezwykle ciekawie. Wszystko było możliwe, nawet boska interwencja i łzy.

## PRZEPOWIEDZIANA ŚMIERĆ

**DZIĘKI** POGONI ZA **CRISTIANO** Ronaldo doświadczyłem niespodziewanego ponownego spotkania z niegasnącym duchem Diego Maradony. W marcu 2019 roku w rekomendowanej pizzerii w Turynie, do której trafiłem po wizycie w siedzibie głównej Juventus, gdzie rozmawiałem z kibicami i działaczami o pierwszym sezonie Ronaldo we Włoszech, natrafiłem na legendarną koszulkę FC Napoli z numerem 10.

Błękitna jak niebo, wisiała dumnie jak totem w pobliżu plakatu przedstawiającego innego bohatera południowych Włoch, popularnego komika Totò. Chociaż Diega nie było tam ciałem, podobnie jak Totò wciąż nie odszedł do innego świata. Obecność Maradony na tej planecie oraz jego dziedzictwo pozostały obiektem niesłabnącej fascynacji i lojalności, które przekraczają granice rasowe i kulturowe.

W marcu 2019 roku już od lat nie zajmowałem się Maradoną, lecz skupiałem się na rywalizacji pomiędzy Ronaldo a Leo Messim, dwiema współczesnymi piłkarskimi ikonami, jednak dla kibiców na całym świecie Maradona wciąż pozostawał punktem odniesienia w kwestii futbolowej wielkości. Tamtego wieczoru w pizzerii rozmyślałem o Messim, który często przywoływał pamięć o swojej babce, Celi Cuccittini, imigrantce z Włoch, i dedykował jej duszy (zmarła w 1998 roku) swoje najlepsze gole. To Celia w dzieciństwie zachęcała go, by nie przejmował się swoim niewielkim wzrostem, ale marzył o zostaniu najlepszym piłkarzem świata – tak dobrym jak Maradona.

Messi, pierwsza argentyńska gwiazda, która mogła odziedziczyć po Maradonie koronę najlepszego piłkarza tego kraju, a może i międzynarodowego, urodził się rok przed legendarnymi mistrzostwami świata w Meksyku. Podążanie śladami Diega nie było łatwe, zarówno ze względu na jego ponadprzeciętną osobowość, która stale była źródłem kontrowersji i nieudomówień, jak również na niepodważalny piłkarski geniusz.



Maradona i Leo Messi.

Po raz pierwszy Messi rozmawiał z Maradoną, tylko przez chwilę, w 2005 roku podczas swojego debiutanckiego sezonu w pierwszym składzie FC Barcelony, w którym znalazł się po tym, jak porwał tłumy na Camp Nou swoją pierwszą bramką w La Liga, zdobytą przeciwko Albacete. Następnego dnia jadł lunch w domu, gdy nagle otrzymał telefon z Argentyny. Maradona pogratulował mu serii udanych występów, zachęcił do odważnego spoglądania w przyszłość i dalszego zdobywania bramek.

Później tego samego lata Maradona zaprosił Messiego do swojego zwariowanego argentyńskiego programu telewizyjnego *La Noche del 10*, nazwanego tak na cześć numeru na koszulce, który rozślawił na całym świecie. W tamtym okresie odstawił kokainę i wracał do siebie po dwukrotnym otarciu się o śmierć z powodu zażywania narkotyków oraz niekontrolowanego jedzenia i picia.

Podczas programu Maradona zawsze grał z zaproszonymi sportowcami w siatkonogę. Tym razem po jednej stronie siatki stanęli Maradona i zbliżony do niego wiekiem Enzo Francescoli, urodzony w Urugwaju gwiazdor River Plate, a po drugiej Messi oraz Carlos Tévez, dwa młode argentyńskie talenty czystej wody. Drużyna Maradony przegrała 10:6 i wszyscy przyjęli to bez zastrzeżeń. Messi nie miał w zwyczaju triumfować, nawet jeśli czuł taką pokusę. Z kolei pewny siebie Maradona poniósł w życiu kilka znacznie gorszych porażek. Co więcej, zaświtała mu wtedy myśl, że powinien związać swoją zawodową przyszłość z Messim, nie w ramach rywalizacji o miano najlepszego piłkarza w historii – ponieważ uważał, że jest ponad takie porównania – ale jako jego trener.

Widziałem zawodnika, który zajmie moje miejsce w argentyńskim futbolu. Nazywa się Messi – ożnajmiał kilka miesięcy później, w lutym 2006 roku. – Cudownie się go ogląda, jest podobny do mnie, gdy zakłada naszą niebiesko-białą koszulkę. To urodzony lider, który uczy innych piękna futbolu. Jest w nim coś wyjątkowego.

Ale Maradonę i Messiego wiele różniło.

Oto, co podczas rozmowy w Buenos Aires w 2017 roku powiedział mi Fernando Signorini, trener przygotowania fizycznego argentyńskiej kadry, który pracował i z Maradoną, i z Messim:

Są podobni fizycznie i technicznie, ale pod względem osobowości dzieli ich przepaść. Messi, w odróżnieniu od Diega, nie urodził się w slumsach ani nie musiał od najmłodszych lat walczyć o przetrwanie. Jako nastolatek Diego występował w młodzieżowym składzie Argentinos Juniors. Musiał wtedy wstawać o czwartej rano, by grać w wyjazdowych meczach w innych częściach kraju, na obiektach pozbawionych porządnego szatni, ciepłej wody i oświetlenia, i mierzyć się z agresywnymi zachowaniami kibiców. Messi w wieku dwunastu lat trafił do Barcelony, gdzie trzymano go pod szklanym kloszem.

Odkryłem, że relacja między tymi dwoma argentyńskimi gwiazdoramii nie opierała się na konflikcie osobowości – ponieważ Messi, zarówno na boisku, jak i poza nim, nigdy nie miał problemu z wybujałym ego, a także niezbyt go ciekawiła historia futbolu – ale raczej przybierała postać zamaskowanej freudowskiej rywalizacji pomiędzy silnym ojcem (Maradona) a niedocenianym synem (Messi), którzy nie walczyli o miłość żony lub matki, lecz o podziw całego narodu.

Zbliżały się mistrzostwa świata w Republice Południowej Afryki, a Maradona wreszcie pozbył się obaw, że Messi nie nadaje się na kapitana, i zaczął go otwarcie adorować. Argentyński selekcjoner miał kłopoty ze sformowaniem zgranej drużyny i opracowaniem systemu gry, który zagwarantowałby sukces. Widział w Messim swojego najważniejszego zawodnika, choć opaskę kapitana wciąż nosił Javier Mascherano. Mimo wszystko Leo w oczach wielu rodaków był zarówno przyczyną, jak i ofiarą złego funkcjonowania drużyny. Dopiero w dalszej części turnieju rozczarowujący występ Argentyny przypisano także trenerskim brakom Maradony.

Maradona posłuchał sugestii Messiego, by zmienić ustawienie 4-4-2 – z czterema pomocnikami (dwóch skrzydłowych, dwóch środkowych) i dwoma napastnikami – na 4-3-1-2 albo 3-4-1-2, dzięki czemu gra skupiałaby się na trzyosobowym napadzie przy jednoczesnym pozostawieniu wystarczająco silnej obrony.

Zmienione ustawienie sprawdziło się na początku mistrzostw w meczu przeciwko drużynie Nigerii, która zostawiała przeciwnikom mnóstwo miejsca. Tłum argentyńskich fanów na stadionie Ellis Park podskakiwał i zapalczywie kibicował, podczas gdy zmagający się z nadwagą i nieco skrępowany Maradona gestykulował żywo za boczną linią. Messi wyróżniał się na murawie, ale to bramka Heinze zapewniła drużynie zwycięstwo.

Maradona miał kolejne powody do świętowania, gdy w następnym meczu, ponownie dzięki Messiemu, Argentyna pokonała Koreę Południową 4:1, a potem rozprawiła się 2:0 z Grecją. Dokładnie dwadzieścia cztery lata po niesławnej bramce zdobytej ręką w ćwierćfinałowym meczu z Anglią na mistrzostwach świata w Meksyku były zawodnik, a obecnie selekcjoner mógł znów skakać z radości.



*Radość podczas meczu z Koreą Południową, mistrzostwa świata w RPA, 17 czerwca 2010 r.*

Po meczu z Grecją Maradona zaatakował media za to, że krytykowały drużynę oraz kadre trenerską, i przyznał, że jest zadowolony z postawy Messiego. „Ludzie powinni wyluzować – upierał się z typową dla siebie butą. – Ta drużyna jeszcze pokaże, na co ją stać”. Ale wyglądało na to, że kadra Argentyny zdecydowanie nie dorównuje FC Barcelonie w jej najlepszym okresie pod rządami Guardioli, gdzie Messi mógł w pełni rozwinąć skrzydła w otoczeniu kreatywnych, ofensywnie nastawionych zawodników światowej klasy.

Ostatecznie okazało się, że drużyny – a także Maradony i Messiego – nie było stać na zdobycie Pucharu Świata w 2010 roku. Mimo zwycięstwa nad Meksykiem, w ćwierćfinale Argentyna przegrała z Niemcami. Porażka 4-0 stanowiła najdotkliwszą klęskę narodowej kadry od 1974 roku.

Po powrocie do Argentyny Messi spotkał się z ostrzejszą krytyką niż Maradona. W końcu Diego jako zawodnik dzięki swemu geniuszowi w 1986 roku poprowadził podobnie przeciętną drużynę do zdobycia pucharu. W 2010 roku w RPA Messi pod skrzydłami Maradony nawet nie zbliżył się do tamtego wyniku. Te nieudane mistrzostwa nie pierwszy i nie ostatni raz wywołały w argentyńskim środowisku piłkarskim poczucie upokorzenia i straty. Pokazały, że Messi dopiero musi zasłużyć na mityczny status nowego narodowego bohatera, a także doprowadziły do spóźnionej refleksji, że Maradona to tylko człowiek, którego braki trenerskie są aż nadto widoczne.



*Porażka z Niemcami 4:0 w ćwierćfinałach na stadionie w Kapsztadzie wyeliminowała Argentynę z walki o Puchar Świata.*

Mimo to Fernando Signorini, który znał Maradonę od czasu jego występów w Barcelonie, zdradził mi, że ma miłe wspomnienia z mistrzostw świata w RPA. Czuł się wyróżniony, mogąc być częścią tego wyjątkowego spotkania Maradony i Messiego.

*To było cudowne doświadczenie. Diego, gdy tylko nie stał w światłach reflektorów, wykazywał się prawdziwą życzliwością i szacunkiem dla znacznie młodszego Messiego. Doniesienia o rzekomej rywalizacji między nimi były wymysłem części mediów.*

Kilka lat po pierwszym wywiadzie, jaki przeprowadziłem z nim na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy pracowałem nad pierwszym wydaniem tej książki, ponownie spotkałem się z Signorinim podczas wizyty w Buenos Aires, gdzie mieszkałem i pracowałem jako dziennikarz w latach osiemdziesiątych. Opowiedział mi następującą historię o pewnym treningu podczas obozu przygotowawczego do mistrzostw świata w 2010 roku, gdy Maradona był trenerem, a Messi zawodnikiem reprezentacji.

*Trenowaliśmy od około czterdziestu minut, gdy nagle Diego woła: „Wystarczy, wracajmy do szatni!”. Kiedy wszyscy zaczęli schodzić z murawy, zauważyłem, że Leo bierze piłkę i ustawia ją przed pustą bramką po lewej stronie pola karnego. Następnie strzela, ale piłka przelatuje trzy metry nad poprzeczką po lewej stronie bramki. Messi z rezygnacją wzrusza ramionami i idzie w stronę szatni, przygarbiony, z pochyloną głową. Doganiam go więc, obejmuję ramieniem i mówię: „Jesteś na dobrej drodze do zostania najlepszym piłkarzem świata, a odchodzisz do szatni po takim gównianym strzale...”.*

*I wtedy Diego mówi: „Zaczekaj, chłopcze, podejdź tutaj...”. Ustawia piłkę w tym samym miejscu, cofa się o dwa metry i kładzie dłoń na ramieniu Messiego. „Posłuchaj, kiedy kopiesz piłkę, nie cofaj od razu stopy. Bez niej piłka nie wie, co ma zrobić...”*

*Potem Diego podchodzi do piłki i trafia nią prosto do bramki. Dla mnie było to podsumowanie historii argentyńskiego futbolu. Ta scenka przeczyła twierdzeniom niektórych ludzi, że Diego był zazdrosny o Leo. To nieprawda, ponieważ człowiek o kogoś zazdrosny nie może go niczego nauczyć.*

Obecność Maradony w roli trenera podczas mistrzostw świata w 2010 roku niewątpliwie zapewniała tej imprezie aurę, jakiej brakowało mistrzostwom w 2014 roku, podczas których Diego już nie odgrywał głównej roli. Angielska tłumaczka Diega, argentyńska dziennikarka Marcela Mora y Araujo, powiedziała mi:

Sławy takie jak Juan Sebastián Verón starały się publicznie bronić Messiego przed atakami mediów. Dzięki ich wsparciu, a także bliskiej relacji z legendarnym Diego Maradoną, udało się zmienić podejście prasy. W trakcie turnieju ludzie pokochali Leo i chociaż Argentyna nie zdobyła pucharu, radosne przeżył talentu Messiego i Maradony zachwycały nas wszystkich.

**Po MISTRZOSTWACH ŚWIATA W 2010 roku Maradona został zwolniony z posady selekcjonera kadry.** Jak wielokrotnie wcześniej w swoim życiu, w obliczu przeciwności losu i upokorzeń utrzymywał, że padł ofiarą niesprawiedliwego traktowania ze strony działaczy, obwinił za niepowodzenie długoletniego prezesa Argentyńskiego Związku Piłki Nożnej, Julio Grondonę (który później został zdemaskowany jako jeden z uczestników skandalu FIFA-gate), oraz krytykował szefa kadry narodowej, Carlosa Bilardo, nigdy należycie niedocenionego jako trener reprezentacji, która zdobyła mistrzostwo w 1986 roku. Bilardo współpracował z Maradoną także w Sewilli, choć bez większych sukcesów.

W 2011 roku Maradona został trenerem drużyny Al-Wasl w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, podobno zgadzając się na roczne wynagrodzenie w wysokości trzech i pół miliona euro. Stadion Zabeel, na którym grała drużyna, stał na obrzeżach starego miasta w Dubaju. Od czasu odkrycia złóż ropy naftowej w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku Dubaj bardzo się rozwinął, wypełnił luksusowymi hotelami i dziesięciopasmowymi autostradami, a jego populacja, składająca się w dużej mierze z przyjezdnych, wzrosła z pięćdziesięciu tysięcy do ponad trzech milionów. Mimo to nigdy nie przyciągał wyblakłych gwiazd światowego futbolu, gdyż mieszczący osiemnaście tysięcy widzów stadion rzadko wypełniał się choćby w połowie.

Jak wspomina Patrick O'Brien, irlandzki dziennikarz, który pracował w Dubaju w tamtych latach, w sierpniu Maradona pojawił się w hotelu Jumeirah Zabeel Saray na wyspie palmowej...

...zgodnie z oczekiwaniami niemal o godzinę spóźniony i w towarzystwie świąt dłuższej niż autostrada Szari asz-Szajch Zajid. Tamtejsza liga zawodowa to miejsce, gdzie słynni zawodnicy przechodzą na ciepłą emeryturę, dlatego w powietrzu wyczuwało się atmosferę zaciekawienia, a ze względu na obecność setek dziennikarzy imprezę przeniesiono ze stadionu do hotelu.

Przeprowadzka do Zjednoczonych Emiratów Arabskich nie zaszkodziła zdrowiu Maradony, a także okazała się świetnym ruchem marketingowym, bo wzmocniła jego popularność w arabskim świecie. Jak sugerował O'Brien:

Wyjątkowo surowe podejście władz Dubaju do nielegalnych substancji mogło pomóc Maradonie. Łatwiej wysuszyć się na pustyni. On także przysłużył się Dubajowi. To miasto żyje podobnie jak on. Największe sławy, najlepsze samochody, najwyższe budynki. Dubaj na każdym kroku się popisuje i stara się robić jak najlepsze wrażenie. Nic dziwnego, że chce mieć futbolowy odpowiednik hotelu Burdż Chalifa, niezależnie od wyników.

Wkrótce stało się równie widoczne jak burze piaskowe, które często przesłaniają dubajskie wieżowce, że Maradona nic nie stracił ze swoich umiejętności szokowania, prowokowania i drażnienia, a poza boiskiem jest równie nieprzewidywalny jak za swoich najlepszych lat.

Drużyna Al-Wasl siedmiokrotnie zdobyła mistrzostwo kraju, co stanowiło rekord, ale w poprzednich czternastu latach sztuka ta udała jej się tylko raz. Pomimo oczekiwań, że klub będzie walczył o tytuł, pojawiły się kiepskie wyniki. Już w styczniu drużyna spadła na siódme miejsce, czyli do dolnej połówki tabeli, a w kolejnych sześciu meczach odniosła tylko jedno zwycięstwo. Podczas cotygodniowej konferencji prasowej Maradona wykazywał się typową dla siebie butą, utrzymując, że jego rozpaczliwa gestykulacja na linii bocznej nie świadczy o odczuwanej presji, tylko o entuzjazmie. „Piłka nożna to dyscyplina pełna emocji i radości”, powiedział zgromadzonym dziennikarzom.

Romantyczny buntownik wciąż zmagał się z demonami, chociaż czasem wydawało się, że ma je pod kontrolą. Nie podał ręki trenerowi Al Ain, Rumunowi Cosminowi Olăroiu, który stwierdził:

Maradona nie zawsze myśli jasno ze względu na swój styl życia. Ja nie zażywam narkotyków. Moje życie jest czyste. Nie robię niczego takiego... Kim jest Maradona jako trener? Powinny szanować swoją pracę i nigdy nie przychodzić na mecze w krótkich spodenkach.

Podczas sesji fotograficznej na stadionie Maradona kopnął jednego z kibiców Al-Wasl swoją słynną lewą stopą, a po wyjazdowej porażce 2:0 z Al Shabab wspiał się na trybunę dla VIP-ów i kłócił się z kibicami. Później twierdził, że obrazili jego ówczesną partnerkę, Veronicę Ojedę.

Kiedy pracował w Dubaju, zmarła jego ukochana matka, Tota. Diego był załamany, tym bardziej że nie udało mu się na czas wrócić do Buenos Aires, by spędzić z nią ostatnie chwile jej życia. Podczas gdy inne, mniej szacowne, kobiety pojawiały się w życiu Diego Maradony jak statki na chwilę zawijające do portu, Tota była kotwicą zarzuconą w mrocznych wodach życia. Zawsze gdy wydawało się, że Maradona pójdzie na dno, wspierała go podczas trudnych powrotów na powierzchnię, a gdy tylko mogła, osłaniała go przed jego demonami, presją mediów i kibiców oraz drapieżną naturą ludzi, którzy zbliżali się do jej syna, by na nim żerować.

Al-Wasl zakończył sezon na ósmym miejscu wśród dwunastu drużyn, co stanowiło najgorszy wynik w historii. Członkowie zarządu, którzy zatrudnili Maradonę, podali się do dymisji, a wraz z nowym zarządem pojawił się nowy trener. Maradona został zwolniony w lipcu 2012 roku, po czternastu miesiącach pracy i sezonie pozbawionym trofeów.



*Maradona w otoczeniu fanów po zwycięstwie Al-Wasl w GCC Champions League, maj 2012 r.*

Osobowość i talent, które pozwoliły mu odnieść sukces na boisku, przestały się sprawdzać, a jednak wciąż wzbudzał kontrowersje i skupiał na sobie uwagę mediów. Jego najbardziej fanatyczni kibice na całym świecie nigdy nie stracili wiary, że pozostaje najlepszym piłkarzem w historii, chociaż po chwalebnym zwycięstwie w Meksyku jego wyniki jako zawodnika zaczęły się pogarszać. W nowym tysiącleciu stał się niemal karykaturą samego siebie, zarówno pod względem wyglądu, jak i wypowiedzi.

W lutym 2014 roku ogłoszono, że Maradona jakimś cudem ponownie podźwignął się z dna i nie tylko wraca na ławkę trenerską, ale także w wieku pięćdziesięciu trzech lat wyraża chęć ponownych występów na boisku, tym razem w szeregach Deportivo Riestra, małego klubu w argentyńskiej Primera D, krajowej piątej lidze.



Klub miał siedzibę w dzielnicy Flores w Buenos Aires i podobno zamierzał porzucić swój stadion mieszczący trzy tysiące kibiców na rzecz pobliskiego Estadio Pedro Bidegain, na którym mogły zasiadać niemal czterdzieści cztery tysiące widzów i gdzie grali mistrzowie Primera División, drużyna San Lorenzo.

W podpisaniu kontraktu pośredniczył Victor Stinfale, którego media przedstawiały jako przyjaciela i prawnego przedstawiciela Maradony. Umowa ta stanowiła przykład typowego w życiu Maradony osobliwego zbiegu okoliczności, jakby zrządzenia opatrności, ponieważ w dzielnicy Flores przyszedł na świat i odnalazł powołanie Jorge Bergoglio, późniejszy papież Franciszek, który przez całe życie wiernie kibicował drużynie San Lorenzo.

Jesienią tamtego roku Maradona spotkał się z papieżem Franciszkiem w Rzymie, by wesprzeć charytatywny mecz. Kiedy wyszedł z prywatnej audyencji u duchowego przywódcy, obaj mężczyźni serdecznie się uściskali, a piłkarz promieniował miłością i radością, jakby ta chwila go odmieniła.

Byłem niezwykle podekscytowany, widząc Argentyńczyka w tak ważnym miejscu jak Watykan – oświadczył Maradona – zwłaszcza że mieliśmy już wielu papieży, którzy bardziej dbali o politykę niż o głodujące dzieci.



*Audycja u papieża Franciszka, 4 października 2014 r.*

Wręczył papieżowi koszulkę w barwach reprezentacji Argentyny, oznaczoną numerem 10 z magicznych lat jego kariery. „Papież Franciszek pomógł mi odzyskać katolicką wiarę, jaką miałem w dzieciństwie”, dodał Maradona.

W życiu osobistym nigdy nie stosował się ściśle do katolickiej doktryny i raczej nie zanosilo się na jego nawrócenie do świętości i abstynencji. Ale nie mogło być wątpliwości, że „bohater ludu” urodzony w slumsach Buenos Aires identyfikuje się z papieżem Franciszkiem bardziej niż z którymkolwiek z jego poprzedników.

Bardzo się to różniło od pozbawionego międzyludzkiej chemii spotkania Maradony z Janem Pawłem II w 2000 roku. Polak również był kibicem piłkarskim, ale słynął z surowości w kwestiach doktrynalnych i wrogości wobec komunizmu. Maradona, który wówczas wyznawał prymitywną odmianę teologii wyzwolenia i od czasu do czasu pozwalał sobie na żarliwe antyimperialistyczne i antykapitalistyczne wypowiedzi, popatrzył na złote sufity Watykanu i spytał: „Dlaczego papież nie sprzedaje tego złota i nie wspomógł ubogich?”.

Z papieżem Franciszkiem tymczasem połączyły go dorastanie w argentyńskiej rzeczywistości oraz polityczne przekonania. Obaj pochodzili z rodzin w latach pięćdziesiątych całym sercem popierających populistycznego prezydenta Juana Peróna i jego legendarną żonę Evitę, których radykalna redystrybucja dóbr zawsze będzie postrzegana przez argentyńską klasę robotniczą jako złoty wiek społeczno-ekonomicznej sprawiedliwości.

Ojciec Maradony pochodził z ludu Guarani, a matka była ubogą włoską imigrantką. Diego przyszedł na świat w slumsach, których mieszkańcy znajdowali pociechę w religijnych ikonach i wspólnych modlitwach, a obok siebie mieli ciężko pracujących księży, którzy na co dzień żyli zgodnie z ewangelicznymi zasadami pokory, miłosierdzia i solidarności. Właśnie w takich dzielnicach jak Villa Fiorito, gdzie dorastał Maradona, papież Franciszek odnalazł kapłańskie powołanie i tam żył jako ksiądz, a później biskup, pośród wyrzutków i osób z marginesu. Pomoc ludziom żyjącym na obrzeżach społeczeństwa stała się istotą jego pontyfikatu. W ten sposób Papież Dobrej Nowiny, jak go nazwałem w biografii, dotknął duszy Ręki Boga, znanego także jako El Pibe de Oro (Złoty Chłopak), zbuntowanego przeciwko establishmentowi utalentowanego spryciarza z Villa Fiorito.

Dwudziestego piątego czerwca 2015 roku w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat zmarł Chitoro, ojciec Maradony, Diego senior. Od lat cierpiał na choroby płuc i układu krążenia, aż w końcu zachorował na zapalenie płuc. Jego stan zdrowia stale się pogarszał od śmierci żony, Toty. Tym razem syn zdołał towarzyszyć ojcu w ostatnich dniach życia.

Z dzieciństwa Maradona zapamiętał życie ojca jako stoicką ofiarę – Chitoro każdego ranka szedł do pracy w lokalnej fabryce, ale zawsze znajdował czas, by zachęcać syna do rozwijania talentu i wspomagał go na początku zawodowej kariery piłkarskiej. Był z natury człowiekiem spokojnym i skrytym, choć niestroniącym od alkoholu, a wydawał się najszcześliwszy, gdy urządził *asados*, czyli spotkania przy grillu z rodziną syna i przyjaciółmi, podobnie jak miała w zwyczaju zwycięska reprezentacja Argentyny podczas mistrzostw świata w 1986 roku.

Maradona bardzo przeżył śmierć obojga rodziców. Nie tylko zawsze służyli mu wsparciem w najtrudniejszych chwilach, ale też byli dla niego punktem odniesienia i przypominali mu o korzeniach, bez których jego życie nie miałoby sensu.

**PIĘĆDZIESIĘCIOKILKULETNI MARADONA MARZYŁ O TRENOWANIU** drużyny Napoli, a nawet o powrocie na stanowisko selekcjonera reprezentacji Argentyny. Ale była to pogoń za wiatrem. Futbol, który był dla niego wszystkim, pozostawił go w tyle. Diego nie potrafił się odnaleźć w nastawionym na rywalizację świecie najlepszych zawodników, sprytnych i kreatywnych trenerów, mających obsesję na punkcie taktyki i wizerunku, oraz potężnych, bogatych klubów wymagających surowego reżimu treningowego, gwarantowanych zysków oraz nieposzlakowanej reputacji.

Mimo wszystko skorzystał z nadarzającej się okazji i w maju 2017 roku został trenerem Al-Fujairah, niewielkiego klubu grającego w drugiej lidze w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Miał za zadanie wprowadzić tę drużynę do Ligi Półwyspu Arabskiego, ale odszedł w kwietniu następnego roku, nie zdoławszy uzyskać awansu.



*1 grudnia 2017 r. Maradona, Pelé i Putin podczas losowania fazy grupowej mistrzostw świata rozgrywanych w Rosji w 2018 roku.*



Maradona w centrum zainteresowania w czasie mistrzostw świata w Rosji, 2018 r.

Podczas mistrzostw świata w Rosji w 2018 roku Leo Messi, który obok swojego największego rywala, Cristiano Ronaldo, najwięcej razy w historii zdobył Złotą Piłkę, ponownie nie zapewnił Argentynie turniejowego zwycięstwa. Chociaż drużyna odpadła, jej zawodnicy wyglądali na znacznie zdrowszych i sprawniejszych niż Maradona, którego obrzmiała twarz z opuchniętymi oczami pojawiała się na telewizyjnych ekranach na całym świecie.

Maradona z trudem ukrywał niezadowolenie i rozczarowanie występami reprezentacji. Wyglądał nieco groteskowo, gdy oglądał mecze ze stadionowej łyży i w przesadny sposób wymachiwał rękami, przewracał oczami i pokazywał obraźliwe gesty, najwyraźniej czymś odurzony. Bardziej niż dostojnego Cezara przypominał dekadentckiego Kaligulę, który wciąż wierzył, że może władać piłkarskim odpowiednikiem rzymskiej areny.

A jednak nikt już nie sugerował, że Messi może się czuć zawiedziony przez swoich rodaków, ponieważ musi grać w źle funkcjonujących drużynach u boku kiepsko wyszkolonych piłkarzy oraz ma nad sobą Argentyński Związek Piłki Nożnej, który słynie z politycznych gier, a nie profesjonalizmu, ani że wielkość Messiego lepiej objawia się w szeregach FC Barcelona. Uczestnicy niekończącej się debaty dotyczącej tego, kto jest najwybitniejszym piłkarzem, Diego czy Leo, pamiętali zaangażowanie Maradony w sprawy narodowe, jego zwycięskie bramki i boiskowy geniusz, a nie osobiste przywary. Z kolei w Neapolu wciąż był uwielbiany przez ubogich i bezdomnych. Stadion Napoli, który, jak widzieliśmy w porywającym dokumencie Asifa Kapadii z 2019 roku, entuzjastycznie powitał Maradonę w 1984 roku – kibice uznali przybycie Diega za zesłany przez Boga cud – miał nawet zmienić patrona: ze Świętego Pawła Apostoła (San Paolo Stadium) na Diego Armando Maradonę, by uhonorować legendarnego gracza, który zdobył dla miejscowego klubu pierwsze w historii *scudetto*. Taka jest piłka nożna.

To właśnie Maradona w panteonie piłkarskich bogów umiejscowił się pomiędzy współczesnymi sukcesami Ronaldo czy Messiego a złotymi czasami Pelé i Di Stéfano. Lecz spośród wszystkich jego zawodowych decyzji od czasu przenosin z Barcelony do Napoli w 1984 roku żadna nie wydawała się tak ryzykowna i kontrowersyjna jak rozpoczęcie pracy trenera z drugoligową meksykańską drużyną Los Dorados we wrześniu 2018 roku.



*Maradona zostaje trenerem meksykańskiej drużyny Dorados de Sinaloa, 2018 r.*

Klub działał w Culiacán, stolicy zachodniego stanu Sinaloa, który słynął z nielegalnego przemytu narkotyków i któremu szczególnie złej sławy przysporzył przebywający w więzieniu boss kartelu, Joaquín „El Chapo” Guzmán. Wspierająca klub rodzina Hanków była oskarżona o powiązania z brutalnym meksykańskim półświatkiem. Jej patriarcha, Jorge Hank Rhon, słynął z filantropii i wspierania ubogich, a także był właścicielem licznych kasyn, hoteli, toru wyścigów psów oraz pierwszoligowej drużyny piłkarskiej Xolos w Tijuanie, tuż za granicą amerykańską na wysokości San Diego.

Fakt, że zmagający się z uzależnieniem od narkotyków Maradona podpisał kontrakt w takim zakątku świata, wywołał burzę komentarzy w mediach społecznościowych, a jeden z dziennikarzy radiowych porównał tę sytuację do wejścia cukrzyka do sklepu ze słodyczami. Ale umowa nie miała na celu zaspokojenia potrzeb, o jakie podejrzewano Maradonę.

Zła sława stanu Sinaloa pogłębiała się jeszcze długo po tym, jak Pep Guardiola odszedł z Dorados w 2006 roku, spędziwszy tam ostatnie miesiące kariery zawodniczej, zanim został trenerem najlepszych europejskich drużyn. Ale pod względem sportowym o Culiacán było głośniej dzięki baseballowi, który był ulubionym sportem Chaco Guzmána, a nie piłce nożnej. Miejscowa drużyna baseballowa, nazywana Los Tomateros, grała na stadionie, który wielkością i pojemnością przewyższał obiekt Dorados.

W lipcu 2018 roku, wkrótce po sukcesach na mistrzostwach świata w Rosji, Maradona został zaprezentowany podczas barwnej konferencji prasowej jako nowy prezes białoruskiej drużyny Dynamo Brześć. Ale perspektywa spędzenia zimy w Europie Wschodniej, gdzie prawie nikt nie mówił po hiszpańsku, wśród ludzi, do których Diego nie czuł naturalnej sympatii, sprawiała, że był otwarty na inne propozycje.

Kontrakt trenerski z Los Dorados wynegocjował argentyński agent piłkarski Christian Bragarnik, którego klientem był Maradona. Diego dał się przekonać do ucieczki przed presją życia w ojczyźnie, która złożyła na jego barkach swoje nadzieje, marzenia i porażki, i postanowił przenieść się we względnie łagodny klimat Dorados, gdzie ludzie mówili po hiszpańsku i gdzie często grywali piłkarze z Argentyny oraz innych krajów Ameryki Południowej.

**CHOCIAŻ CHAOTYCZNE ZACHOWANIA W ŁOŻY** dla VIP-ów podczas mistrzostw świata w Rosji sugerowały, że Maradona znów zmierza ku bolesnemu upadkowi, dwa sezony spędzone w Dorados, choć nie można ich nazwać odrodzeniem ani, jak utrzymywali lokalni specjaliści od kreowania wizerunku, czasem przemiany i uzdrowienia, okazały się dla Diega spotkaniem z idealizowaną przeszłością.

Udana meksykańska przygoda Maradony została uwieczniona w siedmioczęściowym serialu dokumentalnym Netflix'a, wyreżyserowanym i wyprodukowanym przez Angusa Macqueena, nagradzanego dokumentalistę. Macqueen słynął z poruszających obrazów, w których w dociekliwy sposób podejmował kontrowersyjne tematy, a poza tym doskonale znał Culiacán, ponieważ na początku kariery nakręcił dokument o Chapo Guzmánie. Otrzymał pełną swobodę twórczą, chociaż musiał przystać na subtelne zmiany wprowadzone w ostatecznej wersji swojego dzieła, w zamian za bezprecedensową możliwość wielomiesięcznego nagrywania codziennego życia Maradony.

Macqueena zaskoczyło to, w jakim stopniu rozmaite aspekty życia Maradony w swoisty sposób się odrodziły; był świadkiem jego namiętności i ekscesów i cały czas zastanawiał się, czy Diego nie przewróci się na parkiecie w połowie tańca.

Pierwsze sceny ukazują otyłego Maradonę na wykrzywionych nogach, który podpierając się kulą, z trudem kuśtyka w stronę niewielkiej grupy zachwyconych kibiców na pustym stadionie. Potem kamera przenosi się do szatni, gdzie Maradona, uśmiechnięty od ucha do ucha, kołysze biodrami w rytm ukochanej muzyki *cumbia*, tańcząc wspólnie ze swoimi piłkarzami.

Macqueen przez dziewięć miesięcy filmował Maradonę, który codziennie przychodził na treningi, pojawiał się na meczach, świętował zwycięstwa i rozpaczał po porażkach, a jednak przez większość czasu dobrze się bawił i nawiązywał doskonałe relacje z młodymi piłkarzami, zwłaszcza tymi, którzy podobnie jak on wywodzili się z biednych rodzin i których motywowała jego mistyka oraz intuicyjny, pierwotny entuzjazm wobec piłki nożnej.

Wyglądało na to, że Maradona dostrzeże w niektórych zawodnikach siebie z wczesnych lat kariery, gdy zmagał się z przeciwnościami na boisku i poza nim. Znów doświadczał, choć na mniejszą skalę, miłości i uwielbienia, z jakimi spotykał się w Napoli oraz podczas chwalebnych mistrzostw świata w Meksyku w 1986 roku.

Ale dawne demony wciąż dochodziły do głosu. Rodzinne traumy i cierpienia, których przysparzał innym, zakłócały sielankę. Część z tych wydarzeń rozgrywała się poza kadrem, gdy Maradonę odwiedzały siostra, dwie były partnerki oraz jedno z jego młodszych dzieci, sześcioletni chłopiec, którego Diego chętnie prezentował przed kamerą, ale który został usunięty z ostatecznej wersji filmu.

Największe jednak wrażenie w serialu robi to, że Maradona wyraźnie podupadał na zdrowiu i stało się jasne, że nie pozostało mu wiele czasu. Diego powiedział Macqueenowi, że od ośmiu lat nie zżywał kokainy, i nic nie wskazywało na to, by miał sięgać po narkotyki podczas pobytu w Culiacán. Przed kamerą czasami niezrozumiale bełkocze, co przypisywano lekowi przeciwbólowemu i przeciwdepresyjnym pomieszanym z alkoholem. Oglądamy także kilka charakterystycznych dla niego napadów szału, jak wtedy, gdy rzuca się na kibiców skandujących „Diego ssie pałkę!” i nie pozwala im robić zdjęć w tunelu prowadzącym na stadion. Taka była cena sławy, którą zapłacił, gdy trenowany przez niego klub przegrał finał i nie awansował do najwyższej ligi.

Maradona doskonale się czuł przed kamerą, ale nie zawsze zdawał sobie sprawę, jak wiele może ona ujawnić. Gdy po porażce wygłosił w szatni przemowę pełną rozpacz i użalania się nad sobą, zupełnie nie zwracając uwagi na obecność piłkarzy, ukazał swoje najbardziej egocentryczne i narcystyczne oblicze.

Ale spróbujmy odpowiedzieć na pytanie: co właściwie robił Maradona w mieście otoczonym plantacjami maku i marihuany, pośród kibiców, którzy żartowali, że wciąga kokainę zwiniętymi banknotami pochodzącymi ze sprzedaży biletów na mecze? Diego po prostu kochał piłkę nożną i żadna liga, zespół ani zawodnik nie byli dla niego niegodni uwagi.

Piłkarzom Dorados wystarczyła pozytywna energia, jaką dawały im jego legenda i obecność, a także techniczne wsparcie, które otrzymywali od jego asystentów, zajmujących się poszukiwaniem talentów i przygotowaniem meczów. Podczas tamtego roku Maradona dwukrotnie doprowadził klub do finału ligi, skąd tylko krok dzielił go od awansu do Ligi MX.

Potem wszystko się skończyło, a raczej prawie skończyło. Maradona, zniszczony przez trudy życia, zastrzyki wzmacniające mięśnie, które otrzymywał we wczesnej młodości, przez lata brutalnych fauli na początku kariery, wątpliwej jakości terapie i porady szarlatanów oraz końskie dawki leków z własnymi domieszkami, nie był już na tyle sprawny, by samemu móc grać w piłkę.

W styczniu 2019 roku, po kolejnej zdrowotnej zapaści, trafił do szpitala w Buenos Aires, gdzie przeszedł operację mającą na celu powstrzymanie krwotoku w żołądku. Doszedł do siebie i wrócił do Dorados, by poprowadzić drużynę w swoim drugim i ostatnim sezonie. W finale ligi drużyna przegrała po dogrywce z Atlético San Luis. Maradona odszedł z klubu, tłumacząc się problemami zdrowotnymi i bólem spowodowanym kontuzjami ramienia i kolana, co okazało się początkiem ostatniego etapu jego nieprzeciętnego życia.

Na przestrzeni kolejnych miesięcy coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Nawet w porównaniu z jego wcześniejszymi porażkami, ostatnie dokonania trenerskie w Gimnasia y Esgrima La Plata zwiastowały rychły koniec. W styczniu 2020 roku były król stał się parodią samego siebie. Oglądał mecze, siedząc za linią boczną na tandetnym tronie przystrojonym barwami klubowymi, i zamierzał pozyskiwać pieniądze dla klubu, sprzedając opatrzone autografem repliki takich siedzisk. Ale nawet ten wizerunek był żłudny.

Maradona cierpiał na chroniczne zapalenie kości i stawów w obu kolanach i zmagał się z nadwagą wywołaną niewłaściwym odżywianiem. Miał także kłopoty z płucami i sercem.

Kiedy reprezentacja Argentyny miała przerwę z powodu pandemii COVID-19, Maradona na kilka miesięcy zamknął się w swoim ogromnym domu na południe od Buenos Aires, gdzie opiekowali się nim dietetyk, fizjolog, specjalista od terapii holistycznej, lekarz oraz najmłodsza z jego trzech córek, Jana, która dzieliła się z ojcem warzywami ze swojego ekologicznego ogródka, aby pomóc mu w odtruciu organizmu.

Jana urodziła się w 1996 roku i była owocem pozamałżeńskiego związku Maradony z Valerią Sabalain, którą poznał, gdy pracowała jako barmanka w jednej z dyskotek w Buenos Aires. Kiedy Jana była dzieckiem i nastolatką, Diego nie przyznawał się do niej, pojednał się jednak z córką, gdy spotkali się po raz pierwszy w 2015 roku. Rok później oficjalnie uznał za swojego syna Diega Juniora, który przyszedł na świat w 1986 roku. Maradona miał romans z jego matką, Cristianą Sinagrą, kiedy był zawodnikiem Napoli.

Liczne żądania dotyczące uznania ojcostwa, które pojawiły się przed i po rozwodzie Maradony z Claudią Villafañe – matką jego pierwszych dwóch córek, Gianniny i Dalmy – w 2003 roku, stanowiły typowy przejaw dysfunkcyjnego, egocentrycznego i destrukcyjnego życia prywatnego piłkarza, a prawne potyczki nie ustały także po jego śmierci, gdy rodzina oraz byłe partnerki przystąpili do walki o spadek. Chociaż Maradona uznał drugiego syna, Diega Fernando, pochodzącego ze związku z Veronicą Ojedą, od razu, gdy ten przyszedł na świat w 2003 roku, to dopiero w 2019 roku przyznał się do ojcostwa trojga dzieci urodzonych na Kubie, gdzie zamieszkał w 2000 roku, by poddać się odwykowi.

W piątek trzydziestego października 2020 roku Maradona skończył sześćdziesiąt lat. Był wycieńczony, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, i wciąż dręczyły go demony, z którymi zmagał się

nieprzerwanie w późniejszych latach dorosłego życia: niepełnosprawność, alkoholizm i depresja.

Następnego dnia dał się przekonać, że powinien uczcić swoje urodziny tam, gdzie zawsze czuł się najszczęśliwszy, czyli na piłkarskim boisku, ale z trudem wytrzymał pół godziny, oglądając mecz między drużynami Gimnasia y Esgrima i Patronato na stadionie Juana Carmela.

To był pierwszy mecz sezonu w Argentynie po ośmiomiesięcznej przerwie w rozgrywkach spowodowanej pandemią, która uśmierciła do tej pory ponad trzydzieści tysięcy rodaków Maradony. Na trybuny nie wpuszczono kibiców, jedynie garstkę dziennikarzy, działaczy i zawodników, którym towarzyszył Claudio Tapia, prezes Argentyńskiego Związku Piłki Nożnej. Nawet niebiesko-białe flagi, emblematy DM60 na koszulkach piłkarzy ani krótki pokaz fajerwerków nie zdołały poprawić ponurej atmosfery.





Maradona, który jeszcze kilka dni wcześniej przebywał na kwarantannie, ponieważ miał kontakt z osobą podejrzaną o zakażenie wirusem, wstał ze swojego „tronu” i opuścił stadion w ponurym nastroju. Podziękowania, które za pośrednictwem Facebooka skierował do byłych i obecnych piłkarzy składających mu życzenia urodzinowe, okazały się jego ostatnim pożegnaniem.

W wieku sześćdziesięciu lat wyglądał jak jego o dwadzieścia lat starszy ojciec Chitorio, ale był w gorszym stanie zdrowia. Z trudem trzymał się na nogach, gdy wyprowadzono go ze stadionu i po raz ostatni w życiu odwieziono do szpitala. Cierpiał na anemię i był odwodniony. Potem doniesiono, że przeszedł operację mózgu, gdyż zdiagnozowano u niego krwaka podtwardówkowego – nagromadzenie krwi pomiędzy oponami mózgu.

Wbrew zaleceniom lekarzy, którzy nalegali, by pozostał w szpitalu na kilkudniowej obserwacji, Maradona wypisał się i wrócił do domu.

Zmarł we śnie na atak serca, a sekcja zwłok wykazała silny obrzęk płuc i chroniczną niewydolność mięśnia sercowego.

**ZATRUDNIENI NA PÓŁ ETATU** Pracownicy kostnicy w Buenos Aires zrobili sobie zdjęcia z ciałem Maradony w otwartej trumnie. Przez pewien czas zdjęcia te były hitem internetu. W odróżnieniu od fotki, na której jeden z trzech pracowników udaje martwego u boku Maradony, wieści o śmierci Diega nie były żartem.

Oprócz niezdrowego zainteresowania zwłokami Maradony pojawiły się także oznaki ślepego uwielbienia i masowej hysterii. Fani gromadzili się całymi tysiącami na stadionach, na których był czczony. Zapalali świece, wznosili nad głowę koszulki z legendarnym numerem 10 oraz plakaty. Później fanatyczni wielbiciel zebrali się na Plaza de Mayo, placu w Buenos Aires niedaleko pałacu prezydenckiego, Casa Rosada, gdzie wystawiono trumnę, by ludność mogła oddać ostatni hołd zmarłemu.



*Casa Rosada, trzydniowa żałoba narodowa po śmierci Diego Maradony.*

Najbardziej radykalni kibice, pijani i spoceni od letniego upału, potracali się, popychali i skandowali przyśpiewki o Maradonie, uzupełniając je o znane z trybun tradycyjne obelgi pod adresem historycznego wroga: *El que no baile es un ingles!* „Kto nie skacze, jest Anglikiem!”, wołali. Każdy chciał poczuć obecność Maradony, jak podczas rytualnego seansu.

O świcie w czwartek była żona Maradony, niegdyś aktorka, a obecnie organizatorka imprez masowych, Claudia Villafañe, wraz z ich dwiema córkami, Dalma i Giannina, jako pierwsza wkroczyła do pałacu prezydenckiego, gdzie poprzedniego wieczoru tymczasowo umieszczono trumnę ze zwłokami Diega, owiniętą argentyńską flagą oraz koszulkami drużyny Boca Juniors i narodowej kadry, które stały się symbolami dni jego chwały oraz odrodzenia narodu, za który Maradona oddał życie jak baranek ofiarny.



Trumna ze zwłokami Diego Maradony w kaplicy pałacu prezydenckiego Casa Rosada, 26 listopada 2020 r.

Wkrótce po nich do pałacu weszła Veronica Ojeda, była partnerka Maradony i matka jednego z jego dzieci. Trzecia była partnerka próbowała zobaczyć trumnę przed otwarciem pałacu dla publiczności, ale zatrzymali ją ochroniarze. Następnie była żona poprosiła, by przestano wpuszczać ludzi o godzinie szesnastej, czyli kilka godzin przed zaplanowanym końcem wystawienia zwłok. Tego samego wieczoru zablokowano wejście do pałacu.

Kiedy ustały wizyty, grupa żałobników przedarła się przez bariery i wbiegła do pałacu, gdzie doszło do przepychanek z ochroną, która użyła gazu łzawiącego. Policja z armatkami wodnymi i gumowymi pociskami rozpędzała tłum, który ciągnął się na ponad półtora kilometra wzdłuż okolicznych ulic.

Gdy bramy pałacu znów szczelnie zamknięto, a zwłoki otoczyli ochroniarze, trumnę tymczasowo przeniesiono do prywatnego pokoju, gdzie niewielka grupa krewnych i przyjaciół, w tym weteranów mistrzostw świata z 1986 roku, modliła się i puszczała muzykę *cumbia*.

Wydarzenia, które nastąpiły po śmierci Maradony, przypominały narodową operę opowiadającą o rodzinie, przyjaźni, pasji, żalu, urojeniach, polityce, agresji i chaosie. Był to wyreżyserowany przez skompromitowane państwo spektakl, który mógł dotyczyć wyłącznie Diego Maradony, groteskowa farsa, a zarazem tragedia, która stanowiła jedyne możliwe zakończenie jego życia, przedstawienie wystawione dla niego i przez niego oraz przez kraj, w którym przyszedł na świat.

Kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych zacząłem pisać o życiu Maradony, stwierdziłem, że pewnym można być tylko tego, że kiedy umrze, jego pogrzeb dorówna rozmachem pożegnaniu Evity Perón, którą *descamisados* uznawali zarazem za świętą i polityczną ikonę.

Taki sam los spotkał Diego Maradonę, który piętnaście lat wcześniej zdradził, jak chciałby zostać zapamiętany. Podczas swojego programu telewizyjnego *La Noche del 10* w 2005 roku przeprowadził wywiad z samym sobą, w którym przewidywał, co ludzie mogą powiedzieć w dniu jego pogrzebu.

Dziękujemy za grę w piłkę. To właśnie sport dał mi najwięcej szczęścia i wolności, zupełnie jakbym dotykał nieba. Na nagrobku powinny się znaleźć słowa: „Dziękujemy za Piłkę”.

Dwudziestego szóstego listopada 2020 roku rozkochane tłumy wypełniły Plaza de Mayo i sąsiednie ulice i ustawiły się wzdłuż autostrady, by chociaż na chwilę zobaczyć karawan wiozący trumnę Maradony, która już nie była okryta piłkarskimi koszulkami, a jedynie argentyńską flagą, jak przystało na państwowy pogrzeb – akt polityczny. Po bezkrytycznym podziwie i hysterii, jakie wzbudzał przez większość dorosłego życia, po śmierci Maradona mógł liczyć na chwilę intymności podczas prywatnej rodzinnej ceremonii pogrzebowej na cmentarzu-ogrodzie Bella Vista.

W odróżnieniu od Recolety, sławniejszej nekropolii Buenos Aires, cmentarz Bella Vista nie chlubi się grobowcami bogatych i sławnych, lecz chowa zmarłych na prostym trawiastym polu nagrobków okolonym drzewami.

W pogrzebie Maradony brali udział tylko najbliżsi członkowie rodziny i przyjaciele. Najbardziej znanym z nich był Guillermo Coppola, menedżer piłkarza w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, które stanowiły najlepszy okres w jego karierze, a zarazem czas największych ekscesów poza boiskiem. Maradona spoczął obok swoich ukochanych rodziców, Chitoro i Toty, którzy zawsze byli blisko syna, za życia i po śmierci, i którzy wybrali ten spokojny zakątek.

**G**DY JEST JUŻ PO WSZYSTKIM, wciąż wspominam mistrzostwa świata w Meksyku, które były największym sukcesem Maradony i pozwoliły mu na zawsze zapisać się w piłkarskiej historii oraz ludzkiej pamięci, nawet jeśli w Boca Juniors i Napoli uwielbia się Diega za to, czego dokonał w piłce klubowej. Maradona miał ogromny i wyjątkowy talent, poruszał się z gracją w czasach, gdy napastnicy, nieobserwowani przez liczne kamery i niechronieni przez sędziów, często padali ofiarą brutalnych fauli obrońców. Ale to, w jaki sposób roztrwonił ten talent, pozwalając, by szalone życie poza boiskiem skróciło lata jego kariery, uczyniło go ostatnią piłkarską gwiazdą rocka. Nie sposób sobie wyobrazić, by potrafił poradzić sobie z tempem gry i taktyką, a tym bardziej dietetycznymi i treningowymi wymogami, jakie muszą spełniać najlepsi współcześni zawodnicy.

Statystyki pokazują, że owoce dwudziestojednolletniej, często przerywanej, kariery Maradony są skromne w porównaniu z osiągnięciami Ronaldo czy Messiego. Nie da się ukryć, że monstrialne ego i destrukcyjne cechy osobowości napisały dla niego mroczną historię.

Ale było w nim coś romantycznego i bardziej ludzkiego niż w sprawnych jak maszyny i nastawionych na autopromocję współczesnych gwiazdach. W kwestiach politycznych Diego był buntownikiem, chociaż warto zauważyć, że w czasach pandemii działalność niektórych młodych zawodników na rzecz przeciwdziałania biedzie i dyskryminacji rasowej silnie przemawia do nowych pokoleń, zapewniając im pozytywne wzorce moralne.

Jeśli mogę sobie pozwolić na ostatnią (nieautoryzowaną) refleksję, mam wrażenie, że dużej części mitologii i fałszu, które otaczają postać Diego Maradony, nie da się oddzielić od argentyńskiej duszy, bezustannie szukającej – i nieznajdującej – zbawcy, który podźwignie ją z politycznego i ekonomicznego bagna.

Niejednoznaczne życie i śmierć Maradony silnie wybrzmiewają w czasach pandemii – nieprzewidywalnych, pełnych cierpień, wypaczeń oraz rozpaczliwego poszukiwania uzdrowienia i nadziei. Pograżeni w żałobie kibice, którzy zebrali się na Plaza de Mayo, stanowili zapowiedź masowego rozprzestrzenienia się wirusa i jego podbojów. Kurczowo trzymali się nostalgicznych wspomnień o piłkarskim geniuszu, którego czasów i osobowości nie da się powtórzyć. Opłakiwało go wielu ludzi na całym świecie. Kiedy dowiedziałem się o jego śmierci, napisałem na Twitterze: *Twój geniusz i twoje demony stanowiły lustro, w którym przeglądało się nasze człowieczeństwo, z całym jego potencjałem i kruchością. Twoja poezja ruchu przetrwa. Que en Paz Descanses. Spoczywaj w pokoju.*

# ŹRÓDŁA ZDJĘĆ

- [1] – © Giacomino
- [2] – © Alamy/BE&W
- [3] – © Giacomino
- [4] – © Horacio Villalobos/Corbis via Getty Images
- [5] – Shutterstock
- [6] – © Giacomino
- [7] – © Giacomino
- [8] – © Giacomino
- [9] – © Giacomino
- [10] – © Bob Thomas Sports Photography via Getty Images
- [11] – © Alamy/Be&W
- [12] – © A. P. News
- [13] – © Prosport
- [14] – © Franco Origlia/Getty Images
- [15] – © Sipa/Shutterstock
- [16] – © Yannis Behrakis/Reuters
- [17] – © Reuters
- [18] – © Prosport
- [19] – © Reuters/Alamy Stock Photo
- [20] – © Juan Mabromata/AFP via Getty Images
- [21] – © Shaun Botterill – FIFA/FIFA via Getty Images
- [22] – © Jeff Mitchell – FIFA/FIFA via Getty Images
- [23] – © Karim Jaafar/AFP/Getty Images
- [24] – © Filippo Monteforte/AFP via Getty Images
- [25] – © Michael Regan – FIFA/FIFA via Getty Images
- [26] – © Robbie Jay Barratt – AMA/Getty Images
- [27] – Xinhua/Shutterstock
- [28] – © Jam Media/Getty Images
- [29] – © Jam Media/Getty Images
- [30] – Presidency of Argentina/EPA-EFE/Shutterstock